

Fryczkowska Anna

KOBIETA BEZ TWARZY

Prószyński i j-Ka

Copyright © Anna Fryczkowska, 2011

Projekt okładki

Dorota Kulawik

Zdjęcie na okładce

© Time Life P-Creative/ Getty Images/ Flash Press Media

Redaktor prowadzący

Konrad Nowacki

Redakcja

Ewa Charitonow

Korekta

Katarzyna Szajowska

Łamanie

Zuzanna Sandomierska-Moroz

ISBN 978-83-7648-739-7

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.prószyński.pl

Druk i oprawa

ABEDIK S.A.

ul. Ługańska 1, 61-311 Poznań

Ewa Maliwa od dawna miała ochotę go zabić. Uczucie narastało, kiedy wracał po pracy, wtaczał się, bodąc brzuchem powietrze, brzemienny swoim zmęczeniem, siadał, aż krzesło jęczało, podpierał głowę lewą ręką, w prawą chwycił łyżkę i rozpoczynał transport do ust, tak sprawny, że siorbanie nie milkło nawet na chwilę. Dwie minuty i już po ogórkowej, którą szykowała przez trzydzieści minut. Pięć minut i już po drugim, czyli schabowym z pieczarkami, ziemniakami, marchewką z groszkiem, któremu poświęciła półtorej godziny. Pożerał nie tylko to cholerne mięso, ale i dziesiątki godzin jej życia, nawet nie zwracając na to uwagi.

Ale przecież chwilami dostrzegała przed sobą niewielką szansę, że zdąży pożyć. Jeszcze nie była taka stara, nie była jeszcze taka gruba, jeszcze nie była aż tak zgorzkniała. Czego jej brakowało? Wiadomo. Pieniądzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Tylko że ona między kuchenką a deską do prasowania nie zarabiała nic, a w bibliotece, na pół

etatu, niewiele więcej. Często jej to powtarzał, narzekając, że tak łatwo przepuszcza jego zarobki. Kontrolował wszystkie jej wydatki, co do złotówki, i ciągle nie mógł uwierzyć, że utrzymanie czteroosobowej rodziny kosztuje aż tyle.

5

Często, gdy podgrzewała kotlety, patrzyła na jego okrągłą głowę z łysym plackiem na czubku, zastanawiając się, co by się stało, gdyby go po prostu trzasnęła w tę łysinę patelnią. Na pewno odczułaby wielką ulgę, a potem miałyby dużo sprzątanina. Bardzo dużo sprzątanina, gdyż był naprawdę ogromny. Przyczyniła się do tego i ona, swoimi obiadami, to pewne.

Wczoraj sprawiła sobie trochę radości, dodając mu do zupy konserwę, której data ważności skończyła się pięć lat temu. Sklepowa sprzedawała je znajomym za psi grosz, zresztą z przeznaczeniem dla psów. Chce tanio, będzie miał tanio, powtarzała sobie w duchu, gdy jej mąż bez mrugnięcia powieką siorbał zawartość talerza.

- Co na drugie? - zapytał, odbeknąwszy dyskretnie.

Przyjemnie było bawić się myślą, że umarł. Tak sam z siebie, jak należy. Zamiast podstawiania mu pod nos zupy i drugiego dania, gdy wracał pachnący perfumami innej kobiety, robiłaby sobie i chłopakom sałatki i kanapki, lekkie zupy i pieczonego kurczaka, przez co nie trawiłaby całego życia w kuchni. Zamiast statusu żalostnej zdradzanej frajerki zyskałaby pozycję szanowanej wdowy, wolnej osoby z własnymi pieniędzmi.

Tylko że on w końcu wywinął jej kolejny numer. Zamiast umrzeć jak należy, zamiast dostać porządnego zawalu, który - jak czytała w „Przyjaciółce” - należał mu się po latach skrzętnego pożerania schabowych na smalcu oraz golonki - zamiast chwycić się za serce i wyzionąć ducha, waląc twarzą w talerz z pomidorową, on po prostu nie wrócił do domu. Nie pojawił się o osiemnastej, jak powinien, ani o osiemnastej trzydzieści, ani o dziewiętnastej. Kiedy wreszcie odważyła się do niego zadzwonić, żeby kotlet do reszty nie stwardniał na patelni,

6

komórka bezczelnie odpowiedziała, że jej mąż jest poza zasięgiem albo ma wyłączony telefon. Baba, pomyślała, ani chybi baba, już nie w godzinach pracy, ale i po. Kolejna namiętna Ukrainka, która umiejętnie udaje, że kusi ją jego ciało, a nie pieniądze, wpływy i znajomości. Bardzo namiętna, pomyślała rano, gdy nadal nie pokazał się w domu.

Wygląda na to, że zaczął drugie życie, stwierdziła następnego wieczoru. Dzieciom ani słowa. Pssst. Nie, chłopakom nic nie powie, żeby ojciec nie stał się w ich oczach żalostnym zdrajcą, a matka - godną współczucia kobietą porzuconą. Wszystko się da ustawić tak, żeby

przynajmniej w ich głowach utrzymywał się obraz rodziny jak należy.

Czekała, kiedy jej mąż pokaże się w domu, by zabrać wyprasowane koszule albo czystą bieliznę. Przecież kochanki nie miewają żelazek ani pralek. Czekała i czuwała, żeby wytłumaczyć chłopcom tę jego spodziewaną wizytę, gdy już nastąpi, obmyślała przemowę do męża o tym, że nikogo nie wolno tak traktować, wszystko jednak na próżno. Nie pojawił się, nie zadzwonił, nie odbierał. Zniknął.

I wtedy nabrała pewności, że nie była jedyną osobą, która miała ochotę go zabić.

MIŚKA

1

Kiedy jechaliśmy tutaj, każde z nas miało nadzieję na co innego. Moja mama - na nowe życie w zgodzie z naturą i bez zamartwiania się o pieniądze. Ja, że nikt nie będzie mnie pytał o tatę. Mój brat - że wkrótce stąd uciekniemy.

Ale, jak mówiła mama, życie nie zawsze okazuje się takim, jak byśmy chcieli. I nikt nam nie obiecywał, że będzie łatwo. A na pewno nikt z nas nie podejrzewał, że odkryjemy rzeczy straszne, o których boję się nawet pisać.

Boję się spoglądać w przeszłość, jak bałam się zaglądać do tamtej piwnicy. Boję się patrzeć w siebie, jak bałam się spojrzeć w twarz tamtej kobiecie w wodzie.

Ale przecież w końcu na nią spojrzałam.

Miałam dziesięć lat i niektórzy twierdzili, że życie przede mną. Czasami w to wierzyłam.

Tamtego dnia, to był wtorek, drugiego września, wyjątkowo udało mi się wyruszyć samotnie z naszej wiejskiej szkoły do domu. Mama skończyła lekcje wcześniej i jeszcze coś miała załatwić, więc poprosiła, żebym na nią nie czekała. No to po lekcjach po prostu schowałam się przy drodze, poczekałam, aż cholerna Sabrina wyjdzie z budynku, rozejrzy

8

się, czy mnie gdzieś nie ma, i rozczarowana wyruszy do domu. Trzymałam się jakieś pięć minut marszu za nią, więc mnie nie widziała. Kiedy jednak pojawiła się na horyzoncie, bo szłam szybciej niż ona, schowałam się w świetnym miejscu, parę kroków od drogi, w lesie, tuż przy stawach. Rosło tam dużo mięty i pachniało żabami. Brodziłam w tej mięcie i cieszyłam się, że obok nas mieszka tak mało dzieci, bo przed wszystkimi bym się nie ukryła.

Przed Sabriną zresztą też mi się nie udało. Za wcześnie się cieszyłam, bo nagle ta potwora wylazła zza krzaków i powiedziała:

- Co tu robisz?

Wzruszyłam ramionami. Ten, kto wymyślił wzruszanie ramionami, powinien zostać patronem jakiejś szkoły,

ponieważ to gest naprawdę przydatny, na pewno dużo bardziej niż niejeden wiersz.

- Nie lubisz mnie? - spytała Sabrina.

- Nie wiem.

- Jak to: nie wiesz?

- Nie znam cię.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

- Ty naprawdę jesteś głupia. Sabrina Materek z kolonii Świątkowice, twoja sąsiadka. Jesteśmy w jednej klasie. Od tygodnia. Od miesiąca mieszkasz obok nas w starym domu Adama Karcza.

- Tyle wiem. Ale to nie jest znanie.

- A co to jest znanie?

Padaly trudne pytania, a ja nie byłam w nastroju do rozmowy. Powąchałam swoje palce. Mięta już wywetrzała.

- Ty naprawdę jesteś dziwaczka - stwierdziła Sabrina, patrząc na moje dłonie i wróciła na drogę. Nie było już

9

sensu się chować, więc wlokłam się za nią, co wyglądało, jakby mnie prowadziła. Wcale mi się to nie podobało.

- A ja o tobie wiem wszystko! - wrzasnęła jeszcze.

Jeszcze bardziej wkurzona, znowu skręciłam do lasu. Tak sobie szłam, co chwila się pochylałam, miętosiłam miętę, a potem wąchałam dłonie. Śmierdziały. Nie, to chyba jednak nie palce, coś cuchnęło z lasu. Świeże wiejskie powietrze, cha, cha.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam staw. A w wodzie... W wodzie ktoś pływał. Nawet stąd widziałam jakąś postać, choć przecież mama tłumaczyła, że do tych stawów wchodzić się nie powinno, bo brud, pijawki i stojąca woda pełna wszelkiego śmiecia, który wrzucają ludzie. Cóż. Cofnęłam się od razu, gdyż samotni pływacy w środku lasu mogą być takim samym zagrożeniem jak samotni mężczyźni po ciemku na pustej drodze. Wiedziałam o tym od mamy i ze szkoły w Warszawie, gdzie mieliśmy zajęcia o pedofilach. Zresztą, gdyby ta osoba mnie zauważyła, od razu zaczęłyby się pytania, czyja jestem. To głupie pytanie oznaczało, że muszę zaraz mówić, kto jest moją mamą, i czy lepiej było mi w Warszawie, czy tu, w Świątkowicach. I koniecznie musiałabym odpowiedzieć, że lepiej mi w Świątkowicach. Raz - bo obiecałam sobie, że nie będę wspominać przeszłości, dwa - bo by się znowu ktoś obraził, marudził i przekonywał, że tu jest super i świeże powietrze, a w Warszawie, niestety, brudne i pełne spalin, zupełnie jakby w Świątkowicach nie było samochodów. I smrodu.

Poza tym, że strasznie tu śmierdziało, coś mnie niepokoiło w tej postaci. Bardzo ostrożnie, schylona, podeszłam do brzegu. Teraz już byłam pewna, że to kobieta. Samot-

nych kobiet raczej nie ma się co bać, to też wiedziałam.

10

Ta pani leżała w wodzie twarzą w dół i w ogóle się nie ruszała. Widziałam jej kręcone blond włosy i plecy. Wydała mi się znajoma, chociaż z tyłu trudno było ją rozpoznać. W każdym razie była raczej gruba, jak prawie wszystkie kobiety tutaj. I pływała w ubraniu, w spódnicy i w bluzce. Nie było to znowu takie dziwne; w sierpniu widziałam nad rzeką panią, która pływała w szortach do kolan i podkoszulce. Tyle że ta tutaj trwała bez ruchu. Też tak spróbowałam, na stojąco. Przez chwilę mi się udawało, ale potem na ręce siadł mi komar, a na nogę weszła mrówka. Mrówkę strząsnęłam, komar dostał klapsa. Auć, trochę za głośno. Ale kobieta ani drgnęła. Podeszłam jeszcze bliżej. Smród aż zatykał.

- Proszę pani?

Nic.

- Proszę pani? - Tym razem głośniej.

Poruszyła się? Szybko zdjęłam sandały i wlałam do stawu. Cuchnął mocno, jak strasznie brudna lodówka, ale na szczęście był całkiem ciepły. Taka stojąca woda potrafi wydzielać nieziemski odór, mówiła mama. Miała rację. Na szczęście ta pani pływała niedaleko brzegu, więc podniosłam spódnice do góry i zrobiłam duży krok.

Zamoczyłam się do kolan. Kolejny krok i woda sięgnęła połowy uda. Fu, będę musiała dokładnie się wyszorować z tego syfu. Jakaś dziwna ta kobieta, skoro chce jej się moczyć w tym twarz. Wychyliłam się w jej kierunku i możliwie najdelikatniej dotknęłam kręconych włosów. Zero efektu.

- Proszę pani! - Zrozumiałam, że trzeba ją ratować, bo jak nic się utopi. Chwyciłam ją więc za te szorstkie loki. Były krótkie i wymykały mi się z rąk, ale zgarnęłam

11

ich więcej i trzymałam najmocniej, jak umiałam. Głowa była ciężka i nie chciała dać się podnieść, więc tylko przekręciłam twarz kobiety do góry. Niech nabierze smrodliwego powietrza jak najszybciej.

Spojrzałam na nią i zrozumiałam od razu, że ta pani już powietrza nie nabierze. Nie za bardzo miała czym, bo na jej twarzy wszystko się pomyliło i pozmieniało, a pani była kompletnie i zupełnie martwa. Nadal nie miałam pewności, czy ją znam, bo... Bo trudno było powiedzieć, jak wyglądała, gdy jeszcze mogła oddychać. Szybko cofnęłam rękę; głowa odkręciła się z powrotem. Z pluskiem. Poszła fala, mocząc kolejne centymetry mojego uda. Trzęsąc się, wybiegłam z cuchnącej wody i stanęłam, ciężko oddychając, na brzegu, tyłem do stawu. Zrywałam zielsko, żeby zetrzeć z ud i łydek smród

śmierci. To nie twarz, powtarzałam sobie. To musi być gumowa maska, taka sama, jaką jeden debil założył na Halloween w szkole, jeszcze w Warszawie, a ja aż wrzasnęłam, kiedy wyszedł na mnie z ubikacji. To musiała być maska, bo twarze nie mają prawa tak wyglądać.

- Gdzie się schowałeś?! - Aż podskoczyłam na ten głos. Zza drzew wyszła Sabrina.

Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, jaką odpowiedź wybrać. Nie, nie potrafiłam nic wykrztusić, tylko trzęsłam się i za szybko oddychałam. A potem dotknęłam jej ramienia, jak nigdy, a ta idiotka się ucieszyła. Niepotrzebnie, bo zaraz złapałam ją za drugie ramię i odwróciłam w stronę stawu. Sama już tam nie patrzyłam, nie chciałam tego oglądać. Sabrina milczała strasznie długo, więc spojrzałam na nią, że co ona nic nie mówi, i potem na staw, z nadzieją, że może mi się zdawało, ale nadzieja nie miała prawa się pojawić, bo wszystko nadal leżało

12

tam w wodzie. Nagle przeszył mnie prąd i zatrzęsł całym ciałem, dopiero po chwili zrozumiałam, że to Sabrina drze mi się wprost do ucha. Stała i wrzeszczała, a mnie sparaliżowało, nawet nie miałam siły zasłonić uszu, tylko stałam, a krzyk Sabriny wiercił we mnie dziurę na wylot. Ale już po chwili dziewczyszko odskoczyło w bok i, nadal wrzeszcząc, poleciało gdzieś w świat, a ja zostałam z problemem zgniłej kobiety w stawie. Łzy mi kapały od tego brzydkiego zapachu. Teraz, gdy już wiedziałam, skąd się wziął, głupio mi było nazywać go smrodem. Nie chciałam jej zostawiać samej, ale co miałam robić? Siedzieć obok i czekać nie wiadomo na co? Nie, to nie było w moim stylu. Więc pobiegłam do drogi. Stanęłam tam, spojrzałam w lewo. Dom, łóżko, zapomnieć o wszystkim. Popatrzyłam w prawo. Na chwilę zamknęłam oczy, sprawdzając, czy uda mi się zapomnieć. Bez sensu, wiedziałam, że pewnych widoków nigdy się nie zapomina, czekają na krawędzi, żeby wyskoczyć z nienacka, bardziej realne niż w telewizji. Odwróciłam się w prawo i zaczęłam biec, tak szybko, żeby wszystko, co złe, zostało za mną. Nie zostało.

Kiedy wróciłam nad staw z panem od wuefu, którego namierzyłam na boisku przy szkole, on zajął się resztą. Dobrze mieć obok siebie dorosłego. Wtedy można spokojnie usiąść, objąć kolana rękami i zacząć się trząść.

2

Pamiętam i tę datę, drugiego września, i tamten widok, chociaż bardzo starałam się zapomnieć. Niekiedy wraca do mnie, razem z różnymi innymi widokami, z którymi też chciałabym się rozstać. Smród też powraca

13

czasami, prawdziwy jak wtedy. Pojawia się nagle, kiedy

jadę autobusem albo siedzę na matematyce. Znikąd. No-
szą go w sobie, chociaż tak dokładnie zmywałam z ły-
dek i ud wodę z rozpuszczonym w niej trupem, choć
tak dokładnie szczotką i spirytusem szorowałam palce,
którymi dotykałam szorstkich loków kobiety bez twarzy.
Rękę doczyściłam, ale z głową nie dało rady zrobić te-
go samego. Ciągłe mam w niej rzeczy, które wolałabym
stamtąd wypłukać, tylko nie znam na to sposobu, choć
pani psycholog prosi czasem, żebym wszystko schowała
do wyobrażonej szkatułki i utknęła na samo najciemniej-
sze dno najgłębszej wyobrażonej szafy w mojej prawdzi-
wej głowie.

Pamiętam jednak tamto lato, tamtą jesień i tamtą zi-
mę. Pamiętam też, aż za dobrze, co się stało przedtem,
w Warszawie, przed czym mieliśmy uciec tu, na wios-
kę. Pamiętam świetnie, jak przyjechaliśmy w lipcu, jak
znaleźliśmy ten dom i jak mama ciągle powtarzała,
że zaczniemy nowe fajne życie, a przedtem będziemy
mieć niezłe wakacje, musimy się tylko tutaj rozgościć.
Tutaj, to znaczy na wiosce. Na wsi, kazała mówić ma-
ma. I dodawała, że w Świątkowicach jest bardzo ładnie.
Ale ja widziałam tylko, że w naszej części wioski brak
asfaltu i chodników, więc chodzi się w piachu, chyba
że pada, bo wtedy - w błocie. Przez to w przedpokoju
bez przerwy chrzęściło pod stopami. Widziałam starych
ludzi, brudne dzieci, śmierdzące traktory, gnój na po-
lach, brzydką szkołę i ekran komórki, która co chwilę
mówiła: „Brak zasięgu”.

Nie chciałam pamiętać tamtego życia, w mieście, nie
chciałam tęsknić za tym, co było. Nie chciałam też myśleć
o tacie. O nim wcale. Teraz jest nowe życie, powtarzała

14

mama, a ja za nią. Nowa wieś, nowe miejsce, nowa szko-
ła i nowe kaczki sąsiada, całkiem śmieszne, zwłaszcza te
małe. Dom też był dla nas nowy, chociaż tak w ogóle
to był stary. Naszą połowę pomalowaliśmy w środku,
ta druga, na lewo od sieni, miała stać pusta, to znaczy
z rzeczami właściciela. Nie wolno było tam broić ani
grzebać, bo gospodarz sobie tego nie życzył.

Po wyremontowanej stronie miałam swój pokój,
Maks zajął drugi, a mama mieszkała w największym. By-
ła też kuchnia, z małą kanapą, stołem i krzesłami - czte-
rema, zupełnie jakby tata miał kiedyś do nas przyjechać.
Wolałabym, żeby się jednak tu nie wybierał. No bo jak
niby miałyby się do nas wybrać po trzech miesiącach leże-
nia na cmentarzu? Dobra, koleżanki tłumaczyły, że ciało
to tylko ciało, a tata znalazł się w niebie za pomocą swo-
jej duszy. Ale przecież, nawet jeśli miały rację, to duszy
i tak nie widać, więc jej obecność nie zapełniłaby puste-
go krzesła w naszej nowej kuchni.

Dyrektorka szkoły, w której mama miała pracować, chciała nam dać inne mieszkanie, w bloku, takim małym, obok boiska, tam gdzie mieszkało kilka nauczycielek. Ale mama powiedziała, że woli mieć ogród, a bloków nienawidzi, i wybrała to gospodarstwo. Tym sposobem znaleźliśmy się w drewnianym domu z kamiennym murkiem od dołu, ze śmiesznym dachem, bo z blachy. Poprzedni właściciele pomalowali dom na szaro. Kolor tak samo smutny jak to, co czułam.

Ciągle się tu kaleczyłam, w ręce, w kolana; krew pokazywała się na skórze kroplami albo strumyczkiem, a ja ją wcierałam w szare deski naszego domu, więc ich część szybko pokryły brunatne plamy. Mama tego nie widziała, boby krzyczała, ale jakoś nie umiałam się

15

powstrzymać. Obrywałam sobie skórki z warg, bolało, ale tylko trochę, a potem ssałam swoją krew, więc ciągle chodziłam z dolną wargą schowaną w ustach.

Przed domem rozciągało się duże podwórko, zarosnięte trawą; po jego lewej stronie stał długi budynek, który był kiedyś oborą i do dziś śmierdział krowami.

Do tej dawnej obory dobudowano małą kuchnię z piecem i białym kredensem, w którym ciągle stały jakieś szklanki i słoiki. Ten pan, który nam wynajmował, nazywał to letnią kuchnią. Za drzwiami do tej kuchni wisiała zasłona z pasków kolorowej ceraty.

- Na muchy - tłumaczył tamten pan.

Chodziło chyba o to, że powiewające paski miały zniechęcić muchy do wlatywania do kuchni, ale to raczej nie działało, bo wszystkie, a najbardziej te żółte, były popstrzone czarnymi kropkami muszyczych kupek. Okazało się, że muchy najbardziej lubią kolor żółty, a w letniej kuchni gotuje się latem, żeby nie grzać w domu. Wieczorem, po kolacji, zostawia się letnią kuchnię z jej gorącym i muchami i idzie się do chłodnego, pustego domu. Zawsze to jakiś pomysł, ale do mamy nie przemówił, więc gotowaliśmy w kuchni domowej. Muchy dzielnie siedziały i w naszej letniej kuchni, i w mieszkaniu, i generalnie gdzie popadło. Dopiero we wrześniu zaczęło ich być mniej.

Podwórze kończyło się stodołą z wielkimi wrotami, za którymi leżało jeszcze trochę siana. Albo słomy, nie wiem, zawsze mi się myli. Z drugiej strony można było stamtąd wyjść wprost na pole. I tym sposobem mieliśmy kompletnie wiejski dom, ze stodołą, oborą i letnią kuchnią, z którymi nie wiadomo było co zrobić, bo przecież mieszkała nas tam tylko trójka. Stało sobie to wszystko kawałek za wsią, na kolonii, za główną jej częścią,

16

oddzieloną lasem. Obok nas było tylko jeszcze jedno gospodarstwo, w którym mieszkali Materkowie: grubawa

pani w sukience w kwiatki, jej mąż, jakiś bardzo stary pan, prawdopodobnie dziadek, i dużo dzieci, między innymi Sabrina, ta od martwej kobiety w stawie.

Do wsi mogliśmy dojść najpierw piaszczystą, a od pewnego momentu - asfaltową, drogą przez las. Za linią drzew, po lewej stronie drogi, były stawy, większe od tamtego, przy których cierpliwie stali rybacy i czekali, aż któraś ryba da się nabrać i łyknie haczyk, i mniejsze, porośnięte rzeszą, po których ślizgały się paskudne robale, nartniki. Owady, mówiła mama, nie robale. Jak już się przeszło tę drogę, to dochodziło się do innej, szerszej, przy której po obu stronach rozciągała się główna część wsi Świątkowice. Najpierw, po lewej stronie, widać było piętrową betonową szkołę - podstawówkę, a obok gimnazjum. Tam miała pracować mama; my z Makssem mieliśmy się uczyć, ja w podstawówce, on w gimnazjum. Obok szkoły było boisko. Jak się skręciło w prawo, następował przystanek autobusowy, potem jakieś sklepy, na ogół na parterach zwykłych domów. A jeszcze dalej, bo Świątkowice są bardzo długą wsią, która na końcu nawet trochę przypomina miasteczko, więc jeszcze dalej zbudowano kościół, stację kolejową, czyli ławkę na betonowym peronie i budkę z biletami, jakiś urząd i dom kultury, zamknięty, z oknami zabitymi deskami, kiosk z gazetami i salonik prasowy z dwoma komputerami oraz większość domów. Ale w tamte okolice właściwie jeździłmy tylko raz w tygodniu, po zakupy. Mama nie była w humorze na łażenie po sklepach, a ja miałam pozwolenie na bieganie tylko po najbliższej okolicy, a nie tam, gdzie mógł mnie przejechać autobus czy samochód.

17

Któregoś dnia postanowiłam się bawić we wchodzenie na dachy. Wspięcie się na dach letniej kuchni okazało się dziwnie łatwe; ozdobne występy w ścianie były prawie jak drabina. Zauważyłam, że z tej wysokości lipa przestaje przesłaniać podwórko sąsiadów i mam jak na dłoni tamte dzieci, które karmią króliki i rozmawiają o mnie. Wyciągnęłam się płasko, przytuliłam do ciepłej, pachnącej smołą powierzchni i słuchałam jak telewizora.

- Powiedzieć jej, że tam straszy?

- A po co? Sama zobaczy.

- Ja bym się tam bała w nocy.

- Ja to nawet w nocy nie patrzę w tamtą stronę.

- Może dlatego wszyscy się wyprowadzają?

- Popatrz, a stary Adam tyle czasu wytrzymał!

- Za nic nie wyjdę po ciemku do wygodki.

- Musisz, mama nie pozwala do sedesu latem sikać.

Bo kto będzie szambo woził?

- To pęknię, ale nie wyjdę po ciemku.

- Dziwna ona jakaś, poza tym.

- Dziwna.

I tak mnie opisały jednym słowem. Dziwna. Cóż, faktycznie, było to słowo dość pojemne i może się w nim nawet mieściłam, choć chyba niecała. Dzieciaki sąsiadki jeszcze coś potem o mnie mówiły, ale zacisnęłam uszy w środku, i jeszcze zatkałam palcami; nie chciałam słyszeć, że mnie uważają za brzydką dziewczuchę, co zadziera nosa. I nie usłyszałam. Umiecie tak zacisnąć uszy w środku? Ja umiem. Robię to wtedy, kiedy nie chcę czegoś słyszeć. I prawie mi się udaje.

Następnego rana po podsłuchaniu rozmowy o duchach i o mojej dziwności obudziło mnie słońce. Świeciło prosto w oczy i wymagało, żebym wstała i zajęła się

18

nowym wiejskim życiem. Samotnie, bez udziału obrzydliwych dzieci sąsiada. Wstałam więc, poszłam do kuchni, gdzie spała mama, stałam i patrzyłam na nią, tak kontrolnie, czy żyje. Chyba tak, uznałam, skoro poruszają jej się skrzydełka nosa i trochę sapie. No i faktycznie: w końcu odezwała się jęklwym zasnym tonem:

- Nie patrz tak na mnie, bo się obudzę!

Walizki nadal były w większości nierozpakowane, ale przez uchylone wieko wyciągnęłam z jednej sukienkę w paski. Tylko majtek mi się nie udało. Ale kto to zauważy, stwierdziłam, i już mnie nie było.

Pierwszy raz w życiu mogłam chodzić sama. Sama! W obrębie naszych dwóch gospodarstw i okolic. Wiało tutaj wspaniale, również pod moją sukienką, więc przez chwilę stałam na piaszczystej drodze i czułam wiatr na całej sobie. Kiedy wyszłam za ogrodzenie, usłyszałam ptaki. Dopiero teraz, jakby wewnątrz naszego ciemnego ogrodu nie śpiewały. Choć to przecież było niemożliwe.

Ciepły wiatr, który podwiewał spódnice, robił mi bardzo miło w okolicach cipki. Postanowiłam, że już zawsze będę chodzić bez majtek. Byłam pewna, że mama nawet tego nie zauważy.

Dom naszych sąsiadów był ogromny, zbudowany z białej cegły nazywanej przez mamę pustakiem. Otaczał go dziwny płot, z betonowych płyt w ozdobne wzory, a każdy kwiatek we wzorku miał płatki pomalowane na czerwono. Patrzyłabym dłużej, zastanawiając się, czy mi się to podoba, czy nie, ale nie mogłam się skupić, bo pod płotem sąsiada siedział stary, pomarszczony pan w czapce, który był prawdopodobnie dziadkiem obrzydliwych dzieci. Na czym on siedzi, zastanawiałam się,

19

przecież tu nie ma ławek przy ulicy, ale szybko zauważyłam, że to sanki, które na piachu wyglądały równie głupio co wielbłąd na śniegu. Powiedziałam „dzień dobry”,

bo stary patrzył na mnie. Nie odpowiedział. Gapił się jednak i gapił, i dopiero po dłuższej chwili burknął:

- Ty od nauczycielki jesteś?

Nie byłam pewna, czy to miało być pytanie, czy stwierdzenie, więc milczałam.

- Dziwne z ciebie dziecko - dodał.

To już wiedziałam od wczoraj.

Niedaleko domu płynęła rzeka, płytka, do kolan, najwyżej do ud, ale na lato w sam raz, powiedziała mama, przynajmniej się nie potopicie. Zdjęłam klapki i zaczęłam łązić po wodzie. Przeszłam z pnia aż do kładki, a potem z powrotem. Było kompletnie pusto, jeśli nie liczyć maleńkich jak przecinki czarnych rybek, które co jakiś czas zrywały się ławicą i przepływały obok, muskając moje łydki. A potem włożyłam klapki na mokre nogi i poleciałam do domu, bo zgłodniałam. Piach przylepiał mi się do stóp.

Dom był pusty, letnia kuchnia też. Mama stała przy płocie i rozmawiała z sąsiadką. Podsunęłam się z boku, udając, że nie podsłuchuję.

- Cieszę się, że wreszcie znowu mam sąsiadkę, sąsiadka ważna rzecz - mówiła tamta pani. - Taki ten dom pechowy, nikt go kupić nie chciał, odkąd staremu Adamowi się zmarło. Pani też nie kupiła, prawda?

- Wynajęłam. Szkoła mi wynajęła.

- Dobrze pani z oczu patrzy. Nauczycielka? To będzie pani moje dzieciaki uczyć. No, chodźcie tutaj, przedstawcie się pani sąsiadce: Nikola, Sabrina...

Dziewczyny stały rzędkiem przy matce, wszystkie takie same.

20

- Sabina?

- Sabrina, Damianek, Arkadiuszek... Gdzie cię poniosło?

- A to jest Michalina - powiedziała moja mama. Wypatrzyła mnie w cieniu pod ścianą i popchnęła do przodu, choć zapierałam się nogami, bo nie chciałam poznać tych obrzydliwych dzieci, co do tej pory doskonale mi się udawało.

- No, chodź, Michalino, do nas, zapoznasz się z dziećmi, one bardzo są ciebie ciekawe - zachęciła sąsiadka, ale stałam, jakbym nie słyszała. - Tyle dni się chowasz przed nimi, a im się przykrzy, chętnie by się z tobą pobawiły. No chodź, nie wstydź się.

- Trzeba jej dać trochę czasu - powiedziała mama.

- Rozkręci się za parę dni.

Ciekawe, skąd miała tę pewność.

I skończyło się moje ukrywanie na dachu letniej kuchni. Już nie mogłam patrzeć na cudze życie jak w telewizor. Dzieci sąsiadki zaczęły do nas przychodzić, mówiły mamie „dzień dobry”, a potem patrzyły w ci-

szy, jak się bawię w wymarsz traw. Teraz ja byłam ich telewizorem. Nie odzywałam się do nich, udawałam, że ich nie ma, tak jak nie ma tego nowego życia. Tkwiłam zawieszona gdzieś w powietrzu i machałam nad życiem nogami. Postanowiłam jednak wkładać majtki, na wszelki wypadek.

Gdybym mieszkała na tej wiosce od zawsze, może by mi się tu podobało, może bym się nawet przyjaźniła z tą Sabriną. Z Nikolą raczej nie, bo była młodsza i miała takie głupie oczka. Ale przecież ciągle pamiętałam życie przedtem, w Warszawie. Postanowiłam więc, że nie będę myśleć o przeszłości, o żadnej koleżance z dawnej szkoły,

21

skoro to tak boli, ani martwić się o to, co będzie, skoro tyle w tym strachu. Będę myśleć tylko o tym, co jest. Od teraz.

Mama też nie wspominała tego, co było wcześniej. Wiem, że miała już dość Warszawy, naszego mieszkania, gdzie ciągle się wydawało, że zaraz pojawi się tata, choć wszyscy wiedzieliśmy, że z cmentarza do nas nie wróci. Nawet metra zaczęła mieć nagle dość, choć przedtem się cieszyła, że je budują tuż koło nas. Teraz bez przerwy narzekała na ekrany odliczające czerwonymi cyferkami czas do następnego pociągu; miała wrażenie, że ktoś odlicza sekundy, które pozostały jej do końca życia. Dziwne, bo ja lubiłam te migające sekundy, rach-ciach i już następny pociąg, potem parę minut pod ziemią i zupełnie inny świat.

Nie, dość. Tu też miałam inny świat.

Wiedziałam, że do szkoły będę chodzić z mamą, gdzie ona zajmie się nauczaniem angielskiego za marne grosze, jak powiedziała. Ale dodawała, że na szczęście tu, na wsi, wszystko również kosztuje marne grosze, a poza tym zasadzimy trochę jarzyn, oszczędzając na warzywniaku. A sąsiadka, pani Materkowa, sprzeda nam jajka. No i mieszkanie za darmo.

Zapomniałam o najważniejszym: był jeszcze Maks, mój brat. Jeszcze niedawno się ze mną bawił, to znaczy, kiedy nie miał trzynastu lat, tylko mniej. Ale teraz... Maks już zapowiedział, że do szkoły będzie chodził sam, choć mógłby z nami, bo jego gimnazjum stało obok naszej podstawówki. Ja wsi nie zauważałam, ale on jej nienawidził. Chciałam, żeby chociaż mama była ze wsi zadowolona, bo przecież to ona nas tu ściągnęła, ale mimo że mówiła, że tak tu pięknie, i zielono, i świeże powietrze,

22

i pyszne jajka od sąsiadki, to widziałam, jak robi się mniejsza i mniejsza, coraz mniej jej było pod kołdrą, pod którą rano wylegiwała się nawet dłużej ode mnie. Coraz mniej, jakby ją coś wysysało po trochu. Długo spała w dzień,

bo w nocy było jej trudno, tak mówiła. Mnie też było trudno - dźwięki tu zupełnie inne niż w mieście, a poza tym w nocy panowały zupełne ciemności. Jak się stanęło na werandzie, to drugi koniec podwórka stawał się niewidoczny, a las wydawał się armią milczących niewolników. Któregoś wieczoru zostawiłam w lesie palącą się latarkę, żeby oświetlała to wszystko chociaż trochę, ale światełko pobzdziło, pobzdziło, a latarka zgasła na wieki i zrobiło się jeszcze smutniej, jakby ktoś umarł.

Maks też nie mógł spać, kręcił się po domu, stukał, lał wodę. Mama narzekała, więc rozłożył sobie karimatę w stodole, na tych resztkach siana albo słomy, ciągle się nie dowiedziałam, zabrał dwa koce i powiedział, że idzie tam spać. Chciałam go zatrzymać, żeby słyszeć w domu dwa znajome oddechy, oprócz mojego, więc zaczęłam go straszyć, że zmarznie, że po co, że pobrudzi koce. Ale mama, jak nie ona, powiedziała:

- Misiu, dajże mu spokój. Niech sobie śpi, gdzie chce. On jest w wieku dojrzewania, z nim trzeba delikatnie. Leżałyśmy więc w nocy we dwie w szarym domu. Mama nie zamknęła drzwi do swojego pokoju, a ja do swojego, żeby nam było raźniej, i obie udawałyśmy, że śpimy. Co gorsza, słyszałam jakieś oddechy, które nie były ani moje, ani mojej mamy.

Może to myszy dyszały, bo oddechy były szybkie i gorące.

HANKA

3

Przyjazd tutaj miał spowodować, jak w filmie, że ze zdezorientowanej wdowy w depresji zmienię się w Zaczynającą Nowe Życie Dojrzałą Kobietę. Że z wiecznie schowanej za laptopem matki, piszącej kolejne teksty na wczoraj do gazety kobiecej, stanę się Matką Obecną Zawsze, Gdy Jest Dziecku Potrzebna. Sęk w tym, że wyglądało na to, iż moje dzieci radzą sobie świetnie beze mnie. Nie byłam chyba najbardziej potrzebną osobą w ich życiu, choć od tej pory, niemal przegapiwszy za komputerem ich niemowlęctwo i wczesne dzieciństwo, miałam być już zawsze obok. Tyle że matkę przed monitorem zastąpiła teraz matka pod kocem, która nie umiała podnieść się z łóżka, odkąd mąż postanowił się z nią rozstać w dość radykalny sposób. Co chwila przypominała mi się kostnica, gdzie sanitariusz litościwie odsłonił prześcieradło, opisał mi, jak wygląda ten, co tam leży, i pozwolił mi nie patrzeć. Tym samym ostatnie spojrzenie na mojego męża rzuciłam, wychodząc TEGO DNIA rano do pracy, i, uwierzcie mi, nawet nie pamiętam TEGO MOMENTU. Ostatnie spojrzenia powinny być poprzedzane

24

jeśli nie fanfarami, to jakimś nagłym atakiem łączności z intuicją. Ostatnie słowa również, bo i jego ostatnich słów nie pamiętam. Powiedział prawdopodobnie jakieś „do widzenia”, które w świetle tego, co stało się później, oznaczało, że jednak wierzył w życie pozagrobowe. Wszystko jednak zniknęło pod mgłą niepamięci, przerywanej pocieszaniem dzieci, które tamtego popołudnia, jako świeża wdowa, witałam w domu już jako pólseroty. I muszę powiedzieć, że byłam opanowana, nawet łezki nie uroniłam, działałam jak trzeba. Małe dostały coś na uspokojenie, ja nie chciałam. Następnego dnia przeleżeliśmy w łóżku, jak radziła psycholog, razem. A potem posłałam je do szkoły, żeby żyły normalnie; wolne dostały tylko parę dni później, na jego pogrzeb. Ja też postanowiłam żyć normalnie, w końcu nie świat się skończył, skończyło się tylko życie mojego męża, na jego własne życzenie, i życie czteroosobowej rodziny, którą zastąpiła rodzina trzyosobowa z bolesną wyrwą w miejscu na czwartą osobę.

Następnego dnia po pogrzebie siadłam więc na kanapie i nawet sięgnęłam po rajstopy, które zsunęłam z siebie, wchodząc pod koc, ale pottrzymałam je chwilę w wyciągniętej ręce, dochodząc do wniosku, że wyglądają nie lepiej niż wypływające z brzucha jelita, i upuściłam je na podłogę, gdzie się grzecznie rozpląszczyły, jak mój mąż pod oknem. Moja mama krzątała się po domu, omiatając mnie to współczującym, to podejrzliwym spojrzeniem, a ja starałam się nie zwracać na nią uwagi, zwłaszcza wtedy, gdy kazała mi się wypłakiwać albo opowiadać o uczuciach, które właśnie we mnie buzują. Nie, nie miałam w sobie żadnych uczuć, miałam w sobie wyłącznie wielkie

25
zmęczenie. Nic mnie nie obchodziły jej lęki i pytania, bo sama czułam się jak pasażer samolotu wiozącego wycieczkę kolonijną, gdy podczas lotu pilot umiera nagłą śmiercią i w ciągu sekundy sytuacja dojrzuje do tego, by za sterami zastąpiła go jedyna pełnoletnia osoba na pokładzie. Sęk w tym, że nikt mnie nie uczył prowadzenia samolotu. Moje dzieci również były jeszcze za małe na przejęcie sterów, a mama - zbyt zagubiona. Może sprawdziłaby się jako drugi pilot? Nie, chyba lepiej jako czuła stewardesa, podająca koc i zadająca irytujące pytania. Szczerze mówiąc, coś za często wydawało mi się, że łatwiej byłoby wrócić na siedzenie pasażera i niechby wszystko nadal toczyło się swoim trybem. Nawet jeśli miałby to być tryb w dół, z lamentującą stewardesą za plecami.

Bilans dotychczasowego życia: mieszkanie, w którym ostatnio używałam wyłącznie kanapy w salonie

i łazienki. Nieco kasy na własnym i kartę do jego konta, na którym zgromadził trochę pieniędzy. Staralam się natomiast nie mieć poczucia winy, że nie zauważyłam, nie zapobiegłam temu, co postanowił zrobić. Że nie przewidziałam jego wyjścia oknem na siódmym piętrze, co uczynił pewnego całkiem pogodnego majowego dnia. Mój mąż nie zostawił żadnego listu, który mógłby rzucić odrobinę światła na przyczyny jego kroku. A ponieważ nie dał znać, o co mu chodziło, winałam oczywiście siebie, bo tak mnie wychowano. Leżałam na kanapie i wszystkie siły poświęcałam na wyganianie z głowy myśli, że poświęcałam mu za mało uwagi, dawałam za mało miłości i akceptacji. Powtarzałam sobie, że przecież nie zdradzałam go, pamiętałam o jego imieninach, urodzinach oraz

26

o seksie w sobotni i niedzielny poranek. A że przez te lata emocje trochę się wypaliły? Cóż, tak toczy się świat, sama o tym pisałam w mojej gazecie, doradzając małżeństwom z pewnym stażem.

Zamiast pożegnalnego listu zostawił mi dwójkę dzieci i mieszkanie, które teraz kojarzyło mi się jak najgorzej, zwłaszcza pokój zwany niegdyś naszą sypialnią, a teraz już w ogóle nie nazywany, od czasu gdy zaalarmowana telefonem sąsiadki zastałam otwarte na oścież okno i jego pod nim na dole, na trawniku. Od tamtej pory nie weszłam już do sypialni ani razu, widziałam tylko przez drzwi, jak mama, wzdychając, sprząta tam i zmienia pościel.

Nie umiałam nawet wrócić do pracy, choć mama uznała, że przebywanie między ludźmi pozwoli mi wyjść na prostą. Ale choć co rano szykowała mi ubranie, które bez słowa kładła obok mojej kanapy, nie włożyłam go ani razu. Patrzyłam na koszulową bluzkę i wąską spódnicę jak na wyprasowane wyrzuty sumienia i zupełnie nie umiałam uzasadnić, dlaczego nie wybieram się do redakcji. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym chwycić za telefon i umawiać się z bohaterami moich tekstów, czyli lekarzami, kosmetyczkami, stylistkami oraz paniami od układania kwiatów i szefami kuchni. Nie chciało mi się otwierać ust, by przekazać mamie, że spisywanie przepisów, porad, jak mieć piękne włosy i udane życie, oraz zmyślanie testów psychologicznych wydało mi się nagle miałkie. Już bardziej twórcze było leżenie całymi dniami w pościeli; bo mama się uparła, by mi oblec koc w poszwę. Leżałam i uświadamiałam sobie, że świat, który przedtem traktowałam jako pełen dobrych rad zbiornik tematów do tekstów, zmienił się

27

w miejsce, gdzie dobre rady nie miewają zastosowania,

bo ludzie i tak robią, co im strzeli do głowy.
Jedyne teksty, jakie udawało mi się ułożyć, dotyczyły mojego własnego życia. Kogo to mogło interesować?

PRZEPIS NA NOWE ŻYCIE

SKŁADNIKI:

- jedna prowincjonalna wiocha, dokąd w dzieciństwie jeździło się na wakacje,
- jedna znajoma dyrektorka zespołu szkół, z którą w dzieciństwie chodziło się pływać na nadmuchanych dętkach w miejscowej rzeczce,
- cały etat nauczycielki angielskiego „za całkiem dobre, jak na nasze warunki, pieniądze, bo nam, kochana, zależy na anglistce, która nie zrezygnuje po jednym semestrze”,
- jeden dom wynajęty przez szkołę, a tuż za nim pola,
- jedna ciężarówka przeprowadzkowa pełna rzeczy, na których zupełnie ci już nie zależy,
- dwoje zdezorientowanych dzieci, które nie lubią wsi.

JAK PRZYRZĄDZIĆ:

Wymieszaj wszystko i odstaw na miesiąc, aż dojrzeje.
Potem już się możesz przemieszczać z Warszawy na wieś.
Smacznego!

Mama była załamana naszą wyprowadzką i przekonana, że sobie nie poradzę. W tej dżungli, wśród obcych ludzi, w nowej pracy, w wiosce, której nigdy nie lubiła, więc jako mała dziewczynka jeździłam tam na wakacje wyłącznie z tatą. Nie umiałam jej wytłumaczyć, że nie wszyscy będą obcy, przecież mieszkają tam osoby, które

28

mnie pamiętają jako pogodne dziecko i uśmiechniętą nastolatkę. Teraz też prawie się uśmiechałam na myśl o miejscu z mojego dzieciństwa, gdzie ludzie są dobrzy, powietrze świeże, a jajka pochodzą od szczęśliwych kur. To tam uczyłam się kiedyś samodzielności, gdy tata na całe dni przepadał z wędką, a ja musiałam sobie radzić, i miałam z tego mnóstwo satysfakcji. Mama tylko kręciła głową.

JAK WYMAZAĆ ZŁE WSPOMNIENIA?

Złe wspomnienia potrafią nam zatruć nie tylko dni, ale i noce. Potrafią zrywać z łóżka dzień w dzień w środku nocy i zmuszać do myślenia: co mogłam zrobić inaczej, by do tego nie dopuścić? Potrafią kręcić w brzuchu tępym korkociągiem, a z tym naprawdę trudno żyć. Ale nie poddawaj się za prędko, z siłowni też przecież nie zrezygnowałaś od razu. Spróbuj powalczyć. Zwłaszcza że patrzą na Ciebie dzieci.

Wynajmij dom na wsi i staraj się zagonić bachory do roboty przy remoncie. Sama chwyć za wałek i zamaluj po jednej te ściany w kolorze błękitu pruskiego z ugrowymi wzorkami w liście paproci. Przejedziesz wałkiem raz i paprocie znajdą się za mgłą, przejedziesz drugi - mgła zgęst-

nieje. Przejdziesz trzeci - i po paprociach, a ty ze zdziwieniem uświadomisz sobie, że i paprocie w głowie też się jakoś przeredziły. Z rozpędu możesz pomalować framugi okien, kredens z ozdobnymi szybkami, drzwi wejściowe. Kiedy zauważysz muchy, które przysiadły na chwilę, by zostać wklejone w moką farbę na zawsze, uświadomisz sobie, że masz nad nimi przewagę. Możesz odlecieć. Kiedy już skończysz malowanie kilku pokoi i będziesz zbyt zmęczona, bo dokończyć resztę, powinnaś umyć siebie i namówić do mycia dzieci. Farba mało cuchnąca, akrylowa,

29

ale zmyć trzeba. Zadbaj o to, by pompa pozostała zepsuta, a wtedy będziesz musiała manewrować w głębokiej studni długim drągiem z haczykiem na końcu i zawieszonym na nim wiadrem. Przedtem przeproś pająki, które postanowiły połączyć licznymi nićmi cembrowinę z pokrywą. Ciągnij wiadro do góry, a wtedy na pewno poczujesz, że jesteś wyłącznie tu i teraz. Nieistniejące bicepsy pracują, nogi mocno stoją na ziemi i dbają, by tam pozostać. Wiadro jest ciężkie jak sumienie księdza pedofila, i dobrze. Nieś je, mimo że lodowata woda chłapie na twoje łydki, a za tobą powstaje mokra ścieżka, jakby dróżką od studni do domu przeczołgał się ślimak gigant. A kiedy już podgrzejesz wodę i wlejesz ją do miski, każdy ruch szczotki z mydłem będzie zrywał nie tylko naskórek z dłoni, na które znów nie włożyłaś rękawiczek, ale i kolejne warstwy tego, co zalega w głowie. Wieczorem, wykończona, zaśniesz, nie doczytawszy do końca strony w książce, i obudzisz się dopiero o siódmej trzydziści, a zakwasy będą ci dolegały bardziej niż to, co męczy w głowie. No, prawie bardziej. Jest więc szansa na wymazanie złych wspomnień, chyba że wolisz upchnąć je głęboko w sobie i zasypać zmaganiem z codziennością. To też jest wyjście.

Zauważyłam, że młoda się szybko odnalazła, tu, na wsi. Biegała z zakurzonymi nogami, otumaniona swobodą. Kiedy na nią patrzyłam, widziałam samą siebie sprzed dwudziestu paru lat. Nie musiałam się o nią bać. Chyba. Może w końcu z kimś się zaprzyjaźni? Te dziewczynki zza płotu wyglądają na całkiem bystre i sympatyczne. Natomiast Maks... Trzynastolatek jest problemem nawet w idealnej rodzinie, a tu miałam do czynienia z trzynastolatkiem, którego

30

ojciec popełnił samobójstwo, matka walczy z depresją, a koledzy (i złe wspomnienia, miałam nadzieję) zostali w Warszawie. W dodatku to przejście - z podstawówki do gimnazjum, z miasta na wieś. Na razie odseparował się kompletnie - sypiał w stodole, a za dnia przedzierał się przez kilometry łąk i zaoranych pól, by znaleźć zasięg dla swojej komórki, lub stał na krze-

śle z laptopem, by złapać radiowy Internet. A potem siedział na Gadu-Gadu, mając głęboko w zadku to, co się działo dokoła.

Udawałam, że wróciłam do siebie. Udawałam głównie przed Miśką, przed Maksem nie musiałam, bo i tak nie zwracał na nic uwagi. Udawałam, mimo że marnowaniem czasu wydawało mi się gotowanie i sprzątanie w sytuacji, gdy i tak wszyscy prędzej czy później pójdziemy do piachu. Mieszkanie (a przynajmniej trzy pokoje z kuchnią, które wyremontowaliśmy) było trochę mniejsze niż nasze w mieście, ale do sprzątanía dochodziło podwórko oraz letnia kuchnia. Postanowiłam jej zatem nie używać. Od razu też uznałam, że mogę sobie darować w codziennej dreptaninie oborę i stodołę. Wydeptywałam więc stopami w klapkach ścieżkę między lodówką, zlewem, kuchenką i stołem. Czworokąt, jak pokrywa grobu. Tę myśl zaraz przeganiałam, ale wracała jak natrętny refren.

Cieężko mi było podnosić się rano, choć patrzyłam na optymistyczną zieleń za oknem. Zapominałam, że muszę zrobić śniadanie, że Maks czeka na poważną rozmowę, a Misia na pocieszenie i przytulenie (to ostatnie było najłatwiejsze, mogłam to robić bez wstawania z łóżka. Misia przychodziła do mnie i powtarzała: „kocham cię”, jakby tym zaklęciem chciała uczynić mnie nieśmiertelną).

31

W końcu podnosiłam się, opuszczałam nogi, wzuwałam klapki i unosiłam biodra. Wprawiałam się w ruch. Potem masło na patelnię, rozbić jajka, pokroić chleb; wszystko machinalnie. Dlatego zaskoczyło mnie, gdy pewnego razu moja ręka zawadziła znieńacka o kubek z czarną cieczą i wywaliła go na podłogę. Wrzasnęłam na Maksa; nie miałam wątpliwości, że to on naustawiał tu jakichś dziwnych rzeczy. I faktycznie, winny był Maks, ale zamiast przeprosić za pułapkę na blacie, wrzasnął i wypadł z domu, a ja dopiero wtedy zauważyłam, że czarna rozlana ciecz to kawa. Pod kubkiem leżała kartka od mojego syna: „Dla kochanej Mamy kawa poranna”.

Wybiegłam za nim za płot, w tym byle jakim dresie, w którym spałam. Sąsiadka, od rana elegancka na miejskowy sposób, w kwiciastym stylonowym fartuchu, zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów i powiedziała „dzień dobry” tonem, który oscylował między naganą a ciekawością. Maksa już nie było w zasięgu wzroku. Spojrzenie pani Materkowej mnie zawstydziło, więc znikłam w domu. Jajecznicza już płonęła na patelni. Wyłączyłam gaz, chlusnęłam wodą z czajnika i rozpląkałam się. Misia przybiegła się przytulić i w końcu sama zrobiła nam jakieś kanapki. Jadłam i płakałam, a Miśka starała się mnie pocieszać.

Maks pobiegł nie wiadomo gdzie i chyba też płakał, tak mi się wydawało. Zadał sobie dla mnie trud, a ja go nie doceniłam i nie byłam już w stanie nic z tym zrobić. A przecież jeszcze niedawno udawało nam się ze sobą rozmawiać. Mało wtedy mówił o sobie, ale dużo pytał. Po co człowiek żyje? Dlaczego tak szybko umiera? Dlaczego akurat tacie się to przydarzyło?

32

Moje odpowiedzi brzmiały kolejno: Nie wiem. Za szybko. Nie wiem. Mój syn chciał ode mnie czegoś więcej, jakichś wskazówek, porad, wsparcia, ale ja, od kiedy rzuciłam redakcję, wiedziałam, że wszelkie porady są nic niewarte, więc nie byłam w stanie wykrztusić ani słowa.

A o tym, że ich ojciec się zabił, a nie zmarł nagle na atak serca, nie powiem im nigdy. Po co im ten ciężar?

MISKA

4

Sama nie wiedziałam, czy lubię swego brata. No, że go kocham, wiadomo, rodzinę się kocha, ale już lubienie to sprawa wyboru. Bo Maks ostatnio się zmienił. I wcale nie chodziło o to, że na nosie wyrosły mu pryszcze, czerwone, a w środku brzydko żółte, ale o to, że nie wolno było o tych pryszczach mówić, bo z powodu dojrzewania jest drażliwy i warczy. Naprawdę wyszcze kiwał warkliwe słowa, jakby wstąpił w niego duch jakiegoś psa.

Kiedyś śmiał się piskliwie jak królik, teraz się w ogóle się nie śmiał. Może żeby tej śmiesznej części siebie nie pokazywać?

Ktoregoś rana wstał jakiś dziwny. Przyszedł z tej swojej stodoły, siedziałam akurat na werandzie, i powiedział, że miał złe sny. Chciałam mu opowiedzieć o oddechach, które słyszałam w ciemnościach nocy, jak się schowałam z głową pod kołdrę, by nie kusiło mnie spojrzeć za siebie, ale wydawało się, że nie interesuje go nic poza własnymi snami, więc milczałam. A on wyszedł za płot, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, w podkoszulku, w którym spał, i z łąki zadzwonił do kogoś, komu opowiadał, co mu się śniło. Gadał tak, nie zwracając uwagi, co czyha

34

w trawach. A czyhałam ja, bo musiałam coś o nim wiedzieć, skoro w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać.

To przecież mój brat, jedna z dwóch osób, jakie zostały mi na świecie. No, trzech, jeśli liczyć babcię, ale ona przecież była daleko. Maks przez telefon opowiadał, że śniła mu się miłość, czyli seks, namiętna i mokra. Powiedział, że wszystko byłoby dobrze, tylko że ta kobieta odwróciła się i wtedy okazało się, że jest trupem. Zgniłym. A on nie mógł przestać się z nią kochać, choć czuł jej zapach, choć wpatrywała się w niego resztkami oczu.

Straszny sen, aż się zatrzęślam, a ze mną zarośla do-
koła. Maks nadal mnie nie widział.

-To symbol naszej miłości, która umarła, wiem to!

- krzyczał prawie. - Tak? Masz mnie dosyć?

Wywnioskowałam, że dzwoni do swojej dziewczyny, która została w Warszawie i która w końcu zapo-
mni o nim, pomyślałam, zanim sobie przypomniałam,
że miałam nie myśleć o przeszłości ani o przyszłości,
tylko o tym, co jest teraz.

Wracałam stamtąd naokoło, piaszczystą drogą, i tro-
chę szurałam nogami, co było bardzo przyjemne, jakbym
się unosiła w chmurach piasku.

- Michasiu!

Bardzo dziwny krzyk mamy, z domu, przerażają-
cy, więc pobiegłam, żeby jej bronić. Przed kim? Przed
czym?

Wpadłam na podwórko. Mama stała w pizamie
na werandzie, blada, rozczochrana i patrzyła na mnie
jak na ducha.

- Michasiu!

Podbiegłam, ale ciągle nie widziałam, czego się tak
przestraszyła.

35

- Gdzie ty, dziecko, chodzisz?!

Powoli się uspokajała. Śniło jej się, że stało mi się
coś złego, ale nie chciała powiedzieć nic więcej. A po-
tem snuła się po domu jak duch w białej pizamie. Wy-
próbowała kolory na kredensie, który chciała pomalo-
wać, co wyglądało jak odciski łapek ducha. Nie miała
apetytu na śniadanie, tylko dla nas z Makssem zrobiła
jajecznicę na pomidorach. Wyglądały jak kawałki cia-
ła, ale postanowiłam, że i o tym nie będę myśleć, więc
zamknęłam oczy i jadłam.

Maks nie chciał teraz nawet wejść do szarego domu;
usiadł pod jabłonką i udawał, że go nie ma. Mama wy-
niosła mu tam te pomidory, postawiła na stole pod gałę-
ziami, ale on milczał, nie jadł.

- Strasznie ponuro - odezwał się wreszcie do mamy.

- Tu chcesz wychowywać dzieci?

- To nie jest pytanie, gdzie chcę, tylko gdzie mogę,
Maks. Tłumaczyłam ci i nie będę się powtarzać. Jak
mi znajdziesz inne mieszkanie gratis, w zamian za to,
żebym uczyła angielskiego, to daj mi znać.

- Wystarczy, że znajdę? - upewnił się mój brat.

- Wystarczy. Pensja przynajmniej taka jak tutaj
i mieszkanie za darmo.

W oczach Maksa błysnęła iskierka nadziei.

HANKA

TEST: JAKĄ JESTEŚ CÓRKĄ?

1. Do twojego nowego domu, do którego uciekłaś z War-

szawy z dwójką dzieci, zapowiada się z wizytą twoja matka.

A) sprzątasz jak szalona, żeby zobaczyła, że wyszłaś z depresji i świetnie sobie radzisz,

B) nie wykonujesz ani jednego ruchu miotłą, bo mama i tak zrobi wszystko jeszcze raz,

C) nadal leżysz w łóżku wśród rozgrzebanych puszek z farbami, bo po co chować, jak i tak trzeba będzie je wyjąć?

2. Matka wchodzi do domu i od progu, a nawet od furtki, zaczyna krytykować.

A) udajesz przed sobą, że tego nie słyszysz,

B) mówisz: rozumiem, mamó, że tobie się nie podoba, ale to mój dom,

C) zmieniasz temat, na przykład: mamó, a może chcesz się odświeżyć po podróży?

3. Mama ubolewa nad twoim pomysłem, żeby się wynieść na wieś. „A może wystarczyło zmienić mieszkanie?”, „Jak ty tu sobie zimą poradzisz?”.

A) polemizujesz: co nas nie zabije, to nas wzmocni,

37

B) sama jesteś przerażona i prosisz ją, by pomogła się spakować; wróćcie do Warszawy razem,

C) mówisz, że wytrzymacie tu rok, a potem się zobaczy.

Najgłupsze testy to te, w których wszystkie odpowiedzi są prawdziwe.

5

Poustawiała naczynia w kredensie po swojemu, zagabiła podwórko, wymyła podłogi w naszej połowie domu i popatrując na mnie z troską, która odbierała mi resztki sił. Pędzel, którym miałam malować kredens, zasechł razem z farbą w słoiku, aż mama, wzdychając, wyrzuciła go do śmieci. Pogrążone w samowolce dzieci strofowała za siebie i za mnie, zastanawiając się, dlaczego nie zwracam uwagi na ich haniebne zachowanie.

Fakt, Maks po historii z kawą całkiem ogłuchł na to, co mówię, a Miśka trwała w swoim świecie, który niewiele miał wspólnego z dziećmi zza płotu i dziewczęcymi zabawami, już prędzej z szeptaniem pod nosem i układaniem zrywanych traw w równych rzędach.

W dodatku, jak odkryła przerażona mama, zdarzało się, że młoda nie wkładała pod sukienkę majtek. Nie skomentowałam tego, co mamę zszokowało podwójnie. Próbowала poradzić sobie z tym po swojemu, strofując Miśkę i budząc w niej poczucie winy, na co bezsilnie patrzyłam.

Mama szybko uznała, że pożądaną aurę normalności wniosą w nasze życie małe Materki, więc zapraszała je co rano, a potem usiłowała stworzyć pozory, że jesteśmy normalną rodziną; zagadywała je, częstowała

i wypytywała. Dzieci jednak nic nie chciały jeść, na pytania odpowiadały półsłówkami, natomiast chętnie przyglądały się wszystkim wykonywanym czynnościom, poczułam się więc w obowiązku ścielić łóżka od razu po wstaniu, a naczynia myć zaraz po jedzeniu. I to się mamie podobało. Trzy dni takiego reżimu spowodowały, że czwartego popołudnia wsiadłam na rower i ruszyłam przed siebie. Dawno nie padało, a po piachu jeździło się fatalnie, więc zdecydowałam się na idiotyczną wyprawę główną drogą Świątkowie, gdzie dotychczas tylko przemykałam samochodem w drodze do spożywczego i z powrotem. Kiedy przyjeżdżaliśmy tu z tatą na wakacje, wynajmowaliśmy pokój w drewnianej chałupie niedaleko szkoły, u niemal bezzębnej staruszki, pani Janki, mieszkającej z psami i kotami. Pani Janka nie żyła od dawna, los psów i kotów był mi nieznany, ale jej chałupina, dużo mniejsza, niż kiedy byłam dzieckiem, niszczała sobie spokojnie, a drzwi i okna zabito deskami. Wsiadłam w pobliżu i chciałam obejść podwórko, na którym spędzałam niegdyś miłe godziny w towarzystwie zwierzaków i książek, ale cały teren zarósł pokrzywami, malinami i jeżynami. Kiedyś krzewy owocowe ograniczały się do kępy przy płocie. Płotu już prawie nie było. Wsiadłam na rower i ruszyłam dalej.

Przy kiosku stało pięciu panów o zużytych obliczach. Dymili dzielnie i raczyli się płynem Gorąca Osiemnaścianka, przyglądając mi się ciekawie. Miałam niejasne przeczucie, że znali mnie z czasów, gdy byłam dziewczynką, bo też jako dziecko przyjeżdżałam często do tej części Świątkowic - przyciągał mnie kiosk z gazetami oraz biblioteka w domu kultury. W kiosku kupowałam "Filipinkę", a jeśli była, to również „Kobietę i Życie”,

w bibliotece zaś zaopatrywałam się w książki o Indiach oraz Anię z Zielonego Wzgórza. Średnio wierzyłam, że działa jeszcze biblioteka z czasów mojego dzieciństwa - czasy liberalizmu gospodarczego nie są łaskawe dla tego typu instytucji. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się jednak, że na drzwiach nadal wisi tabliczka „Biblioteka Publiczna w Świątkowicach”, zupełnie jakby czas płynął tu w innym tempie niż w reszcie świata. Uśmiechnęłam się do wypłowiałego napisu, przycumowałam rower do stojaka i weszłam na betonowe schodki. Przysięgłabym, że nawet drucziana wycieraczka w progu jest identyczna jak dwadzieścia parę lat temu. Spod olejnej farby na drzwiach wyglądały poprzednie warstwy. Wszłam do środka, gdzie owionął mnie znajomy zapach: kurz i stary papier. Tylko wszystko wyglądało teraz inaczej. Komunizm, który kazał okładać książ-

ki w szary papier, ustąpił gospodarce wolnorynkowej, ujawniającej kolory okładek pod przezroczystą folią. Stałam w progu i rozglądałam się po sali, która karmiła kiedyś moje dziecięce fantazje. Za ladą siedziała starsza gruba pani. Skierowała na mnie wzrok, który byłby zupełnie bezbarwny, gdyby nie czerwone obwódki wokół oczu. Patrzyła na mnie tak długo, że poczułam się nieswojo.

- Hania? - odezwała się w końcu. Musiała być matką jednej z dziewczyn, z którymi się tu bawiłam w swoim czasie. - To ja, Ewa Strzałka, pamiętasz? - ciągnęła z uśmiechem, który nagle dokleiła do twarzy.

Pewnie, że pamiętałam Ewę Strzałkę, ale za nic nie umiałam skojarzyć jej bladej, piegowatej buzi z tym bibliotekarskim szarawym i nalany obliczem, ozdobionym dwiema czerwonymi szparkami oczu. Z Ewą

40
bawiliśmy się w chowanego w stogach siana, najchętniej wieczorami, kiedy na łące stała już wieczorna mgła. Wrzaski niosły się fantastycznie, na trawie była rosa, więc miałyśmy mokre stopy, tyłki i plecy. Ewa obściskowała się pod tym sianem z niejakim Sylwkiem Kosowskim, który mnie się również podobał, więc czułam do niej coś w rodzaju żalu pomieszanego z niechętnym podziwem. Ale tamta Ewa Strzałka była młodsza ode mnie o rok. A ta tutaj... Rany boskie! Widać jednak na mojej twarzy pojawiło się wreszcie zrozumienie, bo Ewa uznała, że kontakt został nawiązany.

- Nic się nie zmieniłaś - skłamała bez mrugnięcia okiem. - Słyszałam, że teraz tu mieszkasz. Pewnie, na wsi spokój i czyste powietrze, a w mieście...

- A ty? Gdzie mieszkasz? Co robisz? Jak ci się wiedzie?

- Pracuję tutaj, na pół etatu, bo poza tym to wiesz...

Dzieci, obowiązki. Mieszkam niedaleko stacji. Łatwo zauważyć, największy dom w okolicy - w jej głosie zabrzmiała duma. - Miałaś dość Warszawy?

- Chciałam spróbować czegoś nowego.

- Tam też uczyłaś w szkole?

- Pracowałam jako redaktorka w „Przyjaciółce”.

- No, no... - skomentowała z podziwem Ewa. - To chyba dobra praca?

-Ale...

Co ja się będę tłumaczyć.

- Zateśniłam za ciszą i świeżym powietrzem.

- No tak. Widziałam twoje dzieci. Mąż dojedzie później?

- Nie - tylko na tyle potrafiłam się zdobyć. Zamilkłam, choć Ewa najwyraźniej czekała na wyjaśnienia. Kiedy tak pękała z ciekawości, przez chwilę zobaczyłam

41

w niej tamtą piegowatą dziewczynkę, która sondowała, czy z Sylwkiem Kosowskim robiłam w stogu to samo co ona.

- A ty? Wyszłaś za Sylwka?

- Za jakiego Sylwka? Nie, wyszłam za Pawła Maliwę. Pamiętasz go?

Nie pamiętałam.

- Był starszy od nas.

-Był?

- Jest - tym razem ona zmieniła temat. - Mam dwóch synów, wiesz? Tomek i Łukasz. Tomek jest już na studiach.

- Gratuluję. - Chwila zakłopotanego milczenia. - No to ja popatrzę na książki.

- Trochę ich tu mamy, co?

Mimo pozorów obfitości nie miałam złudzeń, że na półkach znajdę coś ciekawego. Przeczuałam, że stoją tam raczej lektury dla miejscowej podstawówki i gimnazjum, w których będę uczyć, i na osłodę parę harlequinów.

Tymczasem po prawej zobaczyłam regał z obiecującym napisem KRYMINAŁY, a obok niego drugi, z czerwonymi literami. ROMANSE. O, jak miło! Kuszący wydał mi się zwłaszcza pierwszy. Grzebał w nim muskularny młodzieniec z kitką, który chyba kogoś mi przypominał... Jak połowa ludzi w tym miasteczku, ofuknęłam się w duchu. Bo mniej więcej z połową się bawiłam, gdy przyjeżdżałam na wakacje te dwadzieścia parę lat temu. W odpowiedzi na moje badawcze spojrzenie facet łypnął na mnie, przez chwilę skanował moją twarz, po czym, niezainteresowany, odwrócił się do książek. Speszona, przestałam się gapić. Nie, jednak go nie znałam. W mojej grupie wiekowej znajdowali się raczej panowie spod kiosku, natomiast

42

ten tutaj wyglądał na młodszego ode mnie przynajmniej o dziesięć lat. Jeśli już, to bujałam go w wózeczku, gawędząc z jego siostrą. Kimkolwiek była.

Kryminały najwyraźniej miały powodzenie. Świadczyły o tym solidnie wyszmelcowane strony, cuchnące papierosami, niecierpliwymi palcami i gotowaniem, niekiedy pomarszczone od brunatnych cieczy (herbata?) i poplamione tajemniczymi kolorowymi substancjami (zupa, miałam nadzieję). Widać jednak ktoś w Świątkowicach czasem czytał. Włóczyłam się między regałami, czekając, aż młodzieniec z kitką odejdzie wreszcie od półek, do których ciągnęło mnie najbardziej. On jednak najwyraźniej wsiąkł. Trudno, stanęłam obok niego. Miał podobny gust, też lubił skandynawskie, których było jak na lekarstwo, więc nasze ręce zderzyły się na jedynym obecnym tu Mankellu. Speszył się bardziej niż ja, więc przechwycił książkę. Ewa śledziła moje manewry

spod półprzymkniętych powiek. Za Boga nie mogłam sobie przypomnieć tego Pawła Maliwy.

Powinłam ją zaprosić w gości, potem ona zaproponuje rewizytę i powoli wsiąknę w tę wiochę, stanę się jej częścią, a nie, jak teraz, uwierającym kamykiem w brudnym bucie. Zaproponuję jej to. Ale nie teraz. Nie mam siły. I nie chcę, żeby moja matka, która zapewne już sprzątnęła na błysk również stodołę i letnią kuchnię, wyjaśniała jej, co się stało z moją rodziną, z moim mężem. Nie, Ewo, jeszcze przez jakiś czas twoja ciekawość pozostanie niezaspokojona.

- Będę do ciebie częściej wpadać - oznajmiłam, wróciwszy do bibliotekarskiego biurka. Wzięła ode mnie trzy kryminały. - Ja szybko czytam.

- W takim razie masz chyba dużo czasu?

43

- Wystarczająco. Jeszcze przecież wakacje.

- Nie dla wszystkich, nie dla wszystkich. - Uśmiechnęła się, ale jakoś smutno. - Ale środy mam wolne, może zajrzałaś kiedyś do mnie do domu? Na herbatę? Pogadać o dawnych czasach?

Udzieliwszy niezobowiązującej odpowiedzi na niezobowiązujące zaproszenie, stanęłam w progu domu kultury z kryminałami w torbie. Mama nienawidziła, kiedy czytałam głupie książki. Wiedziałam, że czeka na mnie w domu, by wreszcie porozmawiać, jak mam zamiar ustawić sobie życie i czy uczenie angielskiego w wiejskiej szkole jest naprawdę najlepszym pomysłem, by dojść do siebie. Zamarłam w bibliotecznej sieni ze stopą uniesioną do góry, bo nie wiedziałam, gdzie ją postawić. Stałam jak zastanawiający się nad życiem bocian i nie umiałam zmusić się do następnego kroku. Ktoś za mną powiedział „przepraszam”, więc wtuliłam się w futrynę, by go przepuścić. Zapach wody kolońskiej; młody młodzienc z kitką. Zszedł ze schodków, po czym odwrócił się i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Oddam tego Mankella za tydzień. Może wcześniej

- obiecałam.

- Nie ma problemu. Zamierza pani zostać tu dłużej?

- W Świątkowicach? Rok, może więcej.

- A w tym progu? - uśmiechnął się.

Kiedy pokazał równe białe zęby, trochę wyprzystojniał, bo poza tym miał nijakie włosy zebrane w tę kitkę, nijaką twarz oraz kilka wągrów na nosie. Ach, młodość...

- Nie wiem - odpowiedziałam, pewnie zbyt szczerze, ale nie miałam pomysłu na inną ripostę.

44

- Bo ja na przykład idę teraz do pubu na prezentację.

- Do pubu?

- Moja mama woli go nazywać mordownią. Rzadko tam chodzę, ale z paroma kumplami postanowiliśmy zająć się ekologią w regionie. Wie pani, zielone płuca Polski. Dzięki temu można tu będzie propagować agroturystykę.

- W pubie?

- Gdzieś trzeba zacząć. Tam jest zawsze pełno. A poza tym - nie stać nas na wynajęcie sali w domu kultury. Młody stał obok i ani myślał odejść. Będę zatem musiała zrobić to pierwsza, pomyślałam.

- A może... Może by pani wpadła na tę prezentację? Ta perspektywa wydała się nagle bardzo kusząca. Slajdy, ciemno, anonimowo, nie trzeba myśleć ani z niczego się tłumaczyć. I przez chwilę nikt nie ustawia człowiekowi życia. Taka zwykła myśl, więc dlaczego do oczu napłynęły mi łzy? Co gorsza, młody to zauważył.

- Proszę pani?

- Tak?

- Mogę w czymś pomóc?

- Tak. Masz chusteczkę?

Znalazł coś wymiętego.

- Dziękuję - powiedziałam w kierunku chodnika.

Przypatrywał mi się tak badawczo, że aż wyjęłam puderniczkę z torebki i w maleńkim przyprószonym lusterku usiłowałam dostrzec, czy ma powód, by mi się aż tak przyglądać. Stał obok, pobrzękiwał kluczami.

- Jest okej - powiedział. - Prawie nie widać.

Nie uwierzyłam, tylko założyłam okulary przeciwsłoneczne, mimo że na dworze było już szarawo. Koniec lata, zmęczone dni stawały się coraz krótsze. Panowie 45

pod kioskiem też byli coraz bardziej znużeni. Młody powiedział im grzeczne „dzień dobry”. Odpięłam rower. Chłopak stanął obok.

- Nie chcę być jakiś... Nie chcę być natrętny, ale pani tu od niedawna, i to z Warszawy, więc może pani myśli, że to jakaś ostatnia wiocha te Świątko wice...

O Warszawie nie wspomniałam ani słowem, ale widać moja sława mnie wyprzedzała.

- Tam będą fajni ludzie, którzy chcą robić ważne rzeczy. Niech pani zajrzy na ten pokaz.

Podryw? To mi się już dawno nie zdarzyło. Podryw w wykonaniu osiemnastolatka? Spojrzałam na niego. Może jednak liczy sobie więcej niż osiemnaście lat, skoro ma pajączynki w kącikach oczu?

Na ulicy zapalił papierosa. Nawet nie spytał, czy mi nie będzie przeszkadzać. Ale w sumie - po co się bawić w konwenanse? Przecież i tak wypadaloby mi powiedzieć, że nie, nie przeszkadza, a on i tak by zapalił,

tylko chwilę później. Młode pokolenie. Poczulałam się jeszcze starsza.

A w pubie dymu było jeszcze więcej. I całkiem dużo ludzi. Aż przystanąłam na progu, bo wszyscy wyglądali tak samo - kwadratowe, krótko ostrzyżone głowy o tępych oczach, a jeśli był w nich jakiś błysk inteligencji, to skutecznie przesłaniały go opary dymu. Przede mną gorąco i duchota, na dworze został chłód sierpniowego wieczoru. Dałam krok w tył, następując na stopę młodzieńca. Spojrzałam na niego. Fakt, wyglądał trochę inaczej niż reszta bywalców.

- Ruta, tylko na ciebie czekaliśmy - wrzasnął ktoś w naszym kierunku.

46

- Hellou wszystkim - odkrzyknął chłopak z kitką.

I powiedział do mnie: - Zapraszam. Pójdę przodem.

Sprawnie sterował przez tłum, wcale nie sprawdzając, czy nadażam. Szłam za nim ze spuszczoną głową. Żeby tylko nie spotkać nikogo znajomego, żadnych kumpli z dzieciństwa!, mantrowałam. Chciałam być wśród ludzi, ale anonimowa, żeby nie musieć rozmawiać czy się śmiać. Po prostu być.

Szybko sobie jednak uświadomiłam, że moi kumple z dzieciństwa raczej grzeją teraz kanapy przed telewizorem, a moje kumpelki podają im kolację. To była wiosna, a na wiosce w pubie przebywają sami młodzi ludzie. No i ja.

Kiedy Ruta podszedł do długiego stołu blisko ekranu, jego kumple rozsunęli się, żeby zrobić nam miejsce. Zero ceremonii, żadnego przedstawiania się ani wprowadzania mnie w towarzystwo. Może i lepiej, po co się zagłębiać w wyjaśnienia czy słuchać pytań, ile mam lat. Albo już wszyscy wiedzieli, kim jestem.

Siedliśmy na ławie. Było ciasno; dużo więcej facetów niż dziewczyn. Ruta zarumieniony, gdy wymieniał z nimi pozdrowienia, gdy częstowali go papierosami i podsuwali mu piwo z tacy, która stała na stoliku, wyglądał jeszcze młodziej niż przedtem, ale skoro podali mu piwo, musiał być pełnoletni.

- Dla pani też piwo? - odwrócił się do mnie.

- Mam na imię Hanka.

- Bernard Rutkowski. Ale wszyscy mówią do mnie...

- Ruta. Zauważyłam. Wolalabym coś mocniejszego.

- Typu?

- Typu cokolwiek. Zamówię sobie.

47

Zacząłam się podnosić, ale przytrzymał mnie, sam wstał.

- Zamówię ci.

Szybko wygrzebałam w torebce banknot dwudzie-

stozłotowy; wziął go bez drożenia się, że sam zapłaci. Był naprawdę w porządku. Powoli zaczynałam odróżniać twarze i głowy. Już nie wszystkie były kwadratowe, nie każde oczy tępe. Wszyscy na mnie, niestety, zerkali, mniej lub bardziej jawnie, ale nikt się do mnie nie odzywał. Poza facetem siedzącym z mojej lewej strony.

- Nowa dziewczyna Ruty? - zagaił.

- Znajoma.

Wzrok od razu zjechał na moje piersi, a potem jeszcze niżej. Dopiero po dłuższej chwili skupił się na mojej twarzy. Wszystko to razem nie było przyjemne, więc cieszyłam się, że częściowo ukrywam się za ciemnymi okularami. We wnętrzu mrocznego pubu ich obecność na mojej twarzy była co najmniej idiotyczna, ale wolałam je zostawić - odgradzały mnie od rzeczywistości jak weneckie lustro na komendzie.

- To dobrze. Znaczy, że mogę cię podrywać - uśmiechnął się uwodzicielsko.

Najwyraźniej wydawało mu się, że jest naprawdę niezły, ale nie miałam ochoty odwzajemniać jego uśmiechu. Wioskowy przystojniak, litości! Wioskowy dwudziestoparoletni przystojniak, nabrzmiały testosteronem.

Ruta przepchał się z mojej drugiej strony i postawił przede mną jakiś koktajl w kolorze błękitnego domostosa, pachnący cytrynowym cifem, po czym wcisnął się i siadł obok. Czułam ciepło jego ud i woń papierosów, które niedawno wypalił. Wiejski przystojniak z mojej drugiej strony też miał ciepłe uda i pachniał jakąś wodą

48

kolońską. A ja miałam trzydzieści osiem lat i starałam się nie zastanawiać, co tu robię.

Zgasło światło i zaczęli pokazywać slajdy z laptopa. Zatrute powietrze, zatrute łąki; wyglądało na to, że lepiej i zdrowiej było zostać w Warszawie. Było to tak przygnębiające, że przymknęłam oczy i skupiłam się na tym, że siedzę między dwiema żywymi, ciepłymi osobami i nie muszę nic mówić. Wypiłam szybko połowę koktajlu. Był obrzydliwy i słodki jak cholera. Zakręciło mi się w głowie.

- Ile wy macie lat? - szepnęłam do Ruty.

-Ja czy Karak?

- Karak to ten z mojej lewej ?

-Tak.

-Ty.

Wpatrzył się we mnie.

- Dwadzieścia sześć. A co?

-A Karak?

- Karak ma ze dwa albo trzy więcej.

- Myślałam, że jesteś młodszy.

- Tak wyglądam? - Po jego twarzy nie było widać

emocji.

Na moim lewym udzie spoczęło nagle coś gorącego. Dłoń Karaka, co zauważyłam kątem oka. Trwała tam od niechcenia, jakby przypadkiem. Zamarłam, zaskoczona nieoczekiwanym dotykiem. Ręka była ciepła i lekka, wyraźnie czekała na moją reakcję. Kręciło mi się w głowie. Postanowiłam nie reagować, ciekawa co dalej. Dłoń najwyraźniej nabierała odwagi. Zsunęła się w dół, do kolana, po czym wróciła i zatrzymała się nieco wyżej niż przedtem. Zrobiło mi się gorąco. Ręka znowu rozpoczęła delikatną wędrówkę w dół. Rozpięłam sweter,

49

rozluźniłam się i pozwoliłam sobie, by było mi miło.

Na slajdzie widniało zdjęcie jakichś łąk, nadspodziewanie urodziwe.

Odwróciłam twarz do Ruty. Siedzieliśmy zdecydowanie zbyt blisko siebie, skoro tak wyraźnie widziałam wągry na jego nosie i ciemne kropki zarostu między nosem a wąskimi ustami. Z bliska faktycznie wyglądał odrobinę dojrzalej niż w bibliotece. Karak, najwyraźniej zirytowany, że cały czas siedzę odwrócona do niego plecami i gapię się na Rutę, zintensyfikował pieszczoty. Jeden, najodważniejszy palec dotknął wnętrza mojego uda i zaraz zamarł. Odwróciłam twarz od Ruty, wpatrzyłam się w kolejny slajd. Nie protestowałam, więc ręka Karaka wyraźnie poczuła, że odniosła sukces. Do pierwszego palca dołączył kolejny, potem następny. Miał strasznie dużo tych palców, a wszystkie wędrowały od mojego kolana do dwóch trzecich uda, zawracały, krążyły, badały teren. Było mi coraz przyjemniej, a po dwóch kolejnych łykach zaczęłam się nawet zastanawiać, czy palce odważą się pokonać granicę tych dwóch trzecich uda i posuną się dalej, w stronę szwu w moich spodniach. Żeby nie powiedzieć: w stronę krocza.

Kolejny slajd. Przyłapałam się, że szybciej oddycham. Palce Karaka już nie były takie ostrożne. Teraz naciskały mój mięsień raz mocniej, raz słabiej, zataczały okręgi. Starłam się ściszyć oddech, bo sapałam już zdecydowanie zbyt głośno. Wpatrywałam się w ekran, ale kątem oka widziałam, że Karak uważnie studiuje mój profil. Było mi coraz cieplej, przez chwilę miałam ochotę zdjąć kurtkę džinsową, ale bałam się poruszyć, by ręka nie uciekła. Drgnęłam, bo nagle jeden z palców dotknął czułego miejsca pod kolanem.

50

I wtedy wionął mi w ucho ciepły szept Ruty, pachnący piwem i papierosami.

- Dlaczego płakałaś? Tam, pod biblioteką?

Przysunęłam do niego głowę, tak blisko, że dotknęłam włosami jego ust. Nie odsunął się, więc pokonałam następ-

nych kilka centymetrów i dotknęłam uchem jego warg. Nie cofnął głowy; czułam ciepły oddech. Po dłuższej chwili znalazł między moimi włosami płatek ucha i polizał go. Poczułam dreszcz, który trwał, mimo że on zaraz potem się odsunął, chyba przerażony własną śmiałością. Z drugiej strony palce Karaka przekroczyły magiczną granicę dwóch trzecich uda i przesunęły się nieco wyżej. Może ze dwa centymetry. Zamarły, czekając na reakcję, ale tym razem na krócej, a po chwili zaczęły eksplorować nowy pasek terenu. Do szwu brakowało im naprawdę niewiele.

Pociągnęłam przez słomkę kolejny łyk błękitnej cieczy. Zmartwiło mnie, że jestem już tak blisko dna szklanki. Kolejne dwa slajdy na temat stanu miejscowej gleby, coraz bardziej zanieczyszczonej. Udo prawie mnie parzyło, ale bałam się spojrzeć na Karaka.

Odwróciłam więc twarz do Ruty.

- Alergia.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Dzięki, że mnie zaprosiłeś. Jakoś wyjątkowo nie chciało mi się wracać do domu.

Uśmiechnął się. Strasznie fajnie być takim młodym jak on. Zmarszczki mimiczne znikają od razu, gdy człowiek przestaje się uśmiechać. Przysunęłam do niego twarz, najpierw trochę, potem jeszcze trochę. Kręciło mi się w głowie; czułam nieuchronność tego, co się miało stać, więc szybko pokonałam dystans ostatnich kilku milimetrów i dotknęłam ustami ust Ruty.

51

Ręka Karaka zamarła, po czym oburzona opuściła moje udo. Trochę żałowałam, gdyż do szwu brakowało zaledwie kilku milimetrów, ale myślałam o tym tylko przez chwilę, bo moje usta trafiły na coś ciekawego i bardzo podniecającego: nieśmiały Ruta lekko rozchylił wargi. Zrobiłam to samo. Czułam jego wilgoć, był gorzkawy od tych wszystkich papierosów, pachniał też piwem, a ja swoim dziwnym drinkiem; zapachy alkoholu mieszały się. Czułam się coraz bardziej pijana, a przez to bezkarna. Leciutko wysunęłam koniec języka i polizałam jego dolną wargę. Drgnął, po czym rozchylił zęby i też wysunął koniuszek języka. Dotknęliśmy się. Trwaliśmy tak dłuższą chwilę, aż po chwili wyobraziłam sobie, że patrzy na mnie mama. Odsunęłam się i potarłam usta ręką. Popatrzył na mnie, jakby chciał zadać jakieś pytanie. Nie, żadnych pytań.

- Przepraszam - powiedziałam. - Jestem strasznie pijana.

Nie wiedziałam, dlaczego się usprawiedliwiam, byłam w końcu dorosła i mogłam całować się z każdym, nawet z tym facetem. Rozejrzałam się i zaraz pożałowałam, bo dziewczyna siedząca u szczytu stołu patrzyła na mnie

dziwnym wzrokiem. Tak na oko mogłaby być moją córką, gdybym za młodu się trochę bardziej postarała. Odwróciłam się do Karaka, żeby i jego przeprosić, ale siedział do mnie niemal tyłem i gadał z kimś po swojej drugiej stronie. Tamtą dłonią, którą przed chwilą trzymał na moim udzie, podpierał teraz brodę. Miał mocne palce, porośnięte czarnymi włoskami, i czyste, krótkie paznokcie. Nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że nie miałabym nic przeciwko ponownemu spotkaniu tej miłej dłoni z moim udem.

52

- Pijana? Po jednym drinku?

- Mało dziś jadłam, a to jakaś diabelska mieszanka.

Wysączyłam ostatnie krople, aż zabułgotało pod słomką. Dziewczyna siedząca u szczytu stołu podskoczyła, jakbym dmuchnęła jej w tyłek.

- Przyniosę ci następnego - zaproponował Ruta.

Nie protestowałam. Po chwili wrócił z kolejnym domestosem, więc przyssałam się do słomki od razu, żeby miłe oszołomienie nie minęło ani na chwilę. Za okularami czułam się jak widz oglądający lekko niemoralną scenę z baru, do rzeczywistości przywracało mnie tylko pełne obrzydzenia spojrzenie tamtej dziewczyny, więc zasłoniłam twarz dłonią, by nie musieć na nią patrzeć. Zamiast tego spojrzałam głęboko w oczy Rucie, nie zważając na ciemne szkła.

- Nigdy się nie całowałam z kimś, kto pali papierosy.

-Źle?

- Inaczej.

Siedział odwrócony do mnie przodem, ale patrzył w stół. Potem podniósł wzrok i popatrzył na moje usta. Przeciągnęłam kuszaco kciukiem po dolnej wardze, a co. Miło. Byłam pijana, więc usprawiedliwiona. Mój własny oddech zagłuszał słowa faceta, który objaśniał slajdy. Teraz to nie robiło już żadnej różnicy, więc przysunęłam się do Ruty, przekrzywiłam głowę, żeby nie przeszkadzały nam nosy ani moje okulary i pocałowałam go. On też już nie był skrzepowany.

- Zawsze robisz takie rzeczy, jak jesteś pijana?

- Nigdy się nie upijam. Naprawdę.

- Chcesz jeszcze jednego drinka?

Nagle zapaliło się światło. Poraziło mnie, mimo okularów przeciwsłonecznych. Najwyraźniej pokazali

53

już wszystkie slajdy. Dziewczyna wpatrzyła się we mnie rentgenem swego spojrzenia, więc na pewno widziała dokładnie, że staram się być na tyle pijana, by usprawiedliwić obściskiwanie się z młodzieńcem z kitką i móc udawać, że znowu mam dwadzieścia parę lat.

- Nie, dzięki. Już polecę. Inaczej po następnym drin-

ku zgwałcę cię tu, pod stołem.

- Odprowadzę cię.

- Nie, dziękuję. To niedaleko. No i mam rower.

Siedział z nieokreślonym wyrazem twarzy.

- Wystarczy, że odprowadzisz mnie do drzwi, dobrze?

Ruta wstał szybko, jakby nie chciał, żebym się rozmyśliła i znowu torował mi drogę, tym razem do wyjścia. Dopiero jak się tam znaleźliśmy, uświadomiłam sobie, że się nie pożegnałam z Karakiem. Zajrzałam do środka, szukając go wzrokiem.

- Uważaj - powiedział Ruta. - Karak przelatuje wszystko, co się rusza.

Ciekawe, czy zauważył, co jego kumpel wyprawiał z moim udem.

- Nie wtrącam się, oczywiście, ale jeśli jesteś w złym stanie emocjonalnym, Karak to niezbyt dobry wybór. Pocieszałem już kilka dziewczyn, które przez niego płakały.

- Lubisz pocieszać, co? Dobrze ci to wychodzi.

Po tym zdaniu poczuł się uprawniony do pożegnalnego pocałunku. Wytrzeźwiałam, więc czynność ta straciła dużo wdzięku, zaczęła mi przeszkadzać woń papierosów, jego szorstkie policzki oraz szorstki język. W pewnej chwili otworzyłam oczy i nad ramieniem Ruty zobaczyłam wpatrzoną w siebie twarz Karaka.

54

- Dziękuję za ten wieczór. Lepiej mi. Do zobaczenia w bibliotece.

Byłam jeszcze na tyle trzeźwa, by pomyśleć: Jeśli tam jeszcze kiedyś wejść.

Dzisiejszy wieczór nie mógł być dobrym wstępem do kariery nauczycielki, na szczęście żaden z klientów pubu nie był w wieku moich potencjalnych uczniów. Ani rodziców moich uczniów, miałam nadzieję.

Kiedy wróciłam, mama obwąchała mnie dyskretnie, ale nic nie mówiła, tylko pokręciła głową. Rano przyszła do mnie z przemową, że chyba nie po to przyjechałam na wieś, ale schowałam się z głową pod kołdrę i nie wychyłam, zanim nie opuściła pokoju. Już do mnie nie zaglądała, tylko zabrała dzieci nad rzekę. Jeszcze wyprasowała nam bluzki na początek roku, uładziła mieszkanie, naprodukowała mięs, które zamroziła, wszystko z popatrywaniem na mnie i wzdychaniem, a potem pełna obaw i troski wróciła do Warszawy, bo skończył jej się urlop. Miśka znowu przestała nosić majtki, ja skończyłam ze ścieleniem łóżka, a Maks utrzymywał wzdychające milczenie.

I dopiero pierwszego września okazało się, że w tym pubie wpakowałam się w niezłe bagno.

MIŚKA

Pierwszy dzień szkoły! Jak się tylko obudziłam, od razu zerwałam się z łóżka, umyłam twarz, uczesałam włosy. Zegarek elektroniczny, który mama kupiła, żebym jej nie budziła o świcie, tylko sama sprawdzała godzinę, twierdził, że jest piąta czterdzieści rano. Nie wierzyłam mu, musiałam sama wyjść na dwór, żeby sprawdzić. Było chłodno i ciemnowo. Ptaki krzyczały. Całą werandę obsypały jakieś dziwne paprochy, jakby ktoś je wytrzepał z chmury. Po poprzednich właścicielach domu została na ganku miotła z czerwonych gałązek, wzięłam się więc za zamiatanie. Część paprochów wpadała między deski werandy, na wieczność, jak sądzę. Potem spomiędzy desek wyszło długie wijące się coś z setką nóg i spojrzało na mnie szypułkami oczu. Staralam się nie okazać obrzydzenia. Może ono też się mnie brzydziło, chociaż tego nie okazało, tylko podejrzenie szybko wycofało się między deski werandy.

Ono, bo nie sądzę, że była to niewinna stonoga z wierszyka Brzechwy. Ja też się wycofałam do domu. Mama nadal spała, ale tak cichutko, jakby jej nie było. Nawet oddechu nie było słychać, tylko jakaś taką ciszę,

56

dzwoniącą w uszach, więc poleciałam do pokoju i przyłożyłam jej palec do ust. Drgnęła i tak się dowiedziałam, że nadal żyje.

- Już trzeba wstawać? - jęknęła.

Wolałabym, żeby ubrała się na początek roku lepiej niż w ten brązowy sweter i brązową spódnicę, w których wygląda jak sklepowa. Ja też chyba wyglądałam tak sobie, bo moja biała bluzka była za ciasna, i w brzuchu, i wyżej, co mamę zaskoczyło. Powiedziała, że mi potem coś, kupi, ale dziś mam się przemęczyć w tym, bo skąd ona miała wiedzieć, że tak urosłam? Poszłyśmy do szkoły spacerem, przez las. Jak pomyślałam, że codziennie będę musiała tyle chodzić, to mi się słabo zrobiło, ale mama powiedziała, że są przecież rowery. Bo samochodem nie warto jeździć na takie krótkie dystanse i w ogóle potrzebujemy z Maksem więcej ruchu.

- A w zimie?! - jęknęłam.

Pierwszy dzień szkoły świętowano na boisku wśród drzew. Patrzyłam na moją klasę i w sumie nie chciało mi się jej poznawać. Znałam tylko Sabrinę i poczułam niepokój, że pewnie będę musiała z nią wracać i chodzić do szkoły.

Mama w domu wydawała mi się grubawa i niezbyt ładna, a tymczasem tutaj, obok tych nauczycielek, wyglądała jak piękny paw (jeśli pawie mają brązowe pióra)

wśród spasionych kur. Słowem: zupełnie nie pasowała. Babcia też, zanim od nas wyjechała, mówiła, że mama tu nie pasuje. Generalnie dużo mówiła, więc szybko przestawałam jej słuchać, ale wyglądało na to, że jednak czasem mogła mieć rację.

HANKA

7

Po uroczystości weszłam do pokoju nauczycielskiego i cofnęłam się od progu. Do Świątkowic widać nie dotarły informacje o szkodliwości palenia papierosów ani zakaz palenia w miejscach publicznych, bo w pokoju nauczycielskim było siwo od dymu. Jakaś nauczycielka wyglądała przez okno.

- Pani zobaczy, jakie te szczeniaki bezczelne! Stoją za śmietnikiem i palą!

Nie wiadomo było, o którą panią chodzi, bo przecież siedziały tu same kobiety. Na pierwszy rzut oka wydawały mi się wszystkie w jednym wieku, spod ręki jednego fryzjera i zaopatrzone w tym samym sklepie z ciuchami, zgrane ze sobą jak wysłużony serwis obiadowy. Poczulałam się straszliwie samotna.

- Dla tych, co jeszcze nie wiedzą: nasza nowa koleżanka - znalazła się Ela Lichańska, dyrektorka tego całego zadymionego biznesu, która mnie tu ściągnęła.

- Przyjechała do nas z Warszawy i będzie uczyć angielskiego. Mieszka w chacie na kolonii Świątkowice, bo nie chciała dać się zamknąć w naszym szkolnym bloku. - Ela przemawiała, spacerując po gabinecie, od stołu do okna, 58

od okna do stołu. - Cóż, sielsko, anielsko, świeże powietrze. Ja ci jednemu z drugim nogi z dupy powyrywam!

- ryknęła w samo okno, nie nabierając oddechu między zdaniami, aż podskoczyłam.

- Ona taka jest, nie przejmuj się, ale to dusza człowiek - zagadnęła mnie jedna z pań, która, jak i reszta zgromadzonych, też zapewne noc w noc spała w lokówkach. - Za lasem mieszkasz? Latem to może i ładnie, ale zimą pług tam jeździ w trzeciej kolejności odśnieżania. Szkoda, że nie zamieszkałaś u nas w bloku, byłybyśmy sąsiadkami - zamilkła, jakby czekała, aż podtrzymam wątek towarzyski, ale właśnie zaszła zmiana, która nie pozwoliła mi niczego podtrzymać, do pokoju wszedł bowiem... Nie, to nie może być prawda! Co on tu robi?! Muskularne ciało w białej koszuli i džinsach, kitka z tyłu, nijaka szczerą twarz, duży nos, węgry. Ruta. Młodziak Ruta w moim nowym miejscu pracy. Wyraźnie za stary na ucznia. Wyraźnie za młody...

- Naszego wuefmena już chyba znasz - szepnęła do mnie sąsiadka. Skąd wiedziała?

A on od razu zamachał do mnie i powiedział:

- Cześć.

Coś wyjąkałam w odpowiedzi, pod nagłym gradobiciem spojrzeń wszystkich zebranych. Boże święty, co ja znowu narobiłam!

LISTY DO REDAKCJI

Droga redakcjo, cierpię na straszną depresję po samobójczej śmierci męża. Jak się z tym uporać?

Zagłuszyć depresję czymś jeszcze gorszym. Na przykład strasznym kacem połączonym z moralniakiem. Kiedy okaże się, że całowałaś się po pijaku z kolegą z pracy, o kilkanaście

59

lat młodszym od ciebie nauczycielem twoich dzieci. Panem od wuefu.

8

- Co do tamtego wieczoru... - Podeszłam do Ruty, gdy odpinał od parkanu swój motocykl.

-Tak?

- Proponuję, żebyśmy oboje zapomnieli. Myślałam nawet, żeby udawać, że byłam pijana i nic nie pamiętam, ale to by chyba jeszcze gorzej o mnie świadczyło.

- Tym bardziej że trudno się spać do nieprzytomności dwoma koktajlami - zauważył czujnie.

- Piłam na pusty brzuch. Jak się nazywał tamten płyn?

- Błękitny helikopter.

- Uderzał do głowy. Ale nie aż tak, rzeczywiście. Zapomnijmy i nikomu o tym nie mów.

- Hanka...

-Tak?

- Nie byliśmy sami w tamtym pubie.

- To znaczy?

Wskazał mi brodą nauczycielki, które popatrywały na nas z drugiego końca szkolnego podwórka. Faceci spod sklepu też nie spuszczały z nas oka.

- To znaczy, że już wszyscy wiedzą. Tu zawsze wszyscy wszystko wiedzą - powiedział z dziwnym rodzajem dumy. - To są Świętka wice.

Odwrociłam się na prawej stopie i poszłam sobie, ignorując sieć spojrzeń, która coraz szczelniej oplatała moje ciało. Kto z was nigdy nie popełnił błędu, niech pierwszy rzuci we mnie kamieniem.

MIŚKA

9

Spisałam plan i wyszłam przed szkołę. Mama, czerwona jakaś i zdenerwowana, czekała na mnie przy furtce.

- Hanka? Bo chyba mogę tak do ciebie mówić? - Podeszła do nas pani dyrektorka naszej szkoły. Miała lisią twarz i starała się przewiercić mamę oczkami.

- Pewnie, że możesz - powiedziała mama, starając się uśmiechnąć. - Przecież jeszcze niedawno wylegiwałyśmy

się razem na plaży nad Okrzejką.

-Niedawno? Wieki temu. Kto by pomyślał, że spotkamy się w pracy, prawda?

- Kto by pomyślał, że będziecie mieć taką dużą szkołę... Wtedy zdaje się mieliście lekcje w tamtej chacie, gdzie teraz jest sklep, prawda? Pamiętam, opowiadałaś mi. Po dwie klasy w jednej sali... - Mama dawno tak dużo nie mówiła, ale nie wyglądało to na zmianę na lepsze, bo wydawała się zdenerwowana.

- A teraz mamy szkołę zbiorczą, fajny budynek.

I autobus szkolny, który zwozi dzieci. Musisz wiedzieć, że Świątkowice to nie taka znowu byle wioska. My się naprawdę staramy, żeby było jak trzeba. Mam nadzieję, że zostaniesz z nami dłużej. Chcę, żeby te dzieciaki

61

uczyły się angielskiego, żeby miały równe szanse z dziećmi z miasta.

- Ale chyba się uczą, prawda? Miałaś anglistę w zeszłym roku?

- Anglistów. Wszyscy dojeżdżali. Z Garwolic, Dębłina. Wystarczyło, że śnieg spadł albo większy deszcz i od razu lekcji nie było. Co te dzieciaki się nauczyły! Ale z tobą nadrobiam, bo jesteś na miejscu. Dobrze ci się tam mieszka? Za lasem?

- Nie najgorzej.

- Wygodniej by ci było w bloku. Zwłaszcza zimą.

- Mam dosyć bloków. Naprawdę, jest dobrze.

- Dla dzieciaków też frajda, nie myślę się chyba?

Frajda jak cholera, pomyślałam.

- Tak myślę - odpowiedziała mama wymijająco.

- A pewnie. U nas spokój, czyste powietrze. Fajna ta twoja mała - dodała pani dyrektor, zupełnie jakbym mnie tu nie było.

- Fajna. - Mama mnie przytuliła.

- Syn w gimnazjum?

- W pierwszej klasie.

- Tam też będziesz uczyć. - Pani dyrektor zamilkła, ale najwyraźniej nie miała jeszcze zamiaru odejść. Dyskretnie ciągnęłam mamę za sweter, żebyśmy już wracały, ale mama stała jak wmurowana. No tak, i dyrektorka znowu się odezwała: - Wiesz, miałam cię już dawno spytać. Jak twój mąż przyjedzie, to pomieścicie się w tej połówce domu? Bo drugiej nie ma co wynajmować, stoi zamknięta, odkąd pamiętam, nie jest raczej w dobrym stanie. Karczowie też tylko z jednej korzystali. Zmieścicie się, jak już będziecie w komplecie?

62

Mama spuściła wzrok, strasznie skrzepowana. Żal mi się jej zrobiło.

- Proszę pani. - Szarpnęłam nauczycielkę za rękaw.

- No co tam, mała? Michalina, tak?
- Pytała pani o mojego tatę.
- Misiu! - Mama wyglądała nie najlepiej, ale nie pozwoliłam sobie przerwać. To trzeba załatwić raz na zawsze.
- Mój tata cztery miesiące temu zmarł - powiedziałam. Pani Lichańska spojrzała na mnie bardzo uważnie.
- Nagle.
- Miśka!
- Mamo, no co? Nie lubisz o tym mówić, więc ja mówię. Niech już raz wszyscy się dowiedzą, będzie z głowy. Proszę już mamy o to nie pytać, dobrze? Mama robi się wtedy smutna.
- Nie wiedziałam - spieszyła się pani dyrektor. - Przepraszam, Hanka. Wybacz mi. Bo wiesz, nie chodzisz w czerni... Nie, przepraszam, żałoba to sprawa osobista, prawda? Moje najszczerze kondolencje. - Podała mamie rękę. - Już rozumiem, chciałaś zacząć nowe życie, tak? A ja tak wyskoczyłam. Wybacz. Naprawdę chcę, żebyś tu została.
Mama uśmiechnęła się do niej smutno. A dyrektorka pogłaskała mnie po głowie, czego nie znoszę.
- Biedna mała - podsumowała.

HANKA

10

Pani Materkowa zapraszała nas na herbatę już od dłuższego czasu, właściwie od dnia, kiedyśmy tu przyjechali, ale do tej pory kończyło się na mniej formalnych rozmowach przy płocie. To był jednak pierwszy dzień szkoły i postanowiłyśmy go uczcić.
Termin „herbata” zrozumiałam dosłownie, więc w prezencie przyniosłam herbatniki maślane, które kupiłam po południu w spożywczym przy szkole. Szybko jednak poczułam się jak niezorientowana ciocia, która z prezentem w postaci jajka z niespodzianką przyszła na urodziny do młodocianej właścicielki kolekcji lalek Barbie. W salonie pani Materkowej bowiem czekało małe przyjęcie, z wędlinami domowej roboty, grzybkami własnoręcznie zbieranymi, sałatką w majonezie, wódeczką, choć miałam do wyboru również półsłodkie wino, colę i dwa rodzaje soków. Przyniesione przeze mnie herbatniki trafiły czym prędzej do kredensu. Jeśli herbata w Świątkowicach oznacza taki poczęstunek, to chciałabym zobaczyć, co by podali, gdyby zaprosili na kolację. Albo nie, raczej bym nie chciała. Ostatnio mało jadałam.

64

Miśka siedziała obok mnie na kanapie i cicho skubała sernik, a małe Materki, po paru próbach wciągnięcia jej w swoje zabawy, odpuściły i skupiły się w malowniczej grupie przed telewizorem, o parę metrów od stołu jam-

nika, gdzie właśnie próbowałam marynowanej papryki własnej roboty (i uprawy) pani Materkowej. Jej męża nie było, ponoć tkwił jeszcze u szwagra w drugim końcu Świątkowic; stawiali tam nadbudówkę nad parterowym domem. Gdzie był Maks? W domu. Siedział przy laptopie, waląc z pasją w klawisze, jakby były przedstawicielami sił ciemności. Wizyty sąsiedzkie nie leżały w obszarze jego zainteresowań, jak zaznaczył od razu. Obiecałam sobie, że potem sprawdzę, jakie strony odwiedzał w Internecie, a na razie podarowałam mu parę godzin samotności.

Materkowa lubiła mówić, a tu miała pole do popisu, bo przecież trzeba nas było wprowadzić w miejscową społeczność.

- Dom macie po starym Adamie Karczu. Opiekowałam się nim, kiedy już nie dawał rady. Nie był łatwy, o nie. Jeść nic nie chciał, bo pewnie nie miał apetytu, u starych ludzi często tak jest, muszą jeść przez rozum, ale nie przyznał, że to jemu nie chce się jeść, tylko wybrzydzał, że ja źle gotuję. Za gorzkie, za zimne, za słone. Nosiłam mu codziennie obiad, ale zostawiał prawie cały. No, tu u nas nic się nie marnuje, dawałam świniom i psu, ale było mi szkoda mojej pracy, no bo tych parę pierogów więcej to jednak chwilę się robi. Ale zbzikował czy nie, trzeba się było sąsiadem zająć, bo dzieci ma daleko, w mieście.

- Zbzikował? - zainteresowałam się.

- No tak. Ciągłe narzekał, że mu ktoś łązi po podwórzu, że mu łążą po domu...

65

-Kto?

-A kto by mu tam chodził? A co on tam, złoto w piwnicy trzymał? Takie brednie starego dziadka, który już nie wie, gdzie dupa, a gdzie ręka. - Materkowa spojrzała na Miśkę i złapała się za usta. - O, przepraszam. U nas na wsi czasem się tak mówi. Nasz dziadek też już powoli się taki robi.

-Jego rodzina płaciła pani za tę opiekę? - spytałam i po chwili to ja miałam ochotę chwycić się za usta, bo Materkowej z oburzenia buchnął rumieniec na policzki.

- Kochana, może to u was w Warszawie za takie rzeczy się płaci. Sąsiad rzecz święta, dziś ja pomogę jemu, kiedy indziej on mnie. Adam Karcz, kiedy jeszcze był młodszy, nieraz mi drew narąbał czy kawałek świniaka podrzucił. Ja też mu pomocy nie żałowałam, tylko szkoda było później dobre jedzenie świniom czy psu rzucać.

- No, im też się coś od życia należy - usiłowałam zażartować, ale ze spojrzenia, jakie rzuciła mi pani Materkowa, zrozumiałam, że żart się nie udał.

-A ty co taka cichutka, dziewczyno? - pani Materkowa postanowiła wciągnąć do rozmowy Miśkę, któ-

ra żując kromkę chleba, wpatrywała się nad głowami Materków w ekran telewizora. Leciał właśnie serial o ratownikach na Mazurach. Młode Matki, po pytaniu swojej matki, jak na komendę odwróciły się od telewizora i wpatrzyły w Miškę, która nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Ja też bym nie wiedziała. - Myślałam, że dzieciaki z Warszawy są śmielsze.

- Wie pani, mieliśmy ostatnio trochę ciężkich przeżyć...

- Tak? - Materkowej zaświeciły się oczy. Nie, nie chciałam jej wszystkiego opowiadać. Raz wystarczy.

66

Zresztą Ela Lichańska na pewno rozpowszechni informacje na całą wieś, Materkowej muszą wystarczyć wieści z drugiej ręki.

- Wie pani, mnie też się czasem zdaje, że tam u nas w domu ktoś tupie - odezwała się nagle Miśka i pomyślałam, że stała się mistrzynią dyskretnych zmian tematu.

- Że tam ktoś jest, po prostu. Ktoś poza nami, czyli mną, mamą i Maksem.

- Kto? A to pewnie duch? Myślałam, że jak świętej pamięci Adam opuścił dom, to i duchy stamtąd wyszły, a tu proszę...

- Ale co pani mówi! - tym razem ja się oburzyłam. - Duchów nie ma. Nie ma, prawda, Miśka?

Tego brakowało, żeby do tego wszystkiego, co ostatnio na nią spadło, jeszcze zaczęła się bać rzeczy nadprzyrodzonych.

- W naszej połowie domu to nie wiem - powiedziała Miśka. - Ale w tej drugiej...

- A ty tam chodzisz, dziewczyno? - zainteresowała się Materkowa.

- Wiem, że szkoła płaci tylko za połowę. - Spojrzałam karcąco na Miškę. Miałam zasadę: w domu zwracam uwagę, ale przed obcymi zawsze bronię. - Ale dzieci są ciekawskie, wie pani? Wszędzie zajrzą.

- Nie chodzę, ja tylko słyszałam - tłumaczyła speszo-
na Miśka.

- To trzeba będzie powiedzieć bratankowi Adama Karcza, żeby uprzątnął rzeczy z drugiej połowy domu, jak pani i tam chce mieszkać - odezwał się nagle męski głos zza moich pleców. Aż podskoczyłam. To Materek wrócił od szwagra. Stał teraz w drzwiach, oparty o futrynę, i patrzył na mnie nieodgadnionym

67

spojrzeniem. - Bo tak to nie ma co chodzić, jak tam ich rzeczy leżą.

Miśka kręciła się na swoim siedzeniu. Najwyraźniej czuła się winna.

- Podobno macie króliki w klatce? - zagadałam

do Sabriny. - Pokażecie Misi?

Dziewczyny wstały, a Miśka chwyciła mnie za rękę.

- Idź z nimi, córko. Ja tu poczekam, nie martw się.

- A ja teraz ciepło podam. - Zerwała się Materkowa.

- Mam pierogi z mięsem i grzybami.

MIŚKA

11

Mama mnie wypchnęła i musiałam iść. Zaprowadzili mnie w róg podwórka, gdzie pośród straszego smrodu stała niechlujna klatka.

- A my mamy króle - pochwaliła się ta druga, o dziwnym imieniu, ale nie Sabrina.

-Jakie króle? - odpowiedziałam. - Mówi się: królów.

Dzieciaki zachichotały.

- Ale my mamy króle w klatce. O, tutaj. - I Sabrina wyjęła królika za uszy, co mnie zajeżyło.

-Jak ty możesz go tak męczyć?! Powiem twojej mamie!

Wyrwałam jej futrzaka, przytuliłam. Śmierdział siuśkami i łaskotał, w sumie z przewagą łaskotania.

- Króla trzyma się za uszy, a nie pod brzuch - zaznaczyła Sabrina.

- Sama się złap za uszy - zaproponowałam.

- Zostaw go, Miśka. Jak go będziesz trzymać pod brzuch, to go przerwiesz, a on przecież musi wytrzymać do zimy - wytłumaczyła ta druga. - Mama robi z nich pasztet na Boże Narodzenie. Jak jeszcze będziecie tu mieszkać, to też dostaniecie jednego. Pycha, mówię ci.

Wtedy wcisnęłam jej królika do ręki i poszłam.

HANKA

12

Bałam się uczenia w szkole, bo ostatni raz bawiłam się w to krótko po studiach, zanim jeszcze zaczęłam pisać do gazet. Szybko jednak uznałam, że nie najgorzej mi idzie produkowanie się przed tłumem piegowatych twarzy. Szkoda tylko, że odzew z ich strony był niemal żaden. Już od pierwszych chwil, gdy w drugiej gimnazjalnej usiłowałam przełamać lody za pomocą najśłynniejszego angielskiego dialogu:

- What's your name?

- My name is... - wyliczanka imion niespodziewanie zatrzymała się na jakimś Łukaszu Maliwie. Tu wszyscy byli ze sobą spokrewnieni, więc tylko przez chwilę się zastanawiałam, czy to właśnie on jest synem bibliotekarki Ewy Strzałki, żony Pawła Maliwy. Mógł być, mógł nie być. Ale długo nad tym nie dumałam, bo szybko wyłonił się większy problem.

Łukasz najwyraźniej nie miał zdolności do języków.

Zastanawiałam się, czy w ogóle jest zdolny do samodzielnego życia, bo zamiast odpowiadać, gapił się w ścianę i wydawać by się mogło, że nie słyszy ani słowa z te-

go, co mówię. Zastanawiałam się, czy z tego stuporu nie

70

wyrwie go jakaś zgrabna pałka w dzienniku, zrezygnowałam jednak z szermowania takimi środkami na pierwszej lekcji. Jeśli zasypię go złymi stopniami, na koniec roku ciężko będzie tak wymanewrować, żeby go przepchnąć do następnej klasy.

- Pani się nim nie przejmuje, to głupek - huknął jakiś grubawy głosik.

- Co ty mówisz?

- Taki głupek, że mu tatusiek z mamuszką z domu uciekli. Przestraszyli się głupka i zwiali, he, he, he. Łukasz trwał nieporuszony, jakbyśmy wcale nie rozmawiali o nim.

Po lekcji, kiedy już wydawało mi się, że każdy (poza Łukaszem) umie powiedzieć, jak się nazywa i że mieszka w Świątkowicach, a moi uczniowie porechotali z angielskich wersji swoich imion, stanęłam przy milczącym chłopaku. Pakował rzeczy do torby.

- Łukasz... Czy dzieje się coś niedobrego? Masz jakiś problem?

Ale zachowywał się tak, jakbym od Harry'ego Pottera pożyczyła pelerynę niewidkę. I czapkę niesłyszczą. Spakował się, poustawił wszystko równo w plecaku, zapiął klapę i wyszedł, nie poświęcając mi ani słowa, ani gestu.

- Elu... - Na przerwie odważyłam się podejść do grupy nauczycielek, mimo że przedtem ostrzelały mnie niezyczliwymi spojrzeniami. - Elu, czy ty coś wiesz o sytuacji rodzinnej Łukasza Maliwy?

- A co się stało? - Ela dmuchnęła dymem.

- Milczy. Przez całą lekcję. Zupełnie jakby nic nie słyszał, nie widział.

Wzruszyła ramionami.

71

- Normalka. Nie możesz się tak każdym przejmować.

Tu są Świątkowice, nie Warszawa. Fochy ma. Parę pał dostanie i mu przejdzie.

- Bo on się zachowuje, jakby był w szoku.

- Ale że niby po czym?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- Może się ciebie boi, po prostu. Do mnie się zawsze normalnie odnosił, a znam go nie od dziś. Daj mu czas.

Nie podobało mi się ani zachowanie Łukasza, ani to, co mówiła dyrektorka. Nie podobało mi się uczenie angielskiego od zera, podczas gdy w drugiej gimnazjalnej uczniowie mieli być na poziomie lekko zaawansowanym. Niewiele mi się podobało, ale postanowiłam: rok wytrzymam. Z Elką, z babami z pokoju nauczycielskiego,

co śledzą każdy mój gest i spojrzenie na Rutę, z niemądrymi dziećmi, które nie chcą się odzywać do mnie po angielsku. A po roku - zobaczę.

Po lekcjach poszłam połączyć po nielicznych sklepach w tak zwanym centrum Świątkowic, zapuściłam się nawet do domu handlowego, gdzie grabie i gumiaki walczyły o lepsze z ciuchami i pasmanterią. Komórka leżała w mojej torbie z wyłączonym na lekcje dzwonkiem, nie wiedziałam więc nawet, że wydzwaniał do mnie Ruta. Z wiadomością, jak bardzo potrzebuje mnie moje dziecko, które samo wybrało się w drogę powrotną do domu i zobaczyło w stawie trupa.

Kiedy już dotarłam do naszej szarej chatki, otworzył mi... Ruta. Miał taką minę, że wszelkie wyrzuty zamarły mi na ustach.

- Co się stało? - spytałam. Spojrzał za siebie. Ja też popatrzyłam. - Miśka!

72

Moja córka leżała na kanapie, przykryta po szyję, blada, z zamkniętymi oczami. Rzuciłam się do niej przerażona. Choć nieruchoma i sztywna jak kij od szczotki, była ciepła, oddychała. Przytulałam ją, a Ruta wyjaśniał mi sytuację. Coś usiłowałam szeptać Miśce do ucha, coś tłumaczyć, obudzić ją z tego stuporu, Ruta jednak kazał mi dać jej na razie spokój. Zaparzył herbaty, postawił na stole. Taki młody, a umie się znaleźć w trudnej sytuacji. Usiadłam i tak siedzieliśmy w ciszy, popatrując z niepokojem na biedne Misiaczysko.

Martwa kobieta, jak mi tłumaczył szeptem Ruta, była nie do rozpoznania. Nie przyglądał się jej zresztą długo, bo to naprawdę nie był miły widok. Zresztą gdy przyjechała policja, musiał się zająć moją córką. Kiedy wiozł ją do nas do domu, była sztywna jak cyborg. Bał się, że spadnie z motocykla, więc posadził ją przed sobą. I wtedy do kuchni wpadł Maks.

- Mamo, nie masz pojęcia, co zrobiła ta stara rura dyrektorka...

- Ćśśś - syknęłam. Tylko na tyle było mnie stać w stosunku do starszego dziecka, kiedy niedomagało młodsze. Maks rozejrzał się, zauważył Rutę naprzeciwko mnie przy stole, twarz mu się ściągnęła, obrócił się na pięcie i wybiegł, trzaskając drzwiami. Lecieć za nim? Popatrzyłam na drewnianą twarz Miśki i zostałam.

Maksem zajmę się później. - Ona jest w szoku. Myślisz, że powinnam kogoś wezwać? Psychologa jakiegoś?

- Nie wiem - powiedział Ruta. - Nie wiem.

12

Następnego dnia chciałam zostawić Miśkę w domu, żeby ochłonęła, odpoczęła po tych przeżyciach, ale kiedy się rano obudziła, gwałtownie zaprotestowała. Nie,

nie zostanie sama. Ona chce być ze mną. Nie mogłam się zwalniać w drugim dniu pracy, więc postanowiłam wziąć dziecko ze sobą. Nie pisnęła ani słowa na temat trupa, którego wczoraj znalazła, więc i ja nie poruszałam tematu. Myślałam nawet, że z powodu szoku udało jej się zapomnieć o wszystkim. Gdy jednak zbliżyłyśmy się do miejsca, gdzie wczoraj znalazła zwłoki, zrozumiałam, że pamięta doskonale. Przejechała obok stawu na rowerze takim pędem, że nie byłam pewna, czy ją dogonię. Na pierwszej lekcji siedziała osowiała, milcząca, gdzieś z boku - według nauczycielki - chociaż dzieci usiłowały się dopytać, jak było i jak wyglądał ten truposz. Zwolniłam ją więc z reszty zajęć i posadziłam z tyłu swojej klasy. Znalazłam kredki i papier, żeby narysowała, co ją boli, ale trwała równie nieruchoma i równie nierozmowna jak Łukasz Maliwa.

Na przerwie dałam jej kanapkę i jabłko, po czym wypchnęłam na podwórko, bo w pokoju nauczycielskim wrzało, a musiałam wymienić dziennik.

-Ale jak to się stało? - Panie z wypiekami na twarzach omawiały sprawę topielicy.

- Pływała twarzą w dół, to jak myślisz?

- Utopiona?

- Sama się utopiła?

- A bo to wiadomo? Sekcję będą robić w Garwolicach.

- Kto ją niby miał utopić? U nas, w Świątkowicach, nie dzieją się takie rzeczy. Pijana może w wodę polazła.

74

- Ale ona była zgwałcona.

- Naprawdę? A skąd wiesz?

- A tak mówią.

- Kto mówi?

- Wszyscy mówią - wymigała się Ela Lichańska, odwijając zakrwawiony papier z kanapki z tatarem. Wgryzła się w nią łapczywie. Wśród wszechobecnej adrenaliny prawie nie było czuć cebuli.

- Kto to był, dziewczyny? Kto to mógł być?

- Przecież chyba nikt od nas, prawda? Prawda?

Tyle dobrego, że pracowite języki moich koleżanek zajęły się nową sprawą, znacznie bardziej emocjonującą niż moje nieskromne zachowanie w pubie. Ruta szczęśliwie był nieobecny, bo grabił boisko przed sprawdzianami sprawności fizycznej, jakimi chciał zacząć ten rok szkolny. Wzięłam dziennik i poszłam posiedzieć z moim dzieckiem na murku przed szkołą. Obok niej przykucnęła Sabrina, przekazując dokładnie te wiadomości, przed którymi usiłowałam Miśkę chronić. Rewelacji słuchała całkiem spora grupka uczniów.

- Sabrino, skąd ty masz takie wiadomości?

- Wszyscy już wiedzą - powiedziała.

- Ale Miśka nie musi wiedzieć. Daj jej na razie spokój - poprosiłam stanowczo. - Ona ma za sobą ciężkie przeżycia.

- Przeżycia? Jakie?

- Znalazła wczoraj tę kobietę.

- My przecież byliśmy tam razem - wyjaśniła Sabrina. Musiałam wyglądać na zaskoczoną, więc uściśliła:

- Żeby pani widziała, jak ten trup wyglądał...

Dzieciaki skupiły się wokół.

- Przestań już, dziecko.

75

- Miśka, teraz już nie będziesz chciała wracać do domu beze mnie - stwierdziła z satysfakcją Sabrina.

- Z mamą będę wracać - odezwała się w końcu moja córka, więc trochę mi ulżyło, że nie zapomniała, jak się mówi, po czym poszliśmy na angielski do drugiej B.

A tu musiałam się uporać z zachowaniem Łukasza.

Swą nieprzejednaną postawą naprawdę zaczął mnie niepokoić. Już nie tylko do mnie nie mówił, ale nawet na mnie nie patrzył. Otaczały mnie autystyczne automaty: moja własna córka, mój własny uczeń. Nie mogłam tego tak zostawić, więc kazałam mu na następny dzień przyjść z matką. Chłopak nie zareagował. Zamiast niego odezwał się męski dyszkancik z tylnego rzędu.

-Jego stara wyjechała! Stary też! Piękna Irlandia...

Usiłowałam dopytać Łukasza, czy to prawda, ale wychodziło na to, że od niego raczej niczego się nie dowiem. W zeszłym roku szkolnym podobno był jeszcze normalny. Tak mówiły dzieciaki. W tym - według ich słów - kompletnie mu odpierdzieliło. Chciał, nie chciał, musiał. Pójdę do niego do domu, skoro nie można się prosić, żeby przyszedł ktoś z rodziny. Odpuść, przymknij oczy, poczułam pokusę. Ale nie. Zaniechanie miewa tragiczne konsekwencje. Znalazłam adres w dzienniku, zabrałam Miśkę i poszliśmy.

No i okazało się, że faktycznie mamą Łukasza jest Ewa Strzałka, przepraszam: Ewa Maliwa (zwyczaj zmieniania nazwisk po ślubie bardzo komplikuje życie, dawno to stwierdziłam). Ich willa, zgodnie z zapowiedziami Ewy, była zdecydowanie największa nie tylko w okolicach stacji, ale i prawdopodobnie w całych Świątkowicach, o ile zdążyłam się zorientować

76

w tutejszej architekturze. Największa, wyglądała jednak na niezamieszkaną. Nikt nie wyjmował ulotek, którymi zapchana była skrzynka pocztowa na furtce, trawa w ogródku też wybujała, niemal zarastając ścieżkę pokrytą wzorkiem z kostki bauma. Stałyśmy chwilę, trzymając się za ręce, a drobna łapka Miśki pocila się

w mojej dłoni. Furtka nie była zamknięta, więc weszłyśmy na teren posesji i zadzwoniłam do drzwi. Otworzył wąły chłopaczek, który nie wydawał się wiele starszy od gimnazjalisty Łukasza, choć wedle słów Ewy powinien przecież być już na studiach.

- Hanna Cudny, nauczycielka Łukasza. Od angielskiego. I moja córka, Michalina. Ty jesteś Tomek Maliwa? Pokiwał głową. A jednak student. Mizerny taki. Może po ojcu, bo Ewa jest przecież całkiem pokaźna.

- Możemy wejść?

Wpuścił nas bez słowa. Poszedł przodem. Znaleźliśmy się w kuchni.

W kącie piętrzyły się puste puszki i plastikowe butelki, głównie po coli, w zlewie brudne naczynia, na kuchence patelnia oblepiona wszystkim. Nie miałam pojęcia, że i na wsi trafiają się takie flejowate gospodynie, pomyślałam i od razu zbeształam się za tę myśl. Flejowaty to jest ten chłopczyna, że w tym siedzi, zamiast sprzątać. Nie tylko Ewa Maliwa powinna walczyć o utrzymanie porządku. Stałam w progu kuchni, obok mnie Miśka, a Tomek kręcił się, niezdecydowany, co robić. Miał czerwone oczy, jak Ewa wtedy w bibliotece. Rodzinne podobieństwo.

- Rodziców nie ma? - spytałam.

Stanął, spojrzął na mnie, po czym pokręcił głową.

- Kiedy wrócą?

77

- Z tym to może być kłopot - stwierdził, dziwnie jakos skrzepowany.

- Dlaczego?

-No bo oni... No...

Zdenerwował mnie i zaniepokoił. Zapuszczony, z tłustymi włosami, wyglądał nie lepiej niż ta kuchnia. Zdecydowanie działało się tu coś dziwnego.

- Kiedy matka wraca z pracy?

- Ona... - I znowu zamilkł.

Czekałam, aż skończy zdanie, ale zagapił się w podłogę. I nic.

- Wiesz co, pójdę do niej, do biblioteki.

- Tam jej nie ma.

- Słucham? To gdzie jest?

- Nie wiem - powiedział bezradnie i oparł się o kuchenny blat.

Zanosilo się na dłuższą rozmowę, więc usiadłam za stołem, starając się niczego nie dotykać, bo na blacie okruchy walczyły o lepsze z zaschniętymi kałużami jakiejś cieczy. Miśka stała, tuląc się do mojego boku. Chłopak wytarł nos nadgarstkiem.

- Nie powiedziała, dokąd idzie?

- Ona... Mamusia by nie... Oni zniknęli.

Zaskoczył mnie.

- Zniknęli?

- Tak jakby. Nie ma ich. Tatusia od miesiąca. Mamusi trochę krócej.

Słowa „mamusia” i „tatuś” zabrzmiały w jego ustach wyjątkowo dziecinnie, ale wiedziałam już, że w równie infantylny sposób nazywają tu rodziców wszyscy. Nawet Materkowa.

- Usiądź, proszę.

78

Choć właściwie może powinnam powiedzieć: niech pan usiądzie?

- Wyjechali i zostawili brata pod twoją opieką?

- To nie tak... - znowu zamilkł. Zdecydowanie nie był geniuszem konwersacji.

- W szkole dzieciaki mówiły, że wyjechali. Do Irlandii czy gdzieś. Do pracy.

- Tak samo mamusia mówiła o tatusiu. Ale to nieprawda.

- Nieprawda?

- Po pierwsze: nie pożegnał się z nami przed wyjazdem. Po drugie: się nie spakował. Po trzecie...

- Nie spakował się?

- Nie, wszystko jego zostało. To znaczy... Było tak. Pewnego razu tatuś nie wrócił z pracy. Rano spytałem, gdzie on jest, bo dopiero wtedy zauważyłem, że nie spał w domu. Mamusia powiedziała, że dostał superoferę w Irlandii i pojechał zarabiać. Zdziwiłem się, że wyjechał, że tak nagle, bo tu przecież miał dobrą pracę, naprawdę dobrą. Niczego nam nie brakowało. Ale gdyby tak było, powinna się cieszyć, że tatuś trafił dobrą pracę, lepszą niż tutaj. Nie cieszyła się jednak, miała czerwone oczy, jakby płakała. No to ja spytałem, dlaczego nic ze sobą nie wziął. Nawet maszynki do golenia. To mamusia powiedziała, że maszynkę tam sobie kupi, a nie wziął ze sobą dużo, bo jeszcze nie wiadomo, czy tam zostanie.

- Brzmi logicznie.

- Tylko że dlaczego płakała?

Przypomniały mi się czerwone oczy Ewy Strzałki siedzącej za biurkiem w bibliotece. Wychodziło na to, że nie była to jej cecha immanentna.

- Kiedy dokładnie zniknął wasz ojciec?

79

- Miesiąc temu. Potem mamusia ciągle płakała. Nie, nie przy nas. Nie spała, w nocy chodziła po domu. Mówiła do siebie. Prawie przestała gotować.

- A to takie dziwne?

- Bardzo. Codziennie kupowała pierogi w spożywczym. A przecież całe życie mówiła, że nie uznaje niczego kupnego. To ja pytam, czy tak się zachowuje kobieta, której mąż

miał farta i zaraz zacznie dużą kasę przysyłać zza granicy?

Może kiedy zyskała nadzieję na większe pieniądze, postanowiła zrezygnować z długich godzin spędzanych przy stolnicy? Choć z drugiej strony - rozejrzałam się

- nie w tym zamożnym domu nie wskazywało, żeby i przedtem nie stać jej było na kupne pierogi.

- Nie rozmawialiście o ojcu?

-Ja parę razy zaczynałem, ale mamusia zmieniała temat.

- Ojciec nie odzywał się do was?

- Ani razu. Dzwoniłem na jego komórkę, ale nie był dostępny.

- Gdzie ojciec pracował?

- W fabryce skór. Jako dyrektor.

- Dzwoniłeś tam?

- Wziął urlop. Tak powiedzieli.

- Macie tu telewizor?

-Co?

Gdyby to był Maks, od razu bym go poprawiła. Nie mówi się „co”, tylko „słucham”.

- Włączyłabym córce. Nie wiem, czy powinna słuchać tego, o czym mówimy.

Mieli nawet kablówkę, więc znalazłam biednej młodej jakiś program kulinarny i wróciłam z Tomkiem do kuchni.

80

- Masz koncepcję, co się stało?

Wzruszył ramionami.

- A nie myślisz, że ojciec wyprowadził się do innej, a matka go przed wami kryła?

- Znaczy myślałbym tak, jakby to nie był mój tatuś.

- To znaczy, że co?

- On nie wyglądał na żadne romanse.

- Na to nie trzeba jakoś specjalnie wyglądać.

- No to dlaczego nie zadzwonił? Do mnie, do Łukasza?

-Jak ochłonie, to zadzwoni. Na początku można nie mieć do tego głowy. No i dochodzi jeszcze poczucie winy...

Chłopak nie wydawał się przekonany.

- Nie wiem, może. Mamusia była strasznie zasadnicza, nie umiałaby chyba zrozumieć zdrady. Myślę, że...

Jeśli kłamała o jego wyjeździe, to chciała, żebyśmy go dalej szanowali. Albo liczyła, że tatuś się opamięta.

- Kłamała, bo wstydziła się powiedzieć, że pojechał z kochanką.

- Tylko że jeśli tatuś jest z kochanką, to gdzie jest mamusia?

- Mówiłeś, że kiedy zniknęła?

- Pięć dni po tatuś.

Boże, a kiedy ja byłam w tej bibliotece? Jakoś tak

w sierpniu, na samym początku. Widziałam więc Ewę na krótko przed zniknięciem. Jeśli, oczywiście, wierzyć temu dziwnemu chłopcu.

- Dobrze pamiętasz?

- No a jak? Byłem w Siedlcach, załatwiałem stację. Kiedy wróciłem, nie było mamusi w domu. Ani żadnej kartki, wiadomości. Nic. Nawet obiadu, a zawsze coś robiła do jedzenia, nawet jak tatuś zniknął. Zawsze.

81

Kielbasę na gorąco albo te pierogi przynajmniej kupiła.

- Dzwoniłeś do niej?

- Tak. Ale odpowiedź była ta sama co u tatusia. „Abonent ma wyłączony telefon albo jest poza zasięgiem”.

I co ja mam z tym wszystkim robić?

Spuścił głowę, zasłonił twarz dłońmi.

- To ja już chyba rozumiem, dlaczego Łukasz tak się zachowuje. Bo chyba zauważyłeś, że dzieje się z nim coś dziwnego?

- Tak się zastanawiałem, czy w szkole on się robi normalniejszy.

- A w domu jaki jest?

- Jak zombi.

- Od kiedy?

- Tak naprawdę, to od kiedy mamusia zniknęła. Ale jak zniknął tatuś, już wtedy się dziwnie zachowywał. Ale nie aż tak.

- Wtedy się jeszcze odzywał?

- Chyba tak.

- Chyba?

- Tak dokładnie to nie wiem. Wie pani, my... My mało rozmawiamy. Rozmawialiśmy. U nas w rodzinie raczej nie było takiego zwyczaju. Mój brat... On jest w trudnym wieku, siedzi w pokoju, zamknięty, o czym z nim miałem gadać? O studiach? O stacji? Mamusia z nim gadała. Chyba.

- Tak jakby zareagował tym milczeniem na zniknięcie rodziców...

-No.

- Myślisz, że coś wie?

- Przecież by mi powiedział, nie?

82

- Byłeś na policji?

- Byłem.

-I co?

- Wyśmiali mnie.

- Co ty mówisz?

- Powaga. Czekałem na nią wtedy i czekałem, w sobotę jej nie było, w niedzielę też. Od razu w poniedziałek rano zawiadomiłem policję. Ale oni powiedzieli,

że dorosła kobieta ma prawo wychodzić na weekend, nie opowiadając się synowi.

- Nie sądzisz, że matka mogła pojechać za ojcem, by go namówić do powrotu?

Tomek miał łzy w oczach.

- Nie wiem, może? - Widać było jednak, że gnębi go co innego. - Ale tyle czasu by go namawiała?

Zamilkł na chwilę.

- Chyba nie myśli pani, że to tak jak z tym Olewnikiem?

- Porwanie? Dla okupu?

-No.

- A rodzice prowadzili jakieś większe interesy?

Po twarzy Tomka przemknął ślad uśmiechu.

- Mamusia nie. Ale tatuś prowadził tę fabrykę skór.

Znaczy garbarnię. Dobrze zarabiał. Nie wyjeżdżałby do Irlandii do jakiejś głupiej roboty, a dobrej by nie dostał, bo przecież nie mówi po angielsku. Ale... Nie wiem, ile mieli kasy. Trochę.

Chyba więcej niż trochę, sądząc po tym domu, pomyślałam. Tomek oparł głowę na rękach.

- Nie wiem, komu mogłoby zależeć, żeby porwać tatusia. I mamusię. No i chyba by ten porywacz wiedział, że nie zapłacę okupu, bo nie mam ani grosza.

83

-Jak to: ani grosza?

- Wszystkie pieniądze są w banku.

- Nie masz dostępu do konta?

Pokręcił głową.

- No właśnie. Z czego właściwie wy teraz żyjecie?

- Było w szufladzie, no i na koniec sierpnia czynsz dostaliśmy.

- Czysz?

- Rodzice wynajmują pokoje. W suterenie mieszkają Ukrainki. Pracują w tej fabryce. Każda płaci po dwieście złotych.

Przez chwilę wydawał się trochę pogodniejszy, ale potem ponownie twarz mu spochmurniała.

-Jak wrzesień się skończy, powinienem wracać na uczelnię. Ale nie wiem, czy dam radę. No bo Łukasz, dom i w ogóle. Powinienem ich szukać, coś robić, ale tylko leżę w łóżku i się zastanawiam. Rozpamiętuję wszystko, co rodzice powiedzieli, zrobili. Usiłuję zrozumieć, co się mogło stać. A Łukasz to samo, tylko w swoim pokoju, "wszystko się rozpada.

Rozległo się szuranie po schodach, potem w korytarzu. Do kuchni wszedł, powłócząc skarpetami, Łukasz. Nalał sobie wody z kranu do szklanki, po czym opuścił pomieszczenie. Nawet na mnie nie spojrzął.

- I tak cały czas - szepnął Tomek. - W szkole też się

nie odzywa?

-Nie.

-Jak zostanie na drugi rok, to co ja powiem mamusi?

- Chłopak miał łzy w oczach. Oparł głowę na ramionach i zagapił się w przykurzony stół, żebym nie widziała łez. Uciekli? Porwano ich? Bo chyba Ewa nie wyjechała bez słowa, nie troszcząc się o synów? Zresztą Ewa Strzałka, 84

jakaś kiedyś znałam, nie była osobą, która z dnia na dzień mogłaby prysnąć bez słowa do Irlandii. Już jako dziecko lubiła wszystko planować. Tamta Ewa mogła ruszyć za mężem, by go wziąć za fraki, zabrać od kochanki i przyprowadzić z powrotem do domu. Była w stanie zrobić wiele, żeby dopiąć swego. Ale przecież nawet wtedy dałaby znać synom, że wyjeżdża i na ile. Nie wierzę, że nie pozostawiłaby wiadomości. Coś by im powiedziała, zaaranżowałaby dla nich jakieś jedzenie, pieniądze. No, pieniądze mają. Ale jakąś opiekę może? A nie tak bez słowa.

Położyłam Tomkowi rękę na ramieniu.

- Może się jeszcze wszystko wyjaśni - zdobyłam się na pocieszenie, ale w ogóle nie wierzyłam w to, co mówię. Nic się nie wyjaśni. Samo - nic.

13

Być może wszystko miałoby inny przebieg, ale nieoczekiwanie okazało się, że mam znajomości na gminnym posterunku policji w Garwolicach, pięć kilometrów od Świątkowic. Kiedy tam weszłam, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Karak za biurkiem posterunkowego, w mundurze policjanta, wyglądał tak męsko, jak zapewne marzył od chwili, gdy na twarzy pojawiły mu się pierwsze pryszczki. Miał zdecydowanie mniejsze rumieńce niż wtedy, w pubie, gdy tak odważnie pieścił moje udo, no i patrzył na mnie tym razem dużo bardziej rzeczowo. W jego wzroku jednak nie było ani pożądania, ani życzliwości.

- Witamy panią nauczycielkę.

- Dzień dobry.

- Z kim to się pani tym razem prowadzi? - zmierzył wzrokiem Tomka.

85

- Chcieliśmy złożyć doniesienie o zaginięciu.

Karak wyjął formularz.

- Nazwisko zaginionego?

- Paweł Maliwa.

Karak odłożył formularz.

- Hanka, myśmy to już sobie z obecnym tu Maliwą Tomaszem wyjaśnili. Tata wyjechał gdzieś za granicę, trzaskać kasę, mama za nim sprzątać, a młodemu nie ma kto zupy gotować, więc robi zamieszanie. Jak mu współczujesz, ugotuj mu coś, a nie przychodź głowę mi zawracać. Szkoda mojego czasu, żeby się w to bawić po raz drugi.

- Karak...
- Panie starszy posterunkowy. Starszy posterunkowy Sławomir Karaczek.
- Panie starszy posterunkowy, nalegam po obywatelsku, by pan wypełnił doniesienie o zaginięciu.
- Lepiej się od tego poczujesz?
- Proszę pani. - Tomek pociągnął mnie za rękaw.
- To nie ma sensu.
- Cieszę się, młody, że się nareszcie rozumiemy. Hanka, jaka jest między wami różnica wieku? Kумы ci żyć nie dadzą, jak was razem zobaczą... Już ci Ruta nie wystarczy?

Tomek spojrział na mnie zaskoczony. Chyba do niego jedyne go nie dotarły plotki o moim domniemanym romansie.

- Musisz wiedzieć, synu, że pani nauczycielka twojego brata chodzi z panem nauczycielem od wuefu twojego brata. W szkole jeszcze nie wszyscy o tym wiedzą? Nie słyszę, nie słyszę, nie słyszę, powtarzałam sobie. Nie wdawać się w seksistowskie pyskówki. Nic. Stop. Rzeczowo.

86

- No, dawaj, młody. Wypełnię, żebyś mi już głowy nie zawracał. Ojciec kiedy wyjechał?
 - Zniknął. Miesiąc temu.
 - Matka kiedy wyjechała?
- Osioł uparty! Odchylił się do tyłu, splótł ręce na karku. Glina żywcem przeniesiony z amerykańskiego serialu. Ciekawe, kiedy położy nogi na biurku.
- Znikła. Pięć dni po tacie.
 - Data, synu, data.
 - Ósmego sierpnia.
 - Jakież wskazówki, które mogą nam pomóc w znalezieniu zaginionych?
 - Typu?
 - Typu: w co byli ubrani?
 - Nie wiem. Ojciec wyszedł do pracy. Musiał mieć na sobie jakiś garnitur.
 - Znaki szczególne?
 - Chyba nie.
 - Dzięki, bardzo nam pomogłeś. Matka?
 - Przecież pan ją zna.
 - W co była ubrana?
 - Nie wiem - stropił się Tomek. - Wyszła z domu, kiedy byłem w Siedlcach. Nie wiem.
 - Znaki szczególne?
 - Chyba nie.
 - Kontaktowali się z wami?
 - Nie.
 - Jakieś telefony? SMS-y?

Tomek zamilkł.

- Zamurowało cię? - huknął Karak. W kącikach ust miał coś białego.

- No... Ja dostałem SMS-a z telefonu mamusi.

87

Karak zaczął się tak nadymać, iż byłem pewna, że zaraz pęknie.

-Słucham?

- To jest podejrzone. Ktoś mi wysłał SMS-a z jej telefonu.

O młody idioto! Dlaczego nie powiedziałeś mi tego, zanim tu przyszliśmy?

- Możesz pokazać?

Tomek odnalazł SMS-a i podsunął Karakowi swoją komórkę. „Kochani. Czuję się dobrze, odpoczywam w sanatorium, dam znać, kiedy wrócę, pieniądze tam, gdzie wiecie, jedzenie w zamrażarce”.

- Wiesz, synu, że możemy cię wsadzić za robienie kawałów policji? Myślisz, że ja mam czas na twoje kretyńskie żarty?

-Aleja...

- Wiesz, gdzie jest matka, a zgłaszasz jej zaginięcie.

-Ale to nie jest...

Karak podał formularz, który tak pracowicie wypełniał, i rzucił za siebie. Zbliżył twarz do oblicza przerażonego Tomka i wyskandował zza zaciśniętych zębów:

- Jeszcze jeden taki dowcip i koledzy zaczną się zastanawiać, co ci się z twarzą stało.

Tomek zamarł na krześle.

- Wymiataj stąd. Ale już! A ty, Hanka, nie wierz we wszystko, co ci mówią. Dzieciaki tutaj są inne niż w mieście, jeszcze się tego nauczysz.

Zabrałam Miśkę z poczekalni i wyszliśmy. Tomek oparł się o ścianę komisariatu i gapił w popękany chodnik.

- Mówiłeś, że nie dała znaku życia.

- To nie ona.

- Skąd ta pewność?

88

- Ona by tak nie napisała.

- Nie jej charakter pisma? - Do Tomka nie docierał mój sarkazm.

- No, ona była ze dwa razy w sanatorium i zawsze było przedtem tyle zamieszania, kupowania, pakowania. Ona prawie nigdy nie wyjeżdżała, to dlatego. Wiem, że nie wyjechałaby nigdzie bez słowa. Nigdy. Ani bez swoich rzeczy. Zresztą...

-Tak?

- Ona nie umiała pisać SMS-ów.

- Może się wreszcie nauczyła? - Denerwowało mnie, że dzieci zawsze mają swoje matki za żyjące skamienia-

łości.

- No i nigdy nie mówiła do nas „kochani” - dodał Tomek.

Wtargnęłam do pokoju Karaka jak burza. Aż podskoczył.

- Jednak do mnie wróciłaś?

- Daruj sobie. Czy ta martwa kobieta, którą znalazła moja córka... Czy ta martwa kobieta mogła być Ewą Maliwą?

- Chcesz obejrzyć ciało?

Patrzyłam na niego twardo.

- Mogę ci to załatwić w komendzie wojewódzkiej, jeśli akurat to cię podnieca. Ja już oglądałem.

Podnieciłaś się?, chciałam zapytać, ale zmilczałam.

- To nie była Ewa Maliwa - stwierdził pewnym głosem.

- Jesteś pewien?

- Oj, Hanka, Hanka. Przyjechałaś z Warszawy i myślisz, że ty tu teraz rozdajesz karty? Ewę Maliwę znam dłużej niż ty. Denatka to nie był nikt stąd.

89

Spojrzał na mnie twardo, po czym zniecka oblizał usta.

- Nie smutno ci tam samej? Na tym zabitym deskami wygwizdowie? Nie brak ci męskiej ręki?

Nie podjęłam konwersacji. Miał straszliwie włochate dłonie; teraz widziałam to bardzo wyraźnie.

- Do widzenia, panie starszy posterunkowy.

Tomek nie ruszył się ani na krok sprzed posterunku.

Miśka też nie. Chłopak spojrzał na mnie z nadzieją. Pokręciłam głową, a wtedy on odwrócił się i odszedł. Nie goniłam go. Przytulałam córkę.

14

Postawiłam przed Miśką leczo z kielbasą. Dziobała widelcem w środku, wpatrując się w talerz nieco nieobecnym wzrokiem. Normalnie od razu zabrałaby się do wydłubywania kawałków kielbasy, które ułożyłaby w stosik na brzegu. Jadała je, jako najsmaczniejsze, na samym końcu. Ale dziś leczo spokojnie sobie stygło, a Miśka z zaciśniętymi ustami gapiała się w ciemne okno. Po co ją ciągnęłam na tę idiotyczną wędrówkę po obcych domach i posterunkach? Za mało mam zmartwień w rodzinie? Maks jakiś czas temu wpadł do kuchni, złapał dwie kromki chleba, a chleb był tutaj naprawdę pyszny, obficie posmarował je smalcem, prezentem od Matkowej. Zniknął niemal natychmiast w swoim ponurym stodołnym zakątku, burknąwszy przedtem coś, co przy odrobinie dobrej woli mogłam wziąć za „dobranoc, idę spać”. Albo „idę przedłużyć”, bo zabrał też kilka przedłużaczy, żeby doprowadzić prąd do stodoły, gdzie wynosił coraz

więcej swoich rzeczy.

90

- Noce są coraz zimniejsze, zmarzniesz - krzyknęłam za nim, ale chyba nie usłyszał. Poza „dzień dobry”, „dobranoc”, „jesteś głodny?” i „co było w szkole?”, na które prawie nigdy nie otrzymywałam odpowiedzi, w ogóle nie rozmawiałam z moim synem. Kawy ani herbaty też mi już nie robił.

I nagle ktoś zapukał do drzwi. Aż podskoczyłam, upuszczając widelec. Kawałek kiełbasy spadł na podłogę. Gdybyśmy mieli psa, od razu by pożarł łakomy kasek. Gdybyśmy mieli psa, ostrzegłby nas, że idzie ktoś obcy. A tak - dwie samotne dziewczyny, noc za oknem i gość u drzwi. W mieście wcale bym nie otwierała, o tej porze i nie wiadomo komu, ale tu była wieś. Już się nauczyłam, że tu wpada się do siebie bez uprzedzenia, jeśli ma się interes. I tyle. A najgorsze, że tu nikt nigdy nie czeka na otwarcie drzwi, tylko wszyscy sami naciskają klamkę po grzecznościowym puknięciu. Nie byłam pewna, czy zamknęłam dom na klucz. Bo furtki nie zamknęłam, z tego wniosek.

Skrzypnęły zawiasy, po czym w szparze pojawiła się noc, a w chwilę później - krótko ostrzyżona głowa Karaka. Zmartwiałam.

- Co za zapachy! Smacznego!

Widać naprawdę przejął się moją samotnością na tym odludziu. Może też uznał, że milczenie w odpowiedzi na jego nagabywania oznacza zgodę. Pewnie taki był miejscowy obyczaj. Skoro dziewczyna nie odmawia, znaczy że się zgadza.

Miałam w dupie wioskowe zwyczaje. Wstałam i poszłam do przybysza, gotowa wypchnąć go za drzwi w razie potrzeby. Miśka siedziała przy stole jak zahipnotyzowany zajaczek, a górka leczy na jej talerzu trwała

91
nieporuszona. W razie czego Materkowa z Materkim chyba usłyszą, że wołam o pomoc?

A Karak stał przy drzwiach, zwałisty jak King Kong w mundurze. Patrzył głównie na mnie i wyglądało na to, że napawa się naszym przestraczem. Miałam ochotę kopnąć go w zamek błyskawiczny.

- O co chodzi? - spytałam ostro.

Miśka zaczęła się podnosić z krzesła, by czmychnąć do drugiego pokoju.

- Nie uciekaj. Tak naprawdę do ciebie przyszedłem

- zwrócił się Karak do mojej córki.

- Ale o co chodzi? - nie ustępowałam ani o krok.

- Nieustająco o zwłoki - uśmiechnął się uwodzicielsko. Czy oni naprawdę nie rozumieją, że są chwile, kiedy męskie walory interesują mnie równie niewiele co zużyta

chusteczka do nosa?

- Ja nie mam nic do powiedzenia. A jeśli chodzi o Michalinę, to nie będzie rozmawiać z policją bez obecności psychologa. Zresztą już powiedziała wszystko, co wie. Wybacz. Misiu, leć do swojego pokoju.

Skrzypnięcie krzesła, kroki. Stałam na wprost Karaka, zasłaniając przed nim dziecko. Wyszła?

Nie, młoda jednak stała w drzwiach do pokoju i patrzyła szeroko rozwartymi oczami na policjanta. A on po prostu zrobił krok do przodu. Znalazł się tak blisko mnie, że musiałam się cofnąć, co wziął za zaproszenie. Rozsiadł się przy stole, rozkraczył, całą swoją sylwetką zajmując tyle miejsca, że zaczęło go brakować dla nas.

- Karak... Miśka ciągle jest w szoku, dajże jej spokój.

- Hanka, nie utrudniaj. - Chyba na tej jedynej godzinie z psychologii dziecka, jaką miał w szkole policyjnej, 92

akurat palił papierosy w kiblu. No i do dziś nie rzucił palenia, co dawało się coraz silniej wyczuć w roztaczanym przez niego zapachu. - Mała, opowiedz, jak to było, jak znalazłaś te zwłoki. I zaraz pójdę.

- Wybacz, Karak, ale nic z tego. Misiu, idź do siebie.

Ja sobie z panem poradzę.

- Mamo, nie trzeba. Opowiem.

Miśka nagle wychynęła spod mojego ramienia. Jej twarz była skupiona i poważna.

- Miśka, nie musisz...

- Ale chcę.

Znowu usiadła przy stole, maleńka, chudzieńka; przy Karaku wyglądała jak ważka przy bawole. Spojrzała na niego poważnie, a on nawet wyemitował coś w rodzaju uśmiechu między niebieskawymi od wieczornego zarostu policzkami.

Siedziałam czujna, gotowa do interwencji.

- Ktoś ci powiedział, że tam są zwłoki?

Miśka pokręciła głową.

- No to skąd wiedziałaś, że tam są?

Wzruszyła ramionami.

- Szłam i zobaczyłam.

- Dlaczego tamtędy? To daleko od drogi.

- Chowałam się.

Błysk w jego oczach.

- Widziałaś tam kogoś?

-Tak.

Pochylił się nad nią.

- Widziałam Sabrinę Materek. Przed nią się chowałam.

Widziałam, że Miśka w miarę mówienia staje się trochę mniej sztywna, jakby szok trochę ustępował. Nie chciałam jej wczoraj wypytywać, ale może jednak było trzeba?

- Nikogo innego tam nie widziałaś? - nalegał rozczarowany Karak.

- Nikogo. Nikogo nie widziałam. Tylko Sabrinę. No i tamtą panią...

-Tak?

- Ale ona już nie żyła.

- A po czym poznałaś, że nie żyje?

- Przecież nikt by nie żył z twarzą tak długo zanurzoną w wodzie. - Aż się wzdrygnęła. - Ale jeszcze podniosłam jej głowę i zobaczyłam, że... No, że nie żyje. I wtedy pobiegłam do szkoły...

- A dlaczego nie do domu?

- Do szkoły miałam bliżej. A mama jeszcze nie wróciła do domu. I pożałowałam, że mama jeszcze mi nie kupiła komórki. Ale tu i tak nie ma zasięgu, na tej przekłetej wiosce - powiedziała i złapała się za usta, patrząc z lękiem to na mnie, to na Karaka. Nie, córko, mnie w żaden sposób nie uraziłaś. Karak najwyraźniej też nie zwrócił na jej słowa uwagi.

- A potem?

- Potem pan od wuefu już się wszystkim zajął, no i pan przyjechał - skinęła głową w kierunku Karaka.

- Więc już chyba dalej nie muszę opowiadać, bo sam pan wszystko widział. A ja siedziałam obok i martwiłam się, że tak mi niewygodnie, że mnie coś uwiera, ale nie miałam siły wstać i poprawić. Tylko grzebałam rękami w piasku, tak grzebałam, grzebałam i... No i... - plątała się Miśka. Miała taką małą, zmęczoną buzię i podkrążone oczy.

- To co, panie starszy posterunkowy? - przerwałam.

- Dziękujemy za wizytę.

"wstałam, on chwilę później. Chwycił plasterek kiełbasy z deski do krojenia, wsunął do ust, zjadł, pomlaskując, jakby i akustycznie dążył do zdominowania jak największej przestrzeni. Potem wyszedł. Odprowadziłam go aż za furtkę, dla pewności, że się go ostatecznie pozbywam. Wsiadł do samochodu i odjechał. Stałam jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w ciszę wieczoru. W lesie coś pohukiwało. Było naprawdę chłodno. Maks co prawda wziął do tej swojej stodoły dodatkową kołdrę, ale chyba i tak niedługo wygna go stamtąd temperatura. Milej będzie mieć go w domu, nawet tak obcego jak ostatnio. Od sąsiedniego płotu oderwała się ciemna postać i głosem Materkowej powiedziała:

- Odkąd tu sąsiadka nastąpiła, mamy wreszcie trochę ruchu na naszej kolonii...

Uśmiechnęłam się do niej, ale nie wiem, czy zauważyła po ciemku, i przekręciłam klucz w kłódce na furtce.

Miśka siedziała za stołem, wpatrzona w przeszłość. Zauważyłam jednak, że w międzyczasie na brzegu talerza pojawiło się kilka kolejnych plasterków kiełbasy. Było nieźle.

Niedługo potem położyłam się obok Miśki w łóżku, żeby ją uspić. Wtedy zawsze mi coś opowiadała, zwierzała się, radziła. To były chwile, podczas których czułam się prawdziwą dobrą mamą. Dziś jednak leżała cicho, tylko rączką gmerała pod poduszką. Dobrze, że pogadała z Karakiem czy źle? A może powinnam była ją wcześniej zagadnąć o te zwłoki? Boże, ja się nie nadaję, to mnie przerasta!

- Co robisz, mała?

- Bawię się.

95

- Masz spać, córuś. No już. Leż nieruchomo, pozamykaj wszystkie otwory, oddychaj regularnie. Zrobione. Będziesz spała.

- Boję się.

-Czego?

- Że umrzesz. Wszyscy dookoła nas umierają, zauważyłaś?

- Akurat tak się zdarzyło, że niedawno umarł tatuś.

A z tą nieżywą panią - Miśka się wzdrygnęła - nie mamy nic wspólnego. To przypadek, że akurat na nią trafiłaś. Nie martw się. I ciebie, i mnie, i Maksa, czeka jeszcze długie, dłuuuugie i wspaniałe życie.

Miśka przez chwilę udawała, że dała się pocieszyć, ale rączka od nowa rozpoczęła taniec pod pościelą.

- Co tam masz?

Nie chciała pokazać tej swojej tajemnicy, ale w końcu wyciągnęła rękę. Leżał w niej całkiem duży metalowo-drewniany krzyżyk.

- Skąd to masz?

- Wygrzebałam. Ja chciałam powiedzieć temu policjantowi, że wygrzebałam krzyżyk tam, gdzie siedziałam. Obok utopionej kobiety. - Zadrzała. - A na gałęzi wisiało to. - Wyjęła z kieszeni spodni wiszących na krześle kawałek drewnianego różańca.

15

- Kochana, jakbyśmy mieli każdy śmieć z okolicy analizować, toby cały budżet poszedł w paszczę - wyjaśnił Karak, oglądając dowód rzeczowy, który mu przyniosłam. O ile w poprzedni wieczór zgrywał twardego glinę z amerykańskiego serialu, to dziś rano, kiedy znowu

96

do niego trafiłam, zmienił się w znudzonego systemem urzędnika z posterunku. - Analiza każdego pęta w promieniu stu metrów od miejsca znalezienia ciała to tylko w Ameryce. I też raczej w filmach - dodał. - U nas

po bożemu i po polsku: przeszukiwanie rejestrów osób zaginionych, sekcja zwłok, przesłuchania. Może się coś wykluje, choć na mój nos to samobójstwo.

- Samobójstwo?! Przecież była zgwałcona!

- Haniu, Haniu. Wyobraźnia cię ponosi. Masz romans również z patologiem z Garwolic? - Przysunął się i spojrzał mi namiętnie w oczy. Wzdrygnęłam się, choć wcale nie znalazł się bliżej niż wtedy, w pubie. - Od razu wiedziałem, że gorąca z ciebie dziewczyna.

- Zgwałcili ją czy nie?

- Nie. Spokojnie, już nie myśl o gwałtach. A tak w ogóle, to rozumiem, że to pretekst, co? Mogłaś mnie poczęstować tą potrawką z kiełbasą, to sam bym dzisiaj do ciebie przyszedł.

Popatrzyłam na jego złożone na biurku dłonie. Usta zaczęły mi się odruchowo układać w grymas obrzydzenia, więc wstałam i wyszłam.

Nie nadawałam się na detektywa amatora. Na nikogo się nie nadawałam. Ani na matkę, ani na nauczycielkę, ani nawet na koleżankę z pokoju nauczycielskiego. No, może na kobietę leżącą w łóżku i czytającą kryminały. Biblioteka była nadal jednak zamknięta, z powodu zniknięcia Ewy Maliwy, więc musiałam zadowalać się kupowanym w kioskach chłamek, który jednak skutecznie głużył myśli i przenosił w lepszą rzeczywistość. Nie, w jaką lepszą, raczej w taką, w której grasowali seryjni mordercy działający według swoich zasad. Bo w tej innej rzeczywistości obowiązywały zasady.

97

W mojej natomiast wszyscy, od Miśki, przez Maksa, po moją dyrektorę, okazywali się kompletnie nieprzewidywalni.

Nie byłam w stanie usiedzieć w pokoju nauczycielskim. Przez parę dni próbowałam, ale potem wszystkie ciuchy nadawały się do prania, totalnie przesiąknięte irytującą wonią dymu tytoniowego. Nie umiałam się skupić na prowadzeniu lekcji, pachnąc jak używana popielniczka.

Tego dnia postanowiłam wdrożyć nową politykę: po którejś lekcji zostałam w klasie. Jednak nie wszystkie dzieciaki wytoczyły się na podwórko; część stała z tyłu i rozmawiała przyciszonymi głosami. Wyraźnie im przeszkadzałam. No, dobrze, wyszłam. Z końca korytarza miałam widok na sklep spożywczy U Janiny i rosnący wzdłuż szosy szpaler akacji. Szeroko otworzyłam okno i wdychałam woń butwiejących na podwórku liści.

- Szcześć Boże - usłyszałam cichy kobiecy głos. Odwróciłam się. Korytarzem przemykała zakonnica w czarnym habicie. Religii uczył tu nie ksiądz, lecz sio-

stra katechetka, której dotąd nie widziałam w pokoju nauczycielskim. Może też nie lubiła dymu? Wchodziła do szkoły takim dziwnym krokiem: szybciutkim, ale drobnym, jakby kogoś przedrzeźniała, odbywała lekcje i znikwała. Gdzie spędzała przerwy? Nikt jakoś specjalnie się tym nie interesował.

- Dzień dobry. - Przystanęła obok. Była młoda, wyblakła (pewnie się nie malowała), a jej szare oczy wpatrywały się we mnie badawczo, jakby na coś czekały.

- Szczęść Boże - zreflektowałam się w porę. - Jestem nową anglistką. I mamą Michaliny Cudny.

98

Zastanawialiśmy się z Miśką, czy ma chodzić na religię, skoro nie bywamy w kościele. Ale młoda uznała, że zrobi jak wszyscy tutaj. I tak się czuła kompletnie wyobcowana.

- Michalina? Słodka dziewczynka! - wykrzyknęła siostra. Trochę mnie zaskoczyła tym wybuchem entuzjazmu, bo choć Miśka ma wiele zalet, to słodczy bym stanowczo do nich nie zaliczyła.

Siostra właśnie zapinała czarny sweter, jednak niedostatecznie szybko, bym nie zauważyła drewnianego różańca, który wisiał u pasa. Drewniane paciorki zostały na chybicka połączone drutem; u dołu dyndał mały pasujący do reszty krzyżyk.

Dużo lepiej pasowałby ten, który miałam w torebce.

- A z różańcem siostry co się stało? - spytałam.

Zaczerwieniła się.

- Gdzieś się zadział. Ale już zamówiłam nowy, ksiądz proboszcz przywiezie mi z diecezji. Pani też nie pali?

- Ano nie.

Przez chwilę poczułam porozumienie ponad podziałami.

- No to niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

- odezwała się nagle siostra i nie czekając na odpowiedź, podyrdała w swoich cichostępach ku wyjściu.

16

Kiedy wróciłam do domu, Maks siedział przed laptopem rozłożonym na kuchennym stole. Bogu dzięki, że był w domu, nie w stodole. Coś bąknął na moje „dzień dobry”, nie odrywając oczu od monitora. Cztery klawisze na przemian, więc raczej grał, niż przeglądał

99

pornostrony. Dobre i to. Ciekawe, czy w wieku trzynastu lat już się masturbuje? Chyba jeszcze na to za wcześnie? Choć z drugiej strony na sedesie spędza naprawdę długie dziesiątki minut. Nie znalazłam jednak w okolicach łazienki niczego innego niż komiksy o Kaczorze Donaldzie. Czyżby tak go podniecała frywolna kaczuśka Daisy?

-Jadłeś?

-Mhm.

- Ale gulasz nieruszony.

- Zapiekankę przy stacji. Z chłopakami.

- Zatrujesz się kiedyś.

-Mhm.

- Sałatę chociaż zjedz. Gdzie jest Misia?

- Na podwórku. Chyba.

- Nie wiesz, gdzie jest twoja siostra? Przecież mieliście wrócić razem ze szkoły.

- Wróciliśmy. Ale gdzieś poszła.

Wybiegłam z mieszkania.

- Misia! Miśka!

Cisza. Przerazająca cisza. Aż w końcu małe łup, jakby upadło coś ciężkiego lub jakby ktoś skoczył z wysoka.

Przybiegła!

- Gdzieś ty siedziała?

- W mojej tajemniczej kryjówce. Top secret! Lecę z powrotem!

I wspięła się na dach letniej kuchni.

- Zaraz obiad! - zawołałam za nią.

- Nie jestem głodna! - odkrzyknęła.

Wróciłam więc do domu, by objechać Maksa, ale zrezygnowałam. Nic się nie stało, młoda bawi się na podwórku i tyle. Nie ma co popadać w paranoję.

100

Wstawiłam gulasz. Młody zabijał kogoś na laptopie jak w transie. Przecież to nie ja kupiłam mu tę grę. Nic takiego bym nie zrobiła, choć powoli traciłam kontrolę nad wszystkim. Miałam nadzieję, że nie ogarnia go depresja. Miałam nadzieję, że w niczym nie jest podobny do swego ojca, no może poza tym chmurnym spojrzeniem spod długiej grzywy.

Jak spytać dziecko, czy nie ma depresji? Z tego, co pamiętałam, cały okres dojrzewania był jedną wielką depresją. A może stuknąć Maksa w plecy, wyrwać z transu i zaproponować spacer czy rower? Nie, lepiej nie zostawiać Miśki samej. Jeśli i ją bym zabrała - bez sensu, młody nie otworzyłby się za skarby świata.

Usiadłam obok schowanego za laptopem syna, stawiając na stole sałatę i garnek z gulaszem.

- Zjedz ze mną, będzie mi milej.

- Oj, mamoo!

- Mogę jeszcze odgrzać kopytka.

- Nie jestem głodny. Już mówiłem.

Przynajmniej posiedzimy obok siebie. Może nawet porozmawiamy? Maks sprawnie zabił trolla maczugą.

Gruch, plask, plask.

- Maksie?

-Mmm?

- Znasz Łukasza Maliwę?
- To ten świr z drugiej ?
- Świr?
- Tak mówią. Ja z nim nie gadałem.
- Nikt chyba z nim nie gadał w tym roku szkolnym.
- No właśnie, dziwny jest.
- W sensie?
- W sensie, że wkurwia wszystkich. Pardon. Wkurza.

101

Dobrze, że miał jeszcze jakieś skrupuły. Ale w końcu ja też czasami używałam słowa „wkurwiać”. Dlaczego więc nie Maks?

Bo jest jeszcze dzieckiem, ot co.

Przyjrzałam się mocnym nadgarstkom wystającym spod koszuli. Jakie z niego dziecko?

- A jak tam w szkole?

Wyłączył laptopa i wstał.

- Oj, mamó. Wszystko okej.

- Dokąd idziesz?

- Stodoła.

- Maks, nie można tak żyć.

- Oj, mamó! A ty wiesz, jak żyć?

I wyszedł.

MISKA

17

Za supermarketami niespecjalnie tęskniłam, zawsze był tam hałas, tłum ludzi, kolejki i zdenerwowana mama. Tutaj w okolicy na szczęście nie było żadnego supermarketu, za to raz w tygodniu do Garwolic zjeżdżał bazar. Ludzie sprzedawali rzeczy ze stolików, a nawet z ciężarówek. Tylko tłum dorównywał temu ze sklepu. Może nawet był większy.

Mama stała i oglądała obrazy, które jakiś wąsaty pan rozłożył na masce samochodu.

- A ten ile kosztuje? - spytała.

- Mamó, chyba tego nie kupisz! To jest brzydkie! - jęknęłam. Nie chciałam, żeby Jezus z wylupiastymi oczami patrzył na nas bez przerwy ze ściany. Jakby nie dość było podobnych obrazów w tej drugiej połowie domu!

- Miśka, ale zobacz, jaki ten Jezusek jest pięknie pomalowany! Różowe policzki, czerwone usteczka, niebieskie oczy. To się nazywa kicz.

- Obrzydliwe. Mamó, przestań się wygłupiać.

- To nieładnie mówić, że Jezus jest obrzydliwy - syknął sprzedawca i zrobiło mi się nieprzyjemnie. Musiałam nas bronić, mamy i siebie.

103

- Nie mówię o Jezusie. Mówię o tym obrazie - odpowiedziałam, a pan tylko coś bąknął, że jak się nie podobą, to nie ma przymusu kupowania. Mama już go o nic

nie pytała, tylko od razu zabrała mnie na lody. W kubku z wodą, w której pani lodziarka maczała łyżkę, pływały dwie muchy, przy czym jedna miała jeszcze nadzieję, że przeżyje.

- Może wolisz herbatniki? - spytała mama.

- Obiecałaś lody.

- Módlmy się, żebyś nie dostała salmonelli - westchnęła.

- Weź lepiej taki opakowany, z lodówki, okej ?

- Kup i Maksowi - wpadłam na pomysł.

- Przecież nie dowieziemy.

- On taki smutny ostatnio.

- Też zauważyłaś?

- Nie przejmuj się, mamó. On ma okres dojrzewania.

Jak dojrzeje, to się rozweseli.

- Myślisz, że tęskni za Warszawą?

Wzruszyłam ramionami. Ja też tęsknię. Ale za to mama jest tu weselsza niż tam. A ona jest najważniejsza, bo na niej się wszystko opiera.

Wracałyśmy na rowerach, słońce świeciło nam w plecy, wiatr owiewał twarze. Nagle poczułam szczęście, że tak jadę z mamą, ptaki śpiewają i jest ładnie, choć zieleń już próbuje stać się jesienna.

Znienacka ptaki zaczęły krzyczeć i jakąś opętaną chmarą przeleciały nam nad głowami. Na poboczu stał pan od wufu, pochylony nad swoim motocyklem, i coś przy nim majstrował. Usiłowałam jechać dalej, tak wesoło jak przedtem, mama jednak raptownie zahamowała i zatrzymała się. Pan spojrzał na nią i wyglądało mu się zmarszczone czoło.

104

- Masz klucz francuski?

Mama podała mu zestaw kluczy z torebki pod siedelkiem.

- Jak się czujesz? - Tym razem pan od wufu spojrzał na mnie.

- Rano mnie trochę gardło bolało - powiedziałam, zgodnie z prawdą.

- Nie o to mi chodzi. Doszłaś już do siebie po tym?

- Doszła. Porozmawiała z Karakiem i zrobiło jej się lepiej, prawda, Misiu? - Mama pogłaskała mnie po ramieniu. Minął nas jakiś samochód. Całe szczęście, że pobocze było tu szerokie. Ciągłe nie mogłam się przyzwyczaić do tych jezdni bez chodników.

- Byłyście u Karaka na posterunku? - spytał pan Rutkowski, dokręcając jakąś brudną śrubkę.

- Też. Ale potem przyjechał do nas - wyjaśniła mama.

-A po co?

- Przesłuchać Misie. Zgodziłam się. I w sumie dobrze, naprawdę jej pomogło, kiedy wyrzuciła z siebie

to wszystko. Prawda, mała?

Przytuliłam się do mamy. Nie chciałam myśleć o tym, ale już się nie trzęsłam na samo wspomnienie.

- On nie prowadzi tej sprawy. Zaraz po sekcji zajęli się nią kryminalni z województwa - powiedział, zniżając głos. - Przyjedzie prokurator i w ogóle. Karak jest tylko posterunkowym z gminy, przecież nie będzie prowadził śledztwa. Szukał pretekstu, żeby do ciebie przyjść, i tyle.

Przestraszyłam się. Tamten policjant mi się podobał, od razu wiedział, co robić z martwą kobietą w stawie. Kazał się odsunąć, zaczął dzwonić, organizować. Ale

105
teraz się okazuje, że jednak nie jest tak dobry, jak myślałam. Mama patrzyła na pana od wufu i nie wiedziała, co powiedzieć.

- Pojedziemy już? - spytałam.

Pan jeszcze coś za nami wołał, ale obie z mamą przyspieszyłyśmy i umknęłyśmy. Z panem Rutkowskim został tylko zestaw kluczy rowerowych mojej mamy.

18

Po lekcjach padało, więc poszłam do sklepu wielobranżowego U Janiny, w którym wcale nie pracowała pani Janina, co mi wyjaśniła sama, zaraz potem, gdy powiedziałam: „Dzień dobry, pani Janino”. Sklep czynny był przez wszystkie dni do szesnastej, z wyjątkiem środy, tak napisano na tabliczce. Kiedy spytałam panią sprzedawczynię, co robi w środy, powiedziała, że się drapie w tyłek. Fajnie się z nią rozmawiało, bo nie musiałam myśleć. A dużo było tych tematów, o których nie chciałam myśleć. Coraz więcej.

Przedwczoraj wieczorem mama siedziała w kuchni z panem od wufu, bo przyjechał, żeby zwrócić narzędzia. Mama go od razu poprosiła, żeby pomógł jej przenieść lustro z drugiej połowy domu, o co przecież chciała przedtem prosić Maksa i pana Materka. Lustro wisi nieużywane, ogromne, w pięknej ramie, i się marnuje, powiedziała mama, a właściciel nie miałby na pewno nic przeciwko temu. Otworzyła więc po raz pierwszy od dawna drzwi oddzielające drugą połowę domu. Chciałam tam zajrzeć, ale mama nie pozwoliła, powiedziała, że nabłocę. Nie to nie. Jakby pan Rutkowski wcale nie błocił! Przenieśli więc to lustro,

106

stękając, a potem, zamiast iść, pan Rutkowski został na herbacie.

W domu miałam nie myśleć o szkole, ale przez to, że pan od wufu siedział u nas, dom i szkoła nagle się pomieszały. Z werandy słyszałam, jak gadają i śmieją się w kuchni, mama wyjątkowo głupio, i czułam się tak

bardzo z boku, jak to tylko możliwe. A Maks? Maks zaszył się w swojej stodole i robił tam nie wiem co, w każdym razie po ciemku. Nic z zewnątrz przez szpary nie było widać, a muzyka, która stamtąd dochodziła, była potwornie dołująca.

- Skąd decyzja, żeby przyjechać akurat tutaj? - pytał pan Rutkowski.

- Szczerze czy nieszczerze? - Zaśmiała się mama, chociaż przecież nie było z czego.

- Może być nieszczerze. - On też zachichotał. - Byle dowcipnie.

- A więc kocham młodzież i chcę dzieci ze wsi nauczyć dobrze angielskiego. - Mama śmiała się tak, że aż jej podskakiwały policzki i ta luźna skórka pod brodą, co dobrze widziałam przez okno.

-A szczerze?

- A to już bardziej intymny temat, jeśli pozwolisz.

A Świątkowice wybrałam, bo przyjeżdżałam tu na wakacje jako dziecko. Miło wspominałam te strony.

- Nie pamiętam cię, a przecież jestem stąd.

- Poczytam to za próbę komplementu. Ruta, ja jestem sporo od ciebie starsza. Jak tu przyjeżdżałam, to pewnie jeszcze ptaszki o tobie nie ćwierkały.

Zamilkł.

- Ale ty też wróciłeś po studiach. Więc te Świątkowice coś w sobie mają, prawda?

107

- Ja to co innego. Urodziłem się tutaj. Zależy mi na tych stronach.

- To znaczy?

- Tu jest naprawdę dużo do zrobienia. I ja chcę to zrobić.

- Fajnie, że tak mówisz - powiedziała mama i wpatrzyła się w pana jak w szarlotkę, kiedy się odchudza. Wrzasnęłam, że idę w moje sekretne miejsce, aż podskoczyli od nagłego hałasu, po czym zawinęłam się w koc na dachu letniej kuchni i czytałam książkę o dzieciach z Bullerbyn, póki nie zrobiło się ciemno. Na tamtej wsi z książki było zupełnie inaczej niż u nas. Wolałabym być tam i przez chwilę nawet byłam, do momentu, kiedy pan od wuefu wyszedł z naszego domu. Stali jeszcze na werandzie i gadali półgłosem, więc nic nie słyszałam. Dlaczego mama nawet nie sprawdziła, czy siedzę tam, gdzie mówiłam? Jestem małą dziewczynką i powinna mnie co jakiś czas sprawdzać. A wyglądało na to, że obchodzi ją tylko wuefmen i jego hi, hi, hi.

Nie, nie zejdę z tego dachu, postanowiłam, spędzę tu całą noc, i zobaczymy, kiedy ona się zaniepokoi. Mama odprowadziła pana od wuefu do samochodu i dopiero wtedy przypomniała sobie, że ma córkę. Już od furtki

krzyknęła:

- Michalina!

Nareszcie.

Znowu spałam z głową pod kołdrą. Obudziłam się w środku nocy, spocona od duchoty. Działo się coś dziwnego, czułam to wyraźnie. Podniosłam kołdrę. Wstałam. Przeszłam się po ciemnym domu. Tak, chodziło o lustro, które przeniósł wuefmen. Spojrzałam na nie i zaraz się odwróciłam. Brr. Przesuwały się w nim jakieś cienie,

108

jakby coś pod skorupką ze szkła się kręciło i próbowało wyjść, przejść do naszego świata. Ale to nie było jedyne zamieszanie, jakie słyszałam. Dookoła mnie też coś hałasowało, stukano, jakby ktoś przesuwiał się we wnętrzu ściany. A na podwórku zaskrzypiała furtka. Raz - jakby ją ktoś otworzył, dwa - jakby ją przymknął. Myślałam, że na noc mama zamyka furtkę na kluczyk. Widać zapomniała w tym całym zamieszaniu z panem od wuefu. Niech to będzie kot Materków, modliłam się. Strasznie się bałam podejść do okna, ale w końcu to zrobiłam. Nie, to nie był kot. Od furtki ktoś szedł. Maks? Ale przecież Maks był w stodole. Nie, ten ktoś był dużo od Maksa wyższy. Zbliżał się do domu. Zaraz naciśnie kłamek! A drzwi, czy mama pamiętała, żeby zamknąć na klucz drzwi od mieszkania? Ciemny kształt minął jednak wejście i podszedł do domu z boku, do tej części, której mieliśmy nie używać. Podważył czymś okiennicę, a ona się posłusznie otworzyła. Lekko skrzypnęła. Rozejrzał się, a ja od razu cofnęłam się za firankę i zamknęłam oczy. Kiedy je znowu otworzyłam, intruza nie było widać. Wiedziałam, że powinnam zawołać mamę, nie mogłam jednak się ruszyć, jakbym zastygła. Otworzyłam usta, ale nie udało mi się nawet zachrypieć. Nocny gość wysunął głowę przez okno, rozejrzał się, czy nikt go nie widzi, i ściskając coś pod pachą, wyskoczył z powrotem na podwórko. Przymknął okiennicę i przez furtkę ulotnił się z naszego życia. Kiedy znowu odzyskałam zdolność chodzenia, od razu poszłam do mamy. Sapała przez sen, skulona jak kotek, i nie miała pojęcia, że po naszym podwórku chodzą obcy ludzie. Lepiej, żeby o tym nie wiedziała; mało ma zmartwień? Wyrzałam przez okno. Na podwórku było pusto, ale w każdej chwili znowu ktoś mógł wejść.

109

Wymacałam w kuchni klucz na haczyku, poszłam do sieni i uchyliłam drzwi wejściowe.

- Maks! - zawołałam w kierunku stodoły. - Maks!

Staralam się za bardzo nie hałasować, żeby nie obudzić mamy. No i w rezultacie Maksa też nie obudziłam.

W szafce przy liczniku stała latarka. Włączyłam ją i błysnęłam w stronę stodoły.

- Maksie, błagam cię, chodź tutaj!
- Ty też, dziecko, spać nie możesz? - odezwał się ktoś z ciemności, aż wrzasnęłam i podskoczyłam. Głos dobiegał od strony furtki. Od razu skierowałam latarkę w jego stronę.

Tuż przy naszym płocie stał dziadek od Materków; głowa mu się chwiała ze starości.

- Nie świeć mi w oczy - powiedział. - Nerwowe jakieś te warszawiaki.

Omiatałam światłem okolice płotu. Chyba był sam. Czy to on włamał się do drugiej połówki domu?

- Widział go pan?

- Kogo, dziecko?

- Tego, co do nas wchodził?

- Bywa tu u was tych gości. Dzisiaj też.

- Ale tego, co teraz wyszedł.

- A bo to ktoś wychodził? - powiedział stary i mlasnął, jakby coś jadł. A przecież widziałam, że ma puste usta.

U Materków trzasnęły drzwi.

- No, czas na mnie - powiedział staruszek i odkleił się od płotu. - Zamknij drzwi i idź do łóżka, bo jeszcze jaki duch albo wilkołak cię porwie. Kto wie, co tu w tym lesie po nocy biega - dodał i zaśmiał się ochryple, a mnie przeszedł dreszcz.

19

Kiedy w końcu zasnęłam, spadłam w jakąś czarną przepaść bez snów, przez co następnego rana wypełzłam spod kołdry dopiero koło jedenastej. I dobrze, po to się przecież ma niedzielę. Słońce świeciło sobie bez troski za oknem, odbijało się w tym dużym lustrze, które teraz wyglądało na zwyczajny stary rupieć. Za dnia wcale nie bałam się w nie patrzeć, ale też i niewiele było widać. Pełno na nim było szarych i czarnych plam, wśród nich ledwie pojawiło się odbicie mojej powyciąganej piżamy i zagiętych z jednej strony kosmyków włosów. Twarz zaślaniała plama.

W kuchni Maks żuł chleb i gapił się w ścianę, zamiast, jak zwykle, w komiks.

- Maksie, wiesz, ja wczoraj chyba widziałam coś dziwnego. Właściwie nie wczoraj, tylko w nocy - zaczęłam. Spojrzał na mnie dziwnie. - Znaczący możesz myśleć, że mi się śniło... - ciągnęłam.

- Nie mam czasu - warknął i tyle było z tej rozmowy.

Przełknął chleb, po czym polazł do siebie, czyli do stoły. A mama? Leżała sobie, biedulka, w łóżku i czytała jakąś książkę z okładką schłapaną namalowaną krwią. Wstała na chwilę, żeby zrobić mi śniadanie, i znowu zniknęła pod kołdrą. Śniadanie nie było za dobre, niestety, miałam już dość tej jajecznicy.

Wymknęłam się na dwór. Było jeszcze chłodno, a trawa mokra, ale słońce dzielnie świeciło, i w ogóle nie wyglądało na to, żeby w nocy mogło się tu dziać coś straszego. Za ładnie. Kontrolnie podeszłam jednak do drugiej części domu. Okiennice były przymknięte,
111

a szparka między nimi naprawdę nieduża. Spróbowałam którąś otworzyć, ale nie chciały nawet drgnąć. Mogłam zapomnieć o swoim głupim śnie i wracać do pokoju. I dobrze, bo gdyby naprawdę ktoś tu się kręcił w nocy, a ja byłabym jedyną, która to widziała, wszystko by mnie przerosło. Miałam przecież dopiero sto czterdzieści centymetrów wzrostu i odpowiedni do nich mózg i charakter.

Wróciłam do sieni i nacisnęłam klamkę drzwi, które prowadziły do drugiej połowy domu. Zamknięte. To mnie zezłościło. Znowu wyszłam na podwórko. Wspięłam się na palce i zajrzałam do tamtego pokoju. Przez szparę między okiennicami niewiele było widać. Raz - że szyba brudna, dwa - że odbijało się w niej słońce, co świeciło jak głupie. Przytargałam metalowe wiadro, postawiłam do góry nogami i wdrapałam się na nie. Przytknęłam twarz do szpary w okiennicach i osłoniłam oczy dłońmi. W ciemności widziałam tylko niewyraźne zarysy mebli. Udało mi się wsunąć głowę głębiej, aż dotknęłam czołem szyby. I nagle - okno ustąpiło pod naciskiem czoła. Ze środka buchnął dziwny zapach, coś jakby starego człowieka. A może kurzu? W smudze światła wirowały liczne drobinki pyłu. Na parapecie leżało trochę brudu. Piasek czy ziemia? Ktoś tu jednak nabłocił. Ciekawe kiedy?

W rogu pokoju stała ciemna szafa. Obok niej wisiał obrazek z aniołem, który wyglądał, jakby chciał zepchnąć dzieci z kładki do wody. Ściany nie były białe, jak w naszej połowie, wyglądały raczej na ciemne, chyba ciemnoniebieskie, może szare, nie miałam pewności w tym świetle; zdobione różnymi wzorkami. Dopiero po chwili zauważyłam, że wzorki układają się w dziwne
112

twarze. Twarz obok twarzy, twarz obok twarzy... Oczy miały niewyraźne, za to usta... Usta otwarte. Jak do krzyku. Obok wisiał obraz z blond Jezusem na krzyżu. On, co gorsza, nie krzyczał, choć na krzyżu na pewno powinien, z tymi zakrwawionymi rękami i nogami, poprzybijanymi gwoździami, za to wlepił we mnie błękitne załzawione oczy.

Usłyszałam jakiś dźwięk, jakby oddech. Cofnęłam głowę, ale zaklinowała się między okiennicami. Łup, ale się grzmotnęłam! Boże, a jak ja tej głowy już stąd nie wyjmę? Nigdy? Sapanie stało się szybsze, aż wreszcie

uświadomiłam sobie, że to ja wydaję taki straszny odgłos. Wstrzymałam oddech. Cisza. Przekrzywiłam głowę i delikatnie wysunęłam ją spomiędzy okiennic. Uff, światło. Powietrze. Stałam jeszcze chwilę na wiadrze, żeby mi się uspokoiło w głowie, po czym zeskoczyłam na trawę.

20

Tak, z Maksem właściwie nie miałam żadnego kontaktu. Wchodził. Jadł. Wychodził. Mileczał. Coś odwar kiwał, jak mu mama mówiła „dzień dobry”. Mama ustaliła, że mamy jeździć razem do szkoły, rowerami, bo ona często zaczynała dopiero po drugiej albo trzeciej lekcji. Ale, choć startowaliśmy razem, Maks pędził, jakby go demony goniły.

- Trzymaj się za mną, bo znowu mama będzie krzy czeć! - wrzeszczał czasem i nawet się potem nie odwra cał, więc zostawałam daleko, daleko w tyle i tylko się modliłam, by nie stracić z oczu widoku jego pleców. Kie dy doganiała mnie Sabrina, robiło mi się trochę różniej.

113

Na szczęście się nie odzywała, więc jeździliśmy obok siebie w milczeniu.

Maks wydawał mi się dorosły i męski, więc bardzo mnie zaskoczyło, że w szkole trochę się z niego śmie ją, że mięczak. Może on nie wiedział, że przez ten płot to z naszego boiska naprawdę było sły chać wszyst ko, co się dzieje w gimnazjum. Oni się tam ciągle bili, na przerwach i po lekcjach. Darli się i klęli. Widziałam, że Maks nie chce się bić. Mówili mu, że jest baba, obraź liwym tonem, jakby to była najgorsza rzecz na świecie. Wyglądało, że gadanie o babie go boli. A jakby mnie ktoś nazwał chłopem, tobym olała, bo niby co takiego? Maks wracał struty do domu. Wiedziałam, że sika na stojąco, więc babą być nie może, lecz przewisko wyraźnie go martwiło. A jeszcze bardziej go bolało, kiedy mówili, że jest pedałem. Pedał to osoba, która kocha osoby tej samej płci. Czy kochanie kogokolwiek może być obraź liwe? Chciałabym móc z kimś o tym porozmawiać.

I tak wyglądały nasze poranki. Jeden pamiętam szcze gólnie wyraźnie. Kiedy przypięliśmy rowery i każde we szło na podwórko swojej szkoły, popatrzyłam na Maksa przez płot. Tego dnia zauważyłam, że mój brat nie tylko zachowuje się, ale i wygląda coraz dziwniej. Obok prysz czy zaczęły porastać go włosy. Pod pachami, na nogach, na twarzy. Cały taki włochaty jak zwierzę się zrobił. Wy glądał jak obcy i żył jak obcy, jakby przyjechał tu tylko na chwilę z Kosmosu i nie chciał się wcale zadomowić. Poprzedniego wieczoru dzwonił do tego Kosmosu i darł się tak, jakby chciał, żeby go na Marsie usłyszeli. A teraz szedł dziwnym krokiem, jak nie z tego świata. I chyba

nie tylko ja to zauważyłam, również ci faceci z jego szkoły; cała grupka siedziała przy chodniku prowadzącym
114

do wejścia. Byli duzi i mieli dość głupie twarze. Obsta-
wiałam, że są chyba z jego klasy. Rechotali. Maks nie
zwrócił na nich uwagi, a wtedy jeden szarpnął go za nogę
z tyłu. I mój brat się przewrócił. Leżał zaskoczony, jakby
nie mógł uwierzyć, że nagle znalazł się w tej pozycji.
- Warszawiak, nie umiesz chodzić po naszych chod-
nikach? - zarzeli.

Wyglądało, jakby Maks chciał coś powiedzieć, ale
dobrze, że tego nie zrobił, bo tylko by ich rozdrażnił.
Wstał, lekko kulejąc, zaczął iść, ale jeden z nich ponow-
nie szarpnął go za nogę. Maks znowu leżał.

-Jednak nie umiesz chodzić! - rechotali. - I co, po-
skarżysz się mamie? Na kogo? Lepiej się nie skarż, kapu-
siów tu nie lubimy jeszcze bardziej niż pedałów.

Nie podchodziłam do płotu, choć miałam ochotę na-
wrzeszczeć na tych chamów, ale rozumiałam, że pomoc
młodszej siostry w tej sytuacji nie byłaby dobra. Mam
nadzieję, że Maks też to rozumiał i nie uważał, że go
zdradziłam, nie podchodząc do niego, gdy leżał, oszoło-
miony przemocą, na asfalcie. Choć nie wiedziałam, czy
on w ogóle jeszcze pamięta, że jesteśmy jednej krwi.
Więc leżał tak na ziemi i oglądał swoje pięści, patrząc
pewnie, czy da radę odplacić tym idiotom. A ja sama
nie wiedziałam, czybym chciała, żeby oddał. Mama nas
przecież zawsze uczyła, żeby nie oddawać. Że cudza
agresja nie musi rodzić agresji w nas. Że poddanie się
gniewowi to jest wybór. I to zły wybór, bo wtedy cudze
zło zaraża.

Niech zaraża, uznałam, bo nagle uświadomiłam so-
bie, że chciałabym teraz zobaczyć, jak Maks powala ich
wszystkich jak Superman. Nic z tego. Mój brat faktycz-
nie był z Kosmosu, ale raczej z tych pajęczo-włochatych
115

dziwadeł z Marsa niż Supermanów. Te chamy też widać
doszły do tego wniosku, bo jeszcze chwilę porechota-
ły i zostawiły go na tym asfalcie. Dopiero wtedy Maks
wstał, otrząpał kolana i poszedł do szkoły. Chciałam biec
za nim, pocieszyć, ale byłam pewna, że nie przyjmie tego
dobrze.

HANKA

21

Łukasz nie pojawił się w szkole. Nikt z klasy nie
wiedział, co się z nim dzieje. Na moje pytanie rozległo
się kilka rechocików, po czym lekcja potoczyła się zwy-
kłym, mało satysfakcjonującym trybem. Wprawdzie
większości drugoklasistów wreszcie weszło do głów
What's your name? oraz Where do you come fromf, nie

przypisywałam tego jednak swoim zdolnościom pedagogicznym, lecz uporowi, z którym co lekcję tłukłam te pytania. Ciekawe, ilu zdań uda mi się ich nauczyć w tym tempie? Problem tkwił w tym, że raczej nie byli niezdolni, nie wszyscy w każdym razie, tylko angielski zupełnie ich nie obchodził.

- W Anglii na budowie i tak będę mieć polskiego majstra - huknął z tyłu jakiś tenorek.

- Jak się nauczysz angielskiego, to ty możesz zostać tym majstrem - skomentowałam od razu. Czy jednak trafiło?

Przez większość czasu miałam wrażenie, że to, co mówię, obchodzi głównie dwie dziewczyny, które co jakiś czas zadawały sensowne pytania. Okazało się, że czasem tłumaczą sobie z angielskiego teksty piosenek. Ta ładniejsza

117
chciała zostać piosenkarką. Can you sing, spytałam.

Czy umiesz śpiewać? Not yet, usłyszałam w odpowiedzi.

Za optymizm postawiłam plus przy jej nazwisku.

Na przerwie wyszukałam w dzienniku numer telefonu do Maliwów. Wystukałam go na komórce. Czekaliśmy długo, jednak nikt nie odbierał. Ot, tajemnica, albo kolejne posunięcie tajemniczego porywacza, który się wziął na tę rodzinę.

Do klasy wszedł Ruta. W białym podkoszulku i spodniach od dresu wyglądał młodziej od Maksa.

- To tutaj spędzasz przerwy? - zainteresował się życzliwie. - Szukałem cię, bo pomyślałem, żebyśmy dzisiaj...

- zawahał się. - Może byśmy...

Oblizął wargi. Błysnęły białe zęby.

- Nie mam czasu - ucięłam. - Po lekcjach idę sprawdzić, co się dzieje z Łukaszem Maliwą.

Byłam prawie pewna, że Ruta zaczeka na mnie po pracy. Kiedy więc odniosłam ostatni dziennik, schroniłam się w łazience. Pęknięte przez środek, wiszące trochę zbyt wysoko nad umywalką lustro dzieliło moją twarz na dwie asymetryczne części, które wydały mi się kompletnie różne. Nie chciałam nigdzie chodzić z Rutą, wzbudzał we mnie niepokój. No i ostatnio wolałam być sama.

Motocykl Ruty stał przypięty do słupka, ale jego samego na szczęście nigdzie nie było. Ruszyłam do Maliwów piechotą, zostawiając rower, bo nie było daleko.

Po przejściu kilkudziesięciu kroków nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że plecy przewierca mi czyjeś spojrzenie. Obejrzałam się. Na pustej drodze, gdzieś za drzewem, przy płocie, mignęła mi czarna postać w długiej kiecce. Książdz? Obejrzałam się ponownie.

Nie, nie książdz, on tak nie drepcze. I nie ma wokół

118
twarzy tego idiotycznego białego czegoś, przez co po-

liczki zakonnicy zawsze zdają się dwiema bułeczkami. Naprawdę idzie za mną? Jeszcze raz spojrzałam przez ramię. Drzew było mniej, a między nimi sylwetka w czarnej szacie. Drobny, szybki kroczek. Tak, to zakonnica, dyrdanie trudno było pomylić z czymś innym. Szłam jeszcze chwilę w swoją stronę, aż postanowiłam stawić czoła sytuacji. Siostra jednak gdzieś zniknęła, za to przed sobą zobaczyłam opartego o płot Rutę. Palił papierosa i nie odrywał ode mnie wzroku. Kiedy go mijalam, przydeptał ohydny peta i bez słowa do mnie dołączył.

Kiedy ostatnio kochałam się z mężczyzną? Musiało to być z moim świętej pamięci mężem, bo od ponad czternastu lat robiłam to wyłącznie z nim. Kiedy jednak po raz ostatni? Pewnie w jakąś sobotę albo niedzielę, bo w ostatnich latach rezerwowaliśmy weekendy na spełnianie małżeńskich obowiązków (celebrowanie bliskości lub realizację potrzeb seksualnych, niepotrzebne skreślić). A kiedy po raz ostatni miałam z tego przyjemność? Tego już w ogóle nie pamiętałam. Świętej pamięci mąż. Świętej pamięci przyjemność.

Szliśmy zaśmieconym poboczem, mijając kolejne wypielegnowane ogródki pełne jesiennych kwiatów o nieznanym nazwach. Ruta co jakiś czas popatrywał na mnie, a ja udawałam, że tego nie widzę. Po obu stronach drogi stały wielkie domy z pustaka, niektóre otynkowane, niektóre w trakcie, ogrodzone sztachetami przymocowanymi do ceglanych słupków, z podjazdami z kostki bauma i skalniakami lub chętniej - płotami z odlewanego betonu, pokłosiem lubiących szybki efekt początkowych lat naszego wieku. Domy były asymetryczne, zdobione

119
z nienacka łukami i tak zwanymi polskimi balkonami - bez barierek, ale za to z przywieszonymi doniczkami pełnymi surfinii. W osobnych zagrodach, a i niekiedy w tych samych, wypchnięte do przodu stały drewniane chaty o proporcjach, które tak ukochałam. Ustawiono je ślepych ścianami w kierunku południowo-wschodnim, by zapewnić wewnątrz naturalną klimatyzację. Wypełniali je babcie i dziadkowie na dożywocie, świadomi, że drewniane ściany ulegną dezintegracji równo z momentem ich pogrzebu. Tak sobie umrą we trójkę: dziadek, babka i chata.

Z naprzeciwka zbliżała się do nas dama z rudą trwałą, odziana w luźny szary płaszcz i płaskie buty. Wpatrywała się we mnie ciekawie i lekko postękiwała, bo pchała przed sobą wózek. Siedział na nim starszy mężczyzna o twarzy drapieżnego ptaka. Jego oczy świdrowały mnie na wylot.

- Ruta, znasz ich? - spytałam półgłosem.

Przystanął. Nie odezwał się, znowu ruszył, ale jakby wolniej, ostrożniejszym krokiem.

- Cześć, mamó, dzień dobry, tato! - zawołał rażno.

- Dzień dobry - zareagowała błyskawicznie.

Mama Ruty uśmiechnęła się do mnie.

- A więc to jest ta twoja nowa koleżanka z pracy

- odezwała się życzliwie. - Witamy cię, Haniu.

Już dawno nikt nie mówił do mnie od razu na ty.

- Pamiętasz mnie? - drażyła pani.

-Nie.

- Sklep przy stacji...

Wpatrywałam się w nią, ale nic mi się nie kojarzyło.

- Lody śmietankowo-truskawkowe. W papierku, takim srebrnym, z granatowymi napisami. Tylko my je mieliśmy.

120

Prywatna inicjatywa. - Coś mi zaczynało świtać. - Pamiętasz, jak zabrakło patyczków i pożyczyłam ci do lodów swoją łyżeczkę od herbaty?

- Pani Brygida?

Wtedy miała biały stylonowy czepeczek z falbanką na głowie, luźny biały fartuszek i ten sam miły uśmiech.

- Ile miałaś wtedy lat? Dziesięć? Jedenaście? - Patrzyła na mnie miło. - Dobrze pamiętam tamto lato. Byłam wtedy w ciąży z tym tu ancymonem. -I pogłaskała Rutę po głowie.

No tak. Różnica wieku została udowodniona.

- W takim razie musiałam mieć wtedy dwanaście lat

- powiedziałam i spojrzałam pani Brygidzie poważnie w oczy. Odwzajemniła spojrzenie, po czym pochyliła się do męża na wózk.

- Władziu, pamiętasz Hanię?

Nawet jeśli pamiętał, nie dał nic po sobie poznać.

Chyba że za znak rozpoznania można było uznać niteczkę śliny, która pojawiła się w kąciku jego wykrzywionych ust. Pani Brygida wyjęła chusteczkę i troskliwie wytarła mężowi wargi.

- Tatuś miał udar - wytłumaczył Ruta. - Lekarze nie dawali mu szans. Ale nie wiedzieli, że ludzie w Świątkowicach są zrobieni z dobrego materiału, prawda, tatuś?

- Nachylił się nad wózkiem i pogłaskał ojca po rękę.

Starszy pan wbijał swoje sępie oczy w przestrzeń.

- Na spacerek idziecie? - zagaiła pani Brygida.

- Do ucznia - odezwałam się od razu.

- Do Maliwów - uściśliliśmy z Rutą chórem.

- A co tam u nich? Nie radzą sobie bez matki?

- Właśnie idziemy zobaczyć, mamuś. - Ruta pocałował matkę w policzek i ruszyliśmy.

121

Fajny był z niego kochający syn. Tylko pozazdrościć.

- To na którą szykować obiad? - krzyknęła za nami

pani Brygida.

- Za godzinę będę - obiecał Ruta i poszliśmy.

Było mi trochę głupio. Kiedy bowiem Ruta pojawił się na świecie, ja już miesiączkowałam. Jeśli przyjdzie mi do głowy całować się jeszcze z kimś po pijaku, powinnam szukać w nieco bardziej zaawansowanej grupie wiekowej.

- Dzień dobry, Haniu - krzyknął ktoś spod spożywczego. Spojrzałam w tamtą stronę. Czapki uchylił jakiś starszy pan. Pewnie w moim wieku.

U Maliwów długo nikt nie otwierał, ale w końcu usłyszeliśmy zza drzwi kobiecy głos:

- Chwileczka!

Ewa wróciła do domu?

Ale to nie ona nam otworzyła, tylko jakaś inna postawna kobieta w średnim wieku.

- Dzień dobry. Myślała, że to pan Tomek - odezwała się. To musiała być jedna z tych zajmujących suterенę Ukrainek. Patrzyła na nas badawczo. - A pani i pan to kto?

- Jesteśmy nauczycielami Łukasza - powiedział Ruta.

- Zaniepokoił się, bo nie było go w szkole - dodałam.

- A wstał taki markotny, to pan Tomek mówi, że niech w domu zostanie.

- Pan Tomek jest?

- A poszedł.

- Dokąd?

- Ja tam nie wiem. W jakichś swoich sprawach, ale za niedługo ma być. Wie, że muszę wyjść, a mówił, żebym nie zostawiała Łukasza samego. Bo on źle się czuje.

122

- Możemy go zobaczyć?

-Ja tam nie wiem, pan Tomek nie kazał nikogo wpuszczać... - Przyjrzała się nam nieco podejrzliwie.

- Ale pana to ja znam!

- Z fundacji może? - podsunął Ruta.

-A może? To wejdźcie. Łukasz, twoi nauczycieli przyszli - oznajmiła ze sztucznym ożywieniem. Łukasz siedział za stołem, nad pełnym talerzem.

Kuchnia była czysta, na gazie pyrkotało jakieś mięso. Nie podejrzewałam chłopców o zrobienie takiego porządku, to raczej Ukrainki wzięły sprawy w swoje ręce.

- No i taki on, biednieńki. Ani nic nie powie, ani nic nie zje. No, Łukaszku, zjedz coś, zrób Marii przyjemność. - Poglaskała go po głowie. Nic. Wsadziła mu łyżkę do ręki i tak został.

- Ruta, ten dzieciak się nadaje do leczenia, przecież widzisz.

Ruta usiadł obok Łukasza. Ten spojrzał na niego i drgnął.

- No, Łukasz, dzień dobry.

Zero reakcji.

- Poznajesz mnie, prawda?

Młody patrzył na niego w milczeniu.

Łupnęły drzwi i do kuchni wpadł Tomek.

- A, dzień dobry pani. I panu - dodał, bo zauważył Rutę. Wyraźnie ucieszył się na nasz widok. - Marija, może pani lecieć, przepraszam, trochę się przeciągnęło. Nic nie zjadł?

- Sam pan widzi.

Zmartwił się, ale mimo to widać było, że porusza go nowa energia. Nie był już taki bierny i ospały jak poprzednio.

123

- Coś wiesz o rodzicach? - spytałam.

- Tak jakby. Wie pani, pojechałem do tatusia do pracy...

-No i?

- Ten urlop to nie on sam wziął. Nie. Powiedzieli mi, że drugiego sierpnia po prostu się nie pojawił w pracy. A na trzeci dzień zadzwoniła do nich mamusia i powiedziała, że ona przeprasza, ale jej mąż wyjechał do Irlandii i kazał ich zawiadomić, że bierze urlop na żądanie.

- Tak po prostu? Bez zwolnienia, bez niczego?

- No, mój tatuś był... Jest dyrektorem. W sumie, jak nie przyjdzie...

- Uwierzyli? - spytał Ruta.

- A pan nie? A pani?

- Sama nie wiem.

- Bo nie powiedziałem jeszcze wszystkiego...

Spojrzał na Łukasza. Młody coś miedlił w ustach. Zanurzył łyżkę w talerzu. Uff, nie było z nim jeszcze tak źle.

- Czego nie powiedziałaś? - ponownie odezwał się Ruta.

- Bo potem... Powiedziała mi jedna dziewczyna z fundacji, znaczy ta, co prowadzi fundację, bo tam jest jedna dziewczyna, że moja mamusia wypytywała ją tak, jakby nie była pewna, gdzie jest tatuś. Co ostatnio robił, co mówił. Rozumie pani, wychodzi na to, że mamusia wiedziała, że on nie wyjechał. W każdym razie nie do Irlandii, na zarobek. Mam potwierdzenie. Ja po prostu... Ja wiedziałem. Z nimi dzieje się coś dziwnego i ja ich znajdę. Oni by nas tak nie zostawili. Wiem to na pewno.

Spojrzałam na Łukasza, który siedział obok z dziwnie błyszczącymi oczami. Z sutereny wyszła kolejna Ukrainka, ale spojrzała na nas, na mnie, na Rutę, i szybko się

124

cofnęła. Przestraszyła się obcych? Może nie miała pozwolenia na pracę?

- Łukasz, proszę, przyjdź jutro do szkoły. Nie pogar-

szaj sytuacji. Ja... Ja w każdej chwili mogę ci pomóc, pogadać - mówiłam półgłosem. - Tutaj masz mój numer, dzwoń, kiedy chcesz. U nas wprawdzie kiepsko z zasięgiem, ale ja zawsze oddzwaniam. No, nie odpuszczaj. Rodzice się znajdują, a ty masz tylko jedno życie i powinie- neś je potraktować jak zadanie do wykonania.

- Mama by wolała, żebyś chodził do szkoły. Tata też

- dorzucił Ruta do mojej przemowy swoje trzy grosze.

Łukasz podniósł na niego oczy i przez chwilę zdawało mi się, że przemówi. W końcu jednak spuścił wzrok.

W przedpokoju Tomek podał mi rękę.

- Niech się pani o nas nie martwi. Damy radę.

Przez chwilę wydawał mi się wyższy, niż był.

I wyszliśmy.

Kazałam Rucie lecieć, żeby się nie spóźnił na obiad do domu. Poszłam kawalek w stronę szkoły, po rower, ale coś mi nie dawało spokoju. Wróciłam do Maliwów.

Otworzył Tomek.

- Chłopie, wam potrzeba pomocy. Z Łukaszem po- winien coś zrobić specjalista.

-Jaki specjalista? - zaniepokoił się Tomek.

- Nie wiem, lekarz może? Opieka społeczna?

-I co? A co oni mu pomogą? A jak go gdzieś zabio- rą? Do Tworek czy jak? Niech pani nigdzie nie dzwoni. Z nim już jest lepiej, ja się nim zajmę, i Marija, i inne Ukrainki. Niech pani nie dzwoni. Proszę.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Dzwoń, gdyby cokolwiek się działo. Dzwoń, bez obaw. I...

125

-Tak?

- I nie pozwalaj mu wagarować. Niech chodzi do szkoły. Dobrze?

Wsiadłam na rower i ruszyłam do domu. Moje dzieci już chyba zbyt długo siedziały same. Nacisnęłam mocniej na pedały, wrzuciłam wyższą przerzutkę. I nagle zaczęła dzwonić komórka.

Zeskoczyłam z roweru i wpatrzyłam się w ekranik.

Kto to, na Boga? Odebrałam.

- Pani? - odezwał się kobiecy głos.

- O co chodzi?

- Ja chciała porozmawiać. Ja jestem z Ukrainy, miesz- kam u pana Maliwy...

- Pani Marija?

- Nie, Anna. Ja mam taką sprawę...

- Chodzi o pracę?

- Jaka praca - zdenerwowała się. - Ja nie o pracy.

Ja muszę porozmawiać...

- Tak, słucham?

- Nie po telefonu. Ja bym się umówiła. Ja bym przyszła.

- Za pięć minut będę w domu. "Wytłumaczę pani, gdzie mieszkam.

- Ja dziś nie mogę. Jutro.

- Może pod szkołą? Kończę o czternastej.

- Pod szkołą nie. Przy kościele może...

- O czternastej? Proszę pani?

- Tak. Czternasta - powtórzyła i było po rozmowie.

Wskoczyłam na rower, by jak najszybciej zająć się wychowaniem dzieci. Miałam nadzieję, że - przynajmniej w przypadku Miśki - nie jest jeszcze za późno.

W domu, o dziwo, działa się nie najgorzej. Maks ugotował Miśce i sobie makaron, więc już nie skomentowałam

126

drobnostki, że nie wrzucił do gara trochę więcej, żeby i dla mnie wystarczyło. Cóż, nie można mieć wszystkiego. Zapaprana pomidorami ściana przy kuchence świadczyła, że nawet zajął się sosem; naczynia zostały grzecznie odniesione do zlewu. Pięknie. Maks siedział teraz za laptopem, a Miśka odrabiała lekcje. Idylla.

- Maks? Dzięki, synku. - I przytuliłam tę jego dużą głowę. Dawno nie mył włosów. Szybko też wykręcił się z uścisku. - A ty? Lekcje? Nie masz dziś nic zadane?

- Zaraz. Źle się czuję. Głowa mnie boli.

Przyłożyłam mu usta do czoła. Nie, nie miał gorączki. Dać mu aspirynę? Nie byłam do końca pewna, czy naprawdę się źle czuje, czy też udaje na mój użytek, bo nie chce mu się jutro iść do szkoły.

- A mówiłam, żebyś nie nocował w stodole?

Najeżył się. Stodoła była jego największą tutejszą miłością.

- A mówiłem, żebyś nie mówiła „a mówiłam”?

-Masz jutro jakąś klasówkę? - zaczęłam drażnić, w moim pojęciu całkiem delikatnie, ale nie docenił.

- Oj, mam. -I poszedł do stodoły, a ja wyskrobałam resztki sosu z patelni.

22

Następnego dnia po lekcjach już miałam jechać do domu, kiedy przypomniałam sobie dziwny telefon od Ukrainki. Cholera! Popędziłam pod kościół co rower wyskoczy i dałam radę. Spóźniłam się tylko pięć minut. Anny jednak nie było. Żadnej innej Ukrainki również. Już czy jeszcze? E, chyba poczekała. Na wszelki wypadek sprawdziłam kościół, ale drzwi były zamknięte

127

na głucho. Rozłożyłam sobie na murku testy, pierwsze w tym roku, i zaczęłam sprawdzać. Takie sobie. Ciągłe nie miałam pewności, czy wyniki świadczyły źle o inteligencji i wiedzy moich uczniów, czy też o moich kwalifikacjach jako nauczycielki. Każdemu ruchowi czerwonego długopisu towarzyszyły myśli: jaki to ma sens.

Ten nasz pobyt tutaj, te klasówki, to życie?
Kolejny test. Pierwsze pytanie: dobrze. Drugie: całkiem dobrze. Trzecie... Czytałam z rosnącym zaskoczeniem. Wszystkie odpowiedzi były, błędy w normie... Sprawdziłam nazwisko. Niemożliwe! Niemy i głuchy od początku roku Łukasz Maliwa napisał klasówkę na czwórke! Hura!, krzyknęłam w duchu. Hura! Podniosłam wzrok i zobaczyłam wpatrzony we mnie brązowe oczy. Tuż przede mną stał niewysoki łysawy facecik ze spracowanymi rękami, w których miętosił czapkę z daszkiem.

- Dzień dobry - odezwał się i uśmiechnął szeroko.

Brakowało mu górnej lewej czwórki.

- Dzień dobry. - Posłałam mu w rewanżu coś w rodzaju uśmiechu i wyciągnęłam następną klasówkę. Ale nie odchodził, stał jak wmurowany.

- Klasóweczki? - zagaił.

-Ano klasóweczki. My się znamy?

- Haniu, to ja, Rumcio. Rumcio z domu przy kościele. Nie pamiętasz?

- Rumcio? - Wciąż nie byłam pewna. Ta okrągła twarz i szczery uśmiech... - Rumcio. Graliśmy w karty w niedzielę pod kapliczką, tak? Zawsze siedziałeś na pieńku. Ucieszył się wyraźnie.

- Pamiętasz! Widzisz, wtedy w kawalerkę chodziłem i teraz chodzę. Nie chcą dziewczyny na wsi mieszkać,
128

szukają łatwiejszego życia. A ty wróciłaś. I nic się nie zmieniłaś.

Znowu się do mnie uśmiechnął. Mimo braków w uzębieniu uśmiech miał tak samo serdeczny jak dwadzieścia parę lat temu. Już wtedy mówili, że stary z niego kawaler.

-Nie smutno ci tam samej, na tej kolonii? Może chcesz, żeby ci drew narąbać?

- Radzimy sobie, Rumciu. Mam już dużego syna. I sąsiedzi pomagają.

- Wróciłaś, pamiętałaś o naszych Świątkowicach. I Rumcia pamiętałaś, znaczy mnie - cieszył się jak dziecko.

- Ano wróciłam.

- Nie będziesz jeszcze miała czterdziestu lat?

- Ano będę miała, Rumciu. Za dwa lata.

- Stare my wszystkie, stare - westchnął. - Ale mogłabyś udawać, że masz mniej. Taka ładna jesteś.

Ale nie nadaję się na żonę rolnika, pomyślałam.

Tym sposobem dopiero po półgodzinie, kiedy zrobiło mi się zimno w tyłek, zauważyłam, że Ukrainki Anny ciągle nie ma.

Zadzwoeniłam na numer komórki, z której wczoraj odezwała się do mnie kobieta. Ktoś odebrał od razu,

ale w słuchawce, choć się przedstawiłam, nawoływałam i pytałam, panowała cisza. Przez chwilę słyszałam cudzy oddech, potem połączenie przerwano. Spakowałam kłásówki. Rumcio nadal siedział obok mnie i pogwizdywał. - No, to do miłego, Rumciu. - Podałam mu rękę.

Miał ciepłą, szorstką dłoń. I wilgotne usta, którymi wycisnął na mojej dłoni mokrą pieczętkę.

Popedałowałam do Maliwów i dopiero kiedy znalazłam się trochę dalej od kościoła, wytarłam dłoń

129

w spodnie. O rany, tylko mi adoratora brakowało! Może trzeba było mu dobitniej pokazać, że nie jestem zainteresowana?

Naszym hasłem: „Raz dziennie w największym domu we wsi”, pomyślałam, stukając do drzwi Maliwów. Nikt jednak nie otwierał. Jeszcze raz zadzwoniłam na komórkę, z której wczoraj rozmawiała ze mną Anna. Dzwonek rozległ się gdzieś w głębi domu. Przyłożyłam ucho do drzwi. Nie, nie myliłam się. Komórka była w środku, ciekawe czy razem ze swą właścicielką? Przechodząca ulicą kobieta przyjrzała się uważnie, jak po raz kolejny wystukuję numer, po czym przytulałam ucho do drzwi. Zawstydziłam się i pojechałam do domu.

Dopiero wieczorem dodzwoniłam się do Tomka i poprosiłam do telefonu panią Annę, ale dowiedziałam się, że jeszcze nie wróciła z pracy. Zostawiłam wiadomość, żeby się odezwała, jak wróci, i szybko wyrzuciłam ją z pamięci, skoro i ona mnie wykreśliła ze swego programu dnia.

MIŚKA

23

Mama znowu gdzieś łąziła, więc byliśmy z Makssem sami. No i zaraz pojawiła się Sabrina. Przyszła z koszykiem pełnym zielska i chciała, żebyśmy nakarmiły króliki. Spytałam, czy rozumie, że im będą grubsze, tym szybciej zostaną zabite. Nie chciałam jej w tym pomagać. Nie zrozumiała, o co mi chodzi, a mnie się nie chciało jej tłumaczyć, więc powiedziałam, że mam coś do zrobienia w domu i zamknęłam drzwi. Stała jeszcze przez chwilę na werandzie. Pomyślałam, że jednak do niej wyjdę, ale kiedy już się zdecydowałam, akurat sobie poszła. No i dobrze.

Wróciłam do telewizora, który odbierał tylko dwa bardzo nudne programy. Seriale albo wiadomości z politykami ze skwaszonymi twarzami, prawie samymi facetami. Był jeszcze niby trzeci i czwarty program, ale śnieżyło i można było tylko słuchać, a nie oglądać. Naprawdę, ta kolonia Świątkowice leżała na samym końcu świata! Mama mówiła, że zamiast telewizora wystarczy nam komputer, przecież mamy dużo filmów

na płytach. No i programów edukacyjnych. Ale kiedy
131

słyszałam, że coś jest edukacyjne, to chciało mi się
tylko ziewać.

Wyłączyłam telewizor i usiadłam do komputera.

Mama, gdyby już była w domu, pewnie by mnie wy-
goniła na spacer, bo niełatwo było jej wytłumaczyć,
że nie ma gdzie łązić. Przecież wszystko w okolicy wi-
działam ze sto razy, a poza tym zrobiło się zimno i nie
chciało mi się wychodzić z domu. Z gier na kompute-
rze mieliśmy głównie pasjansa; nauczyłam się w niego
grać od Maksa jeszcze w wakacje. Najbardziej mi się
podało w pasjansie, że gdy się pojawiała sytuacja bez
wyjścia, to zawsze można było zacząć jeszcze raz, od no-
wa, wykonać inne ruchy i po problemie. Wystarczyło
kliknąć na „Powtórnie rozpocznij grę” i życie stawało
się prostsze.

Maks znowu gdzieś polazł, a mnie zachciało się jeść.
Zupa stała na kuchence, ale bałam się sama zapalać gaz.
I w ogóle się trochę bałam. Wcale nie było przyjemnie
siedzieć samej w domu, o którym ciągle nie umiałam
myśleć, że jest nasz. Już nawet Sabrina byłaby lepsza niż
ta pusta chałupa.

- Maksie! - zawołałam. Nie wydawało mi się, że mógł
mnie usłyszeć. I słusznie mi się wydawało, bo nie odpo-
wiedział. Pewnie siedzi w stodole, pomyślałam i posta-
nowiłam, że ja też trochę tam z nim posiedzę.

Ale w stodole nic się nie działo. Legowisko Maksa
w starym sianie, gdzie wymościł sobie gniazdo ze śpi-
wora i kilku koców, świeciło pustkami. Dotknęłam go
ręką. Zimne. Dawno nikt tutaj nie leżał. Przez szpary
w deskach stodoły ciągnęło. Nagle usłyszałam gruby
głos. Głos mojego brata. Podeszłam do wrót prowa-
132

dzących ze stodoły na łąkę. Tak, stał tam i darł się
do komórki.

- Nie wiem. Już nic nie wiem. Nie jestem pewny.

Przez ciebie nie jestem pewny... Jak to: nie twoja wina?!

- wrzeszczał mój brat do słuchawki, aż dziwne, że mu się
telefon od tego nie psuł. - Twoja! Skąd mam wiedzieć,
że nie jestem pedałem? Przez ciebie! Przez ciebie tak
się męczę! - milczał chwilę, po czym cisnął telefonem
w trawę i zwałił się na ziemię, jakby go ktoś podciął pod
kolanami.

Aż tu, do stodoły, docierała do mnie jego złość. Daw-
niej podeszłabym do niego, przytuliła albo rozśmieszyła.
Teraz bałam się poruszyć. Patrzyłam na niego, jak leżał,
z twarzą ukrytą w zimnej trawie. Płakał? Cichutko wró-
ciłam do domu, żeby poczekać na mamę.

Zorientowałyśmy się, że Maksa nie ma na amen,

dopiero gdy mama zawołała go na kolację. Co prawda nigdy nie przychodził po pierwszym wezwaniu, ale nie pojawił się również, kiedy mama jeszcze parę razy zawołała przez okno. Trochę wkurzona kazała mi więc iść po brata do stodoły. Ale tam go nie było, ani na łące za stodołą. I, co gorsza, okazało się, że brak również jego śpiwora i roweru. Koce i kołdrę zostawił. Leżały tam, rozciągnięte tragicznie jak ślady po ludziach w Pompejach.

Mama się załamała, zaczęła biegać, wołać, rozpaczać.

- Porwali go!

Wydała mi się wtedy strasznie dziecinna. Kto go miał porwać? I po co? Ze śpiworem i rowerem? Sąsiadka zza płota powiedziała:

133

- Ano wsiadł i pojechał, będzie parę godzin temu. Też się zdziwiłam, że dokąd on, ale powiedział do widzenia i tyle go widzieli!

- Dokąd on pojechał, jak on sobie sam poradzi, przecież jeszcze jest dzieckiem! - rozpaczała mama. Przeraziło mnie, że i ona sama nagle zmieniła się w kompletnie bezradne dziecko. Wielkie, duże i szlochające.

A przecież, gdyby przestała na chwilę krzyczeć, zaraz by się domyśliła, dokąd pojechał.

- Mamo! - dotknęłam jej ramienia. - Mamo!

- Oj, przynajmniej ty raz nie zavrcaj mi głowy!

- jęknęła.

Nie to nie. Niech się martwi. Sama nie chciała dać się uspokoić. I jeszcze na mnie nakrzyczała.

Teraz stała na łące, wydzwaniając do kogo się dało.

Nikt, oczywiście, znowu o mnie nie myślał, a ja na obiad jadłam tylko zimną zupę. Miałam dość ich wszystkich. Z całej siły rozchyliłam okiennice w tej złej części domu. Otworzyły się, skrzypiąc. Walnęłam pięścią w okno. A niech się stłucze! Ale ono się otworzyło. Niewiele myśląc, wlałam na parapet i zeskoczyłam do środka nie naszej części, aż huknęła podłoga. A niech huczy i niech się błoci!

Obeszłam pokój dookoła. Nic specjalnego. Tylko ta szafa... Ogromna, ciemna, z wielkimi drzwiami, w których tkwiły dwie okrągłe klameczki. Złapałam za jedną. Była gładka i chłodna jak... jak malutka czaszka. Aż mnie przeszedł dreszcz. Czaszka gołębia, tak na wielkość. Zacisnęłam palce, trzymałam się mocno gałki i cała się trzęsłam. Przeklęte cudze domy!

Pociągnęłam i otworzyłam szafę. Buchnął stamtąd dziwny zapach. Na półkach leżały białe ściereczki, jakieś obrusy. A w środkowej części... Ktoś stał.

134

Cofnęłam się przerażona, aż wlałam na dywanik

w paski, który przedtem omijałam, żeby go nie pobrudzić. Zamknęłam oczy. Cisza. Uchyliłam powieki, odrobinię. Nieruchoma postać w głębi szafy miała na sobie szare palto z kołnierzem z futra. A w miejscu twarzy... W miejscu twarzy miała coś szarego i spuchniętego, jak gumowa maska z supermarketu na Halloween, nabrzmiałe poliki, spod których wcale nie było widać oczu, pomarszczone monstrualne wargi, zupełnie jak u martwej kobiety w stawie. Wrzasnęłam i dałam dyla do okna, ale w pośpiechu nie mogłam się wdrapać na parapet. Obejrzałam się, żeby zobaczyć, czy topielec mnie goni.

Został jednak w szafie. Trwał tam bez ruchu, uwieszony drążka na wieszaki, drżał lekko, otulony paltem z futrzanym kołnierzem, a jego twarz coraz mniej przypominała twarz. To nie był topielec. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć. Policzki zmieniły się w fałdy, fałdy w szalik. Na wieszaku po prostu wisiało palto, a wieszak u góry był owinięty szarym szalikiem. Futro musiało się czuć samotnie, mimo wsparcia szalika, bo poza tym pałąk na wieszaki był pusty.

Jeszcze się trzęsłam na wspomnienie strachu, ciągle czułam się nieswojo, ale powoli pojawiała się złość, że jestem taka głupia. Teraz już bez trudu wspięłam się na parapet, ale przed wyjściem jeszcze omiotłam ostatnim spojrzeniem ten dziwny pokój.

Uciekając spod szafy, przesunęłam dywanik w paski. Widziałam z parapetu, że tam, gdzie leżał przedtem, podłoga jest jaśniejsza. Tylko że teraz było widać, że to nie taka zwykła podłoga. Znowu zmrużyłam oczy. Już widziałam: deski tworzyły prostokąt. Jak grób. Mały

135

grób, na przykład grób dziecka. Ten prostokąt to była kłapa w podłodze. Z boku miała metalowe kółeczko do podnoszenia, wdeptane w drewno. Co tam schowano? A może coś siedziało w środku? Kryło się? Przeszedł mnie dreszcz. Lepiej nie patrzeć, tam gdzie człowieka nie proszą, lepiej nie gapić się w zakazane miejsca, bo można zobaczyć coś strasznego... Twarze, ciała, coś, co się będzie potem człowiekowi miesiącami śnić i zwidywać gdzie popadnie.

Zaczęły mnie swędzieć stopy. Choć siedziałam na parapecie, czułam pod podłogą, pod kłapą, niewyobrażalne przestrzenie, złe i drapieżne. Mrowienie ze stóp przeszło na łydki. Przewiesiłam je więc na drugą stronę parapetu i zeskoczyłam na podwórko, po czym zamknęłam za sobą okiennice - z całym złem i niepokojem, jakie mogły się tam kryć.

Pobiegłam na łąkę, do mamy. Nie zwracała na mnie uwagi. Biegała z telefonem tak zdenerwowana, że mó-

wiła brzydkie słowa. Coraz szybciej i coraz głośniej. Już miałam ją przytulić, uspokoić, pocieszyć, kiedy za stodołę wparował nasz wuefmen i mama rzuciła mu się w objęcia, jakby był jej mężem albo bratem.

Podeszłam do nich, ale wcale mnie nie zauważyli.

- Mamo, on jest w Warszawie - powiedziałam najbardziej i najwyraźniej, jak umiałam. Dopięłam swego, bo mama od razu odsunęła się od pana Rutkowskiego i spojrzała na mnie przytomniej. - Mamo, Maks jest w "warszawie.

- Skąd wiesz, Miśka, skąd wiesz?! - Złapała mnie za ramiona i potrząsnęła.

Cóż, wie się to i owo, kiedy większość czasu człowiek spędza, obserwując cudze życie.

136

24

W nocy wydawało mi się, że do furtki zbliża się Maks, że kręci się przy płocie, zagląda do środka, ale przecież gdyby to był on, wszedłby, nie ma siły. Może w ogóle nie było nikogo, a tylko moja wyobraźnia, która już niedługo miała się stać wyobraźnią nastolatki, podsuwała mi zdjęcia i obrazy? Nakryłam głowę kołdrą, wskutek czego rano wypełzłam z łóżka spocona, niewyspana, z włosami, które nijak nie dawały się rozplątać. Wyrzłam przed dom, ale płot i furka wyglądały jak zawsze. Tylko mama wyglądała inaczej, blada i roztrzęsiona. Ale dzielnie pojechaliśmy do szkoły, bo co mogliśmy wskórać w domu?

Kiedy wracałyśmy po południu, pod furtką siedział jakiś pan, nieduży, okrągły i łysawy, a obok niego stał czubaty kosz czerwonych jabłek, jak z bajki o języku, aż się usta same do nich śmiały. To znaczy nasze usta się nie śmiały, bo cały dzień żyłyśmy w cieniu ucieczki Maksa, ale pan śmiał się do nas, machał z daleka ręką i wołał „dzień dobry!”. Ja go nie znałam, ale mama pewnie tak. Mama zresztą westchnęła i zaczęła wolniej jechać na swoim rowerze, z czego wynikało, że nie ma ochoty gadać z tym panem. Ale było to nieuniknione.

Kiedy podjechałyśmy, zaczął tłumaczyć, cały w uśmiechach, że jabłoń mu obrodziła, więc postanowił podzielić się z prawie sąsiadką, starą znajomą. Z sąsiadkami, poprawił się, patrząc na mnie. Ale nie odpowiedziałyśmy mu na uśmiech.

- To zły moment, Rumciu, mamy zmartwienie.

- Po czym mama wyjaśniła krasnoludkowemu panu

137

problem z Maksem. On też posmutniał, popytał, czy może pomóc i poszedł sobie w końcu, prosząc o zwrot koszyka. Mama pokiwała nieuważnie głową i przestała się odzywać, przynajmniej do mnie, bo ciągle gadała

do telefonu. Maks, Maks, Maks, jakby mnie zupełnie nie było.

- Mamo, ten krasnoludkowy pan ciągle się tu kręci
- powiedziałam, chociaż nie byłam tego pewna do końca. - Od paru dni.

- Kiedy go widziałaś? - przestraszyła się mama.

- Wczoraj chyba, po szkole. Kręcił się po lesie. Nie wiedziałam, że go znasz. - Mama znowu zwracała na mnie uwagę. - I w nocy. To chyba był on.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zdenerwowała się.

A kiedy miałam powiedzieć, jak ciągle tylko Maks i Maks?!

- Zawsze mów mi o takich rzeczach - poprosiła mama, bardzo przejęta.

- Ale on chyba nie jest groźny, prawda? - upewniłam się. - Tylko taki raczej śmieszny, prawda?

Kiedy pod wieczór zobaczyłam mojego brata, wchodzącego furką po dobie nieobecności, byłam pewna z tego niewyspania i zdenerwowania, że mi się to wydaje albo śni. Już? Wrócił? Sam z siebie?

Ale mama nie miała żadnych wątpliwości. Podbiegła i rzuciła mu się na szyję, dzięki czemu zauważyłam, że mój brat jest już z nią równy wzrostem. Tak urósł przez te dwadzieścia cztery godziny, czy też tak dawno się do siebie nie zbliżali? Maks stał sztywno, pokazywał, że nie interesuje go taka czułość. Nie miał zamiaru przeproszać, że chciał wrócić do Warszawy

138
i załatwić tam mamie pracę. Przez ten dzień przybyło mu trochę pryszczycy; oczy miał podkrążone. Mama jednak miała podkrążone jeszcze bardziej, jak zauważyłam. Maks stał tak sztywno i stał, aż w końcu się rozplakał i też się do mamy przytulił, a jej dopiero wtedy wyraźnie ulżyło.

Po lesie naprzeciwko naszego domu znowu ktoś chodził, ale oni tego nie widzieli, a ja wołałam myśleć, że mi się wydaje. Może zresztą naprawdę mi się wydawało?

HANKA

25

Kiedy szukałam Maksa, wydzwanając z łąki, do kogo się dało, zadzwoniłam również do Maliwów. Tomek przejął się zniknięciem Maksa, nie powiem, choć bardziej zajęty był własnym problemem, na który zupełnie nie miałam wtedy czasu, "wysłuchałam więc tylko kilku zdań jednym uchem i od razu wyleciały mi z głowy. Ale teraz powróciły. Otóż Tomek niepokoił się, że Anna, Ukrainka Anna, z którą miałam się spotkać pod kościołem, zniknęła. Tamtego dnia wyszła rano do pracy, nor-

malnie, jak co dzień, tyle że nigdy więcej nie pojawiła się już w domu Maliwów, w obszernej suterenie, gdzie mieszkała razem z innymi Ukrainkami. Wszystkie jej rzeczy zostały w pokoju tak, jak je rano ułożyła. Koszula nocna, kapcie, zdjęcia dzieci. Nie było tylko Anny, która od tamtej pory nie dała znaku życia. Tak samo jak Ewa i Paweł Maliwowie. Jakby ten ogromny dom pożerał tych, którzy się w nim zatrzymywali.

Požerał, ale i wypluwał, jak się wkrótce okazało.

W pokoju nauczycielskim nadal było nadymione, więc wpadłam tam tylko na chwilę, by wstrzymując powietrze w płucach, wymienić dziennik. Z kanapkami
140

poszłam już na korytarz, na sam koniec, pod okno, przez które widziałam drogę pokrytą połamanym asfaltem, sklep spożywczy U Janiny i siostrę katechetkę, która po lekcjach wymykała się ze szkoły. Szła szybkim, drobnym kroczkiem, patrząc skromnie w ziemię. Z tyłu nie dawało się zobaczyć, czy proboszcz zdążył już kupić jej nowy różaniec. Nadal było mi trochę głupio, że nie integruję się z koleżankami z pracy, ale też cena, jaką byłam skłonna zapłacić za tę integrację, nie obejmowała raka płuc spowodowanego biernym paleniem.

- Masz nas dość, co? - Przystanęła obok mojego krzesła Elka Lichańska.

- Elu, co ty?

- Nigdy z nami herbaty nie pijesz. Ale ja ci przyniosłam. - "wcisnęła mi do ręki szklankę w plastikowym koszyczku.

Wstałam, postawiłam herbatę na moim krześle i przytargałam jej drugie, z pierwszej otwartej sali.

- Elu, chętnie bym tam z wami posiedziała, ale strasznie dymicie. Nie ma tu w szkole żadnych niepalących?

- Ja właściwie nie palę, tylko w szkole, dla towarzystwa. ..

Usiadła obok mnie, odruchowo sięgnęła po papierosy do kieszeni swetra, spojrzała na paczkę i schowała ją z powrotem.

- Miałyśmy nawet palarnię, ale wtedy wszystkie tam siedziały, a pokój nauczycielski stał pusty. Nawet dzienniki zostawiały w palarni. To zlikwidowałam, zwłaszcza że potrzebowałam magazynu na pomoce. No, pij. Dałam łyżeczkę cukru, chyba nie za mało?

Wprawdzie nie słodziłam wcale, ale tylko się uśmiechnęłam. Młodzież porykiwała na podwórku.

141

Elka rozpakowała kanapkę z kielbasą, upojnie pachnącą czosnkiem. Ja miałam chleb razowy z jakimś anemicznym żółtym serem no name ze sklepu U Janiny. Jego smaku nie były w stanie podkręcić nawet cienkie plaster-

ki rzodkiewki z grządki od Materkowej.

- Miałaś rację z Łukaszem Maliwą - zagadałam.

- Dziwnie się zachowuje, ale klasówkę napisał nie najgorzej. Wygląda na to, że dochodzi do siebie.

- Ty popatrz, a ja też ci chciałam coś o Maliwach powiedzieć - zdziwiła się Ela. - Miałaś rację, to dziwny dom. Gdzie oni wyjechali i po co, ta Ewka i Paweł, nie wiem, ale... Kojarzysz tego trupa kobiety? W stawie?

- Elu, trudno żebym nie kojarzyła. Moja Miśka ją znalazła.

- A, fakt - zaskoczyła Ela i przełknęła kolejny kęs.

Zazdrościłam jej tej kielbasy. - No więc ta utopiona była Ukrainką od Maliwów. Z tych, co u nich w piwnicy mieszkają. Swoją drogą facet ma forsy jak lodu, a jeszcze piwnicę wynajmuje... Ale niektórym nigdy dość. Jakie ona tam życie musiała mieć, że się zabiła? Masz pojęcie?

Zamurowało mnie.

-I wiesz, że teraz zniknęła jeszcze jedna? - ciągnęła Elka, zadowolona z efektu. - Masz pojęcie, co to za dom? Co oni im tam robią?

- Myślisz, że im coś robią?

- To dlaczego tamta się zabiła?

- Przecież chyba nie stwierdzono samobójstwa?

- No to co? Myślisz, że ktoś jej coś zrobił? Że ją zabili? W naszych Świątko wicach? - Elka popatrzyła ze zgrozą. Mnie też się to w głowie nie mieściło.

- A co mówi policja?

142

- Oni nic nie mówią, bo nie wiedzą. Śledztwo trwa, ale nic nie wskazuje na zabójstwo. Tomek Maliwa był na posterunku, żeby zgłosić zaginięcie drugiej Ukrainki. One chyba tam legalnie u nich mieszkają, prawda? I rozpoznał zdjęcie tamtej, co się utopiła. No to co się dziwić, że ten Łukaszek się dziwny zrobił? Jak tam się takie rzeczy dzieją?

-Elu...

- Ale ty masz rację, Hanka. Może ona wcale się nie utopiła sama, może to mafia ukraińska ją uciszyła? Powinnam się była zdenerwować, choć tak naprawdę chciało mi się śmiać.

- Elu, a kiedy mnie zachęcałaś, żebym tu przyjechała, to mówiłaś: cisza, spokój, bezpiecznie... Pamiętasz?

- Hanka, tutaj tak jest, przysięgam - przejęła się Ela.

- Tu zawsze tak było. Ty się chyba tym nie przejmiesz, chyba nie wyjedziesz, prawda? To przecież... A co nam do takiej mafii ukraińskiej, jak my tu sobie spokojnie żyjemy i pracujemy. Mafia przyszła, mafia wróci do siebie, a Świątkowice pozostaną spokojne jak zawsze.

Uwierz mi.

Wierzyłam. Pewnie, że wierzyłam. W coś przecież trzeba wierzyć.

26

Minęło zaledwie kilka dni od ucieczki Maksa, a tu tyle zmian. Mój syn wyraźnie się starał. Znowu zaczął się komunikować, w szkole pracował w nowym tempie. Ja zaś starałam się nie popełnić tego samego błędu po raz drugi. Poprzednio, skupiona na problemach młodych Maliwów, w ogóle nie zauważałam, jak strasznie źle

143

jest z moim dzieckiem. Jak tęskni za Warszawą, za tym, co znał i kochał. Chodziło głównie o jego dziewczynę, wyjaśniła mi Miśka. Ta dziewczyna przestała być jego dziewczyną, co szybko ustalił zaraz po przyjeździe do Warszawy, więc poszukiwania nowej pracy dla mnie, które miał w planach, stały się nieaktualne.

Ucieszyłam się, że Maks potrafił się zwierzyć Miśce. Bo ze mną nadal niewiele gadał, choć generalnie starał się być miłszy. Pojawiły się, oczywiście, obietnice, że nigdy więcej nie zwieje z domu, że już zawsze będzie grzeczny, ale nie przywiązywałam się do nich zanadto. Rozemocjonowane nastolatki mówią różne rzeczy, a potem wcale się ich nie trzymają. Pamiętałam to aż za dobrze z własnego okresu burzy i naporu. Błysnęło jednak inne światełko nadziei: Maks po powrocie z ucieczki wreszcie przeniósł swoje rzeczy ze stodoły do domu i ostatecznie tu zamieszkał. A nawet się zadomowił, o czym świadczyły poniewierające się na podłodze jego majtki, ogryzki, pudełka po jogurcie, komiksy, brudne talerzyki oraz niezliczone kubki z resztkami picia. Zachęcałam, żeby w bałaganieniu ograniczał się do swojego pokoju, więc gdy bałagan wypełził na przestrzeń wspólną, zebrałam wszystko i wniosłam z powrotem, kładąc na krześle przy łóżku. Wielosubstancjalny stos na meblu zdawał się sięgać sufitu, ale Maks nie zwracał na to uwagi. W tle dźwiękowym naszego domu zagościła ponura muzyka śpiewana, a właściwie wywarkiwana bardzo niskimi i ochrypłymi głosami. Ten warkot potrafiłby przygnębić nawet Louisa de Funesa, ale Maks wydawał się teraz weselszy, jakiś bardziej pozbierany, niż przed tą swoją ucieczką.

- Czego ty słuchasz? - zainteresowałam się.

144

- Black metalu - powiedział. Może jednak odpowiedź brzmiała „death metalu”. Metalu w każdym razie byłam pewna.

- O czym oni śpiewają?

- A, takie tam. O tym, że życie jest smutne i okrutne.

Że trzeba być silnym.

I to go tak pocieszało?!

- Maks, trzeba żyć przede wszystkim w zgodzie ze swoim sumieniem, pamiętasz o tym? - zarzuciłam sondę zgłębiającą.

- Oj, mamó.

-A gdyby działo się coś złego, powiedz mi. Ja...

Ja cię zawsze wysłucham. I pomogę.

- Dobrze, mamó - odpowiedział jak idealny syn z amerykańskiego filmu familijnego, co i tam, i tu budziło we mnie zawsze wątpliwości co do szczerości ideału.

Ale Maks nawet spojrzął mi w oczy. A do tego - chyba mi się nie zdawało? - skrzywił wargi w czymś w rodzaju uśmiechu.

A co tam, kupię mu słuchawki i niech słucha tego warkotu, skoro go tak krzepi.

JAK UPORĄC SIĘ Z OKRESEM DOJRZEWANIA U WŁASNEGO DZIECKA

Możesz być pewna, że kłopoty wieku dojrzwania pojawiają się u twojego dziecka równie nieuchronnie jak wietrzna ospa u przedszkolaka. I - jak wietrzna ospa - okres dojrzwania raz przebyty zostawi u dziecka trwałą odporność. Leczyć go nie ma sensu, ważne jest natomiast łagodzenie objawów. Cierpliwość, konsekwencja i nieugięta postawa moralna z twojej strony pomogą synowi czy córce powrócić na jasną stronę mocy, gdy tylko hormony troszkę się uspokoją.

MIŚKA

27

Maks zaczął się ubierać na czarno. Ale to chyba nie była żałoba po tacie, tak mi się wydawało, bo gdyby nosił żałobę, nie miałby z przodu rogatej diabelskiej gęby na koszulce, prawda? Na przerwie stał z taką jedną dziewczyną, Weroniką Korzeniak, i z Ewelina, drugą, chudą, niegrzeczną; potem podeszły do nich jakies chłopaki. Słuchali razem muzyki, takiej samej, jaka grzmiała od Maksa z pokoju. Melodia była ponura, a z tekstów nie rozumiałam ani słowa. Ale widać muzyka się spodobała, bo dziewczyny kiwały się z poważnymi minami, a chłopaki też się wciągnęły. Może Maks znalazł wreszcie sposób na towarzystwo? Może wreszcie będę podchodzić do płotu dzielącego nas od gimnazjum bez strachu, że zauważę w związku z moim bratem coś, czego bym woląa nie oglądać?

Maks nadal wstydził się, że musi ze mną jeździć do szkoły, ale już nie uciekał. Dzisiaj jechał trzy metry przede mną, tak że cały czas widziałam jego plecy, i to naprawdę mi wystarczało. Na plecaku majtał mu się krzyż powieszony do góry nogami. Ten sam, który wtedy znalazłam przy martwej kobiecie. Poprosił, to mu

146

dałam. Nie chciałam mieć go w pokoju, ciągle mi się wydawało, że gromadzą się nad nim czarne chmury. Ale

dłaczego Maks nosił go przy plecaku? I to na odwrót?

- I tak nie zrozumiesz - odpowiedział.

Może ktoś inny zmartwiłby się taką odpowiedzią, ale ja się ucieszyłam, że mój brat powiedział do mnie cokolwiek. Ostatnio, odkąd Maks wrócił i przemówił ludzkim głosem, mama trochę poweselała i nawet dała mi do czytania Polyannę, więc starałam się w każdej rzeczy znaleźć coś fajnego. Trochę mi z tym było lepiej, chociaż momentami wydawało mi się, że chcąc się ze wszystkiego cieszyć, jestem zwyczajnie głupia, bo od czasów Polyanny wiele się zmieniło i życie się dużo bardziej komplikowało.

HANKA

28

Tak, chyba wreszcie wyszliśmy na prostą. Maks wkroczył rano do kuchni wyjątkowo mało ponury i nawet odezwał się pierwszy, wprawdzie nieco kretyńsko, ale zawsze.

- Zgredek mówi „dzień dobry”.

No proszę, nawet pojawiło się jedno z magicznych słów, czyli „dzień dobry”.

Zjadł jak zwykle dużo, ale starał się nie trzymać łokci na stole, więc już nie zwracałam mu uwagi, że nie używa noża i popycha jajecznicę kciukiem, który zresztą potem wytarł w spodnie.

- Lekcje wczoraj odrobiłeś?

O co miałam go spytać? Może ktoś ma lepszy pomysł?

- Pewnie.

- Mało czasu ci to zajęło.

- Więcej nie trzeba.

- Ale jakbyś więcej się uczył, może byś dokonał w życiu czegoś wielkiego.

- Właśnie dokonałem.

- To znaczy?

148

- Przeszedłem na wyższy poziom w Super Mario.

- To jego ukochana gra na Nintendo.

- Gratulacje!

Speszył się.

- Oj, dobra. Czytałem na forum, że osoby genialne w dzieciństwie nie osiągają sukcesów w dorosłości.

- A Pascal? A Mozart?

Trzecie nazwisko na razie nie przychodziło mi do głowy.

- Dwa wyjątki.

- Pewnie. Zlewamy Pascala.

- Mama, nie mówi się już „zlewamy”. - Uśmiechnął się do mnie znad widelca.

-A jak?

-No, można powiedzieć „lekceważymy”...

Strasznie go kochałam, nawet w chwilach, gdy bywał podobny do swego ojca depresanta. Ale teraz kochałam go jeszcze bardziej.

Z lekcji wrócił co prawda nie z nami, ale dość wcześnie, talerz po zupie odniósł do zlewu. Byłam zbudowana. Podziękował i zamknął się w swoim pokoju. Odbierał jakieś SMS-y, telefony, potem wszystko ucichło, więc chyba zabrał się do lekcji. Jeszcze huknął:

- Zgredek prosi panią, żeby mu nie przeszkadzała, niedobry Zgredek, niedobry! - I parę stuknięć, jakby uderzył głową o biurko. Mieściło się to w zgredkowej konwencji, a nawet trochę mnie rozczulało, gdyż przypominało czasy, gdy mój dzieciak zaczytywał się w Harrym Potterze. Krzyknęłam więc przez drzwi, że pani nie wini Zgredka i że nie będzie mu przeszkadzała.

Miśka siedziała w swojej kryjówce na dachu letniej kuchni. Zabrała dwa koce, bo było już zimno, i latarkę, bo już się zdążyło ściemnić, ale nie miałam serca

149
odmawiać jej tej zabawy. Przez historię z Makssem nadal miałam stopy testów do sprawdzenia. Zrobiłam sobie w czajniczku mocną herbatę z kardamonem i zasiadłam do roboty.

Po jakimś czasie wydało mi się, że za oknem słyszę samochód. Nie, nie dzisiaj! Żadnych gości, teraz, kiedy jest tak spokojnie! Nawet Ruty nie chciałam widzieć. Silnik umilkł. Zamarłam i czekałam na trzaśnięcie naszą furtką, ale nic nie trzaśkało. Uff, pewnie ktoś do Materków. I całe szczęście.

Na stoliku obok mnie leżał już całkiem spory stosik sprawdzonych klasówek, zbliżałam się do końca. Czas chyba jakąś kolację wydawać i kłaść dzieci spać, skoro same nie przejawiają do tego chęci.

W pokoju Maksa było podejrzanie cicho, a spod drzwi ciągnęło zimnem.

- Maksie!

Nic, ale na pierwsze wołanie reagował tylko do wieku lat dziesięciu.

-Maksie! Maksie?!

No i zajrzałam do niego, wbrew prośbom Zgredka. W pokoju nikogo nie było, a otwarte okno ziało pustką. Wyjrzałam. Wgniecenia od stóp na rabatce pod oknem (dobra, nagietki i tak już były na wykończeniu), ale Maksa ani śladu. Wyszłam na podwórko. Boże święty, jeśli chciał gdzieś iść, to przecież mógł po prostu powiedzieć, że wychodzi, prawda? Nie zabraniałam mu nigdzie chodzić, jeśli tylko zeznał dokąd i kiedy wróci (chętnie dowiedziałabym się jeszcze, z kim idzie, ale nie chciałam przeginać). Wczoraj na przykład Miśka wracała ze szkoły ze mną, a on

łazikował gdzieś z kumplami.

150

- Miśka! Miśka, nie wiesz, dokąd poszedł Maks?

- Znowu cisza. Wspięłam się, by zajrzeć na dach letniej kuchni. Leżał tam porzucony koc i jakieś Miśkowe kolorowe listki. - Miśka! Miśkaaaa!

Znikli oboje. A kiedy wyrzłam za bramę, stwierdziłam, że zniknął również mój samochód.

28

Karak pewnie przejąłby się bardziej, gdybym go parę dni temu nie zawiadomiła o pierwszej ucieczce Maksa. Teraz był prawie pewien, że młody znowu uciekł z domu do Warszawy i szybko wróci. Sam z siebie.

- Haniu, nie denerwuj się. Dziewięćdziesiąt pięć procent takich zniknięć to zwykle ucieczki. Małolatom odbija, przecież sama wiesz. A kto raz uciekł, później wszystkie problemy załatwia w ten sposób.

Psycholog się znalazł. Ze Świątkowic.

- Ale on nie umie prowadzić samochodu. Chyba nie umie...

Nagle straciłam pewność, bo przypomniało mi się, jak mały Maksik przy każdej możliwej okazji jeździł z moim mężem po bocznych leśnych drózkach. Kiedy zaczynali, Maks nie sięgał nogami do pedałów, trzymał tylko kierownicę, ostatnio jednak dosięgał i tu, i tu.

- Chyba jednak umie - przyznałam niechętnie.

- Oj, Haniu, jesteś taka po kobiecemu roztrzępana

- nie odmówił sobie Karak. - Skończy mu się benzyna, to zadzwoni do domu, ja mu udzielę nagany i gra gitara.

Tu u nas przecież nie ma dużego ruchu...

Zaczęły mi się trząść ręce. Karak poprosił mnie o wypełnienie papierów - wpisywałam jakieś niewyraźne

151

znaczkę - po czym powiedział, że obdzwoni okoliczne posterunki, podając dane samochodu. Jeśli ktoś gdzieś zobaczy... I tak dalej. Nie bardzo wierzyłam w te jego policyjne metody, poprosiłam więc Rutę (zjawił się na mój alarmujący telefon w chwilę po Karaku), żebyśmy zajrzeli do kolegów Maksa i Miśki. Ale on stwierdził, że sam się tym zajmie. Ktoś przecież musi zostać w domu. Przytulił mnie, wychodząc, co jednak nie przyniosło mi żadnej ulgi. Boże, gdzie oni są? Czy to Maks zabrał Miśkę? I dachowali gdzieś w rowie? A może ktoś porwał oboje moim samochodem? Wywozi ich teraz gdzieś daleko, gdzie już nigdy ich nie zobaczę? I właśnie w tej chwili robi im krzywdę? Jęknęłam.

29

Stałam przy furtce i wypatrywałam. Na drogę, na podwórko, na niebo. Na drogę, czy już nie pojawiły się dzieci, a na niebo - a nuż siedzi tam ktoś, kto mógłby

się wreszcie zająć tym wszystkim? Jeśli tam ktoś jest, to przecież widzi, co się dzieje. Jeśli tylko będzie chciał, sprawi, by dzieci szczęśliwie wróciły do domu. Jeśli będzie chciał. Prosić go? A kimże ja jestem, by miał mnie wysłuchać?

Było już po dwudziestej drugiej. Materkowa podeszła do płotu.

- Nie ma ich jeszcze?

Tylko pokręciłam głową. Tym razem nic nie widziała, nic nie słyszała. Nie miała pojęcia, kto odjeżdżał naszym samochodem, bo właśnie mieliła mięso na kotlety.

- Dzwoniła pani? - odezwała się znowu.

- Do wszystkich, do których mam telefony. Nic.

152

Ruta dzwonił co jakiś czas i donosił, które dzieciaki są w domu, a których nie ma. Nie miało to większego sensu, bo Miśki ani Maksa nigdzie nie było i nikt nie wiedział, gdzie są.

Nagle w oddali na drodze pojawił się błyskający światłami samochód. Otworzyłam furtkę i pobiegłam w tamtym kierunku. Światła mnie oślepiły, więc dopiero po chwili zobaczyłam, że nadjeżdża moje auto.

Stanęło pod płotem. Rzuciłam się do drzwi i prawie oberwałam nimi w czoło, bo ze środka wysiadał właśnie bardzo brudny Maks. Jest! I to chyba w całości! Przepęłniła mnie wielka wdzięczność do losu.

- Dzięki Bogu! - dołączyła spod swego płota Materkowa.

Czekałam, aż otworzą się kolejne drzwi i wyskoczy z nich Miśka, a ja będę mogła zdecydować, czy wrzeszczeć na swoje dzieci, czy je przytulać. Nic się jednak nie działo. Nie otwierały się żadne drzwi, a Maks stał z ponurą miną przy samochodzie i gapił się na swoje stopy.

- Gdzie ona jest?! - wrzasnęłam w histerii, a on aż podskoczył.

-Kto?

-Twoja siostra. Gdzie ona jest?! - Przyskoczyłam do samochodu i zaczęłam otwierać wszystkie drzwi. Auto było puste, tylko potwornie wypaprane błotem.

- Co z nią zrobiłeś?! - wrzasnęłam i szarpnęłam Maksa.

- Z kim? - znowu zadał idiotyczne pytanie.

- Miśka! Gdzie jest Miśka?!

- Nie mam pojęcia. Siedziała przecież w domu.

Był tak zaskoczony i w ogóle nieprzejęty, iż uznałam, że mówi prawdę. Boże, Boże, ktoś mi zabrał córkę! Moje

153

chude dziwadelko, mój ósmy cud świata, któremu w głowie legły się dziwaczne pomysły!

- Mogę wejść do domu? - spytał Maks.

- Nie ma Miśki! - rzuciłam się do Ruty, który właśnie pojawił się na motocyklu. Coś do mnie mówił, ale nie słyszałam co. Silnik pracował, a zza Ruty, z siodełka pasażera zeskoczyła... Misia. Szybko obrzuciła spojrzeniem mnie, samochód, Maks, który zamarł przy furtce. Minę miała jakąś dziwną. Ona też była strasznie brudna, jakby się tarzała w kałuży. Ale co mnie to obchodziło? Żyła! Porwałam ją w ramiona.

- Znalazłem ją na drodze - wytłumaczył w końcu Ruta. - Maks też, jak widzę, już się pojawił.

- Znalazłeś ją na leśnej drodze?

-Tak.

- Synu, jak mogłeś zostawić siostrę w środku lasu? - napadłam na Maksa. Nie przejął się jednak. Stał z pochyloną głową i próbował zetrzeć plamy błota z kurtki.

- Ja nie wiem, gdzie ona była - bąknął. - Ze mną na pewno nie. To na nią krzycz, że sama łązi.

-A ty gdzie byłeś? Gdzie wy byliście? Ja się tu zamartwiam, że was porwali... Co zrobiłeś z tym samochodem? Kto ci pozwolił prowadzić? - wyszcze kiwałam z siebie urywane zdania.

Maks oddał mi kluczyki i poszedł do domu. Miśka wysunęła się spod mojego ramienia i rozmazywała brudnymi rączkami łzy na policzkach.

- To ja chyba już pójdę - wycofał się Ruta. - Dobrze, że się wszystko szczęśliwie skończyło. Dobranoc.

A ja stałam w milczeniu. Boże, Boże, nie umiałam ich wychować, ciągle ode mnie uciekają. Mąż też ode

154
mnie uciekł. W śmierć. Boże święty, co ja mam z tym wszystkim robić?

- Gdzieś ty była, dziecko! Gdzieś ty była! - jęknęłam.

30

Nie można powiedzieć, by którykolwiek z uczniów się zmartwił, że jeszcze nie skończyłam sprawdzać testów z angielskiego. Nawet nie musiałam specjalnie mnożyć kłamliwych tłumaczeń. Sama ich za to trochę usłyszałam wczoraj wieczorem. Otóż Miśka podobno wyszła za płot i zabłądziła. Jakim cudem?, zastanawiałam się. Przecież jeszcze w sierpniu poznała tu wszystkie ścieżki.

- Zabłądziłam i już - smarkała i szlochała, i nic więcej nie udało mi się z niej wydobyć. Kiedy się kąpała, obejrzałam ją dyskretnie. Żadnych widocznych obrażeń, nawet siniaków, nie miała.

A Maks? Maks po prostu odmówił wyjaśnień. Kiedy już się umył i wepchnął upaprane ziemią ciuchy do kosza z brudami, powiedział, że jest śpiący i poszedł do siebie. Miśka zapukała później do niego, ale szybko kazał jej się wynosić. Więc poszłam ja.

Po prostu chciałem się przejechać, tłumaczył. Wcale mu jednak nie wierzyłam. Przejechać się? Po kryjomu? Po ciemku? No i skąd ten brud w środku? Co on, na Boga, robił z tym samochodem, rył tunel?

- Takie błoto wszędzie, to sama rozumiesz, że się uświństwo - wymigiwał się.

Trochę mi ulżyło, gdy z pokorą przyjął moje wezwanie do umycia samochodu wewnątrz i na zewnątrz. Jak spędzi jutrzejsze popołudnie na myciu tapicerki i odkurzeniu podłogi, może się czegoś nauczyć.

155

Już nigdy nie zostawię kluczyków na wierzchu! Niech go nie kuszą. A poza tym - co jeszcze mogę zrobić? Nastraszyć Maksa policją? Poprosić Karaka o pogadankę? Przemówić dziecku do rozumu?

- Mamo, przepraszam, ale śpiący jestem - jęknął Maks. Leżał płasko w łóżku, z zamkniętymi oczami i męczeńskim wyrazem twarzy. Zgasiłam więc światło i wyszłam.

31

Wcale nie musiałam się długo zastanawiać, co tak naprawdę robił mój syn, bo już około południa następnego dnia podjechał pod szkołę Karak. Bez skrupułów przerwał mi lekcję.

- Weź Maksa i chodźcie do radiowozu. Mam doniesienie. Poważne. Przygotuj się.

Uczniowie prowadzili radosny nasłuch ze swoich ławek.

- Dzwonek dopiero za dziesięć minut.

- Nie ma czasu, Hanka. Nie graj na zwłokę. - I zaśmiał się do siebie. - Zwłokę, he, he.

- Nie mogę zostawić ich samych. To wbrew prawu, panie starszy posterunkowy.

Dopiero więc po lekcji pojechaliśmy na posterunek..

Karak tłumaczył, co się stało, a ja nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Maks? Maks robi takie rzeczy?!

- Synu, co cię napadło?

- Haniu, powychowujesz go później, dobrze? Ja mam teraz ważniejsze pytania. Przyjechał tu porucznik z komendy wojewódzkiej. Zaraz przyjdzie. - Zwrócił się do Maksa: - Cudny, w twoim własnym interesie: nie kłam.

156

Ścisnęłam, krzepiąco, jak mi się wydawało, dłoń Maksa. Potrzymał mnie przez chwilę za rękę i puścił, po czym spojrział na drzwi wzrokiem skazańca.

Chciałam go bronić przed całym złem świata. Sęk w tym, że on do tego zła sam łgnął, coraz bardziej.

MISKA

32

Maks był naprawdę dorosły, stwierdziłam, bo cał-

kiem sam umiał już prowadzić samochód. Auto stało sobie na zewnątrz, bo mamie na ogół nie chciało się go parkować na podwórku, a Maks otworzył drzwiczki i wsiadł tak pewnie, jak kiedyś robił to tata. Włączył silnik. Mama w domu nawet nie drgnęła. Ja natomiast czuwałam, jak zawsze, więc szybko zeskoczyłam z dachu letniej kuchni i podeszłam do płotu. Było ciemno i nikt na zewnątrz nie miał prawa mnie zauważyć, bo umiałam chodzić cicho jak puma. Byłam ciekawa, jak daleko ujedzie mój brat.

Okazało się, że niedaleko. Zaparkował kawałek dalej, w lesie. Polecę tam, postanowiłam, ale bałam się wychodzić furtką, mama zawsze reagowała na jej skrzypnięcia. Przepisnęłam się więc z boku płotu, tam gdzie od słupka odstawał kawałek siatki, i pobiegłam do Maksa. Kiedy byłam już bliżej, zwolniłam. Szłam czujnie, cicho i ostrożnie. I dobrze, bo jakbym hałasowała, to dziewczyny by mnie usłyszały. Wyjrzałam ostrożnie zza sosny. Mój brat stał oparty o samochód i rozmawiał o czymś z Weroniką Korzeniak i Ewelina.

158

One wpatrywały się w niego, z czego wydawał się bardzo zadowolony.

- Te, kogut i kurki, przestańcie gruchać. - Z ciemności odezwały się szczeniackie rechoty.

Przytuliłam się do pnia.

- Kura? Kura? Ja ci dam kurę - obruszyła się Weronika.

- Wera, nie rzucaj się tak - wycofał się chłopak. Był niski i miał szerokie ramiona, taki pryszczel, chyba z klasy Maksa. - Ale się ubrałaś.

- A ty, Sylwek?

Wera była w czarnych spodniach, czarnym swetrze i w czarnej grubej kamizeli. Sylwek do dżinsowego mundurka dodał czarny moherowy szalik, trochę przykrótki.

- Matka gdzieś schowała czarny sweter, nie mogłem jej przecież spytać - tłumaczył się Sylwek, deczko skrzępowany.

- Po pierwsze: dlaczego nie mogłeś? - zaczęła się z niego wyśmiewać Weronika.

- Po drugie: to w ogóle nie jest istotne - odezwał się mocny głos, nieoczekiwanie należący do mojego brata.

- W ogóle nie o to chodzi, jak kto jest ubrany. Bądźcie poważni.

Zamarłam, bo bałam się, że go wyśmieją, ale nie.

Zamilkli i w ciszy wsiedli do samochodu. Maks otworzył bagażnik i wrzucił tam łopatę, i jeszcze jakieś narzędzia, które, jak zauważyłam, wszyscy przynieśli. Wyglądało, jakby szykował broń na wojnę. Miał

na sobie tę czarną grubą kurtkę, z której zawsze się śmialiśmy, że przetrzyma uderzenie niejednego noża. Postanowiłam biec do domu i powiedzieć mamie,
159

że Maks planuje coś niebezpiecznego. Jeszcze zdążę, jeszcze go zatrzymamy!

Maks zamknął bagażnik i usiadł za kierownicą. Bałam się, że będzie chciał się popisać przed laskami, więc pojedzie gdzieś sam z tymi głupimi dzieciakami w tym głupim wieku. Byłam młodsza, ale mój wiek był jeszcze mądry, więc tak naprawdę czułam, że to ja muszę się Maksem zaopiekować.

- A na Sebastiana nie czekamy? - spytała Ewelina.

- Mogą z nami jechać wyłącznie osoby godne zaufania. Jak ktoś się spóźnia, nie można mu ufać - powiedział mój brat tonem dorosłego mężczyzny.

- Poczekajcie na mnie! - usłyszałam z drogi inny męski głos.

- Sebastian! - ucieszyła się Ewelina.

- Zamknij się, bo cię usłyszą u mnie w domu - syknął Maks.

-Ja? - stropiła się Ewelina.

- Oboje się zamknijcie - warknął.

- Mam łopatę - znowu zawołał ten zbliżający się głos.

Maks, wyraźnie zniecierpliwiony, wysiadł z samochodu i pognął w jego kierunku.

- Sebastian, zamknij się, nie jedziemy na ryby! - zawołał półgłosem.

Podeszłam w kucki do auta i wczołgałam się do bagażnika. Otwarta maska zasłaniała mnie przed tamtymi. Na szczęście tata bardzo lubił wozy z wielkimi bagażnikami, czuł się podobno bezpieczniej, kiedy wiedział, że może załadować do samochodu wszystko, co było dla niego ważne.

W środku leżał stary koc, jeszcze tata go tu włożył, na wszelki wypadek. Nakryłam się, pewnie w ostatniej
160

chwili, bo prawie od razu zarobiłam nieuważny cios czymś twardym, prawdopodobnie łopatą, którą przyniósł Sebastian, po czym zostałam zamknięta w samochodowej trumnie. Było gorzej, niż myślałam, o wiele gorzej. Zamknęłam oczy i starałam się sobie wyobrazić, że znajduję się na dachu letniej kuchni. Jest tak duszno, bo ustał wiatr, a śmierdzi benzyną, bo sąsiad przelewał ją z kanistra do samochodu. Jechaliśmy, nie wiem ile czasu, nie skupiałam się na zegarku, tylko na tym, że siedzę na dachu letniej kuchni pod kocem i jest mi dobrze. To wyobrażanie sobie udawało mi się coraz gorzej, bo ciągle nie mogłam przestać myśleć o jednym malusieńkim problemiku: jak i kiedy ja się stąd wydostanę?

W końcu stanęliśmy. Otworzyli bagażnik, zabrali wszystkie narzędzia, znowu trącając moje chude ciało pod kocem, i zanim zdążyłam się zastanowić co dalej, zatrzasnęli klapę. Byłam uwięziona na wieki, a przynajmniej do momentu, aż mama wsiądzie rano do auta, by jechać po zakupy albo Bóg wie gdzie. Jaka mama, mama nie wie, gdzie jesteśmy i nieprędko wsiądzie do samochodu, uświadomiłam sobie po chwili. Wysunęłam głowę spod koca i nabrałam powietrza. Potem siadłam, waląc głową w coś nade mną, co nieoczekiwanie ustąpiło. Pokrywa z miękkiego plastiku uniosła się do góry. Hurra! Byłam we wnętrzu samochodu, bo bagażnik oddzielało od siedzeń tylko to ruchome plastikowe coś. Mama nigdy tego nie podnosiła, mówiła, że nie lubi, żeby ludzie widzieli, jaki ma bałagan w aucie.

Zdażyłam się jakoś przeczołgać się na tylne siedzenia. Kiedy otworzyłam drzwi, włączył się alarm. Cholera jasna, zaraz Maks mnie znajdzie! Przy hałaśliwym wyciu
161

wykulgałam się na ziemię, zatrzasnęłam za sobą drzwi i popęzłam w kierunku ciemnych krzaków tuż przy samochodzie. Przywarłam do ziemi. Spodnie będą na nic w tym błocie. Kurtka też, stwierdziłam. Maks dopadł auta, zdziwił się, że piszczy alarm, rozejrzał się, wyłączył. Nie zauważył mnie jednak.

Wokół rosło trochę drzew, ale nie było tak ciemno jak w lesie. Byliśmy w dziwnym miejscu, ciemnym; za parkanem wśród roślinności widziałam niewielkie domki. Przy jednym z nich pełgały małe światełka, jak płomyki, na czerwono, na brązowo, na niebiesko, cały tłum trzęsących się ogieńków. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć. To były znicze, a te domki... Cholera, mój brat przyjechał na cmentarz! Z łopatami.

Znicze zmieniały położenie - przestawiali je o parę kroków, z grobu gdzieś na bok, na inne groby. Weronika zdejmowała wieńce („Kochanemu dziadziusiowi” - odczytałam na jednym). Stosy wieńców, kwiatów i lampek świadczyły, że pogrzeb chyba odbył się dzisiaj. Dziwne, ale nie kojarzyłam, żeby ktoś w Świątkowicach umarł. Choć prawdę mówiąc, nie kojarzyłam wielu rzeczy w tej wsi.

Mój brat i jego towarzystwo odsłoniли kopczyk ziemi pokrywającej mogiłę. Już się domyślałam, co chcą zrobić, ale ciągle miałam nadzieję, że jednak tego nie zrobią, więc aż jęknęłam, gdy mój brat wbił łopatę. Zawahał się, ale tylko przez chwilę. Weronika Korzeniak patrzyła na niego z zachwytem, widziałam to wyraźnie, bo twarz miała oświetloną zniczem, którym przyświecała Maksowi. Maks odrzucił ziemię na bok i wbił łopatę po raz

drugi. Ten trzeci chłopak, gruby i w okularach, chyba Sebastian, zaraz mu pozazdrościł. Podeszedł do grobu
162

od strony krzyża i też wbił łopatę. Widać było, że w kopaniu ma większą wprawę niż mój brat, ale Weronika patrzyła tylko na Maksa. A Ewelina wzięła dwa znicze i stanęła z drugiej strony grobu.

Byłam pewna, że zaraz przestaną. No bo po co im to?, zastanawiałam się, patrząc, jak dół, w którym stoją chłopcy, robi się coraz głębszy. Stali w nim już po kolana. Po co ci to, Maksie?

- Ale ty kopiesz. Od razu widać, że jesteś z miasta
- powiedział Sylwek. Maks tylko na niego spojrzął, a Sylwek zaraz chwycił łopatę i też wszedł do dołu.
- Przesuń się. Ciasno tutaj - powiedział chłodno Maks, nie przerywając kopania.

Nie wiem, czy można robić coś głupszego i bardziej obrzydliwego niż to, co robili.

Z filmów wiedziałam, że łopata powinna nagle grzmotnąć w coś twardego, co okaże się trumną, a wtedy przy okrzykach zgrozy i przestachu, zasłaniając sobie nosy, wszyscy tę trumnę otworzą. Nagle jednak, zamiast uderzenia, rozległ się warkot, a potem perkusja.

- Ścisż to - rzucił Maks.

To Weronika puściła jakiś muzyczny kawałek z telefonu.

- Ścisż to, bo nas zamkną. To się nazywa bezczeszczenie cmentarza. A zaraz będzie się nazywać bezczeszczeniem zwłok.

Wzdrygnęłam się.

- Sorry, chciałam trochę nastroju - broniła się Weronika.

- Może być, tylko ciszej. Myśl, dziewczyno. Myśl. Tymczasem łopata wcale w nic nie uderzyła, tylko Sebastian nagle wrzasnął:

163

- Tu coś jest!

- Ciszej, pacanie - syknął Maks. Skupiony na tym, co robił, prawie nie podnosił wzroku. Ruszył jeszcze dwa razy łopatą i zamarł. Weronika Korzeniak podeszła do brzegu dołu i spojrzała, co on tam wykopał. Aż się złapała za usta.

- To jest ręka - wystękała. - To jest czyjaś ręka!

- Nie sama - powiedział Maks głucho. - Tu leży jakieś ciało. Dziwne. Wy tutaj, w tych Świątkowicach, nie wsadzacie trupów do trumny? Ale wiocha.

- Wsadzamy, co ty myślisz? - oburzyła się Ewelina.

- Może ktoś podpieprzył skrzynkę i sprzeda ją znowu - odezwał się Sebastian. - Ja spierdzielam, bo będzie na nas.

- Nigdzie nie idziesz - powiedział Maks.
- Bo co?
- Bo jesteśmy tu razem. A poza tym... - powiedział Maks, wpatrując się w to coś pod nogami - ...poza tym to nie jest stary Kacperek.
- Jak to nie Kacperek? To jego grób, tu go wczoraj pochowali.
- Wygląda ci to na rękę starego faceta? - powiedziała Weronika i głośno jej się odbiło.
Teraz ktoś powinien zacząć wymiotować, wiedziałam to z filmów. Liczyłam, że będzie to Weronika. Maks pogmerał w dole łopata.
- Kto to, kurde, jest?
Weronika odwróciła głowę.
- To jakaś kobieta - powiedziała.
W ciemności słychać było, jak ktoś wymiotuje. Przyrzęłam się uważniej. Przy grobie brakowało twardziela Sebastiana.
164
- Ma całą twarz w ziemi - odezwał się Maks. - Nic nie widać.
- Nie odkopuj jej! - jęknęła Weronika i głośno przełknęła ślinę.
- Kacperek wziął sobie babę do grobu - zarechotała Ewelina.
- Przestańcie, ona nie żyje.
- Trudno, żeby żyła, jak ktoś ją zakopał.
- O rany.
- Nie znam tej laski.
- Nie mów tak o niej.
- Pewnie, to stara baba, a nie laska.
- Jaka stara? Młodsza od twojej matki. - Sebastian wrócił, ocierając usta, i znowu udawał twardziela.
- O rany. O kurwa, o rany - pojękiwał Sylwek.
- To może i z nią porobimy to, co mieliśmy zrobić z trumną Kacperka?
- Ten cały satanizm to jakiś idiotyzm jest - powiedziała Weronika, patrząc na Maksa. - Żałuję, że w ogóle zaczęliśmy. Mieliśmy poczuć siłę. A ja czuję tylko smród. I się boję. Idę do domu.
- Wszyscy wiejemy - rzucił Sebastian.
- Zaraz, najpierw musimy to zakopać. - Ewelina była dziwnie spokojna.
- Znacie tę kobietę? Weronika, chodź tu z tym niczem. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszałam głos Maksa. Mocny i wcale niedrzący.
- Nie będę nic oświeślać, ja sobie idę i wcale tego nie chciałam.
- O, pohonorowała się - zakpiła Ewelina. Dziwne słowo, nie znałam go wcześniej, ale chyba wiedziałam,

o co jej chodzi.

165

- Wiejemy! - nalegał Sebastian.

- Ktoś w świeżym grobie zakopał inne ciało - ciągnął Maks. - Musimy to zgłosić na policję.

Poczułam ulgę, że jest tu choć jedna osoba, która wie, co robić. Mój brat. Można się na nim oprzeć. Zwłaszcza gdy jest się małą dziewczynką, która gdzie się ruszy, tam pojawia się trup. Boże. Tak strasznie chciałam się teraz przytulić do Maksa!

- I co powiemy? Że jak ją znaleźliśmy? - odezwała się znowu Weronika. - Że chcieliśmy sobie odprawić czarną mszę? Zwariowałaś?

I poszła w kierunku cmentarnej bramy.

- Musimy ją zakopać - nalegała Ewelina, ale nikt jej już nie słuchał. Za Weroniką ruszył Sebastian, za nimi Sylwek.

Ewelina spojrzała na Maksa.

- Ja nie idę na policję. Będzie na mnie.

- Znasz tę kobietę? - spytał Maks.

- Nie wiem. Chyba... Chyba tak. Kurde. To jest ta jakaś Ukrainka, co mieszkała u Łukasza Maliwy.

Ewelina wzięła łopatę i zaczęła zasypywać dół. Po dwóch machnięciach łopatą zaprzestała.

- Nie mogę, Maks, sorry. Ta ziemia tak jej płaska o skórę...

- Zostawmy, jak jest. Znajdą ją rano - zdecydował Maks. Wziął Ewelinę za ramię i poszli. Zostałam sama w krzakach, przy płocie cmentarza, z rozkopanym grobem, z którego prawdopodobnie wystawał trup jakiejś Ukrainki. Wiedziałam, że sama muszę dotrzeć do domu, bo tym razem pan od wuefu mi nie pomoże.

HANKA

33

Maks nie miał sprecyzowanych planów, co zrobić ze zwłokami, kiedy już je wykopią. Planował, że w atmosferze grozy wystarczy postawić świece na trumnie i posłuchać Behemotha. To taka deathmetalowa kapela. Kiedy jednak znaleźli zwłoki nieszczęsnej Anny, bez trumny, przysypane ziemią, wszyscy sobie uświadomili, że sytuacja ich przerosła. Na posterunek poszła Ewelina, jeszcze przed lekcjami. Zjawiała się tam prawie jednocześnie z kościelnym, który odkrył rozkopany grób.

Czy śmierć Anny miała jakiś związek z tym, co mi chciała powiedzieć pod kościołem o czternastej? Co zamierzała powiedzieć takiego, o czym nie mogła rozmawiać przez telefon?

Gdy wróciliśmy z posterunku, położyłam Maksa do łóżka, choć wcale nie było jeszcze późno. Potem poszłam zaparzyć mu rumianku, na uspokojenie. Kie-

dy wróciłam do niego, do pokoju, zdrętwiał. Bał się może, że będę go wypytywać. Ale ja tylko postawiłam w milczeniu kubek obok łóżka, siadłam na kocu i położyłam dziecku dłoń na czole. Dopiero po dłuższej chwili się rozluźnił. Leżał z zamkniętymi oczami i oddychał

167
miarowo. Delikatnie cofnęłam rękę, ale wysunął dłoń spod kołdry, złapał za moją i ponownie położył sobie na czole. Na policzki powrócił rumieniec, Maks oddychał rytmicznie, coraz spokojniej, aż w końcu zasnął. Nie mogłam się oprzeć i pocałowałam go w czoło, chropowate od kielkujących pryszczyków. Moje biedne, zagubione dziecko.

MIŚKA

34

Maksowi chyba się udało, naprawdę. Po lekcjach wychodził ze szkoły z tłumem wyrostków i wyrostek. Każdy chciał z nim iść; gdzieś się potem włóczyli, nie po cmentarzu, bo obiecał mamie, że tam nie będzie łazić, ale gdzieś wędrowali. Swoją drogą, nie wiedziałam, dlaczego sataniści muszą się bawić zwłokami, jaki jedno i drugie, czyli trup i szatan, mają związek, przecież w końcu nie wiadomo, dokąd dusza danego nieboszczyka trafiła po śmierci, czy na pewno do piekła. Maks powiedział, że i tak tego nie zrozumie, a katechetki bałam się pytać. Dobrze, może to było mało logiczne, ale Maks, od kiedy okazało się z wielkim hukiem i udziałem policji, że jest satanistą, stał się naprawdę popularny w szkole i wcale mu się nie śpieszyło do domu, gdy miał wokół siebie tyle dziewczyn i chłopaków. Nie mogłam więc już wracać z nim przez las, musiałam czekać na mamę, bo ona ciągle miała jakieś sprawy, albo zabierałam się z Sabriną. A głupia się cieszyła, że jeździmy razem. Zastanawiało mnie tylko, że w szkole Sabrina wcale ze mną nie trzymała. Na przerwach nawet nie patrzyła w moją stronę, a na lekcjach patrzyła rzadko. I niemiło.

169

Ale nie zawsze, tylko wtedy, gdy panie oddawały klasówki. Albo kiedy odpowiadałam przy tablicy. Dlaczego jednak, skoro nauczycielki mnie chwaliły?

Aż w końcu zrozumiałam, o co chodzi. To nie było łatwe, tak stać przy tablicy, gdy doskonale się wie, co odpowiedzieć, ale zaciskałam zęby, żeby mi się zza nich nic nie wyrwało. Pani wreszcie postawiła mi pałkę i chyba Sabrinie milej się zrobiło, że nie jestem taka bez zarzutu. To była polityka i to działało, stwierdziłam, kiedy zaraz potem odezwała się do mnie na przerwie. Polityka nie zawsze polega na tym, że człowiek jest szczerzy. Maks też tego początkowo nie rozumiał, ale teraz już oboje załapaliśmy tę zasadę.

Mnie wystarczyły dwie pałki i jedna dwója. Jemu
- jeden wykopany trup.

HANKA

35

Od momentu gdy zakotwicyliśmy w Świątkowicach, najprzyjemniejszym momentem dnia był wieczór, gdy dzieci szły do łóżek, a ja sama chwilę potem z rozkoszą zapadałam się w pościeli, odgradzona od rzeczywistości barierą z kryminalów. Czytałam i czytałam historie pornurych detektywów z nieistniejącym życiem rodzinnym, facetów, którzy za dużo piją, niezdrowo jadają i uprawiają przypadkowy seks, za cały sens życia mając ściganie morderców, najczęściej seryjnych. Czytałam i czytałam, aż zamykały mi się oczy i, w ogóle nie mając czasu na myślenie o sobie, zapadałam w niebyt, w szarą nicność, w której z rozkoszą pozostawałam jak najdłużej i jak najgłębiej. Im głębsze ogarniało mnie zapomnienie, tym dłużej rano wędrowałam do świata, który dawał o sobie znać za pomocą telefonu komórkowego nastawionego na szóstą trzydzieści, dzwoniącego obok poduszki. Te wycieczki w nicność stały się dla mnie równie ważne i równie realne co życie w Świątkowicach. A na pewno były dużo łatwiejsze i przyjemniejsze.

Tyle że od czasu wyprawy Maksa na cmentarz moje szare noce przełamały się na pół. Przez kilkadziesiąt
171

minut obcowałam z kolejnym detektywem, który przyjechał do mnie z empiku, merlina czy innego allegro, bo miejscowa biblioteka ciągle była zamknięta, a potem zasypiałam szybko i mocno, jak przedtem. Zanim się jednak nacieszyłam pobylem w nicności, budziłam się w środku nocy, spocona i przerażona. Wiedziałam, że coś mi się śniło, ale nie byłam pewna co. Coś zagrażało mojej rodzinie, ale nie widziałam konkretnego zagrożenia, nie umiałam więc nas obronić. Miotalam się we śnie, układałam barykady z czego popadło i rozglądałam się, niepewna, coraz szybciej i z coraz większym niepokojem, z której strony przyjdzie atak. Coś mnie wyrywało z tych napadów śnionej paniki i przenosiło nagłym rzutem w jawę. Drgałam, podskakiwałam, otwierałam oczy, spocona i zadyszana, zadziwiona, że nic mnie nie boli, choć tak nagle wpadałam w rzeczywistość. Patrzyłam na budzik świecący w ciemnościach i co noc widziałam tę samą godzinę: 1.47, co mnie przerażało jeszcze bardziej. Tajemnicza i mistyczna powtarzalność. Zapalałam lampkę, przytykałam dłoń do rozszalałego serca i zastanawiałam się, kto i co chce mi w ten sposób powiedzieć. Do świadomości, że jest to przesłanie, nie dojrzałam jednak od razu. Drugiej bowiem nocy pomyślałam, że to przypadek, trzeciej, że bardzo dziwny przypadek,

czwartej, że na pewno mam przed drugą w nocy dół fizjologiczny albo co. Niepokoili mnie tylko ta zgodność co do minuty; na ogół mój zegar biologiczny nie był tak restrykcyjny. Piątej nocy, gdy znowu się przebudziłam, spanikowana i spięta, bałam się spojrzeć na zegar, ale miałam dziwną pewność, że znowu zobaczę na nim te same trzy cyferki. Jeden, cztery i siedem, cholerna sekwencja o znaczeniu zaplanowanym przez nie wiadomo

172
kogo. Na dworze panowała cisza, dom chrobotał jak we wszystkie poprzednie noce - kojące odgłosy kołatków konsumujących grube deski w podłodze i ścianach wprowadzały pewną normę, do której zaczęłam się już przyzwyczajać. Kołysałam samą siebie w ramionach, mówiłam „ćśśś”, jak do dziecka, roztrzęsiona popłakiwałam nawet czasem ze strachu. Powoli, bardzo powoli powracał spokój i zasypiałam, tym razem bez snów, choć nic nie było już tak kojące. Przyzwyczajałam się. Zaczęły mnie śmieszyć cyfry na elektronicznym zegarze, ciągle takie same, bez innowacji. Stopniowo uczyłam się uspokajać oddech, otorbiać strach i chować go gdzieś głęboko, żeby pozwalał spać i żyć.

Tyle że pewnej nocy w tę moją nową nocną normę wdarł się głos. Męski, agresywny, przerażający. Dopiero się obudziłam i zdążyłam spojrzeć na zegarek, gdzie świeciły na czerwono trzy dobrze znajome cyfry. Właśnie zaczynałam zwalniać oddech i powoli żegnać się z paniką, ale kiedy usłyszałam ten wrzask, spięłam się od razu.

- Zabiję cię, ty suko! Zabiję! - wrzeszczał jakiś facet.

Słuchać było dokładnie każde słowo. Dochodziły z bliska. Z zewnątrz? Z wewnątrz?

- Zabiję! - Nie poznawałam tego wrzasku, nie umiałam go dopasować do nikogo. Mężczyzna. Wściekły.

- Zabiję cię zaraz! - krzyk nabrał siły. - Zabiję! - zachrypiał na końcu. Zerwałam się z łóżka. Drzwi wejściowe.

Pamiętałam, że zamknęłam je na klucz, ale co z tego, skoro bez kłopotu można było dostać się oknem. Muszę zamknąć okiennice. Pobiełam do pokoju Miśki.

Otworzyłam uchylone okno, wyjrzałam. Szybki rzut oka na podwórko. Nikogo. Złapałam za oba skrzydła

173

okiennic, docisnęłam do siebie, założyłam sztabę. Uff. Jedno dziecko bezpieczne. Pognałam do pokoju Maksa. Spał, kompletnie rozkopany, czerwony na twarzy. Otworzyłam szerzej okno, ponownie złapałam za skrzydła okiennic...

- Zabiję cię, suko! - zachrypiał tuż za mną. Podskoczyłam. Odwróciłam się i rozejrzałam. Nikogo. Spanikowana, skanowałam ciemne kąty, podbiegając

do kontaktu. Zapaliłam światło, spojrzałam dokoła. Pusto. Dopadłam łóżka mojego dziecka, które miałam chronić. - Zabiję cię! - wrzasnął nagle Maks tym samym obcym głosem. Na jego ustach pieniała się ślina. -Już nie żyjesz, suko!

To były groźby kogoś bardzo, ale to bardzo złego, a nie mojego syna, którego przez pierwszy rok i dwa miesiące jego życia karmiłam piersią. Co z tego, skoro dobywały się z jego gardła.

Doskoczyłam do łóżka i złapałam Maksa za ramię, żeby go obudzić. Niech już wreszcie przestanie! Potrząsnęłam nim raz i drugi. Zamachnął się ramieniem i uderzył mnie z całej siły w rękę, po czym ścisnął ją palcami jak obcęgi. Spał nadal, choć wydawało się to niemożliwe.

- Maks, Maks! - wołałam. Druga jego dłoń, wielka jak męska, wpiła się w moje usta, tłumiąc kolejne słowa. Cofnęłam głowę, ale trzymał mocno i szczelnie. Nie umiałam się wyrwać, jeszcze trudniej było oddychać.

- Zabiję cię! - charczał, a jego dłonie zaciskały się jak imadła.

Głowę i rękę miałam unieruchomione. Szarpałam, usiłując się wyrwać, lewą dłonią próbowałam oderwać jego palce od moich ust, ale trzymał mnie mocno. Miał 174

niewiarygodnie silne ręce ten mój syn. Uklęknęłam i rąbnęłam biodrem w łóżko. Łup. I łup. Jeszcze raz. I kolejny. Szpony na moich ustach nieco się rozluźniły. Łup! Jeszcze raz! Maks otworzył oczy.

-Już do szkoły? - zapytał normalnym głosem. - Przecież ciemno na dworze. Boże, miałem taki koszmar sen!

- Co ci się śniło?

Gapił się w sufit. Ciężko oddychał. Na jego czole perlili się pot. Ręce opadły mu na kołdrę. Potarłam obolałe usta. Co to za rozkosz móc nabrać powietrza!

- Maks, co ci się śniło?!

- Co tak krzyczysz? Nic takiego w sumie.

Pachniał spoconym mężczyzną; w barach był dużo szerszy ode mnie. Pod nosem zaczęły mu rosnać długie ciemne włoski, które już niedługo będzie można nazwać wąsami. Ostrożnie wyciągnęłam rękę, pogłaskałam go po policzku. Kiełkowały mu tam tylko pryszczki, zarost jeszcze nie.

- Co ci się śniło?

- Dlaczego obudziłaś mnie w środku nocy? Mamo, co się dzieje? - Oddychał szybko. Jego oddech obco pachniał.

- Wygadywałaś przez sen straszne rzeczy.

- Co? - zaniepokoił się. Przestraszony, wyglądał tro-

chę bardziej jak dziecko.

Wyciągnęłam ramiona. Maks patrzył przez chwilę, jakby nie do końca mnie poznawał, po czym przytulił się mocno. Kołysałam go w ramionach i mruczałam uspokajająco „już dobrze, już dobrze”. Mmm.

- Śniły mi się - powiedział w moje ramię - śniły mi się świnię.

175

Kołysał się razem ze mną, oddychał coraz ciszej i wolniej. I szepnął mi prosto w ucho:

- I śniło mi się, że kogoś duszę.

Odsunął się ode mnie i ze zdumieniem spojrział na swoje dłonie.

- Że duszę dziewczynkę. Bardzo nieposłuszną dziewczynkę.

A jednak.

- Kogo?

Spojrzał na mnie dziwnie. Zmarszczył czoło. Nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

- Nie jestem pewien. Chyba jej nie znałem. Mamo, ja bym czegoś takiego nie zrobił - powiedział bezradnie ustami ocienionymi kielkującym wąsem. Z tych samych ust parę minut temu dobywał się wrzask. „Zabiję cię, suko!”.

- Cśśś, śpij już. Sen mara, Bóg wiara - użyłam dawno zapomnianego zaklęcia mojej babci. - Cśśśś.

- Cśśśś - powtórzył grzecznie i szybko wycofał się w krainę niebytu.

Oparłam czoło na materacu obok jego głowy; ciągle nie wstawałam z klęczek.

- Cśśśś - szepnęłam. - Śpij, synku, śpij.

Patrzyłam na jego dłonie, które były zdolne zrobić krzywdę, na usta, które umiały wypowiadać słowa pełne nienawiści. Na głowę, w której nie wiadomo, co się kryło.

Rano przyglądałam mu się, smażąc kolejne grzanki francuskie. Każdą pożerał dwoma kłapnięciami swoich wielkich ust.

-Jak ci się spało? - zapytałam kontrolnie.

176

- Okej - spojrział na mnie zdziwiony ogromnymi błękitnymi oczyskami. - Okej. A tobie?

Nie pamiętał. Ale ja pamiętałam jego wielkie dłonie zaciśnięte na moich ustach.

- Maksie, dlaczego wybraliście akurat tamten grób?

Spojrzał na mnie uważnie.

- Mamo, a co ty tak znowu o tym? Przecież przeprosiłem.

- Ale dlaczego akurat tamten?

Wzruszył ramionami.

- Bo jeszcze nie miał płyty. Sama ziemia, łatwo rozkopać.

- Nigdy przedtem nie widziałeś tej kobiety?

- Nie. No co ty. Mamo, o co ty mnie właściwie pytasz? To ja, twój mały syneczek. - Uśmiechnął się i położył mi głowę na ramieniu. Była bardzo ciężka, ta jego głowa.

I z chłopięcą głową wspartą na moim ramieniu postanowiłam sobie: nie spocznę, zanim nie dowiem się, kto zakłócił spokój we wsi mojego dzieciństwa i zrobił krzywdę dwóm Ukrainkom. Przysięgam, że znajdę tego skurwysyna, znajdę i doprowadzę go przed sąd, bo nie chcę się bać i obwiniać własnego dziecka. Znajdę go i sprawię, że Świątkowice znowu będą miłym, bezpiecznym miejscem, gdzie ludzie są wścibscy, ale serdeczni. Tę samą obietnicę powtórzyłam w nocy, gdy po raz kolejny obudziłam się w samym środku ciemności i nasłuchiwałam, czy z pokoju Maksa nie dobiegają złe odgłosy. Było cicho. Budzik niewzruszenie oznajmiał, że jest 1.47. Po kilkudziesięciu sekundach zmienił zdanie o jedną cyfrę.

177

36

Język Karaka był duży, czerwony i całkiem płaski. Ruszał się bardzo sprawnie, wysuwał i chował, przesuwał na boki. Patrzyłam z mieszanką obrzydzenia i fascynacji. Karak siedział rozparty na plastikowym krzeselku w lodziarni, stopy położył na drugim krześle (jego mama chyba nigdy mu nie tłumaczyła, dlaczego taka pozycja sugeruje brak kultury). Teraz dotarł do wafelka. Chrupał, lizał i oblizywał się jak wilczysko, które dobrało się do kości szpikowej. Dopiero po dłuższej chwili zauważył mnie przy obrośniętym dzikim winem płocie okalającym lodziarnię. Wpatrzył się we mnie i znowu wsadził język w sam środek wafla, jakby z większym zapalem. Wiercił jęzorem i wylizywał zawartość, gapiąc mi się prosto w oczy. Lody były różowe, co dawało się zauważyć wokół jego ust i na gorsie koszuli.

- Truskawkowe? - zagaiłam.

Oblizwał wargi dookoła.

- Chcesz liza? - Wyciągnął w moim kierunku znacznie już wykastrowany wafelek. Nitka śliny, która łączyła lody z jego ustami, zalsniła srebrem, po czym się urwała. Teraz zwisała smętnie.

-A może kupić ci nowe? Waniliowe też są super.

- Zlizał sobie róż z okolic ust.

Październik był naprawdę bardzo ciepły tego roku, więc prasa wróciła do rozważań na temat globalnego ocieplenia klimatu, tak bardzo wyśmiewanych zeszłej zimy. Słońce spokojnie oświetlało Karaka, podeszwy jego

butów i brudnawy plastikowy stół.

- Cześć - powiedziałam i przysiadłam na wolnym krześle. Karak z zaangażowaniem wysiorbywał resztki
178

lodów z wafla. Ten człowiek naprawdę umiał czerpać maksimum przyjemności z tego, co robi. Podałam mu chusteczkę. Obracał ją przez chwilę w palcach, jakby nie wiedział, do czego służy. Postukałam palcem w swoje usta. Wytarł się posłusznie.

- Masz jakąś sprawę czy tak towarzysko? - spytał, skończywszy ostatecznie ze śladami po lodach.

- Towarzysko. To znaczy nieoficjalnie. Jakkolwiek. Patrzył kpiąco, jak się płaczę.

- Chciałam pogadać. O tych Ukrainkach.

- Od tak niedawna tu jesteście, a już zamieszani w sprawę po uszy, co?

- Nie określiłabym tego w ten sposób.

- A ja jednak tak. Oba ciała znaleźliście wy, rodzina Cudnych. Nie zastanawia cię to? Jedno podczas czynu wyszczególnionego w Kodeksie karnym, czyli podczas znieważenia miejsca pochówku zmarłego, co jest zagrożone karą więzienia do lat dwóch.

- Chyba nie w przypadku trzynastolatka, prawda?

- No nie wiem, nie wiem. Ale, na wasze szczęście, prawdopodobnie nie będzie zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa. Możesz podziękować za to mnie.

Wypiął pierś jak do dekoracji medalem.

- Dziękuję - powiedziałam posłusznie. - Wiesz, że to młodzieńcza głupota. I słyszałeś, że żałuje.

- Ja się nie znam na wychowaniu. Ale szkoda, że chłopak nie ma ojca, coby mu porządnie skórę złoł. Tak, żeby zapamiętał.

Nie chciałabym mieć z tobą dzieci, pomyślałam.

W ogóle już nie, a z tobą zwłaszcza.

- No ale to dzięki Maksowi znaleźliście ciało Ukrainki. Milczał. Patrzył.

179

- Chyba nie oczekujesz za to pochwały? - powiedział w końcu.

- Karak...

-Tak?

- Te Ukrainki. Jak one straciły życie?

- Wiesz, że nie mogę ujawniać szczegółów śledztwa.

- Wiem. Dlatego rozmawiam z tobą nieoficjalnie.

- A po co ci ta wiedza?

- Dużo myślę o tych dziewczynach.

- Znałaś je?

Chciałam mu zakomunikować o niewypowiedzianym przesłaniu Anny, ale zrezygnowałam.

- Anna raz mi może mignęła u Maliwów...

- Nie rozmawialiście? - zainteresował się.
- Nie - odpowiedziałam odruchowo. Kurczę, a jeśli, jak w amerykańskich kryminałach, będą sprawdzać numery telefonów, pod które dzwoniła przed śmiercią?
- To co to cię obchodzi? - spytał.
- Dzieciaki się przejmują. Młodzi Maliwowie.
- Dlaczego nie przyszli do mnie?
Popatrzyłam na niego wymownie.
- Nie mogę ci zdradzić szczegółów śledztwa. Nie mogę ci więc powiedzieć, że obie zostały uduszone. Więc ci tego nie mówię. - Chwilami bywał naprawdę fajny, ten długojęzyczny Karak. Chwilami. Bo zaraz nie omieszkał dodać: - Ale dostanę jakąś nagrodę? - I zagapił się na mój biust.
- Uduszone rękami czy jakoś inaczej?
- Hanka, zadziwiasz mnie. Po co ci to?
Wykonał dłońmi gest duszenia.
- Zadowolona?
- Dziękuję, Karak.

180

- Bo jeśli nie jesteś zadowolona, to może mógłbym pomóc? Wiem, jak zadowolić kobietę.
Na teren ogródka weszła pani w płaszczu, pchając wózek inwalidzki z mężczyzną. Rodzice Ruty. Zerwałam się z krzesła.
- Dzień dobry pani. Dzień dobry panu - powiedziałam.
Mama Ruty obrzuciła mnie i Karaka badawczym spojrzeniem, po czym uśmiechnęła się szeroko.
- A dzień dobry, dzień dobry. Mówię dwa razy, raz za męża. - Spojrzała na przetartą na czubku głowę mężczyzny na wózku. Może była w tym odrobina czułości?
- Widzę, że nadal lubisz lody. Ja też.
- Truskawkowe polecam, dzień dobry - postanowił zaistnieć Karak. Nawet zdjął kopyta z krzesła i poderwał się na równe nogi.
- Dzień dobry, Sławku - powiedziała pani Rutkowska. - Coś dawno do nas nie zachodziłeś.
- Praca, pani rozumie. Praca.
- No, teraz trochę jej macie. Wiesz już, kto zabił te nieszczęsne kobiety? Nikt od nas, nikt ze Świątkowic, jestem tego pewna. Prawda?
Twarz męża znajdująca się w okolicach jej łokci wyglądała trochę jak kiepska dekoracja z filmu o zombi.
- Śledztwo trwa, pani Brygido. Ale znajdziemy drania. Jeszcze raz ogarnęła nas miłym spojrzeniem i weszła do cukierni. Mężczyzna na wózku został, gdzie go postawiła. Patrzył w niebo albo po prostu nie umiał pochylić głowy.

37

Łukasz, jak zawsze, udawał, że nie ma mnie w kuchni. Siedział przy stole i - uwaga, postęp! - głośno siorbał zupę. Wszystko było niecodzienne: i że jadł, i że dochodziły z jego strony jakieś dźwięki. To zresztą jedyne dźwięki, jakie wydawał, bo nawet nie mruknął w odpowiedzi na moje „dzień dobry”. Obok niego jadła jarzynową Marija. Że też one po tym wszystkim nie bały się tu mieszkać.

- A ja pani powiem, że ta Anna to nie przyjechała tu do pracy. Ona wcale nie pracy szukała, ona szukała siostry - mówiła kobieta między kolejnymi łykami zupy.

- Siostry?

- Bo ona, ta siostra, ją zwali Olena, była tu w Polsce od roku. Zarabiała, do domu dzwoniła w każdą niedzielę. Pojechała do domu na trochę, ale potem znowu tu przyjechała do pracy. I wszystko było jak przedtem, a potem ona nagle przestała dzwonić i przestała odpowiadać, jak oni dzwonili. To oni się przestraszyli i pomyśleli: sprawdzimy, co z naszą Oleną. I Anna przyjechała z Ukrainy do Polski jej poszukać. Patrzy, a tu wszystkie rzeczy Oleny są, tylko Oleny nigdzie nie ma. Anna łąziła tu, pytała, w fabryce była, tam gdzie Olena pracowała, po wsi chodziła. I tylko: gdzie jest ta Olena, gdzie ona jest? A nie wiedziała wtedy, że Olena się utopiła. I się nie dowiedziała, może to i lepiej. A teraz obu ich nie ma. - Marija wstała, zabrała talerz do zlewu, a po drodze wytarła nos w papierowy ręcznik. - Ich dzieci tam pod Kijewem zostały z babcią i mam swoich już więcej nie zobaczą... - Otarła oczy.

182

Siorbanie Łukasza ucichło tak nagle, że aż spojrzałam w jego kierunku. On też wycierał oczy rękawem. Spocił się od tej zupy czy wzruszył losem biednych dzieci?

- Pani знаła tę Olenę? - drażyłam.

- Co tam takie znanie, cały dzień w pracy, a w niedzielę spanie. Ale wiem, że ona by się specjalnie nie utopiła, nie zostawiłaby dziecka. U niej córeczka była na Ukrainie. Dziewięć lat.... Ona dla niej tu przyjechała i zarabiała, żeby dziecko miało lżej w życiu. Pracowała i wysyłała, to nagle by tak zwariowała i opuściła dziecko, by życie stracić? Nie, pani, nie, ukraińska kobieta tak nie robi, bo na niej się cała rodzina opiera. A już z Anną to jak było? - ciągnęła Marija. - Przecież chyba nie szła na spacer na cmentarz i nie wpadła przypadkiem do grobu. Prawdę mówię?

- Pani Marijo, podobno ktoś ją udusił.

- Udusił? No tak. Ale dlaczego? Kto? Co komu przeszkadza taka matka z Ukrainy? Co u was za ludzie są w tej Polsce?

- Pani Marijo... Bo ja myślę, że to ktoś z Ukrainy.

Ktoś od was coś do nich miał.

Pewnie, obce zabił obcy. One przywiozły tu jakieś swoje sprawy, za nimi przyjechał morderca. To nie ma nic wspólnego z nami. Z nikim z nas.

- Od nas? A kto by miał robić krzywdę kobietom ze wsi, które przyjechały ciężko pracować? A bo one co złego robiły? Wszystko legalnie. To kto miałby im krzywdę zrobić? No kto? Na Ukrainie nie tacy ludzie, o nie.

-Pani Marijo... - przerwałam potok jej wymowy.

- Anna chciała mi coś powiedzieć. Dzwoniła do mnie.

Dzień przed śmiercią.

Marija spojrzała na mnie dziwnie.

-Naprawdę?

183

- Mówiła, że ma do mnie sprawę. Że nie na telefon.

I miałyśmy się spotkać. Nie przyszła, bo wtedy zniknęła.

Nie wie pani, o co jej mogło chodzić?

- To po co mnie pani tak pyta, jeśli pani ją знаła?

I dzwoniła, i umawiałyście się? - w tonie Marii pojawił się cień podejrzliwości.

- Wcale się nie znałyśmy.

- To dlaczego do pani dzwoniła, a?

- No właśnie nie wiem.

- Łukasz, ja cię już zostawię - powiedziała Marija, nie patrząc na mnie. - Mnie już czas iść na fabrykę.

- Pani Marijo! - drażylałam.

Kobieta wyszła do sieni. Oparła się pośladkami o ścianę i na stojąco zawiązywała buty. Poszłam za nią.

- Pani, ja chodzę do pracy, z pracy wracam, gotuję kolację i odpoczywam - powiedziała półgłosem. - Ja nie chcę z nikim rozmawiać, bo u mnie pod Kijewem dzieci i chcę je jeszcze zobaczyć. Ja nic nie wiem. Ja pani Oleny prawie nie znałam, a Anna ze mną nie gadała. Ja się pomodłę za te dwie biedaczki, za ich dzieci, za ich rodziny, tyle mogę dla nich zrobić. A dla siebie i dla swoich dzieci co zrobię? Zrobię tyle, że nie będę się interesowała takimi rzeczami.

I wyszła. Patrzyłam przez chwilę na drzwi, po czym wróciłam do kuchni.

- Kiedy wróci twój brat?

Cisza. Łukasz wstał od stołu i podążył w stronę wyjścia z kuchni.

- Ejże! - krzyknęłam. - A talerz kto sprzątnie?

Aż drgnął. Przystanął, odwrócił się, spojrzał na mnie, a potem w kierunku przedpokoju, gdzie rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Drzwi się otworzyły; doczekałam się Tomka.

184

- Talerz, chłopcze - nalegałam, patrząc na Łukasza.

- Sprzątamy po sobie.

Łukasz postął jeszcze chwilę na środku kuchni,

po czym wrócił do stołu, zabrał swój talerz i wstawił do zlewu. Tomek, który właśnie pojawił się w kuchni, spojrzał na mnie z podziwem i uniósł kciuk.

Łukasz, szurając skarpetami, poszedł w stronę schodów na górę.

- Cuda tu się dzieją - szepnął uśmiechnięty Tomek.

Ale po chwili spowaźniał. - Byłem na policji.

Minę miał niewyraźną; znalazł się na liście podejrzanych. Czasu zgonu co do godziny nie stwierdzono, więc nie wypytywano go o alibi, lecz Karak poszalał, drażąc inne tematy. Jakie? Mogłam się tylko domyślać, wróżąc ze splonionej twarzy Tomka, który z tym rumieńcem wcale nie wyglądał na studenta drugiego roku. Znał obie kobiety, z obiema mieszkał w jednym domu. Motywu nie miał, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale miał sposobność. Tak pewnie myślał Karak. Patrzyłam na tego nieszczęsnego chłopaczka, na którego spadł teraz ciężar zajmowania się domem, bratem oraz zniknięciem rodziców, i jakoś nie uważałam, żeby w tym całym zamieszaniu miał jeszcze głowę mordować Ukrainkę. Nie. Nie on.

Niemniej jednak coś o zamordowanych kobietach musiał wiedzieć, przecież żył blisko. Jeden dom, jedno wejście... Wprawdzie one spały w suterenie z oddzielną łazienką, a on na górze, ale nie dało rady się nie widywać w tych warunkach. Od razu spytałam, co jego zdaniem Anna mogła chcieć mi powiedzieć.

- Nie wiem. Naprawdę. Nie wiem.

- Nie rozmawiałaś z nią?

185

- A nie. Ona to nawet dużo chciała rozmawiać. Pytała mnie o tatusia. O jego pracę. O fundację. O wszystkie takie rzeczy, które nie powinny jej interesować, prawda? To jej nie mówiłem, bo to mi się wydawało dziwne, po co jej to było? Nie wie pani?

- A do pracy gdzie chodziła?

- One wszystkie chodziły do garbarni. I jeszcze po ludziach dorabiały. Ale nie wiem, nie pytałem. Gdzieś chodziła, bo często wracała bardzo późno wieczorem.

- Płaciła?

- Tak. Chyba tak. Za sierpień nie wiedziały, komu dać pieniądze, bo mamusi już nie było, więc mnie wszystkie zapłaciły.

- Olena nie płaciła ci na pewno. Przecież drugiego września moja córka znalazła jej ciało. W fatalnym stanie. Wyznał w końcu, że nie odróżniał trochę tych Ukrainek. Przyjeżdżały i odjeżdżały w rytmie wyznaczanym datami ważności wizy, wszystkie zaaferowane, spracowane i zmęczone, w podobnych fryzurach i podobnych strojach, z podobnym wyrazem twarzy i podobną zna-

jomością polszczyzny. Teraz, gdy mu pomagały w domu i przy Łukaszu, gdy się dopytywały i martwiły, gdy mu płaciły, zaczynał je dostrzegać. Ale ani Olena, ani Anna nie utrwaliły mu się jakoś szczególnie, poza pytaniami, które zadawała Anna. Zdaniem Tomka, wykraczały poza to, co Ukrainkę powinno interesować.

- Szukała siostry. Oleny - wyjaśniłam.

- Fakt, pytała mnie o Olenę. Ale ja nie umiałem jej pomóc. Co ja mogłem powiedzieć? Że płaciła mamie za miejsce i że pracowała u ojca w fabryce. Nawet nie zauważyłem, że zniknęła. Mamusia pilnowała, kiedy która wraca i wyjeżdża. A potem już nie miał kto pilnować.

186

- A w wakacje byłeś w domu?

- Trochę jeździłem na zarobek. Na Mazury, jako ratownik. Jestem po kursie.

Ratowników sytuowałam zawsze w trochę wyższej kategorii wagowej.

- Posterunkowy pytał mnie o to samo - dodał, patrząc na mnie uważnie. - Pani też mnie podejrzewa? Pokręciłam głową.

Przypatrywał mi się długo, potem skinął głową.

- Nie zrobiłem im krzywdy. Niech pani mi uwierzy, proszę.

Zacisnął dłonie w pięści. Boże, to absurd, posądzać tego dzieciaka.

- Pewnie, że ci wierzę - powiedziałam, jak umiałam najzyczliwiej. Rozluźnił pięści. Trochę.

- Teraz wszyscy tutaj tak na siebie patrzą - powiedział. - Jeden na drugiego. Ten zrobił? Tamten? Ale przecież nie zabił ich nikt stąd. Ja tu wszystkich znam. Od zawsze. Ja... Nie wyobrażam sobie, żeby to mógł być ktoś z nas. Jakiś sąsiad. Nie. Niemożliwe.

- Wiesz co, najprawdopodobniej może tu chodzić o jakieś ukraińskie, a nawet rodzinne porachunki. Twój sąsiadzi nie mają z tym nic wspólnego.

- No, niech pani powie: ta Anna mnie tak wypytywała o tatusia... Chyba nie podejrzewała, że to tatuś coś Olenie zrobił? Niech pani powie: przecież nie mogła tak myśleć, prawda?

Zaszklily mu się oczy. Spojrzał w sufit, żeby siła ciężkości skierowała łzy z krawędzi z powrotem do wnętrza oka.

- Chłopie, ona nawet nie mogła wiedzieć, co się stało jej siostrze - odezwałam się. - Przecież przyjechała,

187

zanim znalazło się ciało. A potem długo jeszcze nie było wiadomo, czyje to zwłoki.

Przełknął ślinę.

- Fakt. Czyli nie mogła podejrzewać tatusia, prawda?

- A miała powody?

- Nie, pewnie, że nie - zaprzeczył od razu. - Jakie powody? Mój tatuś?

Wpatrzył się w stół.

- Pani chyba nie myśli, że mamusia i tatuś też nie żyją? Prawda? Nie myśli pani tak?

I zaczął płakać, rozmazując sobie po twarzy łzy jak dzieciak. A potem nagle przytulił się do mnie. Objęłam go jak Maksa. W drzwiach do kuchni stanął Łukasz i patrzył na nas czujnie, jakby wreszcie odzyskał kontakt z rzeczywistością.

38

Ta rewizyta musiała nastąpić. Nie upiekłam ciasta, to mnie przerastało, ale kupiłam gotowy biszkopt, ubiłam śmietanę, rozłożyłam na niej jakieś owoce egzotyczne typu kiwi i brzoskwinia z puszki. Materkowa siedziała i ledwie skubała mój leniwy produkt. Popijała herbatą, żeby nie zachrypnąć, bo w odróżnieniu od tempa spożywania, tempo gadania miała imponujące.

-Już się martwiliśmy, jak my łazienkę zrobimy, ale na szczęście znalazły się pieniądze - opowiadała. - Ja nigdy nie chciałam sprzedawać ziemi, jeść nie woła i dzieciom się kiedyś przyda, dom postawić czy sprzedać, jak one będą potrzebowały, ale ta łąka nad rzeką, sama pani powie, to nie wiadomo, co z nią zrobić. A jak ktoś chce ją kupić, to tylko się cieszyć.

188

- Jaka łąka?

- A tamuj - machnęła Materkowa ręką za płot. - Zna czy tam, przy rzece.

Przy rzece rozciągały się rozległe łąki pełne kwiatów, po których trzeba było chodzić w kaloszach. Miśka chichotała, bo błoto z kłaskaniem wsysało gumowce i jeśli się szło zbyt szybko, zostawały przyklepione wśród traw jak pomniki cywilizacji.

- I ktoś chce ją kupić? A po co? Krowy będzie paść?

- Z tym pasieniem to raczej nie. Tam jest mokro. Kiedy popada, to ani krowę wygonić, ani trawę skosić. No to się tatuś ucieszył, że ktoś to blocko chce.

-Kto?

- Jakiś pan z miasta. Nie znam. Ale ja chciałam spytać sąsiadkę, czy on dobre pieniądze daje.

- Sąsiadkę?

- No, panią chciałam spytać.

- Pani Materkowa, ja się w ogóle nie znam na cenach gruntów. Nie wiem.

Moje dzieci siedziały cicho jak króliki Materkowej, każde w swoim pokoju.

Do drzwi ktoś zapukał. Cichutko, nieśmiało.

- Dzień dobry. - Do sieni wsunęła się Sabrina.

- Ja do Misi.

- Miśka, masz gościa! - zawołałam.

Sabrina powiesiła swoją kurtkę na wieszaku, po czym zdjęła buty i ustawiła je równolegle, jeden obok drugiego, w sieni. Poszła do pokoju Miśki. Zamknęła drzwi. Nadal cisza. Spodziewałam się dziewczęcych chichotków, plotkowania, ale albo siedziały w milczeniu, albo rozmawiały bardzo cicho.

- Ciasta im zaniosę - powiedziałam do Materkowej.

189

Zajrzałam do nich z dwoma talerzykami. Wyglądały przez okno. Postawiłam talerzyki na stole.

- Mama takiego ciasta nie robi - oznajmiła Sabrina.

- Na pewno robi lepsze. Ale spróbuj, może ci zasmakuje.

Skinęła poważnie głową. Wyszłam i znów siadłam przy stole, przy którym Materkowa zwilżała gardło kolejnym łykiem herbaty, a plasterki kiwi cicho zapadały się w zaspę z bitej śmietany.

- A z innej beczki... Nie zastanawiała się pani, co się mogło stać z Ewą Maliwą i jej mężem? - zagaiłam.

Materkowej było w to graj.

- A pewnie, że się zastanawiałam! On by do Irlandii jechał, jak tu góry złota zarabiał? To wszystko Ewa rozpowiadała, żeby wstydu nie było.

- Jakiego wstydu?

-A bo to pani nie wie? - Nieufnie nabrała trochę śmietany na łyżeczkę i liznęła. - Zwykłą śmietaną pani ubijała?

- Trzydziestkę. Ale dodałam śmietanfixu.

- Wiedziałam! Wiedziałam, że jakieś wynalazki pani zastosowała!

Nie byłam do końca pewna, czy to komplement.

- To jakiego wstydu miało nie być?

- No że Paweł, ten jej mąż, miał okazję w domu, to i czerpał.

- To znaczy?

- Ja tam nie lubię plotek, ale on podobnie z tą Ukrainką świętej pamięci to coś miał więcej do czynienia.

- Z Oleną?

- No, sama ich nieraz widziałam, jak jechali gdzieś samochodem. We dwoje. Ewa to chciała wymówić tej

190

Ukraince dom, ale się Paweł nie zgodził. Taki bezczelny, pani widzi. We własnym domu musiał ją mieć.

- Skąd pani to wszystko wie?

- Kobiety gadały. Ale co, nieprawda była? Okazało się, że prawda. Kiedy wyjechał, to niedługo potem i ta jego Ukrainka zniknęła. Ja myślę, że wyjechali gdzieś razem, tylko się tak dla niepoznaki na chwilę

rozdzielili.

-Jest pani pewna, że on wyjechał? - zadałam pytanie.

- No a jak? Ewa tak przecież mówiła. Mój mąż wyjechał, mówiła.

- Ale sama pani nie wierzy, że wyjechał do Irlandii.

- No, ona też przecież nie wierzyła. Ale jak miała mówić, że pojechał gdzieś z kochanką? - oburzyła się Materkowa. - No co pani, taki wstyd. Raz, że zdradzał żonę, dwa, że zdradzał ją pod jej dachem, trzy, że wyjechali razem. A ta musiała kłamać, że on do Irlandii.

- Może, jak już męża nie było, to Ewa Olenę wyrzuciła?

- A może? - przytaknęła Materkowa. - Przynajmniej by miała trochę satysfakcji na koniec.

Rzuciła krwiożercze spojrzenie na ścianę.

- Jeśli nawet razem gdzieś wyjechali, to nie ujechali daleko - musiałam zasiać wątpliwość. - Bo przecież potem znaleziono Olenę martwą.

- No i tego to ja już nie rozumiem wcale.

- Przecież nie Ewa Maliwa to zrobiła.

-A gdzie tam! - uniosła się świętym oburzeniem Materkowa. - Nikt stąd! Ja ich wszystkich znam, większość od dziecka. Tu sami dobrzy ludzie mieszkają, dobrzy sąsiedzi, dobrzy katolicy. Wszyscy w niedzielę

191
w kościele... - Spojrzała na mnie i zaczęła się płatać.

- To znaczy wiem, że pani nie chodzi, ale... No, dzieci przecież na religii są... I wiem, że pani w głębi serca wierzy, bo przyzwoita z pani kobieta jest - wybrnęła w końcu.

Nie wdawałam się w dyskusję co do głębi mojego serca, jednak mimo najlepszych chęci nie wydawało mi się, by stuprocentowe uczestnictwo świątkowiczów we mszy świętej gwarantowało, że wszyscy są przyzwoici.

- To jak pani myśli, co się stało z Ewą? - zadałam kolejne z nurtujących mnie pytań.

-Ja to myślałam, że za nimi pojechała. Za mężem i jego kochanką. Tak z kobietami mówiłyśmy. Wyjechała, żeby faceta za fraki do domu przyprowadzić. Ale nie wiem, czy tak było, bo już by go chyba przyprowadziła albo sama wróciła, prawda?

Sabrina i Miśka wyszły z pokoju.

- Możemy iść na spacer? - spytała z uśmiechem Miśka. W roli idealnej postaci z umoralniającą powiastki dla dziewczynki budziła moje żywe podejrzenia.

- Po podwórku może pochodźcie, ciemno już.

- Dobrze, mamusi. Może być po podwórku.

I wyszły.

- Grzeczne ma pani to dziecko. Dziwna mnie się wy-

dawała, ale teraz widzę, że nieśmiała była, a teraz się ośmieliła.

- Dziękuję. Jestem zadowolona, że się koleguje z Sabriną, to miła dziewczynka, ta pani córka - przykadziłam Materkowej w odpowiedzi na jej komplementy i obie poczułyśmy się lepszymi matkami. W pokoju obok siedział cicho Maks, ale żadna z nas o nim nie wspomniała...

MISKA

39

Idiotyczny był ten spacer po ciemnym podwórku, ale Sabrina uparła się, żeby coś mi pokazać, więc założyłyśmy kurtki i kalosze, po czym poprowadziła mnie w stronę obórki. Zaglądałam tam tylko raz, zaraz po przyjeździe, w sierpniu. Było ciemno, gorąco, a w powietrzu unosił się smrodek po jakichś zwierzętach.

- To nie obórka, to chlewik - powiedziała Sabrina i spojrzała na mnie znacząco. A przynajmniej tak mi się wydawało. - Świnie inaczej śmierdzą.

-Aha.

Bo i co miałam powiedzieć?

- Wiesz, że wasz pan Karcz nigdy nie wszedł do tego chlewika?

Wzruszyłam ramionami. Ja też bym nie wchodziła do żadnego chlewika, jakby mnie tu Sabrina nie wepchnęła.

- A wiesz dlaczego? - Sabrina miała bardzo tajemniczy głos.

- Jak mi chcesz powiedzieć, to może po prostu powiedz, co?

193

- Z tego samego powodu, dla którego u was na podwórku straszy.

- A straszy?

- Przecież sama mówiłaś.

Stała w drzwiach do chlewika, przez co ja musiałam stać w środku i szczerze mówiąc, z tego napięcia zaczęły już mnie mrowić stopy.

- A tak sobie gadałam, bo wiem, że lubisz - broniłam siebie i naszego gospodarstwa. - Kto by tam wierzył w duchy? Wiejskie bajdy.

Podeszłam do niej, żeby się przepchnąć na podwórko, ale trwała twardo, trzymając się rękami futryny.

- Tu, gdzie teraz stoisz, leżała ona - zasyczała Sabrina cichym, świszczącym głosem. Wiedziałam, że chce, żeby przeszedł mnie dreszcz. I wiedziałam, że ona wie, że jej się z tym dreszczem udało.

- No i co z tego? - powiedziałam. Nie interesowało mnie, ani kto tu leżał, ani dlaczego. To znaczy może bym o tym pogadała, ale w moim ciepłym jasnym pokoiku, a nie w tym ciemnym lodowatym pomieszczeniu, pach-

nącym czymś ohydny.

- Leżała, a ten pies wył i wył.

Jeśli wył, to w obecności trupa. Nie miałam złudzeń.

Gdziekolwiek się obróciłam, pojawiały się jakieś zwłoki, więc dlaczego nie w chlewiku? Zainteresowało mnie jednak co innego.

- Jaki pies?

- Kruczek.

- Jej?

- Ichhhh - wycharczała Sabrina. To było tandetne, jak w głupim horrorze dla dzieci, ale się przestraszyłam. Naprawdę. Zawołam mamę, pomyślałam. Rozedrę się:

194

Mamooooo! Tak właśnie zawołam. Mamooooo! W razie czego. Bo jeszcze dam radę wytrzymać i nie dam Sabine satysfakcji.

Już się tak nie trzęsłam.

- Nie wysilaj się - powiedziałam. - To nie może być straszniejsze od tej kobiety w stawie.

- Jest straszniejsze.

- Nie. Bo tego już nie zobaczę.

- Zobaczysz. Jak będzie łązić po podwórku. W nocy.

- Przecież ona nie żyje.

- Jako duch, Miśka. Ty, widzę, nic nie rozumiesz.

- Widziałas tego ducha?

- Pewnie. Nie raz. Chodzi u was po podwórku Francka Karczowa z głową pod pachą.

- Z czym pod czym?

- Z głową pod pachą.

Zachichotałam nerwowo.

- Bo co? Lubi sobie potrzymać? - zaśmiałam się.

- A ty się nie śmiejesz. Chodzi, bo zmarła tragicznie. W bólu. Tu leżała. Świnie zjadły jej wszystko, co wystawało spod ubrania. Twarz. Uszy. Gardło. Ręce. Łydki. Na stopach tylko miała takie małe wsuwane kalosze, to zostawiły.

- Kto zjadł?!

- Świnie, jej wielkie, głodne świnie. Wszystko prawie, co dały radę. Były bardzo głodne. Bo właśnie poszła je karmić i szlag ją trafił.

- Szlag? A co to ma być?

- No atak serca czy coś. Zasiała, jak przyszła je karmić. Upadła tutaj. A one były głodne i ją zjadły.

Głupia była ta historia.

- Świnie? Zjadły człowieka? Przecież one nie jedzą mięsa.

195

- I tu się mylisz. One jedzą wszystko. Jak się kurek zabije, to zjadają wszystko, co z niej zostanie. Każdy flaczek. Aż się biją o te flaki. Mają później krew na ryjach.

Znowu dreszcz. Staralam się nie rozglądać po chlewie. Zresztą było tak ciemno, że nic nie widziałam. Zrobiłam tylko krok w bok, żeby nie stać tam, gdzie kiedyś leżała martwa kobieta. Sabrina w progu rozłożyła ręce, trzymając się futryny po obu stronach; jej cień w świetle księżyca tworzył kształt krzyża.

- On ją znalazł - ciągnęła grubym głosem, a jak się jej przypominało, to jeszcze dodatkowo charczała.

- Karcz. Ten stary Karcz, co tu mieszkał przed wami. Adam Karcz. Poszedł wtedy pić i nie było go długo, parę dni i parę nocy. A kiedy on pił, ona zostawała, zajmowała się wszystkim, karmiła kury, karmiła świnię. A on, jak już wrócił, to wołał jak zawsze: „Matka! Matka, obiad dawać!”. A ona nic. To on: „Dawać, bo jak nie, to ci przy... przywalę!”. A ona nic, leży tu i nie ma twarzy. To on zaczął biegać po obejściu, bo światło się paliło, wszystko było pootwierane. I jak wszedł tutaj, to od razu wytrzeźwiał. Patrzy, a tu ubranie jego żony, ale żona już bez głowy, bez rąk, bez nóg. Tylko te kalosze. I włosy.

Sabrina oparła się plecami o futrynę i zagapiła się w niebo. Mogłam już spokojnie wyjść na podwórko, bez przepychania.

- Trumny w kościele nie otwierali, sama rozumiesz.

- A normalnie to otwierają?

- No tak, w domu, w kościele, żeby się pożegnać, przecież wiesz. W rękę pocałować, jak to babcia, w policzek, jak to mama. A tu w co całować, jak ręki nie ma, 196

a policzek dawno zjedzony? To nie otwierali. Karcz potem pytał: „A jak to nie była moja żona? Jak to Franka nie była, to co? Jakiś obcą pochowali? Którą u nas w chlewie świnię zjadły?”. I tak przychodził do nas i gadał, a wtedy mama powiedziała, że nieboszczka da mu znak. I faktycznie, w nowiu po podwórku zaczęła chodzić. On wtedy siedział w domu i tak krzyczał: „Idź sobie! Idź!”. To już słyszałam, bo on tak do samej śmierci zawsze w nowiu krzyczał. Co miesiąc miał taką noc, dwie krzyżenia. Jak pił, krzyczał, jak przestawał pić, to samo. Taki on krzykliwy był. - Sabrina rozejrzała się po chlewie i po podwórku. - Wiecznie odpoczywanie racz mu dać Panie.

I sama zesza z progu chlewika, wycofała się na podwórko. A ja się jeszcze rozejrzałam po ciemnym wnętrzu. Ale żeśmy dom wybrali, naprawdę! Trup w szafie, trup w chlewiku, kłapa w podłodze. Ale żeśmy wybrali! Uciekliśmy od wspomnienia po jednym zmarłym tutaj, gdzie tych zmarłych są całe tłumy.

- Nie pękaj! - wrzasnęła z podwórka Sabrina. - Dziś Franka się nie pokaże, za duży księżyc. A jak będzie

nów, możesz przecież spać u nas, to też jej nie zobaczysz, prawda?

No i taka to była wariatka, ta moja nowa koleżanka. Od kiedy dowiedziałam się o kolejnym trupie w naszym życiu, nic to, że starym, bo rzecz zdarzyła się przecież dwadzieścia lat temu, jak mi wytłumaczyła pani Materkowa, więc odkąd dowiedziałam się o kolejnym trupie, starałam się w nocy nie wyglądać przez okno. Duch Franki kręcił się podobno w okolicach chlewika, nie po domu, więc w swoim pokoju, a zwłaszcza w łóżku, pod kołdrą, byłam bezpieczna.

197

Może coś tam snuło się i w starym lustrze, ale raczej nie Franka.

Miałam przynajmniej taką nadzieję.

40

No i tak było z tą Sabriną. Tam, gdzie czułam się bezpiecznie, lubiła budzić demony, ale gdy już się czegoś bałam, tłumaczyła mi, że nie ma czego. Przez nią na naszym podwórku pojawił się duch Franki Karczowej z głową pod pachą, ale też dzięki Sabrinie droga do domu ze szkoły, pełna do tej pory tajemniczych postaci i ukrytych zwłok, stała się zwykłą drogą do domu. Przy niej ten dziwny krasnoludkowaty facet, którego ciągle spotykałam przy naszym płocie, okazał się po prostu panem Rumciem z końca wsi. Sabrina trochę się z niego śmiała, ale nie w oczy, tylko tak do mnie, za jego plecami. Na przykład wtedy, gdy pan Rumcio przydźwigał kosz winogron. Wracałyśmy ze szkoły i zauważyłyśmy go od razu. Stał przy płocie i palił papierosa. Nie wchodził, bo przed wyjściem zamknęłyśmy wszystko dokładnie.

- Kiedy wróci twoja mama? - zagadał, kiedy mnie zobaczył.

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam, że takich informacji obcym się nie udziela. Sabrina też wiedziała.

- Co tam masz, Rumciu? - spytała, zamiast odpowiedzieć.

- A winogrona dla Hani. - Pokazał nam koszyk. Winogrona były maleńkie, ale Sabrinie zaświeciły się oczy. Oblizła się za plecami tego faceta i mrugnęła do mnie.

- Daj, kochany, zaniesiemy jej - powiedziała. - Wolisz napisać karteczkę, że to od ciebie, czy wystarczy, że jej to powiemy?

198

Rumcio nie wiedział, co woli.

- No to powiemy - zdecydowała Sabrina. - I pozdrowimy ją od ciebie. Całuski też przekazać?

Kopnęłam ją, bo przesadzała, naprawdę.

Winogrona zjadłyśmy we dwie, resztę dorznął nieuważny Maks, który jadł tyle, w takim tempie, i to głównie na stojąco, że nawet nie zauważał, co wsadza do ust.

Jak mama wróciła wieczorem, to nawet koszyka nie było, bo go schowałam w drugiej połowie domu.

Następnego dnia Rumcio znowu czekał pod płotem.

- Pani Hania bardzo dziękuje - odezwała się Sabrina, gdy oddałam kosz. - Mówi, że nigdy nie jadła takich pysznych owoców.

Ogarnęła mnie zgroza, że mu taką ciemnotę wciska.

Ale fakt, winogrona bardzo mi smakowały - poza skórką były słodziusieńkie, a pestki przecież zawsze można było wypluć.

- Pani Hania mówi, że jeszcze by chętnie zjadła trochę takich winogron.

Bałam się, że Rumcio załapie ściemę Sabriny, ale on się spieszył.

- To może na drugi rok, bo ja już więcej nie mam.

Wszystko przyniosłem...

I poszedł sobie, niosąc koszyk w sztywno wyciągniętej ręce.

- On tu łązi bez przerwy, w nocy też - zwierzyłam się Sabrinie. - Po lesie, pod naszym płotem...

- Grzybów szuka. Dużo odstawia do skupu.

- W nocy? Grzyby?

- Tata też mówi, że on trochę kłusuje. To znaczy - wyjaśniła, widząc, że nie rozumiem - że zabija zwierzęta bez pozwolenia. Dlatego w nocy.

199

- A można mieć pozwolenie na zabijanie?

- Oj, Miśka, Miśka - westchnęła Sabrina tonem swojej mamy.

Nów zbliżał się wielkimi krokami, co stwierdzałam, badając co wieczór wielkość księżyca. Na razie jednak nie było się czego bać, jak stanowczo twierdziła Sabrina, która najwyraźniej lubiła mieć władzę nad moim strachem. I to ona któregoś popołudnia wpadła na pomysł, żebyśmy wreszcie obejrzały drugą połowę domu. Zrobić to trzeba, a lepiej z nią niż samej, pomyślałam, i miałam rację. Bo przy niej szafa stała się zwykłym starym gratem, wzory na ścianach z krzyczących twarzy zmieniły się w dziwaczne kwiatki, a Jezus na krzyżu nagle wydał mi się całkiem zadowolony z życia. W końcu kazałam Sabrinie stanąć nawet na dywaniku w paski i spytałam, czy ją też tam stopy swędzą.

- Nie. A ciebie tak? - spytała. - Pewnie są tu pchły.

Podniosłam dywanik i pokazałam jej metalowe kółeczko do podnoszenia klapy.

- Otwieramy - zdecydowała.

Szarpałyśmy za to cholerne kółeczko, ale ono nic i nic. Dopiero jak podważyłyśmy pogrzebaczem, kłapa się w końcu podniosła. Buchnął spod niej pył, po czym opadła z hukiem. Kółko zostało mi w ręku. Po pokoju krążyły

kłęby kurzu, który - tak na oko - był starszy ode mnie.
- Jak twoja mama zauważy, że urwałaś kółko, to ci da! - przestraszyła się Sabrina, ale ja wiedziałam, że mama nic nie zauważy. Raz - bo tu nie zagląda, dwa - bo znowu jej nie ma w domu, trzy - bo zaraz przykryjemy klapę dywanikiem i będzie, jak było. W końcu cztery - bo ostatnio naprawdę nic nie zauważa.
No i fakt. Tego też nie zauważyła.

HANKA

41

W sobotę zbudziły mnie o świcie straszliwe wrzaski cierpiącego człowieka. Otworzyłam oczy, od razu skulona, z bolącym z przerażenia brzuchem. Nie wolno się poddawać panice, trzeba bronić dzieci! Skulona z bólu od razu pobiegłam do Maksa, ale tym razem to nie był on. Spał spokojnie, mimo że z zewnątrz dochodziły wrzaski, rozpaczliwe wycie człowieka w potrzasku. Teraz już słyszałam wyraźnie, że ktoś za płotem sąsiada walczy o życie.

Boże, Materkowa chyba w złą godzinę powiedziała, że zabójcą nie jest nikt stąd! A teraz ich załatwią, całą rodzinę! Chwyciłam gaz pieprzowy, który przyszedł w paczuszce, zamówiony w profetycznym odruchu przez Internet, narzuciłam sweter na piżamę, zamknęłam dokładnie okiennice, drzwi wejściowe i furtkę, po czym pognałam za płot. Komórkę miałam w kieszeni, z wystukanym już numerem alarmowym. Wystarczyło nacisnąć słuchawkę. No i złapać zasięg.

Zajrzałam przez betonowe ogrodzenie na podwórko Materków i dopiero teraz zobaczyłam, że jak na dokonywane właśnie zabójstwo, znajduje się na nim stanowczo 201

zbyt wiele osób. Chyba że dochodzi właśnie do linczu albo mordu rytualnego. Przed chlewem stało kilku ludzi, głównie mężczyzn, a pośród nich Rumcio w jakimś takim plastikowym brudnym fartuchu. Wrzask rozlegał się gdzieś z prawej, zza chlewa. Straszliwe przedśmiertne wycie i tupot uciekających stóp. Kopyt? Przejechałam wzrokiem po twarzach - nikt się tymi dźwiękami nie przejmował. Co więcej, wszyscy mieli miny raczej piknikowe.

- Dzień dobry, Haniu - odezwał się Rumcio i spojrzał na zegarek. - Pospało się dzisiaj, co?

- Co tu się dzieje, na miłość boską?! - wykrztusiłam.

- Siły ma dużo, to tyle wrzeszczy - wytłumaczył mi Rumcio. - Obudził cię?

Wrzask przeszedł w mrozący krew w żyłach kwik, po czym nagle umilkł.

- No, już po nim. Narobił nam kłopotu, bestia.

Strasznie walczył o życie.

Pod moim rękawem wyrosła Miśka, również w piżamie i swetrze.

- Kto tak strasznie krzyczał?

Rumcio spojrział na nią, po czym wrócił wzrokiem do mnie. Najbardziej go zainteresowały moje spodnie od piżamy. Boże, czy przypadkiem nie jest to jedna z tych chińskich, niechlujnie uszytych par, która ma dziurę w kroku?, zastanawiałam się w popłochu. Obciągnęłam sweter.

Z głębi podwórza przyszedł Materek, również odziany w plastikowy fartuch, teraz zbroczony posoką.

- Wieprzek - odparł Rumcio. - Ale już nie będzie krzyczał.

202

- Zabił pan kogoś? - dopytywała się Miśka, wpatrzona w Materkę, przecierając oczy ze snu.

- Dzień dobry sąsiadkom. Narobił nam trochę kłopotu. Świeżonka niedługo będzie. Jadłaś kiedy, dziecko, świeżonkę? - To było do Miśki.

- Nie wiem - zdziwiła się moja córka.

- To nie jadłaś. Jakbyś jadła, tobyś pamiętała. - Obliznął się Materek. - Chcesz tam iść, pomóc Sabrinie krew mieszać?

- Krew? - Miśka zbladła.

- Do widzenia, pójdziemy się ubrać - zainterweniowałam.

- Lubisz sobie pospać, Haniu, w sobotę? - zagadał Rumcio.

- W niedzielę też - dorzucił Materek. Nie przypuszczałam, że i on jest na bieżąco z naszym życiem.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie. Potarłam oczy. Boże, nawet nie umyłam twarzy! Pod powiekami miałam jeszcze resztkę snu.

- Do zobaczenia. Idziemy, Misiu.

Misia, ślaniając się, szła obok mnie.

- Straszne, co? - zagałam, żeby ją wyrwać z szoku.

- Okropne. Ja nie będę tego jadła, mamó. Tej zabitej świni. Dobrze? Nie będę.

Czy naprawdę wyśmienita kiełbasa Materkowej będzie nam teraz pachnieć mniej kusząco?

Maksa nie było w łóżku. Nie zdziwiłam się w sumie, te przeraźliwe wieprzowe wrzaski musiały go obudzić. Łóżko już zdążyło wystygnąć. W kuchni na stole stała szklanka z resztką wody.

- Maks, Maks! - rozdarłam się na podwórku. - Maks!

- Nagle ogarnęła mnie panika.

203

- Tak, mamó? - męski głos dobiegał z dachu letniej kuchni.

- Maks! - wściekła się Miśka. - To moje schowanko!
- A moje oglądanko - odparował Maks. - Mamo, widziałaś to? W łeb go, a potem powiesili go na takim stojaku i podcięli mu gardło! Jeszcze łapami rzucał. A teraz mieszają krew. Całe wiadro. Po co oni ją mieszają? Coś chcą ukręcić?

- Żeby nie zakrzepła. - Tyle wiedziałam z lektury Hrabala. - Będzie na kaszanke.
Był bardziej zafascynowany niż przerażony. Nie, źle. W ogóle nie był przerażony, wyłącznie zafascynowany. Oczy mu lśniły i co chwila zerkał w stronę szlachtownego wieprza.

- To pomogę mieszać tej małej. Ale dziwnie, całe wiadro krwi. Miśka, idziesz ze mną?
Miśka wydała z siebie odgłos wymiotny. A Maks, podniecony niedawną śmiercią za płotem, zeskoczył z daszku. Podszedł i cmoknął mnie w policzek. Jego oddech jeszcze pachniał snem.

Patrzyłam na pryszcze na jego nosie, które wyglądały jak czerwoni bąblujący obcy, usiłujący przebić się główkami na powierzchnię. Zrobiło mu się nieswojo i ruszył w stronę domu. Widziałam, pod przykrótkimi spodniami od piżamy, że łydki bardzo szczelnie pokrywa mu czarna sierść, że delikatne dziecięce stopki zmieniły się już ostatecznie w wielkie płetwy, podbite twardą, zrogowaciałą skórą. Ledwie mieściły się w klapkach, które kupiłam mu na bazarku w Garwolicach nie dalej niż w sierpniu. Tak, numer butów, jakiego się domagały jego stopy, przerósł już numer butów jego ojca. Moje małe, wypieszczone, pachnące

204

mydłem różowe dzieciątko zostało przemienione w wielkiego faceta.

- Pośpiesz się, to ci może świeżonki dadzą - powiedziała Miśka.

- To oni jedzą mięso na surowo? - spytał Maks i oblizał usta wielkim czerwonym jęzorem.

- Ubierz się, bo się zaziębisz!

- Spoko czapka. Będę u sąsiadów!

I poleciał do domu, szurając niezgrabnie tymi zbyt małymi gumowymi klapkami.

42

Świniobicie u Materków nabierało rumieńców. Rumcio wpadł do nas, zdjawszy na szczęście wcześniej swoje plastiki zbrukane odpryskami świńskiego ciała.

- Kielbasa będzie pierwsza klasa - powiedział. - Wielki był, ale nie ma dużo tłuszczu. Materek umie wieprze chować. Przyniosę ci ze swojego kawałka.

- Ze swojego? - Nie rozumiałam.

-A na co mi tyle kielbasy? - zdziwił się Rumcio.

- Ja sam mieszkam, Haniu. Sam jak palec, odkąd mamusia umarła.

- Przykro mi.

Właśnie kończyłam gotować obiad, ale było mi przy nim niezręcznie nakrywać. Mam go zaprosić do stołu? Czy też wystarczająco najadł się świeżonki? Stał wprawdzie w drzwiach, ale wyglądało, że tylko czeka na zaproszenie.

- Masarz zawsze dostaje kielbasę, bo między nami sąsiadami nie płacimy przecież za pomoc przy wieprzu. Ja jestem masarzem, wiesz, Haniu? Dobry fach. Przydaje się.

205

Do domu wpadł Maks.

- Mamo, widziałaś kiedyś mózg?

-Nie.

- A ja go nawet jadłem. Z jajkiem. Najdziwniejsza rzecz, jaką jadłem. Myślisz, że ludzki jest podobny?

- W smaku? - spytałam słabo.

- Oj, ty mamusiu moja, mamusiu. Kielbaskę się lubi, tylko świniobicia nie...

- Mądrego masz dzieciaka, Haniu - podsumował Rumcio. - Mądrego i dużego. Nie wyglądasz na takiego dużego syna, ale takiego masz - ciągnął refleksyjnie.

- To ja nie jestem już głodny po tym mózgu i obiadu mi nie rób. Wracam tam, bo jelita płuczą. Smród, mówię ci! - cieszył się Maks.

- Już jelita? Lece, Haniu. - Rumcio oderwał się od futryny.

Maks przyjrzał mu się uważnie.

- Pan będzie to mielone mięso w te flaki wpychał?

Muszę to zobaczyć!

Był podniecony, jak kiedyś, gdy w wieku pięciu lat po raz pierwszy poszedł do cyrku. Szczery uśmiech, otwarta twarz; prawie podskakiwał z podniecenia. Nie widziałam go takim od śmierci ojca.

43

Wrzesień już się prawie skończył i ranki stały się naprawdę chłodne. Moment między wstaniem a dobiegnięciem dwóch metrów do grzejnika elektrycznego był strasznie przykry; chłód przenikał do kości, do najdrobniejszej komórki szpiku. Pstryknąwszy włącznikiem, zaraz szybko zapadałam pod kołdry, żeby poczekać

206

w ciepłym kokonie, aż się wszystko zagrzeje i można będzie bez bólu chodzić po domu. Ale przecież nie mogłam zostawiać elektrycznego grzejnika włączonego przez całą noc, boby mi nie wystarczyło na prąd z mojej nauczycielskiej pensji. Taniej by było, gdybym się nauczyła palić wieczorem w piecu, na co namawiała mnie Materkowa, ale mimo wielu prób zupełnie mi to nie wychodziło.

Papier i szczapki, które dawałam na podpałkę, płonęły szybko, ale potem ogień gasł. Drewno, wbrew temu, czego uczono mnie w szkole o substancjach palnych, nie chciało zapłonąć. Skąd się wobec tego biorą te wszystkie pożary, skoro to tak niemrawo idzie? Materkowa w odpowiedzi na moje pytania tylko wzdychała i po raz kolejny udzielała mi lekcji. Jeśli napaliła u nas poprzedniego wieczoru, poranek był dużo przyjemniejszy.

Kiedy już się nagrzało w domu, wylazłam z łóżka i zajmowałam się zwykłą poranną rutyną. Śniadanie, dozór praktyk higienicznych dzieci, własne praktyki higieniczne, robiłam to machinalnie, nie angażując głowy, która tkwiła jeszcze gdzieś w szarej krainie snu, skąd bezboleśnie turlała się w szarą rzeczywistość jakiegoś skandynawskiego kryminału, który czytałam nad kawą. Od śmierci męża i wyprowadzki z miasta zrezygnowałam z tak zwanego dbania o urodę, dzięki czemu poranek nabity szczerze czynnościami do wykonania, stał się sporo spokojniejszy. Wystarczało w nim miejsca na lekturę kilku stron, które przenosiły mnie daleko od porannego mlaskania i zręczenia moich dzieci. Odpadło mi układanie włosów (wystarczało zwykle przeczesanie szczotką), makijaż czy pracowite dobieranie ubrań, by uwydatnić zalety urody. Nie miałam urody, miałam ciało, jak upewniałam się co rano w zamglonym lustrze, które Ruta przyniósł z drugiej części

207
domu. Miałam ciało do nakarmienia i ubrania, natomiast ładny wygląd wydawał mi się kompletnie bezprzedmiotowy. Po co? Po co, skoro wszystkich nas czeka degradacja i rozpad, najpóźniej po śmierci. Ładny wygląd był czymś jeszcze bardziej ulotnym niż życie, tak potwornie ulotnym, że nie widziałam sensu, by się o niego starać. Niszczyły go nie tylko przeżyte lata, wystarczył wietrzyk, który zburzył fryzurę; dotknięcie dłoni, by osypał się puder, łyk herbaty, by starła się szminka. Nosiłam na zmianę kilka bluzek, na to swetry. Kiedy jeden sechł po praniu, na grzbiecie miałam drugi. Reszta ciuchów, nierozpakowana, tkwiła w walizce pod łóżkiem i wcale za nią nie tęskniłam. Kosmetyczka z kolorowymi malowidłami do twarzy leżała smutno na komodzie, bojąc się, że już nigdy jej nie otworzę. Twarz miałam zatem swoją własną, w lekkich przebarwieniach, w normalnych kolorach, jakie ma na twarzy kobieta w wieku lat trzydziestu paru, która co noc budzi się o 1.47 i dużo przebywa na dworze.

- Cześć, Haniu - zagadał Ruta, kiedy wstrzymując oddech, wpadłam do pokoju nauczycielskiego po dziennik.

- Ładnie dziś wyglądasz - dodał, nie wiadomo po co. Powinnam podziękować, zbagatelizować albo uzasadnić, że świeże powietrze i rower albo coś takiego. Jednak zupełnie nie chciało mi się grać w te szachy.

- A ty wyglądasz na zmęczonego.
- Raczej wściekłego.
- Bo?
- Nasz proboszcz wczoraj znowu mnie zaskoczył. Ruta co niedziela pojawiał się w kościele z matką pod rękę, na ósmą trzydzieści.
- Wkurzył mnie do bólu.
- Dlaczego?

208

- Bo nie chciał zapowiedzieć podczas ogłoszeń parafialnych, że po mszy będę pod kościołem zbierał podpisy przeciw garbarni. W ogóle mi nie pozwolił tych podpisów zbierać na terenie kościoła! Wyobrażasz to sobie?
- No, wyobrażam, w końcu jest odpowiedzialny za to, co się tam dzieje. A co cię obchodzi jakaś garbarnia? Ruta spojrział na mnie uważnie.
- Haniu, myślałem, że i ciebie obchodzi. Byliśmy przecież razem na spotkaniu. Wtedy, w pubie. Zaczzerwieniłam się.
- Wtedy, tak? - odezwałam się lekkim tonem.
- Nic nie pamiętasz? Garbarnia. Cztery kilometry od Świątkowic. Szefował tam Paweł Maliwa, zanim zniknął. Ten zakład to największy pracodawca w okolicy.
- A ty go nie lubisz.
- Właśnie dlatego sprawa jest delikatna. Bo zatrudniają kilkadziesiąt osób, a trują kilka tysięcy.
- Jak to: trują?!
- Garbarnia skupuje grunty od rolników. Jakieś nieużytki, nikomu na nic. I daje za nie dobrą cenę. A potem wylewa tam swoje ścieki. A ścieki z garbarni to naprawdę niewąska trucizna.
- Nie wierzę, że nikt z tym nic nie robi. A co na to Unia? Policja? No, władze, generalnie?
- Unia już dawno kazała zbudować oczyszczalnię.
- I co?
- Zbudowali. Tylko że oczyszczalnia jest dla picu, w ogóle nie ma mocy na tyle ścieków, ile oni produkują. A resztę syfu wylewają na swoje grunty.
- Boże, to potworne. - Mimo nieobecności w kościele w chwilach grozy zawsze przywoływałam Pana Boga na świadka. - Gdyby okazało się prawdą.

209

- Ruta się wkurzył.
- Widziałem beczkowozy wyjeżdżające z zakładu. Czulem smród na łąkach. Hanka, ja tu mieszkam i umiem patrzeć. Ten smród nie wziął się znikąd.
 - Ruta, a masz jakieś twarde dowody, poza smrodem? Analizy gleby?
 - Przecież nikt nie przyzna, że im sprzedał łąkę!
 - Można sprawdzić w sądzie rejestrowym.

- Byłem. Ale oni kupują przez figurantów. Nie dojdiesz.

- To szukaj po smrodzie - zaśmiałam się. - Musisz węszyć.

- A żebyś wiedziała, że tak robię. I będę robił. Nie odpuszczę im.

Gdy o tym mówił, miał oczy fanatyka. A do tej pory wydawał się taki normalny i zrównoważony.

- To jakie podpisy chciałeś zbierać po mszy?

- W sprawie kontroli w zakładzie. Kontroli ekologicznej, czy wszystkie ścieki przechodzą przez oczyszczalnię i czy jest ona wydolna. Dobra, może to nie całkiem kościelna sprawa, ale chyba wszystkim zależy, żeby tu było czysto i żeby Świątkowice pozostały zdrowym, przyjaznym miejscem?

Ale może nie wszyscy ci wierzą, Ruto, mój węszący maniak. Nie powiedziałam tego jednak, nie chcąc się narażać na zalew fanatycznych zapewnień. Miałam nadzieję, że to nieprawda. Niech przynajmniej ze strony gleby, wody, powietrza nic nam nie grozi, skoro i tak grożą nam morderca Ukrainek, ludzkie spojrzenia, natrętność Rumcia, zaloty Karaka i cholerne poczucie winy, że nasz mąż i ojciec czuł się z nami tak samotny, że postanowił uciec w śmierć. Nie. Niech pewnik 210

zostanie pewnikiem. W Świątkowicach woda jest czysta i powietrze zdrowe. Tak musi być.

Ale poczułam niepokój. I nie chciałam tego tak zostawić. W obronie raju mogłam zrobić coś więcej, niż tylko podpisać się pod petycją Ruty.

44

- Dzień dobry, Hanna Cudny - wyciągnęłam rękę do zastępcy dyrektora garbarni. Zamiast jednak ją uściskać, złożył na niej mokry całus. Dyskretnie wytarłam dłoń w spodnie.

Do roli dziennikarki włożyłam kostium z dawnych czasów, żakiet i spodnie. Spodnie trochę na mnie wisiały, co mnie zaskoczyło, bo nie miałam nawet świadomości, że podczas żałoby tyle mnie ubyło. Przebranie było kompromisem, podjętym dla roli, w którą weszłam, makijaż jednak się w tych ustępstwach nie mieścił. Rano nawet otworzyłam puderniczkę, powąchałam, po czym zamknęłam i odłożyłam ją z powrotem. Zamiast pudru postanowiłam dopełnić profesjonalnego wrażenia całym plikiem wizytówek z „Przyjaciółki”, których miałam jeszcze kilkadziesiąt.

- To pani pisze dla tygodnika „Przyjaciółka”? A ja myślałem, że pani tu mieszka. Widziałem panią w okolicy.

- Bo od jakiegoś czasu rzeczywiście mieszkam. Ale czasem robię zlecenia dla gazety.

No, prawie. Czasem mogłabym robić zlecenia dla gazety.

Pokazałam wizytówkę. Te magiczne kartoniki otwierały prawie wszystkie drzwi, wiedziałam o tym doskonale.

211

- A ten tekst o czym będzie? - Przyjrzał mi się uważnie.

- O firmach przyjaznych środowisku - walnęłam z grubej rury, ale pan zastępca dyrektora się rozkrochmalił. zaproponował kawę. „I ciasteczka, te co pani wie, pani Grażynko” - dodał przez interfon.

-A główny pan dyrektor też przyjdzie? - spytałam kontrolnie. - Pan dyrektor Paweł Maliwa?

Zastępca trochę się stropił.

- A ja pani nie wystarczam? - I uśmiechnął się zalotnie, wciągając brzuch.

Szczerze nie znosiłam prezentacji męskich walorów zamiast odpowiedzi.

- Wie pan, proszę nie odbierać tego personalnie, ale czytelniczkom „Przyjaciółki” należałaby się rozmowa z szefem, a nie z jego zastępcą.

Nie spodobało mu się to, co usłyszał.

- Niestety, pan dyrektor jest na zwolnieniu. Ale zapewniam panią, że mam wszelkie prerogatywy.

- Na zwolnieniu? - Do tej pory wszyscy mówili o urlopie.

- Sama pani rozumie, że nie mogę podawać szczegółów. Ochrona danych osobowych i tak dalej. Przekazał mi jednak pełnomocnictwa.

Zaskoczył mnie.

- A kiedy?

Przyjrzał się wizytówce.

- Pani Hanna Cudny, tak?

Potwierdziłam.

- Spotkaliśmy się, by rozmawiać o proekologicznych firmach w województwie podlaskim, tak?

Sama rozumiałam, że przesadziłam.

212

Ciasteczka okazały się kruche, z kroplą marmolady na wierzchu, kawa rozpuszczalna. Dla elegancji, zamiast mleka, podano zabielaacz w proszku w torebkach. Łyknęłam raz, z grzeczności. Ciasteczka zostawiłam dla następnych gości. Na mnie też długo czekały.

A potem pan zastępca opowiedział mi dużo o nowoczesnej oczyszczalni. Nawet tam poszliśmy. Faktycznie było czyściutko, nowoczesnie, ale niewiele więcej z tego rozumiałam. Wyglądało w porządku.

-Jaka jest produkcja zakładu? Ile powstaje ścieków w procesie produkcyjnym?

On opowiadał, a ja skrzętnie nagrywałam.

- A jaką wydajność ma oczyszczalnia?

- Taką jak trzeba. Nie chcę się wtrącać, ale pyta pani o to po raz trzeci. W biurze dam pani materiały na ten temat. Z liczbami. Co mogę jeszcze pani pokazać? A zdjęć nie będzie?

- Będą. Zdjęcia podlaskich łąk czy coś podobnego.

Tu jest tak ładnie! Przecież nie damy na zdjęcia tych maszyn, nie dla czytelniczek „Przyjaciółki”. Pan tu gdzieś mieszka?

- W Garwolicach. Tam mamy trochę cywilizacji.

- Nie lubi pan dzikiej przyrody?

- Przyrodę to ja lubię przez okno samochodu. Lub w ogródku.

- A ja słyszałam, że pan tu jakieś łąki kupił - szyłam grubymi nićmi, żeby zweryfikować rewelacje od Ruty.

- Chce się pan budować? - usiłowałam załagodzić, ale nieskutecznie. No cóż, całe życie byłam dziennikarką od porad, a nie od śledztw.

- Widzę, że przy okazji postanowiła się pani pobawić w Monikę Olejnik? - Uśmiechnął się szeroko. Nie był

213
wcale głupi, ten pan zastępca Pawła Maliwy. Odpowiedziałam uśmiechem, po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy szczerem.

- A więc prostuje pan te plotki? Nie skupował pan gruntów? Ani pan, ani fabryka? - Nie mogłam wyważyć między tonem napastliwym a przymilnym, a do rzeczowego dużo mi brakowało.

- A, o to chodzi? Wie pani, ja mam świadomość, że tu krążą petycje i odbywają się spotkania w pubie. - Tu spojrział na mnie. Próbowалам się nie zaczerwienić. Przez twarz przemknął mu ledwo dostrzegalny uśmiešek. - Mam świadomość, że ktoś tam coś na nas gada. Ale, jak pani widzi, nie mamy nic do ukrycia. Natomiast młodzi ludzie się nudzą. - Podniósł głos. Wszedł z roli uprzejmego pana zastępcy dyrektora i rozpędział się. - Wracają po studiach na wieś i chcieliby robić coś wielkiego. Jeśli w dodatku zdarzy się, że wylatują od nas z roboty, to mają do nas pretensje i usiłują nam zaszkodzić... A kogo łatwiej przekonać niż dziennikarkę z Warszawy, która nie zna tutejszego życia? Niech pani nie słucha tych osób. Na razie to lekceważymy, ale jeśli będzie trwało, skończy się procesem. Niech pani posłucha: my naprawdę dbamy i o ten region, i o osoby, które dla nas pracują. Zdarza się też, że kogoś musimy usunąć z pracy. Kierowani zwykłym ludzkim współczuciem nie wpisujemy dyscyplinarki. A ten ktoś, zamiast być wdzięczny, jątrzy przeciwko nam. Niech no pani sama powie: czy w takiej sytuacji można zakładać, że ten ktoś

ma czyste intencje?

To chyba pomyłka, tu chyba nie chodzi o Rutę? Nigdy nie słyszałam, żeby Ruta pracował w garbarni. Zresztą, co mógł robić w takim zakładzie chłopak po AWF-ie?

214

- Kogo ma pan na myśli?

- Ja, w odróżnieniu od tego pana, nie rzucam oskarżeń, zwłaszcza w obecności prasy. Skończmy ten temat - zamilkł na chwilę. - Mam dla pani coś naprawdę dużo bardziej interesującego. Utworzyliśmy przy naszej fabryce fundację. I to jest naprawdę konkret, niech mi pani wierzy. Dla dobra ludzi. Nasza działalność charytatywna może być zresztą bardziej interesująca dla czytelniczek „Przyjaciółki” niż nudne liczby opisujące oczyszczalnię, zupełnie standardową dla tego typu inwestycji. No i niż plotki rozpowszechniane przez pojedynczą osobę.

Podniósł słuchawkę.

- Karolina? Pani z „Przyjaciółki” właśnie do ciebie idzie.

Wyszliśmy z jego gabinetu. Pod ścianą na korytarzu siedziała młoda kobieta, cała ubrana na czarno, o zaciętej bladej twarzy. Przedtem jej nie zauważyłam. Kiedy zobaczyła mojego towarzysza, z miejsca poderwała się z krzesła i przypadła do niego. To była ta Karolina?

- Pan, dzień dobry!

Ukrainka, od razu słycać.

- Przepraszam, teraz nie mam czasu - rzucił przez ramię dyrektor, nawet się nie zatrzymując.

A więc to jednak nie Karolina.

- Ja czekam. Ja poczekam - zapowiedziała Ukrainka i wróciła na krzesło, odprowadzając nas zrezygnowanym spojrzeniem.

- Pracownica? - spytałam. - Wiem, że państwo zatrudniacie Ukrainki.

- Jak najbardziej legalnie. Tym ludziom trzeba pomagać - powiedział z mocą zastępcy dyrektora i wprowadził

215

mnie do niewielkiego gabinetu. Spojrzały na mnie bystre oczy młodej dziewczyny.

- Karolina Kozłowska - wyciągnęła do mnie rękę. - Przewodnicząca fundacji „Darować dzieciństwo na Podlasiu”.

- Hanna Cudny, „Przyjaciółka”.

- Wiem. My się już znamy. - I prześwietliła mnie oczami jak rentgenem.

O kurde. Tak. Znałyśmy się. Dziewczyna z pubu. Jako przedstawicielka garbarni oglądała wtedy dwa pokazy: slajdów Ruty i jego kumpli w sprawie oczyszczalni oraz mój pokaz upadku trzydziestoosmioletniej kobiety,

pieszczonej naraz przez dwóch mężczyzn sporo od niej młodszych.

Zastępca dyrektora odszedł ku swoim sprawom.

- Nie wiedziałam, że pisze pani do gazet. - Spojrzała na mnie badawczo.

- Jeśli znajdę coś ciekawego. Z pensji nauczycielki ciężko wyżyć - dodałam, by nawiązać jakieś porozumienie, ale mi się nie udało. - Pan dyrektor przyprowadził mnie tutaj, by mi pani opowiedziała o działalności fundacji. Ale najpierw chciałabym zadać pytanie: wspominał o osobie, która pracowała w garbarni, lecz została zwolniona, a teraz usiłuje zaszkodzić zakładowi. O kogo chodzi?

Im bardziej próbowałam być Moniką Olejnik, tym mniej mi wychodziło. Czułam narastające zażenowanie.

- Nie powiedział pani tego? A ja myślałam, że jesteście w świetnych stosunkach.

- Z panem dyrektorem?

- Z Rutą - powiedziała dziewczyna, patrząc na mnie dziwnie. - Z Bernardem Rutkowskim. Był szefem fundacji przede mną. Ze mną jako zastępcą.

216

To była nowość, którą musiałam przetrwać. Gdybym miała na to czas.

- I czym się naraził, że wyleciał?

- Nie jestem uprawniona, by o tym mówić. Nie mam zresztą takich informacji. W każdym razie pan dyrektor nie przepadał za nim już wtedy, gdy go zwalniał, a teraz, kiedy Ruta chodzi z petycją i rozpowszechnia plotki, nie lubi go tym bardziej. Ale dość o tym. Mam pani wyjaśnić, czym się zajmujemy, za pieniądze, które przeznaczają na ten cel garbarnia.

-Tak?

- Umożliwiamy dzieciom z Ukrainy, i tym z niepełnych, ubogich rodzin, i tym z domów dziecka, wakacje w czystym otoczeniu, ze zdrowym jedzeniem, sportowe. Nasza akcja letnia trwa już trzeci rok. W tym roku, w lipcu przyjechała do nas rekordowa liczba dzieci, trzydzieścioro, w tym dwadzieścioro z domów dziecka. Tu mamy księgę pamiątkową ze zdjęciami i wpisami. Niektóre są nawet po polsku, dzieciaki nauczyły się trochę języka. To faktycznie był fajny temat dla prasy, choć lepiej byłoby go sprzedać do gazety, gdy dzieci jeszcze były na miejscu. Rozmowy, zdjęcia budowały klimat, w odróżnieniu od suchej gadki Karoliny, choć, trzeba przyznać, całkiem sprawnej. Nie miałam złudzeń, fundacja miała robić garbarni dobry PR, a wieści o szczęśliwych dzieciach miały zagłuszać plotki o śmierdzących ściekach. Sprytne. Naprawdę sprytne.

- Kto wymyślił tę fundację?

- Ruta. I zaraził tym pomysłem pana dyrektora.

- Tego pana dyrektora?

- Nie, pana dyrektora Pawła Maliwę. Obecnie na urlopie.

217

- Słyszałam, że na zwolnieniu.

- A, przepraszam. Na zwolnieniu - zgodziła się chętnie.

Obdarowana materiałami, folderami i kserokopiami z książki pamiątkowej o wakacjach ukraińskich dzieci na Podlasiu, ruszyłam do domu. Oj, Ruta, nieładnie tak się mścić na byłym pracodawcy! Oj, Ruta, ty sensacie. Ukrainka nadal siedziała w korytarzu pod gabinetem zastępcy, jak wyrzut sumienia. Obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem. Wyszłam z biura. Przy brzegach trawnika rosły mrozy - śliczne srebrnawe listki, które, według Materkowej, miały szansę przetrwać przymrozki, co mnie się wydawało kolejnym ludowym mitem.

Ciekawe, na co czeka ta Ukrainka? Chce się zatrudnić? Chybaby dyrektor tak jej nie zbywał, na miłość boską. Zawróciłam.

- Dzień dobry. - Podeszłam do kobiety. Podniosła na mnie zaskoczone oczy. - Dyrektor jest już wolny, może teraz spróbuje pani zapukać.

- Dzień dobry. Ja próbowałam. On nie ma czasu, tak powiedziała sekretarka.

No proszę, a dla mnie miał czas nieograniczony! Ale za mną stała potęga czwartej władzy. Za Ukrainką nie stało nic.

- Ja się chciała umówić po telefonu, ale mówili, że-bym przyszła i poczekała. To czekam. Drugi dzień czekam.

Nie było w niej gniewu, raczej smutna rezygnacja.

Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam w kierunku gabinetu zastępcy dyrektora. Minęłam przedmurze w postaci sekretarki i zapukałam prosto w sam środek świętych drzwi. Nie czekając na odpowiedź, wsadziłam głowę.

218

Pan zastępca siedział przy biurku i gapił się w komputer.

- Ma pan dyrektor jeszcze chwilkę?

Drgnął, zaskoczony, ale kiedy mnie zobaczył, szybko wyemitował uśmiech.

- Jeśli potrzebuje pani dodatkowych wyjaśnień, to proszę - machnął ręką w kierunku foteli przed biurkiem. Zawróciłam po Ukrainkę i wepchnęłam ją do gabinetu.

- Nie całkiem ja. To ta pani potrzebuje wyjaśnień.

- Proszę pani, tak się... - zaczął protestować.

- Pan dyrektor, dzień dobry - ucieszyła się kobieta, kiedy znalazła się w gabinecie. - Padaszko Zoriana.

Ja nie zajmę dużo czasu, pan dyrektor się mnie nie boi. On miałby się kogoś bać? Wyraźnie oburzył się na tę sugestię.

- No to z panią już się pożegnam. - Spojrzał na mnie.

- Ale nie - obruszyła się Zoriana. - Pani niech zostanie.

Miała rację. Wielce prawdopodobne, że dyrektor pozbyłby się jej od razu po moim wyjściu.

- Możemy usiąść? - spytałam uprzejmie.

Wycisnął z siebie niechętnie „proszę”. Więc usiadłyśmy.

- Ja jestem siostrą Paduszko Oleny - zaczęła Ukrainka.

Spojrzała na niego uważnie. Stropił się.

- Miło mi. Ale nadal nie wiem, o co chodzi.

- Paduszko Olena, moja siostra, tu pracowała.

- Tak? Pani też chciałaby tu pracować? To proszę z dokumentami do działu kadr...

219

- Nie. Zupełnie nie. Mnie chodzi o moją siostrę.

- Jeśli pani chce z nią porozmawiać, to moje pośrednictwo chyba niepotrzebne?

- Siostra nie żyje.

- Moje najszersze kondolencje. - Dyrektor umiał się znaleźć. Z podziwem patrzyłam, jak podrywa się z fotela i podbiega z wyciągniętą ręką do Zoriany. Uścisnęła dłoń dyrektora i drażyła dalej.

- Ja chciała spytać, kiedy Olena była ostatni dzień w pracy. Może pan sprawdzi? Paduszko Olena jej nazwisko.

- To już u nas w dziale kadr, jeśli pani pozwoli.

- Panie dyrektorze, ja myślę, że jeden pana telefon szybciej załatwi sprawę - zauważyłam.

Zoriana spojrzała na mnie z wdzięcznością.

No i wykonał ten jeden telefon.

- Po raz ostatni była w pracy czternastego sierpnia.

Potem fabryka miała dzień wolny, a potem pani Paduszko się już nie pojawiła, więc po paru dniach wystawiliśmy zaocznie dyscyplinarkę. Kiedy zmarła pani siostra?

- Nie wiem.

- Znaleziono ją, znaczy ciało, drugiego września

- wtrąciłam. - W Świątkowicach.

Zoriana spojrzała na mnie, zaskoczona.

- A, to ta sprawa - powiedział pan zastępca. - Ale nie rozumiem, jaki ma związek z naszym zakładem. Bardzo pani współczuję, ale o żadne odszkodowanie ubiegać się pani nie ma prawa.

- Bo ja właśnie o tym. My już dostali pieniądze.

- Od nas? - Dyrektor nie posiadał się ze zdziwienia.
- Nie wiem. Nie wiem od kogo.

220

Zoriana wygrzebała w swojej torebce jakieś papierki, wstała i podeszła do biurka. Dyrektor wpatrywał się w świstki.

- Przekaz pocztowy od Jana Kowalskiego. Warszawa. Adres niewyraźny. Ulica Główna? No to nas z pewnością nie dotyczy. Myślała pani, że to od nas? U nas nikt o tym nazwisku nie pracuje.

- Ja nie wiem od kogo. Ja chciała wyjaśnić.

- No, my z pewnością nie mamy z tym nic wspólnego. Jak i ze śmiercią pani siostry. To było samobójstwo, prawda, pani redaktor? - Spojrzał na mnie, szukając poparcia.

- Nie jestem pewna, panie dyrektorze. Policja pewnie ma więcej danych. - W końcu wiadomości od Karaka były nieoficjalne.

- Czy ona może zachowywała się dziwnie? Paduszko Olena? - drażyla Zoriana.

- Proszę pani, mamy kilkadziesiąt ukraińskich pracowników i bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie spamiętać wszystkich. Nawet ich nazwisk, a co dopiero niuansów zachowania.

- Ta jednak nie żyje - dodałam szybko. - Łatwiej ją więc zapamiętać.

- Czyżby podejrzewała pani, że mamy z tym coś wspólnego? - spytał uprzejmie.

- To pamięta pan? - drażyla Zoriana.

- Przykro mi, ale nie.

Pan zastępca zaczął się podnosić z fotela.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał pro forma.

Krótkie „tak” Zoriany z powrotem sprowadziło jego pośladki na lądowisko ze sztucznej skóry w kolorze brązu.

221

- U mnie była jeszcze druga siostra, Białakowa Anna.

- U pani była? - zdziwił się zastępca.

- Tak. I ona przyszła do pana.

- Pracowała u nas?

- Nie, ona nie.

Odetchnął z ulgą.

- Ale przyszła do pana. Porozmawiać. To ja chciała spytać, o co ona pytała. Może pan pamięta.

- Kiedy tu była? - zainteresowałam się.

- Ja nie wiem - stropiła się Zoriana.

- Ja też nie wiem - wyraził zniecierpliwienie zastępca.

- Ja mam, proszę pani, tyle spotkań, że ciężko zapamiętać te sprzed miesiąca. Na przykład teraz za chwilę też będę miał spotkanie. Tak że panie muszą mi wybaczyć...

Dwa uściski ręki i już byliśmy na zewnątrz. Sekretarka wcale nie patrzyła na mnie życzliwie. Ciasteczka w wielkim szklanym słoju stały na regaliku za jej biurkiem, niechętnie błyskając oczkami z marmolady. Szliśmy długim biurowym korytarzem ku wyjściu. Buty Zoriany ponuro stukwały o panele imitujące brzo-
zowe drewno. Wyszliśmy na zewnątrz. Szara pogoda. W duszy też nie za wesoło.

- Dziękuję pani - podała mi rękę.

- Po co pani przyjechała?

- Po moje siostry. Po ciała. Ja przyjechałam, żeby za-
wieźć je do nas. Na Ukrainę. Żeby leżały u nas, we wsi.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę, bardzo mi przykro.

- To drogo, wiem. Na całe trumny, żeby przywieźć,
to nas nie stać. Ale ich tu spalą i ja przywiozę dwa malut-
kie... urny. To nie będzie drogo, ja już się dowiadywałam.

I u nas pop się zgodził na taki pogrzeb w wazonach.

U was też podobno tak często robią?

222

- Na wsi rzadziej, ale w mieście - tak.

- Tak mi mówili w tym pogrzebowym zakładzie. Ale
moi siostry... - wydmuchała nos, chociaż nie płakała

- ...moi siostry, one jeszcze są na policji, nie mogą jesz-
cze wrócić. Miały przyjechać po lepsze życie, a po śmierć
przyjechały.

Wpatrywała się smutno w chodnik.

- Dostawała pani przekazy z Polski? Może właśnie
od sióstr?

- Nie od sióstr. Tu jest napisane: Jan Kowalski. - Po-
nownie wyjęła świstki z torebki.

Przyjrzałam się uważnie kwitkom.

- Tak się pisze, jeśli chce się zachować anonimowość.

- Co się chce zachować?

- Jeśli ktoś nie chce zdradzić, kim jest. Jan Kowalski
to taki John Smith - wyjaśniłam bez sensu. Ale najwy-
raźniej zrozumiała, kiwnęła głową, a mnie zrobiło się
głupio. Bo dlaczego od razu założyłam, że Zoriana Pa-
duszko nie zna angielskiego?

- Niewyraźny ten stempel. - Spojrzałam na kolejny
przekaz. - Ale tu jest napisane „Poczta Garwolic”. Tu chy-
ba też, to raczej „G” niż „W”. Jednak to nie z Warszawy
pieniądze poszły, tylko stąd gdzieś, z okolicy. Garwolic
wcale nie są tak daleko. Raptem siedem kilometrów.

- Autobus jest?

Nie rozumiałam, o co chodzi.

- Autobus do Garwolic. Ja chciała pojechać. Na pocz-
tę. Może pamiętają, kto płacił.

Może i pamiętają. W końcu nie co dzień zdarza się
przekaz na dwa tysiące.

- Wie pani co, zawiozę tam panią - zaproponowa-

łam. - I tak miałam jechać po zakupy.

223

Kupię Maksowi w Garwolicach pizzę, niech się chłopak cieszy. I przypomni sobie smaki sprzed czasów, gdy gustował w świńskich mózgach.

45

Siedząca obok mnie w samochodzie Ukrainka wyglądała teraz nie na ofiarę losu, jak na korytarzu w garbarni, lecz na zwykłą dynamiczną młodą dziewczynę. Miała mocny makijaż, co mnie ostatnio drażniło u kobiet, bo nie mogłam dostrzec ich prawdziwej twarzy, oraz silny głos, w niczym nieprzypominający proszącego jęku, który wydawała z siebie na terenie zakładu.

- Ile tych przekazów dostaliście? Wszystkie takie duże?

- Wszystkie. Najpierw dostała pieniądze córka Oleny, Maja. Mieszkała z nią babcia, to znaczy moja mama, jak Olena tu pracowała. My myśleli, że to Olena nam przysłała pieniądze, tylko po co tak dziwnie napisała, że od Jana Kowalskiego. My dzwonili do niej, o co chodzi, a ona nie odbierała - Zoriana zamilkła, a potem wydmuchała nos. - Te pieniądze przyszły w sierpniu, na koniec.

- Myśli pani, że Olena jeszcze wtedy żyła?

- Nie wiem - zamyśliła się Zoriana. - W niedzielę zawsze do nas dzwoniła, a wtedy już nie dzwoniła od dwóch niedziel. Ani nie odpowiadała, jak my dzwonili.

- Znalezione ją drugiego września; wtedy nie żyła przynajmniej od tygodnia. A czternastego sierpnia była ostatni dzień w pracy.

Zoriana wytrąbiła donośnie nos. Podsunęłam jej pudełko z chustkami.

224

- A data na drugim przekazie?

Zoriana nawet nie musiała patrzeć na kwitek.

- Pieniądze przyszli w sieniabrzu...

- We wrześniu.

- We wrześniu, tak. Dla dzieci Anny. Przyszli oni jakoś tak piętnastego. A kiedy wysłali? Tu ja nie mogę przeczytać. Niewyraźnie jest na pieczęcie.

- Anna zniknęła dziewiątego września.

- To tak samo jak z Oleną. Mogła wysłać ona, mogła nie ona.

- A charakter pisma na tych przekazach? Podobny?

- Ja tam nie wiem. Może tak, może nie - zastanawiała się Zoriana.

Stanęłyśmy na poboczu. Popatrzyłam. Wprawne, drukowane litery. Podobne na wszystkich kwitkach. Mogły wyjść spod jednej ręki, ale nie musiały.

Zoriana płakała już całkiem jawnie.

- Jan Kowalski. John Smith. Ktoś nie chce, żebyśmy wiedzieli, że płaci, ale płaci - zauważyła.

Chłodno mi się zrobiło. Może dlatego, że miałam spoczone plecy. Podkreśliłam ogrzewanie. Zoriana w końcu skutecznie wytarła nos i bardzo ostrożnie oczy. Opuściła lusterko nad siedzeniem pasażera, wyjęła z torebki kosmetyczkę i zaczęła naprawiać sobie domalowaną twarz.

- Pani tu mieszka? - zapytała, już spokojnie.

- Ja? Od niedawna. W Świątkowicach.

- Znała pani moi siostry?

- Annę widziałam raz, przez chwilę. Kiedy byłam w domu u Maliwów, gdzie mieszkały. Łukasz Maliwa to mój uczeń.

- Pani ucziteljnia?

- Tak. Od angielskiego.

225

- Ja też będę uczytelnicą. - Uśmiech przemknął przez jej twarz. - I też angielski.

- Fajnie - powiedziałam. Bo i co miałam powiedzieć?

W Garwolicach ruch był prawie jak w Warszawie, a trudności z zaparkowaniem wcale nie mniejsze. Ale stanęłam i nie obtarłam lakieru. Żebyś mnie, mężu, zobaczył, jak sobie teraz radzę z twoim samochodem!

- Tu jest poczta - pokazałam palcem.

- Dziękuję.

- Gdzie pani mieszka?

- Dlaczego pani wiedzieć?

- Podrzuciłabym panią z powrotem. U Maliwów pani mieszka?

Wpatrywała się we mnie poważnie.

- Tak. W tym samym łóżku śpię, gdzie moi siostry spały, żadna inna dziewczyna go nie chciała, chociaż przy oknie. Boją się - zastanowiła się chwilę. - Ja mam pieniądze. Ja pani zapłacę za to wożenie.

- Nie trzeba - powiedziałam. - Podrzuciłam panią przy okazji, niech się pani nie przejmuje. I odwożę, to też po drodze.

Poszła w stronę budynku poczty, a ja ruszyłam w stronę pizzerii. Nie zdążyłam nawet dojść do skrzyżowania, gdy Zoriana wybiegła z poczty.

- Pani! Pani!

Przeraziłam się.

- Tam nie chcę mówić nic. Pani może pomóc?

Pani w okienku odesłała nas do naczelnika. Za nic nie umiała zrozumieć, że tak naprawdę ważne są informacje od niej. Czy sobie przypomina, kto robił te przelewy? Nie chciała sobie przypomnieć. A gdy zobaczyła czarodziejski

226

kartonik wizytówki z „Przyjaciółki”, dodatkowo zasznu-

rowała namalowane na twarzy usta i zmarszczyła pofarbowane na brąz czoło. Nie i nie. Ona nie może udzielać informacji o tym, kto wpłacał. Możemy porozmawiać z naczelnikiem albo z nikim.

- Ale pamięta pani czy nie? Tak zwyczajnie, po ludzku, niech nam pani powie. Pamięta pani, kto ten przekaz wysyłał? - nie rezygnowałam.

Pokręciła głową, nie otwierając zaciśniętych ust, jakby się bała, że jakieś nieposłuszne słowo jednak jej się wymknie zza zagrody zębów.

Poszłyśmy z Zorianą do pizzerii. Byłam gotowa kupić jej coś do jedzenia. Nie chciała. Widziałam, że jest głodna, ale nie namawiałam. Rozumiałam ją. Pizza w samochodzie pachniała jednak upojnie. Zoriana przełykała ślinę.

- Może kawałek? My w domu nie damy rady zjeść całej.

- Nie, dziękuję. Mam w domu jedzenie.

Gdy zbliżyłyśmy się do Świątkowic, znowu wyjęła kosmetyczkę. Poprawiła maskę na twarzy i poszła. Młodziutka, zgarbiona.

46

Kiedy wyszłam następnego dnia z sali po pierwszej lekcji, Ruta już czekał na korytarzu.

- Haniu, stało się coś potwornego...

Nowy trup?

- Twoi sąsiedzi sprzedają łąkę garbarni.

- Jacy sąsiedzi?

- Materkowie. łąkę przy rzece. To gówno rozlewa się coraz bliżej nas.

227

Przypatrywałam się uważnie.

- Ruta, przedtem nie powiedziałeś mi chyba całej prawdy o garbarni, prawda?

- Nie? - zdziwił się.

- Wiem, że tam pracowałeś.

Zamilkł.

- Wiem, że cię wywalili.

- Nie wiesz wszystkiego.

- Nie wiem. I nie będę wiedziała, jeśli mi nie powiesz. Ale obejrzałam tam, co trzeba, i mam wrażenie, że wszystko jest w porządku. Nie wstydzą się niczego.

- To i ciebie przekabacili? - Popatrzył na mnie zmrużonymi oczami, spode łba, jakby nagle odkrył we mnie wroga.

- Ruta, nie uczestniczę w żadnym spisku. Ja chcę tylko znać prawdę.

- Ja też - powiedział, nie przestając się podejrzliwie przyglądać. - Ale mam wrażenie, że dałaś się zbajerować.

Oni bardzo dobrze bajerują.

- Ruta, gratulacje. „Oni” to ulubione słowo zwolen-

ników teorii spiskowych.

- Chodzi mi o tych ludzi z garbarni.

- Poznałam tylko zastępcę dyrektora. I Karolinę. Speszył się trochę, ale zaraz pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Jak wiesz, za wyrzuceniem z pracy niekoniecznie musi stać niekompetencja pracownika. Czasem mogą stać też osobiste urazy szefa.

- Pawła Maliwy?

- Nie chcę się w to zagłębiać, zaraz dzwonek. Zajmij się tymi łąkami Materków, bardzo cię proszę - zmienił temat. - Namów ich, żeby nie sprzedawali. To dotyczy 228

również ciebie. Ani się obejrzysz, a ścieki z garbarni przesiąkną do twojej studni. I do rzeki, gdzie latem kąpią się twoje dzieci.

- Mówił, że nie skupuje gruntów.

-Kto?

- Ten zastępca.

- Oj, Haniu, Haniu - westchnął Ruta tonem znającego życie starca.

Ktoś delikatnie dotknął mego ramienia.

- Można na słówko?

Odwrociłam się i znalazłam się oko w oko z siostrą katechetką. Stała sztywno w tych swoich szarościach. U pasa spokojnie dyndał jej już kompletny różaniec, z krzyżem identycznym jak ten, który Miśka znalazła nad rzeką. Rumieniec na podbródku i policzkach świadczył albo o silnym wzburzeniu, albo o trądziku różowatym (nie raz pisywałam o nim w „Przyjaciółce”).

- Haniu, zadziałaj - pouczył mnie jeszcze Ruta i zniknął w korytarzu wiodącym do sali gimnastycznej.

- Przepraszam, że przerywam - sumitowała się siostra - ale wyszłam właśnie z lekcji w pierwszej gimnazjum i myślę, że powinna pani o czymś wiedzieć.

-Tak?

Co znowu nabroił mój syn?

- Miałam dzisiaj w gimnazjum lekcję o zagrożeniu, jakim jest satanizm.

No tak.

- Pani Maks... No... Ja wiem, że on nie chodzi do kościoła, ale na religii był zawsze cichy, grzeczny. A teraz... On zachowywał się, hm... dziwnie. Szatan to nie bajka, tu się ze mną zgodził, nawet skrytykował inne dzieci, że się z tego śmieją. Szatan jest realny, powiedział. Ale 229

potem zaczęły się wygłupy. I to jakie przewrotne! Mówił, że Szatan to stworzenie boże. Że dlaczego mu nie współczuć, skoro pobłdził. Że trzeba na niego czekać jak na syna marnotrawnego, a nie tak a priori odrzucać.

Użył stwierdzenia „a priori”, wie pani?

Ciekawe, skąd je wziął, bo chyba nie z Kaczora Donalda.

- Tak to wszystko nawykręcał, nawykręcał. I nie dawał się uciszyć. Ja się o niego martwię, proszę pani. Szczerze. Mnie się wydaje, że jemu się pomyliło dobro ze złem. Albo że jedno i drugie jest teraz u niego bardzo blisko.

- Dziękuję, że siostra tym się podzieliła - powiedziałam po dłuższej chwili. - Porozmawiam z synem.

- To mądry chłopiec - dodała katechetka. - Ale czuję w nim jakąś ciemność, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Rozumiałam. Lepiej, niż mogła przypuszczać. Ja też to czułam, w dzień, a zwłaszcza kiedy po 1.47 wchodziłam do niego do pokoju i wpatrywałam się w jego łóżko. Na wszelki wypadek stawałam trochę dalej. Od pamiętnej nocy bałam się tych silnych rąk. Ale na szczęście nie budził się, nie krzyczał, spał spokojnie, czasem tylko trochę pochrapywał. Patrzyłam na zarumienioną twarz, której już nie można było nazwać buzią, i próbowałam zrozumieć mojego syna oraz znaczenie tej szczególnej godziny. Patrzyłam na niego i czułam się bezradna.

Za dnia też ciężko było wywróżyć, co się dzieje w jego duszy. Ale próbowałam. Z nielicznych słów, które raczył wypowiadać, z plam na jego bokserkach, ze śmieci, które wyjmowałam z kieszeni spodni wrzuconych do prania. Czasem zostawił gdzieś na wierzchu skrawek

230

kartki, na którą rzucałam się na poły łapczywie, na poły z lękiem, że odkryję w synu kogoś jeszcze bardziej obcego. Czasem słyszałam fragmenty rozmowy telefonicznej, która mnie uspokajała, jeśli formalnie brzmiała tak, jakbym ją sama przeprowadziła (z tymi wszystkimi „halo”, „mówi Maks”, „dzień dobry”, „dziękuję”, „do widzenia”), ale która częściej jątrzyła w moim i tak zaniepokojonym sercu, gdy brzmiała jak krótkie warknięcia i lakoniczne rozkazo-krzyki.

- Kto dzwonił? - pytałam, bez nadziei, że kiedykolwiek się tego dowiem.

- I tak nie znasz - odburkiwał mój syn. - Ktoś tam.

Taki jeden. Taki gościu - wiele było wymijających sposobów na powiedzenie „to nie powinno cię obchodzić”.

Gdy nie rozmawiał przez telefon, odzywał się rzadko.

Swoją obecność zaznaczał trzaskaniem drzwiami i zapachem potu.

Chętnie pogadałabym z kimś o problemach wieku dojrzewania, ale w Świątkowicach to ja miałam ucho-dzić za specjalistkę od młodości. Łatwiej więc było wieczorami wejść na jakieś forum internetowe i dyskusjo-

wać z wirtualnymi osobami, co odbywało się wyboście i z przerwami, bo radiowy modem działał tutaj wcale nie lepiej niż komórki. Nie raz i nie dwa stawałam na krześle i machałam w górze laptopem, by złapał zasięg i ściągnął choć trochę nowych danych. W ten sposób szukałam wytłumaczenia tego, że moje dziecko, cudem uratowane z powikłanej ciąży, zrodzone w kilkunastogodzinnym bólu, wykołysane podczas nocy pełnych kolek i płaczu, chronione przed wszelkim złem, które je mogło spotkać w wieku niemowlęcym i dziecięcym, teraz stało się osobą odrzucającą wszystko, co chciałam przekazać.

231

Przypominał mnie tylko profilem, a mojego męża wyłącznie kolorem włosów i ruchem głowy, gdy niechętnie odwracał się na dźwięk moich słów. Jeśli się odwracał, bo na ogół udawał, że nie słyszy. Czy zmieniłby się tak, gdybym go nie wyrwała z korzeniami i nie przesadziła w wieku lat trzynastu w piaszczystą glebę Świątkowic? Nie, nie byłam specjalistką od wychowywania. Byłam specjalistką od samobiczowania. A przecież wywiozłam go tu - ich, nas - żeby oderwał się od wspomnień o ojcu (i mężu), o tym tchórze, który zrejterował z naszej rodziny właśnie wtedy, gdy jego syn zaczął dojrzewać i tatuś bardzo by mu się przydał.

- Maksie, robiłeś sobie żarty z katechetki?

- A już przysłała się poskarżyć? Nie, gdzieżbym śmiał - odpowiedział układnym tonem grzecznego studenta, którego od paru dni używał w rozmowach ze swoją matką. Wołałam już chyba, jak burczał, wtedy był przynajmniej szczery. - Nie żartuję z nikogo. Ja po prostu miewam czasem dodatkowe pytania. A bywa, że nikt nie potrafi na nie odpowiedzieć. Myślisz, że nie powinienem pytać?

Ostatnią kwestię wygłosił już normalnym tonem.

- Nie, pytaj, oczywiście. Tyle że katechetka się o ciebie niepokoi.

- Jej problem.

- Ja też się niepokoję.

-Aha.

Nie wyglądał na zainteresowanego.

- Miałeś jeszcze te straszne sny?

- Nie - oznajmił. - Mamo, o dziwne rzeczy się martwisz. Może powinnaś wyluzować? Ja się staram. Naprawdę.

232

Ta jego układność, ta bliskość, gdy tamtej nocy położył mi głowę na ramieniu, to były pozory. Wiedziałam, że mi gdzieś ucieka, a ja zupełnie nie miałam pojęcia dokąd. Musiałam go dognać, będąc Maksowi jednocześnie i ojcem, i matką. Dwojgiem w jednym. Choć ja też

funkcjonowałam w rozdwojeniu - Hanna Cudny i jej depresja.

MISKA

47

Konstrukcja, którą wymyśliłyśmy, przypominała maszynę obłęzniczą na tyle, na ile wiedziałam coś o maszynach obłęzniczych (a wiedziałam dużo z filmu Władca Pierścieni). Wyglądała superancko, tylko nie działała (a tyle zużyliśmy desek, gwoździ i drucianych wieszaków). No więc potem wymyśliłyśmy coś prostszego: pogrzebacz oparty o pień, którego mama nie umiała spalić w piecu, bo nie chciał zapłonąć. Koniec pogrzebacza miał wejść w szparę między klapą a podłogą, i wchodził, bo szpara nie była mała. Ale co z tego, skoro nie unosił jej ani na centymetr? Pewnie dlatego, że wygięcie pogrzebacza w ogóle nie pasowało do tej dźwigni. Pasowałoby do kółka od klapy, które, oderwane, leżało sobie spokojnie w kącie, nie interesując się naszymi próbami. Łaziłyśmy po tym niegdyś strasznym pokoju; dywanik w paski zwinięty w węża odpoczywał pod ścianą, a my się rozglądałyśmy, co tu zrobić. Jezus z obrazka patrzył dobrotliwie na to dziewczynskie główkowanie.

Odłożyłam pogrzebacz na piec i nagle zobaczyłam na tym piecu dziwne kółka. Mama, po naszej stronie, 234

przykryła całą tę węglową kuchnię deską, więc u nas nie było ich widać.

- Sabrina, a te koła?

Nie wiedziała, o co mi chodzi, ale pokazałam jej palcem.

- To się nazywa fajerki. Tym możesz zwiększać i zmniejszać ogień pod garkiem.

- Garnkiem?

- No, przecież mówię.

Wzięłyśmy największą fajerkę. W szparę wchodziła jak złoto. Oparłyśmy ją o klocek. Nacisnęłam fajerkę ręką. Nic. Usiadłam na niej.

- Spodnie wybrudzisz - ostrzegła Sabrina.

W sumie racja. Ale i tak były czarne z natury.

Kłapa zaczęła trzeszczeć i trochę się podniosła.

Sabrina wyjęła z szafy szary szalik, podłożyła sobie pod tyłek, na którym miała krótką dzinsową spódnicę, i usiadła obok mnie na fajerce. Kłapa uniosła się całkiem wysoko. Siedziałyśmy tak i nie mogłyśmy się ruszyć, a kłapa trwała w górze. Spod niej było widać tylko ciemność.

- Dziwnie stamtąd pachnie, co? - zauważyła Sabrina, cała czerwona z wysiłku, żeby ważyć jak najwięcej i jak najwyżej utrzymać klapę. Tyle że na nic nam to się

nie przydało, bo przecież chcieliśmy wejść do środka, do tej piwnicy, a nie siedzieć jak głupie na brudnej fa-
jerce.

Opuściliśmy klapę powoli i przygotowaliśmy się le-
piej do akcji. Kiedy tylko klapa po raz drugi uniosła się
dostatecznie wysoko, od razu podstawiliśmy pod nią
drewniany klocek. I drugi, dla pewności. No a potem
pozostało zdecydować, która z nas zejdzie na dół.

235

- Żadna - zdecydowała Sabrina. - Najpierw poświę-
cimy latareczką.

Czasem ją podziwiałam. Górna lampa nie dawała aż
tyle światła, żeby cokolwiek zobaczyć w czarnej dziurze
pod ziemią. Natomiast latareczka wydobyła z ciemno-
ści... mieszkanie. Pod ziemią ktoś urządził sobie po-
koik.

- A ja myślałam, że znajdziemy konfitury - zmartwiła
się Sabrina.

Zamiast konfitur stały tam dwa łóżka i wiadro.

Na ścianach poprzyklejano gazety, wisiały półki, jedna
i druga, no i stało coś, co wyglądało jak maleńka trumna.
Zadrżałam.

- To tylko kufer, ty głupia - uspokoiła mnie Sabrina.

Zagrałyśmy w marynarza, jak zwykle, gdy trzeba było
coś zdecydować, i, jak zwykle, przegrałam ja. Sabrina
miała cholerne szczęście w tym marynarzu.

Wiem, że nie mówi się „cholerne”.

Drabinę znalazłyśmy w sionce. Była zrobiona z gałęzi,
takich grubych. Razem przyciągnęłyśmy ją pod dziurę,
przewlekłyśmy szalik przez górny szczebel i powoli opu-
ściłyśmy ją na dół. Sabrina trząchnęła drabiną raz i drugi.
Stała mocno.

- No! - popędziła.

Jakbym nie przegrała w marynarza, to nigdzie bym
nie szła. Ale wyroki gier losowych, wyliczanek i takich
rzeczy były święte, odkąd lata temu zaczęłam wychodzić
na podwórko. Postawiłam krok na pierwszym szczeblu.
Z dołu wiało chłodem. Drugi szczebel.

- Świeć! - rozkazałam. Teraz ja byłam górą i mog-
łam wydawać rozkazy, bo miałam do wypełnienia waż-
ną misję.

236

Kolejny krok. Nie, nie wytrzymam tego dłużej, te-
go napięcia! Zeszłam tak szybko, że aż drabina się za-
chwiała.

- Uważaj - powiedziała Sabrina, zupełnie nie wiado-
mo po co.

- Świeć tam, gdzie pokazuję palcem - rozkazałam.

Wyciągnęłam rękę, skierowałam ją na łóżka i na-
tychmiast pojawiło się na nich światło. Żadnej pościeli

ani koców, tylko materace, nierówne i pełne purchli. Na podłodze dywanik, taki sam jak na górze. Kiedy stąpnęłam, podniosły się z niego kłęby kurzu, a pod nimi ukazały się kolory żywsze niż w pokoju. Wskazałam ręką gazety; światło zaraz się na nie przesunęło. Czułam się jak mistrz Yoda, jakbym świeciła palcem. To było w sumie fajne, więc popokazywałam sobie w różne miejsca, a Sabrina posłusznie przesuwała tam światło latarki.

Gazety nie były ani po polsku, ani po angielsku, więc nic z nich nie rozumiałam. Chropowate, poźółkłe, ktoś przyczepił je do ściany pinezkami. Na wiszącej na sznurkach półce stała doniczka z różą. Dotknęłam jej. Płatki były nie z plastiku, tylko z materiału.

I nagle to poczułam. Powietrze, tu na dole, było gęste i pełne strachu. Spróbowałam nabrać oddechu, ale do płuc weszło mi tylko trochę tlenu, a potrzebowałam go dużo więcej. Przeraziłam się strasznie. Nie, nie zamkną mnie tutaj! Jeden szybki skok do drabiny i zaczęłam się wspinać.

- Zaraz, zaraz. - Sabrina przesłoniła mi widok na pokój. - A kufer?

- Wypuść mnie stąd. Mam dosyć! - wrzasnęłam i odepchnęłam ją, żeby się wyczołgać spod klapy.

237

Wylazłam wreszcie, padłam na podłogę i oddychałam głęboko.

- Miałaś jeszcze sprawdzić kufer - awanturowała się Sabrina, a mnie ciągle było duszno.

No i ani się obejrzałam, a Sabrina z latarką w zębach już schodziła na dół. Skrzyp, pewnie otworzyła kufer, łup, pewnie oparła pokrywę o ścianę. Nawet nie miałam siły pytać, co tam jest.

- Złoto! - wykrzykiwała Sabrina. - Klejnoty. Jakie piękne! - podniecała się.

Skarb? Podczołgałam się do klapy i zajrzałam.

Kufer był prawie pusty. Sabrina wyjęła z niego jakąś brzydką lalkę i nawijała dalej:

- Złoty łańcuch. Broszka w kształcie pieska z oczami z diamentów.

Potem podniosła coś małego i obejrzała dokładnie. Moneta czy guzik? Lalkę wsadziła sobie za pasek od spódnicy.

- Kolia z rubinów - prowokowała dalej. - Miśka, żyjesz? - przestraszyła się w końcu i spojrzała w górę.

Nasze oczy się spotkały.

- Co to jest to coś małego?

- Guzik - odparła, wspinając się po drabinie. - Zimno tam jest, ale i jakoś duszno.

- Zostawiłaś otwarty kufer.

-No i co?

- Zobaczą, że tu byliśmy.

-Kto?

- Zamknij - teraz ja jej rozkazywałam.

- Już wyszłam. Nie chce mi się. Sama zejdź.

Za nic, pomyślałam. Za nic.

-I co tam jeszcze było, w tym kufrze?

238

- Trupek. - Wyjęła lalkę zza paska i pomachała mi nią przed oczami. Lalka zamiast twarzy miała coś czarnego.

- Pokażesz?

W dziurze po twarzy widać było wnętrze głowy i czarne włoski wplecione w skórę lalki. Dotknęłam jej małego ciała. Nóżki i rączki miała miękkie, z materiału. Twarz z czegoś kruchego. Włosy... Włosy wyglądały jak prawdziwe. Ludzkie. Cofnęłam rękę.

- Ty, masz lalkę, to daj mi guzik.

- Po co ci?

Wzruszyłam ramionami. A jej po co była lalka bez twarzy?

48

- Ten guzik jest z kości. Kościany, tak się kiedyś mówiło - wyjaśniła mi mama.

- Z ludzkiej? - przeraziłam się.

- Miśka, no co ty? - Mama się oburzyła. - Z krowiej prawdopodobnie. Teraz się robi guziki z plastiku, kiedyś używało się kości.

- To myślisz, że ten guzik jest stary?

- Tak może być - zadumała się mama. - Gdzie go znalazłaś?

- Na podwórku, w piachu. - Kurczę, te kłamstwa Sabriny naprawdę były zaraźliwe.

- Ten dom ma z sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat.

Może zgubił go któryś z jego budowniczych? - Mama głośno myślała. - Fajnie, że się bawicie razem z Sabriną. Cieszę się, że masz koleżankę.

- Mamo...

239

-Tak?

- Pamiętasz tego faceta, co trzymał córkę w piwnicy i miał z nią dzieci?

- Dlaczego cię Fritzl interesuje?

- Tak, po prostu. Jak mogła wyglądać ta piwnica?

- Podobno mieli tam zwyczajne mieszkanie. Nawet z łazienką. Tylko bez okien.

- Trzeba było otworzyć klapę w podłodze, żeby tam zejść?

- Miśka, a skąd mam wiedzieć?

- Ja bym nie chciała mieszkać w piwnicy.

-Kto by chciał?

- Może tylko jakby była wojna i trzeba się było ukrywać... Co byś wtedy wołała, mamó? Żyć dłużej, ale w piwnicy, czy krócej, ale na powietrzu?

- Misiu, gdzie jest ta piwnica?

Moja mama była naprawdę bardzo, bardzo mądra.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Pukanie? Walenie! I od razu, oczywiście, ktoś nacisnął na klamkę. Może to Rumcio przyszedł zapytać, czy mamie smakowały winogrona? Jak człowiek zacznie grzeszyć, to się potem wszystkiego boi.

Mama przyskoczyła do progu. Ale to na szczęście nie Rumcio wszedł, tylko pan Materek. Ten starszy, dziadek. Zawsze taki zgarbiony, ze szczyrą pochyloną twarzą, teraz stał wyprostowany, czerwony i od razu zły.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że może być zły na mnie. I wcale się nie pomyliłam.

- Świeciła światło w drugiej połowie domu - powiedział od razu po „dobry wieczór”. - Nie płaci za to, a korzysta. Ja nie donoszę na sąsiadów, ale jak mnie kto

240
spyta, będę musiał powiedzieć „korzystali”. To i opłata będzie większa.

- Ale o co chodzi? - zagubiła się mama.

- Słucham?

- O co chodzi?

- Mówi głośniej trochę.

- O co chodzi? - wrzasnęła mama.

- Pani siedzi w drugiej połowie domu, a niedostępna była.

- Aha. Nie siedzę.

- Co? - Materek zbliżył ucho do jej ust i dodatkowo przyłożył rękę, żeby sprawniej kierować strumieniem głosu.

- Nie siedzę tam! Zapewniam pana - krzyczała mama do ucha starego Matereka.

- Światło dzisiaj tam było. Samo się nie zapaliło - powiedział i przygwoździł mnie spojrzeniem do ściany, choć już-już miałam się wycofać niepostrzeżenie do swojego pokoju. Mama też zerknęła na mnie i wtedy zrozumiałam, że wybierając zawód, nie powinnam myśleć o karierze aktorskiej. Zupełnie nie umiałam zachować obojętnej twarzy, tylko od razu spuściłam głowę i oblałam się rumieńcem.

- Aha! - huknął stary Materek. - Aha! Panna tam światło pali! A kto będzie za nie płacił? A kto pannie pozwolił tam bobrować?

- A czy rachunek za prąd nie przychodzi za obie połowy razem? - zadała pytanie moja bystra mama.

- Co? - Materek znowu nadstawił ucha.

Mama machnęła ręką. Wyraźnie miała dosyć.

- Dziękuję za uwagę! Zajmę się tym! - wrzasnęła i wstała. Materek jeszcze chwilę siedział, jakby na coś 241

czekał, nie wiem, może na to, że mama mnie zleje, jak u nich lali Sabrinę (na gołą dupę podobno, ale nie wierzyłam). Nie doczekał się.

Wychodząc, stanął jeszcze w progu, spojrzął na nas groźnie i poszedł sobie. A mama przeniosła uwagę na mnie.

- Masz coś do powiedzenia na ten temat?

Trochę miałam.

HANKA

49

Poszłyśmy tam dopiero dwa dni później, w niedzielę, kiedy się tylko rozwidniło, żeby starego zrzędy nie drażnić i nie palić światła. Może nie powinnam mówić przy dziecku o panu Materku seniorze per „stary zrzęda”, ale Miśka się z tego określenia przez chwilę pośmiała, więc jednak było warto. Bo ona się rzadko teraz śmiała, ta moja córka. Kiedy zobaczyłam tę ich konstrukcję, aż dostałam dreszczy na myśl, że Miśka z Sabriną łączyły pod klapą w tę i we w tę. Jakby się zamknęła, toby im dokumentnie zmiażdżyła chude brzuszki.

Stękając, odwaliłam klapę na podłogę. Miśka nie chciała schodzić na dół, ale chętnie przyświecała latarką. A ja od razu rozwikłałam zagadkę. Albo tak mi się wydawało.

Ściany wyklejono niemieckimi i żydowskimi gazetami, ersatzem tapety. I to tapety, która mogłaby być warta małą fortunę na allegro, stwierdziłam, gdy udało mi się znaleźć datę. Grudzień 1943. Sienniki, porośnięte lekką pleśnią, wydawały niemiły odór. Naprędce skleconą półkę ozdabiała namiastka przyrody w postaci kwiatka z materiału. Nie musiałam szukać talesu ani menory, 243

bo byłam już prawie pewna. Właściciel (były właściciel?) domu, w którym mieszkaliśmy, nie był żadnym Fritzlem. Był bohaterem, który nie wahał się przechowywać tu poszukiwanych podczas wojny. Sienniki pamiętały prawdopodobnie dotyk ich ciał. Usiłowałam wczuć się w klimat tego pomieszczenia, żeby zrozumieć, co się mogło stać z jego mieszkańcami, ale czułam tylko przerażenie na myśl, że miałabym tu siedzieć cicho, cicho spać, cicho jeść i cicho sikać po ścianie wiadra pod niziutkim sufitem, między wilgotnymi ścianami bez okien. Rozejrzałam się jeszcze, pogładziłam gazety i wyszłam. Po czym udzieliłam dziecku krótkiej lekcji historii i na wszelki wypadek głęboko schowałam klucz od tej drugiej połowy domu.

Kiedy Miśka pobiegła pobawić się do Sabriny (stanowczo jej przykazałam, żeby nie odzywała się słowem na temat naszej porannej wyprawy, bo jeszcze miała Materkówna wykabluje wszystko dziadkowi), obejrzałam dokładnie podłogę w naszej połowie domu, czy i pod nią nie kryją się tajemnicze klapy, a pod nimi - ślady czyjegoś strachu. Ale nie. W tej połowce podłoga była lita, a strach krył się wyłącznie w nas.

Zrobiło się go jeszcze więcej, gdy wieczorem zadzwoniła Zoriana. Była zdenerwowana. Powiedziała, że musi ze mną porozmawiać, więc zaraz przyjedzie. Nie miałam wielkiego pojęcia na temat ukraińskiego poczucia czasu, ale nie podejrzewałam, by „zaraz” zbyt odbiegało od polskich norm. Dałam więc Zorianie czterdzieści pięć minut, bo tyle się szło piechotą od domu Maliwów do nas na kolonię. No i, po namyśle, piętnaście minut na zebranie się i wyjście.

Tyle że Zoriana wcale się nie pojawiła po godzinie.

Po półtorej też nie. Mój mózg zaczęło drążyć potworne

244

deja vu. Jej komórka była poza zasięgiem (co w Świątkowicach zdarzało się nagminnie), stacjonarny u Maliwów nie odpowiadał, więc kiedy mój niepokój sięgnął zenitu, kazałam dzieciom szczelnie zamknąć się w domu i o dwudziestej trzydziestej wsiadłam do samochodu, by po raz kolejny pojechać do największej willi w Świątkowicach.

Maliwowie długo nie otwierali, ale w domu się świeciło, więc nie traciłam ducha. Mogą nie odbierać telefonu, ale jeśli jeszcze postukam, na pewno mi otworzą.

- Dzień dobry. - W drzwiach pokazał się Tomek, poszarzały i zmartwiony, jakby i jego wreszcie dopadła rzeczywistość.

- Cześć. Słuchaj, czy jest pani Zoriana?

-Nie.

- A co się z nią stało?

- A skąd ja mam wiedzieć? - zdenerwował się.

- Nie martw się, Tomek, ja nie mówię przecież, że zaginęła. Może to nic takiego, może po prostu gdzieś zamarudziła - zapewniałam i jego, i siebie. Ale jak się okazało, mogłam sobie darować.

- Nie sądzę. Miała się spakować i wyprowadzić. Dziś, do osiemnastej.

- Wyprowadziła się? Tak nagle?

- No tak.

- Ale dlaczego? Tomku, dlaczego?

- Po prostu. Nie ma jej. Coś jeszcze?

Stał w progu. Ręce splótł na piersi i patrzył na mnie wyzywająco.

- Sama chciała? Czy ty jej kazałeś?

- Chyba nie muszę gościć każdej kobiety, która chce u mnie mieszkać. Nie muszę, rozumie pani?

245

- Pokłóciliście się?

- Nie wziąłem od niej ani grosza, chociaż mieszkała tu cały tydzień. Niech sobie po prostu idzie!

- Tomek, ale dokąd ona pójdzie o tej godzinie?

- Jest dorosła. A to mój dom.

Ta twardość zupełnie nie leżała w jego stylu, naprawdę. Zaciśnięte usta, trzymanie mnie w progę. Działo się coś dziwnego, co mnie przerażało prawie tak jak kolejny trup. Osoba, którą - jak mi się wydawało - całkiem nieźle znałam, objawiła właśnie ciemną stronę osobowości. Bezlitosną, nakazującą wyrzucić kogoś z domu w nocy, i to z błahego powodu.

Bo co Zoriana mogła mu zrobić? Chciała go uwieść?

Przesoliła zupę? Nie spuszczała wody? Czym mu mogła zaszkodzić przez ten niecały tydzień pobytu?

- Woda mi się w wannie przeleje. Dobranoc - powiedział Tomek, więc poszłam. A gdzieś tam, w ciemności, błąkała się Zoriana ze swoimi tobołkami.

50

Zaparkowałam pod bramą szarego budynku, który starałam się nazywać domem, przynajmniej jedną jego połowę. Światła samochodu omiotły zgrupowane pod furtką ciemne kształty. Zadrżałam. Cofnęłam samochód i oświetliłam wszystko dokładnie. Stał tam, osłaniając oczy przed jasnością, Rumcio, a obok niego, na stosie tobołków, siedziała. .. Zoriana. Uff. Nie było kolejnego trupa.

Wysiadłam.

- Cześć, Haniu - dobiegł mnie wesołkowaty głos Rumcia.

246

- Dzień dobry. - To Zoriana. - Ja myślała, że to pani mąż, ale on mówi, że nie. Ja tylko... Ja tylko chciała porozmawiać.

Rzuciłam się ku niej, ścisnęłam za rękę. Moja wylewność chyba ją zaskoczyła.

- Tam w środku dzieci, ale mówili, że nie mają klucza, żeby nas wpuścić. I bardzo dobrze, obcego do domu nie nada wpuszczać.

Rumcio stał obok i wpatrywał się we mnie ze smakiem.

- Rumciu?

Podał mi zatłuszczony pakunek.

- Kielbasę przyniosłem.

Nawet przez papier poczułam swojski aromat wędzonki.

- Ile ci jestem winna?

- To prezent, Haniu, przecież mówiłem.

- Ale to mnie peszy. Za dużo tego dobra. - Zważyłam

w dłoniach zatłuszczoną paczkę.

-Jak ty tak... Jak ty taka speszona jesteś... To może ja bym po prostu do ciebie na kolację przyszedł - wpadł na pomysł Rumcio. - Ty wtedy podasz kielbasę i coś jeszcze. Wy się najecie i ja, i będzie w porządku.

- Świetnie - powiedziałam, a Rumcio aż się cały rozjaśnił. Przykro mi się zrobiło ze względu na to, co zostało do powiedzenia, ale nie uśmiechało mi się życie rodzinne z Rumciem w roli głównej. Z nikim mi się nie uśmiechało, jeśli miałam być szczerą.

- Wiesz co, Rumciu? Zrobię takie większe przyjęcie. Materkowie, ty, pani Zoriana, jeszcze parę osób. Pod hasłem „sto dań z kielbasy”.

- Sto dań? - Rumciowi opadła szczęka.

247

- Może trochę mniej. Ale coś wymyślę. Dla tylu osób.

-Jato bym wolał...

- Uwielbiam duże przyjęcia - łągałam jak najęta. - Będzie super. Jak chcesz z kimś przyjść, to ją też zapraszam. Zrozumiał. Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę smutnymi oczami, z których powoli parowała nadzieja, po czym położył zatłuszczony pakunek na ziemi i poszedł w kierunku lasu. Po chwili wyjechał stamtąd na rowerze, i bez słowa popedałował w stronę cywilizacji.

- Nieprzyjemnie - pokiwała głową Zoriana. - Ale czasem nada twardo z mężczyznami.

- Czasem tak - przyznałam jej rację. - Głodna pani?

51

Zoriana była tak zdenerwowana, że brała do ręki kubek z herbatą i odstawiała, nie wypiwszy ani łyka. Kanapką nie interesowała się w ogóle, choć wędliniarskie dzieło Rumcia pachniało upojnie. Chciałam, by zjadła jak najwięcej, bo widok tej cholernej wędzonki budził we mnie poczucie winy.

A w Maksie ewidentną żądzę. Ileż to moje dziecko mogło teraz zjeść! Wyszedł z pokoju, powęszył, rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. Był już w piżamie, a raczej w tym, co traktował jako piżamę, więc lekko się speszzył na widok Zoriany. Szybko jednak ochłonał, nawet powiedział „dobry wieczór”, po czym chwycił kielbasę („Widziałem ją, jak jeszcze biegła”, popisał się dowcipem), oderwał z chrzęstem trzydziestocentymetrowy mniej więcej kawałek, nadgryzł i z resztą zniknął za swoimi drzwiami.

248

- Mój syn, trzynaście lat - zaanonsowałam. - Chłopcy w tym wieku są jak worki bez dna.

Moja złota myśl nic a nic nie rozluźniła atmosfery.

- Niech pani posłucha - spróbowałam w inny sposób, patrząc na spiętą twarz Zoriany. - Byłam przed chwilą

u Tomka Maliwy. Powiedział mi wszystko. Proszę się zatrzymać u mnie na noc, miejsce jest.

- Wszystko powiedział?

Kiedy się dziwiła, jej wielkie piękne oczy zaczynały niebezpiecznie wychodzić z orbit; na miejscu utrzymywały je tylko długie rzęsy, grubo posmarowane tuszem.

- No, chyba tak.

- Znaczy?

- Znaczy że nie chce pani mieć pod swoim dachem.

- A powiedział dlaczego?

- Nie powiedział.

Zamyśliła się, spoglądając na mnie ukradkiem. Jak jej udowodnić, że może mi zaufać?

- On mnie wyrzucił, bo ja coś widziałam - odważyła się w końcu.

Czekałam, nie przerywając.

- Ja szłam do niego porozmawiać, pukałam do jego pokoju, on nie słyszał. To ja otworzyłam drzwi. On miał słuchawki na uszach. I oglądał film.

Zastygła. Ale się przemogła.

- To był taki film... Porno.

Mógł się spieszyć, fakt, że go na tym przyłapała. Ale od razu wyrzucać ją z domu za to, że podejrzwała go przy czynności, którą prawie każdy uprawia czasem w domowym zaciszu? Chyba że nie doceniam świątkowickiego poczucia wstydu.

249

- Ale nie takie zwykłe porno - ciągnęła Zoriana.

- Takie... Inne. To był taki film porno z no... z riebionkami. Z dziećmi.

Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam.

- Paweł Maliwa oglądał film pedofilski? W którym dorośli uprawiają seks z dziećmi?

Pokiwała głową. Kiwała, patrząc mi poważnie w oczy, tak długo, że przestraszyłam się, że tak jej zostanie. Ale chyba czuła, że to, co mówi, wymaga bardzo dobitnego potwierdzenia.

- Tak, pani. Mała dziewczynka tam była. I dorosły mężczyzna. I on jej robił... Robił jej to, co nie powinien. Ja pomyślała, że lepiej tego nie widzieć, lepiej nie widzieć filmu, lepiej nie widzieć, że pan ogląda takie rzeczy. Ja chciałam cicho wyjść. Ale on się wtedy odwrócił i mnie zobaczył.

- Powiedział coś?

Pokręciła głową.

- Ja też nie. Poszłam do siebie i zadzwoniłam do pani, bo chciałam pani to powiedzieć. A on tam potem przyszedł, do naszego pokoju, i kazał mi się wyprowadzić. Ja mówiłam, że dlaczego? Tłumaczyłam, że on przecież zna moi siostry i że porządna rodzina jesteśmy. Dziewczyny mnie

broniły. Ale on chyba nie wiedział, że Anna i Olena to byli moi siostry. Bo wtedy powiedział, że dosyć tego, że moja rodzina zniszczyła jego rodzinę, że on nie chce, żeby ja u niego mieszkała. I znowu kazał iść sobie. Zabrać rzeczy i iść. Ale ja wiem. Wcale nie chodziło o moją rodzinę, chodziło o ten film. Tam była małeńka dziewczynka. Taka mała... - Pokazała ręką nie za wysoko nad podłogą.

-Boże... Ile lat?

250

- Sześć, siedem. Młodsza niż Maja, córka Oleny. I taki stary facet... On... Pan Tomek nie był zadowolony, że ja to zobaczyła. I ja to rozumiem. To było... To było użasne.

Wciąż nie chciało mi się pomieścić w głowie, że Tomek ogląda pedofilskie filmy. Pomyliło się coś tej Zorianie, no przecież musiało jej się pomylić! Bo chyba nie zmyślała? Chyba by nie zagrała przerażenia i zaskoczenia aż tak perfekcyjnie?

Stuknęły drzwi.

- Bo wy tak gadacie, że ja nie mogę spać. - Z pokoju Miśki przyszuriała chudziutka zjawa z długimi włosami i szparkami zamiast oczu, czyli moje zaspane dziecko. Spojrzała uważnie na Zorianę.

- Pani ma śliczną córkę - odezwała się Ukrainka.

-Ja Zoriana, a ty?

Miśka przyjrzała się Ukraince.

- Ja tu mieszkam. I chcę spać.

- Misiu, to pani Zoriana z Ukrainy, która zostanie u nas na noc. Przepraszam, będziemy rozmawiały ciszej, śpij spokojnie.

- U nas? Na noc? - Miśka przypatrywała się Zorianie swoimi szparkami.

-Tak. Pani Zoriana jest... Była... Była siostrą pani Oleny i pani Anny - kończyłam swoje wyjaśnienia, by zaraz ugryźć się w język, bo wspomnienie obu trupów nie było dla mojej córki najlepszym mottem na zbliżającą się noc. Ale Miśki jakoś to nie zmroziło. Przeciwnie, spojrzała na Zorianę inaczej.

- A, to w porządku. Pani wie, że to ja znalazłam panią Olenę, jak się utopiła? A mój brat znalazł panią Annę

251

w tym grobie? - powiedziała, jakby chwaliła się nowymi gumkami do włosów.

Zoriana zamarła, przesuwając wzrok ze mnie na Miśkę i z Miśki na mnie.

- Czy ta kiełbasa zostanie do jutra? - zmieniło temat moje dziecko.

- Dostaniesz na śniadanie - obiecałam. - Idź już spać.

I poszła do siebie, kompletnie, niestety, rozbudzona.

Maks już nie wychodził z pokoju, więc wyglądało na to,

że nie umył zębów po posiłku w środku nocy. Nie byłam też pewna, czy Miśka w ogóle dziś umyła zęby. Cholerne matczyne poczucie winy uderzyło we mnie ze zdwojoną siłą.

- To prawda, co ta dziewczeczka powiedziała? - odezwała się Zoriana. - To pani znalazła moi siostry?

- Moje dzieci znalazły ciała. Przypadkiem.

- Nic pani nie mówiła. Mówiła pani, że ich nie знаła.

A tu taka prawda. - Strasznie ruchliwą miała tę głowę.

Kręciła nią w tę i z powrotem.

- Annę widziałam raz. Oleny wcale. Nie znałam ich.

O co chodzi, pani Zoriano?

- Nie, niczego.

Nie chciała już gadać, nie chciała już jeść, spać też pewnie u mnie nie chciała, ale musiała - alternatywą był nocleg w lesie na mchu. A ona zdawała sobie z tego sprawę.

Pościeliłam jej na kanapie w kuchni i poszłam do siebie, skruszona z powodu nie swoich win. Bałam się, że śnić mi się będzie pedofilskie porno, ale nie. Nie miało okazji się pojawić, bo ktoś zapukał do drzwi pokoju.

- Niech pani wejdzie - powiedziałam zrezygnowana.

252

Siedziałam wyprostowana na łóżku i czekałam, aż Zoriana ujawni swe zamiary. Stała w progu, niezdecydowana, ubrana w długą koszulę w różowe kwiatki, z falbankami. Zmyła już makijaż. Jej wielkie oczy były zaskakująco bezbronne, gdy nie otaczał ich ostrokół pomalowanych na czarno rzęs. Wyglądała jak zdziwione dziecko.

-Ja... Bo... - Przeszła na angielski z pięknym brytyjskim akcentem. - Pan Tomek powiedział, że moja rodzina wyrządziła mu wiele złego. Myślę o tym i nie mogę spać. Pani też nie może, słyszałam przez drzwi.

- Ciekawe, co słyszała. - Nie wie pani, o co mu mogło chodzić?

- Nie wiem. Ale mogę się domyślać.

- A co pani myśli?

- Może chodzi o to, że jego ojciec miał romans z pani siostrą.

- Z którą siostrą?

Kiedy się dziwiła, jej oczy wydawały się jeszcze większe. Już tylko bladawe rzęsy przytrzymały je na swoim miejscu.

- Z Oleną. Siostra pani nie mówiła? Tutaj wszyscy o tym gadają.

- Nie mówiła. Ale to nieprawda.

- Tak pani myśli?

- Wiem i już. Olena by nigdy czegoś takiego nie zrobiła. Ona... Ona nie lubiła seksu.

Zaskoczyła mnie pewność w głosie Zoriany.

- Chyba, żeby ją do tego zmusił. - Pokręciła głową.

- Ale ona kiedyś powiedziała, że jak ktoś ją jeszcze raz do tego zmusi, to go zabije. Zabije jego, a potem siebie. Zamilkła.

- Gospani! - westchnęła i wyszła.

253

52

Myslałam, że po tych rewelacjach już na sto procent nie zasnę, ale szara miłosierna zasłona czekająca za progiem nocy pojawiła się od razu, gdy jej zapragnęłam. Trwała dzielnie, aż do końca pierwszego aktu, kiedy o 1.47 otworzyłam oczy. Tym razem groza tego, co się działo w realu, przewyższała grozę szarych stworów ścigających mnie we śnie. Paweł Maliwa gwałcicielem. Ole-na zabójczynią. Tomek pedofilem. Boże, skąd on wziął ten film? Dlaczego go oglądał? Naprawdę go to podniecało? Od dawna? Nadzieja, że Zorianie coś się pomylilo, o 1.47 kompletnie wyparowała. Zostało tylko nagie przerażenie, co się dzieje z tymi dwoma chłopcami zostawionymi przez oboje rodziców. Co się stało z panem dyrektorem w średnim wieku i jego nielubiącą seksu lokatorką? Deszcz walił w dach, powinien mnie ukołysać, nie kołysał jednak wcale, bo kojarzył mi się raczej z hałasem wydawanym przez karabin maszynowy. Za ścianą spała Ukrainka, której wcale nie znałam, ale której rodzina, pionek po pionku, ulegała dezintegracji na gościnnej podlaskiej ziemi. Ona zaś była kolejnym kafelkiem domina.

Obudziłam się rano, drżąca i mokra od potu, na chwilę przed dzwonkiem budzika.

W kuchni na kanapie siedziała Zoriana, już ubrana i umalowana. Pościel złożyła w kostkę. I kanapa, i ona wyglądały świeżo i schludnie. Ja natomiast snułam się w powyciąganej bluzie, zaspana i zła. Zoriana udawała, że na mnie nie patrzy. Nie wiedziałam, co mnie bardziej drażni - że jest taka porządna i rozbudzona, czy że nie wiem, co tam w środku myśli. Krojąc chleb, zacięłam się

254

w palec. Cisnęłam nóż na deskę i zaczęłam ssać ranke. Zoriana podeszła do zlewu, umyła ręce i wzięła nóż. Poszłam do lodówki po ser i kielbasę.

Maks tym razem pamiętał, żeby się ubrać, zanim wejdzie do kuchni. Rozejrzył się i od razu spytał, czy ma nam zrobić kawy. Tak mnie tym zaskoczył, że ser wypadł mi z rąk. Maks podniósł go z podłogi, odwinął z folii, położył deskę do krojenia na stole, i zaczął strugać grube plastry, popatrując na Zorianę, czy widzi, jaki jest sprawny.

Nie był sprawny. Od razu było widać, że wprawę

w krojeniu ma niewielką, ale wtedy właśnie zrozumiałam, że Zoriana nie może u nas długo mieszkać, bo będziemy mieli jeszcze więcej problemów. Miałam nadzieję, że i ona zdaje sobie z tego sprawę. Fakt, była naprawdę atrakcyjną dziewczyną, choć ja od razu zmyłabym jej tę farbę z oczu. Wczoraj, w środku nocy, wyglądała lepiej.

Chyba że mi się to śniło.

Z powodu obecności gościa uznałam, że wypada zrezygnować z czytania przy śniadaniu, więc czułam się nieprzyjemnie wybita ze zwykłej rutyny. Brak mi było obcowania z fikcyjnym detektywem z problemami, który prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa, gdy obok mnie siedziała cholerna Ukrainka z problemami, która prowadziła coś w rodzaju śledztwa w sprawie dwóch morderstw. Siedziała sztywno nad kawą i kanapką, patrząc grzecznie w ścianę, a nie na moją rozczochraną, skołataną głowę. Żułam śniadanie i zastanawiałam się, jaką by tu poprowadzić uprzejmą konwersację, ale nie miałam pomysłu. Maks w tej sytuacji postanowił trysnąć dowcipem.

255

- Widzę, że postanowiłaś zająć się pogrzebem - zagaił ze złośliwą miną, trącąc Miśkę w ramię.

Moja córka, która do tej pory spokojnie wsuwała kanapkę, teraz prawie się zakrztusiła.

- Czym pogrzebem? - spytała.

- Popij, dziecko - wtrąciłam.

- Wieprzka Materków, nad którym tak płakałaś.

Przecież to on, nie poznajesz? - zauważył mój syn i odkroił sobie kolejny kawałek kiełbasy, nie bawiąc się w plasterki.

Miśka odsunęła talerz z nadgryzioną kanapką. Spojrzałam karcąco na Maksa.

- Sama mówiłaś, żeby nie przymykać oczu na fakty

- dodał Maks.

- Ale nie musimy o nich rozmawiać przy śniadaniu

- zdenerwowałam się. - Co ja teraz zrobię z tą kanapką?

Zjedz ją, Maks.

- Po Misce się brzydzę, więc sorry, ale nie. Możesz dać drugiemu wieprzowi Materków. To kanibale, wie-działaś?

53

- Nie przejmuj się tym. Szczeniak musiał te filmy ściągnąć z sieci - uspokajał mnie Ruta. - Chłopcy w tym wieku to wulkany hormonów, najchętniej posuwaliby wszystko, co się rusza. Na wuefie ciągle zasłaniają się w kroku koszulkami, chociaż staram się, żeby ćwiczyli daleko od dziewczyn.

Staliśmy pod szkołą. Mimo że od czasu gdy Zoriana

mi się zwierzyła, minęły już noc i poranek, ciągle byłam
256

zdeenerwowana. Ruta - przeciwnie. Zero nerwów. Siła
spokoju. I pełne zrozumienie dla ludzkich słabości.

-Ale sam przyznasz, że to nie jest normalne? Żeby
dwudziestolatek oglądał filmy z dorosłymi facetami ko-
pulującymi z małymi dziewczynkami?

- Niesamowite.

-Co?

- Żadna dorosła kobieta ze Świątkowic nie wymówi-
łaby słowa „kopulujący” tak beznamiętnie jak ty. Robisz
to tak zwyczajnie. Jakbyś mówiła „stół” czy „ołówek”.

- Ruta, o czym ty gadasz? Nie widzisz, że mamy pro-
blem? Naprawdę nie szokuje cię, że dziecko mojej kole-
żanki, nasz uczeń, podnieca się pedofilskim filmem?!

- Hanka, spokój. Ja nie wiem, czy on aż tak o tym
myśli. W tym wieku może cię podniecić kiełek w fasolce,
naprawdę.

Ale jeśli podnieca cię skrzywdzone dziecko, jest to
bardzo, bardzo nie w porządku.

- A poza tym, Hanka, czy jesteś pewna, że ta Ukra-
inka dobrze widziała, co on ogląda? Zajrzała mu przez
ramię i już wie wszystko?

- Więc dlaczego ją wywalił z domu?

- To młody chłopak. Może nie chciał mieć w domu
atrakcyjnej dziewczyny z powodów oczywistych.

- Bo woli dzieci.

- Haniu! - Popatrzył na mnie i się roześmiał. - Wy-
dęłaś wargę jak obrażony dzieciak. Nie mogę! - Śmiał
się dalej, tak zaraźliwie, że w końcu moja obrażona war-
ga zadrgała i dołączyłam do niego. Tak się zarykiwali-
śmy, że nie usłyszeliśmy ani nadchodzącej katechetki,
która minęła nas cichutko, nie ryzykując „niech będzie

257

pochwalony”, ani chrząkania dochodzącego z drugiej
strony płotu.

Chrząkanie jednak było wytrwałe, i coraz mniej dys-
kretne, więc w końcu sprawdziłam jego źródło. Wyda-
wał je mój wierny wielbiciel, Rumcio, autor kielbasy
i zmasowanej ofensywy na moją osobę. Chrząkał zna-
cząco i patrzył na mnie równie znacząco, więc nagle
życie przestało mnie śmieszyć. Nadzieja, że wczorajszy
bolesny epizod z kielbasą usunie Rumcia z mojego życia,
była przedwczesna.

- Dzień dobry, Haniu - zagaił ciepło i uchylił czap-
ki. - Cześć, Ruta. - W tym było już dużo wrogości.

- A względem tej kolacji, co na którą mnie zaprosiłaś
- ciągnął - to ja chętnie - powiedział i wpił się spojrze-
niem zwycięskiego rywala w Rutę.

Śmiesznie wyglądali obok siebie. Strzelisty Ruta w ja-

snych spodniach, w kurtce podkreślającej szerokość jego ramion, i przysadzisty Rumcio, w czapce z daszkiem, grubej kurtce i pionierkach, cały szeroki i solidny. Gołycki kościół przy romańskiej ziemiance.

- Rumciu, ustalę to jeszcze z innymi gośćmi. Za jakieś dwa tygodnie może być?

- Haniu, ale po pierwsze, kiełbasa nie wytrzyma dwóch tygodni. A po drugie, po co takie ceregiele. U nas na wsi tylko na wesele się zapraszamy, a tak to po prostu, sąsiad do sąsiada przychodzi, nic takiego. Więc ja przyjdę dzisiaj.

To nie było pytanie, to było stwierdzenie.

- Rumciu, dziś mam sprawę - kluczyłam nieporadnie.

- A po sprawach? - nacierał Rumcio. - Widziałem wczoraj, jak byłem u ciebie - spojrzenie z góry na Rutę - 258

że w twojej furtce się zawiasy odrywają, to bym naprawił może przy okazji.

Zawiasy mnie dobiły. Atak Rumcia wydawał się nie do odparcia.

- Dziś to my z panią nauczycielką mamy wspólne sprawy - wziął mnie w obronę Ruta. Dwudziesty pierwszy wiek, a tu jeden rycerz musi mnie chronić przed nagabywaniem drugiego.

Rumcio spojrzał na Rutę jak na kurzą kupę przyklejoną do buta.

- Haniu, tylko nie daj panu nauczycielowi zawiasów naprawiać, gdzie on by takie rzeczy umiał robić - wypuścił ostatnią zatrutą strzałę Rumcio. - Z tym to na mnie poczekaj.

I odszedł, w tej swojej czapce z daszkiem wyglądając jak krzepki prawdziwek. Jeśli prawdziwki, chodząc, potrafią się tak kiwać.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że on cię podrywa?

- skomentował Ruta.

Jak on mnie czasem wkurzał.

54

Ruta, zanim ruszył do domu na pomidorową, odebrał ode mnie uroczyste zapewnienie, że przestałam przejmować się filmem, który oglądał Tomek Maliwa. Uczynił wiele, by zbagatelizować tę historię, a był przy tym tak męczący, że przestałam w końcu z nim polemizować.

U Maliwów na obiad też była pomidorowa, co poczułam już od progu.

259

Nie, nie miałam zamiaru martwić się dłużej tym filmem, jak obiecałam Rucie. Ja chciałam po prostu o niego wypytać. Podczas nieobecności Ewy czułam wewnętrzny przymus, żeby zająć się jej chłopcami.

Tomek, który mi otworzył drzwi, dziś po raz pierwszy wyglądał dojrzałe i po raz pierwszy zrozumiałam, że i on jest mężczyzną. Jeśli bycie mężczyzną oznacza bycie agresywnym, opryskliwym gburem.

- Dzień dobry - to były słowa. Ton jego głosu mówił natomiast: „To znowu ty? Spływaj stąd!”. - Właśnie mamy obiad.

- Rozumiem. Tomek, usłyszałam coś, co mnie zaniepokoiło.

- Nie mogę teraz. Jem - warknął.

- Oglądałeś pewien film.

- Polazła do pani na skargę?!

Dopiero po chwili zrozumiał, że potwierdził wszystko, co chciałam wiedzieć.

- Polazła do mnie na noc. Bo nigdzie w okolicy nie miała szansy znaleźć noclegu o tej porze. Tomek, takie filmy to jest przestępstwo, rozumiesz?

- Chcę zjeść w spokoju obiad. Mogę?!

- Tomek, jeśli jeszcze masz takie filmy...

Gdzieś z tyłu przemknął Łukasz w powyciąganych skarpetach. Pomachałam do niego.

- Do widzenia - powiedział Tomek i zamknął mi drzwi przed nosem.

Miałam dość. Chciałam teraz wleźć pod kołdrę i płakać, ale musiałam dać obiad dzieciom i Ukraince, musiałam zajmować się nimi wszystkimi aż do czasu, kiedy ich wypchnę spać lub z powrotem na Ukrainę. Chyba że stanie się cud i Zoriana znajdzie sobie inne miejsce do spania.

260

Cudu jednak próżno było czekać. A w każdym razie nie takiego, na jaki liczyłam. Bo kiedy weszłam na podwórko, z prawdziwą przyjemnością zauważyłam, że liście zostały zagrabione i chyba wyniesione na kompost, gdyż nie walały się nigdzie w zasięgu wzroku. W sieni zamieciono, a nazbyt liczne nasze buty ustawiono w dwóch równoległych rzędkach pod ścianą. Kalosze opłukano z błota. No i już od progu upojnie pachniało zupą. W kuchni było ciepło, a Zoriana w fartuchu stała przy garnku i mieszała.

- Maksik powiedział, że pani nie lubi na mięsie.

To dałam same warzywa.

Maksik, no proszę.

Maksik siedział uczesany przy kuchennym stole i odrabiał lekcje. Nawet nie miał słuchawek na uszach. Siadłam za stołem obok syna, a Zoriana od razu podała mi zupę. Tradycyjny podział ról domowych jest bardzo fajny. Dla tej strony układu, która zmęczona wraca z pracy i zastaje wszystko posprzątane oraz ugotowane. Zjadłam zupę i zaczęłam się rozglądać za drugim danem.

- Bliny byli. Ale Maksik zjadł - wyjaśniła Zoriana.

W takim razie dołałam sobie zupy.

- To jarzynowa?

- Marchwiowa - wyjaśniła Zoriana. - Ale z takim ziółkom ukraińskim.

Jezus, z jakim znowu ziółkom?! Podała mi torebkę.

Na szczęście wyglądało to na coś ze spożywczego, nie jak coś od szamanki. Niech jej będzie. Brzuch rozgrzał się od środka, zrobiło mi się zdecydowanie lepiej na duszy.

Naprawdę, prawie dobrze.

- A w piecu umie pani palić, pani Zoriano? - zaga-
iłam.

261

Nie zrozumiała, więc powtórzyłam pytanie po angielsku. Tak, umiem palić w piecu, odpowiedziała z tym samym pięknym brytyjskim akcentem co wczoraj. Długo była w Anglii? Nie, wcale nie była, jak się okazało.

- Miałam po prostu dobrych uczyteli - wytłumaczyła. - U nas, na Ukrainie. Myślałam, żeby zacząć może uczyć angielskiego w Polsce? Wy więcej płacicie.

Jej wczorajsza nieufność chyba gdzieś się roztopiła.

-Więcej? Może. Ale niespecjalnie dużo - odpowiedziałam. - Moja pensja ledwie wystarcza na nas troje.

Znowu zeszywniała.

-Ja, oczywiście, zapłacę za noc...

Z ogromnymi błękitnymi oczami i rumieńcami na twarzy od gorącego piecyka wyglądała jak rosyjska laleczka. Maks wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

- Pani Zoriano, przecież nie dlatego o tym mówię.

- Ja zapłacę. A z tym piecem, żeby zapalić, jest parę metod - wytłumaczyła. - Pani pokaże palenisko, zobaczę, co się zmieści.

Pokazałam.

- Mieści się wszystko, ale palić się nie chce.

- A jak to pani robiła?

Pokazałam. Pośmiała się.

- Są cztery metody - tłumaczyła. - Na piramidę, na gwiazdę, na namiocik i na studnię. To co pani wybiera?

- Niech pani daje po kolei.

I to był dobry moment, żeby ktoś zapukał do drzwi.

Pukanie zaskoczyło mnie tym bardziej, że i bramę, i furtkę zamknęłam na klucz. Ale ten ktoś zdołał sforsować zapory i dotrzeć do domu.

- Otworzyć? - spytała Zoriana.

Wolałam jednak sama stawić czoła problemowi.

262

Na progu stał Łukasz. Po raz pierwszy, odkąd go znałam, jego twarz cokolwiek wyrażała. Smutek, zmieszanie? Strach? Ciekło mu z oczu i z nosa.

- Dobry wieczór - wyjąkałam zaskoczona.

Nic nie powiedział, tylko wyciągnął w moim kierunku

ku podrapaną rękę. Myślałam, że chce uścisnąć moją, wyciągnęłam ją przed siebie. Ściskając mi dłoń, wcisnął w nią coś niedużego i zacisnął na tym moje palce. Spojrzał mi w oczy, po czym szybko odwrócił się i poszedł.

Pobiegłam za nim, wołając, ale się nie odwrócił. Podszedł do bramy, wdrapał się na nią, przeskoczył i zniknął w ciemnościach.

Spojrzałam trzymaną w dłoni małą twardą rzecz. Pendrive. Zwykły, z lekko obdrapanym napisem „4 giga”. O co chodziło?

- Kto to był? - spytał Maks zza stołu, gdy weszłam do kuchni.

- Łukasz Maliwa.

- Ten świr? A po co on tutaj? - spytał Maksik. - Pogadać wpadł? - I zachichotał.

Mój syn był jak nowy, naprawdę. Uśmiechnięty i rozluźniony. Patrząc na niego, planowałam, że pościelę Zorianie dzisiaj w drugiej połowie domu, byle dalej od Maksa. Niech szlag trafi starego Materka, najwyżej dopłacę Karczowi, właścicielowi budynku.

- Maks, ty nie masz nic zadane?

- A co ja właśnie robię? - Pokazał mi rozłożone na blacie stołu zeszyty.

- Ty? Gadasz i podsłuchujesz. A powinieneś się skupić.

- Już, już. - Opuścił głowę nad zeszytem.

- Nie, nie tutaj. - Byłam twarda. - Idź do siebie.

263

- Mamo!

- Idź, mówię poważnie. Tutaj to żadne odrabianie.

Poszłam tam za nim.

- Pilnujesz mnie?

To nie był wyraz twarzy, z którym zwracał się do Zorriany.

- Nie, zabieram laptopa.

- Nie ufasz mi, że naprawdę będę odrabiał lekcje?

- Maks, daj spokój. Też chyba mogę czasem skorzystać z komputera?

Schowałam się z laptopem w swoim pokoju. Włączyłam, włożyłam pendrive'a. Było na nim kilkanaście plików. Same filmy. Serce zaczęło mi walić. Wyłączyłam dźwięk, odwróciłam monitor tyłem do drzwi i urucho miłam pierwszy z brzegu.

Film został nakręcony niezbyt fachowo. Przedstawiał mężczyznę, kadrowanego tak, by nie było widać twarzy. Facet bez twarzy kopulował z małą dziewczynką. Półnągą, w rozpiętej sukieneczce. Jej płaski tors, biedna buzia przypominały mi Miśkę. Nóżki miała przypięte do czegoś w rodzaju stołu do masażu.

To było nie do zniesienia. Mała, biedna twarz, chyba

oszołomiona, bo bez śladu emocji. A nad nią brutalne, gęsto owłosione od szyi do łona cielsko, zadające potworną przemoc.

Do pokoju weszła Zoriana. Aż drgnęłam.

- Ja pukała, ale pani nic nie mówiła.

Zatrzymałam nagranie. Wpatrywała się we mnie uważnie.

- Ja chciała porozmawiać. Ja...

Znowu mówiła po polsku. Angielski spowodował, że przez chwilę byliśmy sobie równe, dwie koleżanki
264

po fachu. Jej polszczyzna, niepewna i z akcentem, automatycznie czyniła z niej petentkę, ton też miała niepewny i proszący.

-Ja.... Ja muszę czekać, aż oni na policji mi pozwolą siostry zabrać. Wtedy ja je spalę i zabieram. Ale nie wiem, ile będę czekać. Może być trzy dni, może być dwa tygodnie, powiedział ten milicjant. I ja chciała spytać... Ja mogu zostać i płacić pani za mieszkanie. Ja mogu poszukać czegoś. Ja mogu wrócić do siebie na Ukrainę i znowu przyjechać. Pani decyduje. Ja płacę.

Słuchałam jej jednym uchem i ułamkiem mózgu, patrząc to na nią, to na zatrzymany w kadrze obraz. Po czym odwróciłam monitor w jej stronę. Spojrzała, westchnęła, zamarła.

- To jest ten film, który pani widziała u Tomka?

Pokręciła głową.

Puściłam film.

- Nie ten. Podobny.

Zatrzymałam odtwarzanie. Popatrzyłyśmy na siebie.

- To przyniósł Łukasz? - znowu mówiła po angielsku.

Pokiwałam głową.

- No widzi pani.

-Co?

- Wczoraj mi pani nie wierzyła - powiedziała.

- Mamo! Maaamo! - zawołała Miśka ze swojego pokoju.

-Tak?

- Mamo, chodź!

Siedziała na swoim łóżku, maleńka i bezbronna, jak dziewczynki na filmie. Patrzyła pustym wzrokiem w ścianę.

265

- Misiu, źle się czujesz? - Trochę ją zaskoczył ton hysterii w moim głosie.

- Nie, normalnie. Czy ona długo u nas zostanie?

- Nie wiem jeszcze. Źle ci z nią?

- Tak się czuję jakoś... Jak nie u siebie.

Przytuliłam chudziutkie ramionka córki. Jak ktoś

mógł pomyśleć o takim dziecku w kategoriach erotycznych? Co potem się działo z tymi dziećmi, zużytymi jak chusteczki higieniczne?

- Misiu, jadłaś coś dzisiaj?

- Jadłam. Te jej dziwne naleśniki. - Wyjęła talerz spod sterty papierów. - Ale przyszłam zjeść tutaj, nie chciałam siedzieć z nimi w kuchni. Nie nabrudziłam, naprawdę. Gdybyż dało się nałożyć na dziecko kapsułę ochronną izolującą przed złem tego świata! Gdybyż się udało... marzyłam, wiedząc, że podobne pragnienia żywi większość matek tego świata.

- Mamo. - Do pokoju Miśki wszedł Maks, pożerając coś z chrząstkiem. - Jak ty tu siedzisz z nią, to komputer ci niepotrzebny, prawda? Ja już prawie odrobiłem. Młasnął i przełknął. Z dłoni ściekała mu na włochate przedramiona jakaś przezroczysta ciecz, co wyglądało niemal pornograficznie.

- Co ty jesz dziwnego? - spytała Miśka.

- Ogórki z miodem.

- Blee - powiedziała moja córka. - To ona wymyśliła?

- No. Pyszka, mówię ci. Ale ty się nie znasz.

Wsadził sobie do ust ostatni kawałek ogórka, po czym zaczął oblizywać palce.

- Nie chlap mi tutaj tym świństwem - obruszyła się Miśka.

266

- Cicho, pedantko.

- Pedantko? - zainteresowała się moja córka.

- Pedantko.

Spojrzała na mnie, niepewna, czy Maks ją obraził, czy nie do końca.

- Pedantka to znaczy osoba bardzo przywiązana do porządku - wyjaśniłam.

Miśka uśmiechnęła się triumfalnie. Jednak nie obraził. Skomplementował, tak jakby.

- Maks, do lekcji. Misiu, masz coś zadane?

Zoriana siedziała u mnie przy biurku z laptopem, słuchawkami na uszach i wypiekami na policzkach. Kurczę, nie lubiłam, jak ktoś obcy używa moich słuchawek.

-Pani Zoriano...

Zoriana spojrzała na mnie strasznie poruszona i zdjęła słuchawki.

- Oni mówią po ukraiński - powiedziała przejęta.

- Ci faceci?

- Tu jest jeden facet. Te rebionki. Te dziewczki. Oni gawariat pa ukraiński.

- Czy to ich rodzimy język?

- Nie rozumiem.

-Are they native speakers?

- Yes, they are. They are ukrainian girls.

-And the man?

- He speaks polish - odpowiedziała wzburzona. - On mówi po polsku.

-Znasz go?

Pokręciła głową.

- A te dzieci?

- Ukraina to duży kraj - powiedziała. - Nie znam wszystkich dzieci na Ukrainie... - I nagle zerknęła
267

na ekran. Zamarła. Zastygła. Założyła słuchawki. - Gospodi! - westchnęła, jeszcze bardziej poblądła, wpatrzona w monitor.

Odwróciłam ekran w swoją stronę. Film niewiele różnił się od poprzedniego, tyle że facet miał na twarzy skórzaną maskę. Dobierał się do dziewczynki plus minus w wieku Miśki, starszej od tej z pierwszego filmu. Dziecko było dziwnie bierne, jak lalka.

Zoriana ponownie odwróciła monitor do siebie. Patrzyła na ekran z wyrazem zgrozy.

- Gospodi! - zatrzymała film i zamknęła oczy.

- Co się stało?

Wyjęła telefon komórkowy, spojrzała na ekranik.

- Ja... Ja... Skąd mogę zadzwonić do domu? Bo tu nie ma zasięgu.

55

Właśnie skończyła się klasówka z angielskiego. Pakowałam kartki z testami. Czy te dzieciaki musiały je tak gnieść? Wszyscy już wyszli, tylko Łukasz grzebał się jeszcze, układając rzeczy w plecaku. Byłam pewna, że na swój sposób próbuje mnie zachęcić do rozmowy.

- Łukasz, wiesz coś o tych filmach? Powiedz mi, na Boga, skąd wzięłeś tego pendrive'a? - spytałam półgłosem.

Spojrzał na mnie beznamiętnie, spod zmrużonych powiek. Oczy miał czerwone, jak jego mama, kiedy ją widziałam po raz ostatni. Oderwał ode mnie wzrok i zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Spodziewałam się kolejnej rewelacji, kolejnego pendrive'a, ale wyjął chusteczkę i wytrąbił nos. Wrócił do pakowania. Układał w plecaku:
268

zeszyty razem, książki razem, i poprawiał każdą rzecz po kolei. Nie chciały stać równo, choć każdej rzeczy poświęcał dużo uwagi. Policzyłam. Każdy zeszyt został przywołany do pionu pięć razy.

- Znalazłeś tego pendrive'a u Tomka? Czy gdzie indziej?

Znowu popatrzył na mnie jak na nudny program dla dzieci.

- Łukasz, musisz zacząć się odzywać. Chcesz zostać

na drugi rok? Napisałeś przynajmniej ten test? - wyszukałam w kupce niechlujnych kartek z oślimi uszami pracę najbardziej milczącego ucznia tysiąclecia. Co za rozczarowanie! Nie wypełnił ani jednej kratki.

- Łukasz - westchnęłam. - Łukasz!

Z przykrością pomyślałam, że będę musiała postawić mu pałkę, kiedy zauważyłam, że po drugiej stronie kartki jednak coś napisano.

Tak, parę słów jednak wyprodukował, i to po angielsku. Czy też w języku, który od biedy można było uznać za angielski.

Pendrwe is of my father. I found it some months ago in his drawer with socks.

Czytałam to raz po raz.

„Pendrive należy do mojego ojca. Znalazłem go kilka miesięcy temu w jego szufladzie ze skarpetkami”.

Ojciec Łukasza. Tajemniczy zaginiony Paweł Maliwa. Romansujący z Ukrainką. Który chowa w szufladzie z bielizną pedofilskie filmy z ukraińskimi dziećmi. Czy to dlatego jego syn nie był w stanie od paru tygodni wykrztusić ani słowa? Czy dlatego, że znalazł u ojca takie potworne rzeczy?

Łukasz patrzył na mnie spod zmrużonych powiek.

269

- Spytałeś ojca, skąd to ma?

Włożył do plecaka kolejny zeszyt i zaczął go poprawiać. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Teraz książka.

- Łukasz, słyszysz mnie?!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, wykonywały miarowe ruchy jego ręce w plecaku.

- Łukasz, na litość boską, przecież umiesz mówić!

- wrzasnęłam. Zapewne słyszano nas aż na korytarzu.

Słyszano. Bo po chwili wyrosła przy nas Ela Lichańska.

- Drogi panie Maliwa. Mama na pewno by nie była zadowolona, jakby się dowiedziała, że się tak lekceważąco zachowujesz w stosunku do nauczycielki. Łukasz, obudź się wreszcie, bo zavalisz semestr, a potem rok.

- Ela też podniosła głos, bo Łukasz wydawał się nie słyszeć, gdy przemawiała normalnie. Ale kiedy krzyczała, też ani drgnął. Po prostu podniósł swój plecak, nie zapinając go nawet, tylko taki otwarty przytulił sobie do brzucha i poszedł. Wybiegłam za nim na korytarz. A on oparł torbę o parapet okna i kontynuował wyrównywanie układu książek. Spojrzał na mnie i pokręcił głową.

- Nie spytałeś ojca?

Spuścił wzrok i od nowa zajął się książkami. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, poprawiał każdą z nich. Stałam przy nim jeszcze przez chwilę. W końcu wróciłam do Eli. Stała przy oknie i patrzyła na szarość na zewnątrz.

- Pani dyrektor kochana, mnie się wydaje, że on się

naprawdę nadaje do leczenia.

Ela kiwnęła głową. Twarz, w kontraście do szarugi za oknem, miała kolorową. Kolorów z całą pewnością nie zawdzięczała zdrowemu trybowi życia, lecz zawartości własnej kosmetyczki.

270

- Widzę problem. Chociaż u mnie zaliczył pracę pi-semną na trójkę. Czyli coś jednak czasem do niego trafia. Ja już go nawet nie wzywam do tablicy, bo znowu bym mu musiała postawić pałkę. Haniu, w następnym tygodniu mamy specjalną radę pedagogiczną w sprawie młodego Maliwy. Środa, piętnasta. Bądź koniecznie. Tak, czasem coś do niego trafiało. Czasem nawet wychodził z inicjatywą. Bałam się jednak, że wręczenie mi pendrive'a było maksymalną interakcją międzyludzką, na jaką było go obecnie stać.

56

W domu, w sieni, prawie się potknęłam o wielkie pasiaste torby. Zoriana się wyprowadzała. Ulga mieszała się we mnie z rozczarowaniem, gdyż jej obecność miała jednak pewne zalety. Od progu kuchni przywitała mnie bowiem woń kurzego mięsa.

Zoriana w fartuszkę podstawiała mi obiad pod nos. Ziemniaki na talerzu miło nurzały się w sosie. Sałaty ze śmietaną nie lubiłam, ale niech jej będzie. Wzięłam do ust kawałek mięsa. Był boski. Bardzo żyłasty, trzeba go było żuć i żuć, ale każdy ruch szczęką dostarczał mózgowi fał wielowymiarowego smaku. Dawno nie jadłam tak dobrej kury.

- Co do tego dodałaś?

- Jałowiec - odpowiedziała po angielsku. - Przepraszam, ta kura taka twarda, u nas na wsi z takich się rosół robi. A mówiłam pani sąsiadce, że chcę kurę na pieczeń. Wyglądało na to, że skoro nie wzięłam od niej pieniędzy za nocleg, Zoriana postanowiła zafundować nam obiad.

271

- W życiu nie jadłem takiego dobrego kurczaka! - zachwycał się Maks. I nagle się zmitygował. - Ale mamo, nie martw się, twoje obiady przynajmniej się szybciej gryzie. Cóż, piersi z kurczaka, które robiłam najczęściej, przy tym cudzie aromatu przypominały zużytą gąbkę.

- Zoriana, przeprowadzasz się? - spytałam po angielsku.

- Nie. Wracam na Ukrainę. Mam jutro busik z Garwolic. Szósta rano. Nie, niech się pani nie boi, nie będę rano hałasować. Ja pójdę tam zaraz i spokojnie poczekam, aż po mnie przyjadą.

- Ale gdzie będziesz spała?

- Przysiądę gdzieś na dworcu, jedna noc, nie ma problemu.

- Śpij tutaj, w domu, zawiozę cię jutro.
Nie skażę jej przecież na nocleg na dworcowej ławce.
Zwłaszcza że właśnie zaczynała zagniatać ciasto na pierogi. Boże, jak fajnie byłoby mieć żonę. Zawiozę ją, jestem przecież przyzwoitym człowiekiem.
Rozłożyłam dzisiejsze klasówki drugiej B na kuchennym stole. Gdyby Zoriana chciała pogadać, byłam blisko. Maks, niestety, też, ze słuchawkami na uszach.
- Lekcje?

Maks podrygiwał nogą w rytm sączącej mu się do uszu muzyki i gapił się na Zorianę.

Wyjęłam mu słuchawkę z jednego ucha. Drgnął.

- Maks, lekcje zrobione?

- Melduję posłusznie, że tak. Teraz odpoczywam.

I czekam na podwieczorek.

- Maksik chciał pierogi - wyjaśniła Zoriana. - Z mięsem. Ja jeszcze mogę ze śliwkami zrobić, znalazłam w zamrażarce. Albo z kaszą. Jak pani woli.

272

- Dzięki, Zoriano. Ja... Naprawdę ci dziękuję. Wiesz, że nie musisz wyjeżdżać?

- Muszę. - Twarz jej stwardniała. - Muszę.

Patrzyłam na nią, krzątającą się z coraz większą pewnością po mojej kuchni, i zastanawiałam się, kogo odkryła wczoraj wieczorem na filmie. Potem konferowała przez telefon po ukraińsku, na łące, na pniaku, nie zważając na deszcz. Zniosłam jej parasol, a ona stała tam jeszcze długo w wieczór, rozmawiając z sąsiednim krajem.

Nie pytałam, o co chodzi, czekałam, aż sama mi powie, ale nie wykazywała szczególnej ochoty. A przecież czułam, że muszę się dowiedzieć, co zobaczyła na tym filmie. Czy miało to coś wspólnego z zaginionym Pawłem Maliwą? Z milczącym Łukaszem? Z ukraińskimi dziećmi sprowadzonymi na wakacje przez fundację? Z Rutą, który tę fundację wymyślił, i z Karoliną, która ją prowadziła? Wydawało się, że to Zoriana trzyma nic do tego labiryntu.

Cóż, jeśli ją trzymała, to głęboko ukrytą, bo jej dłonie były zajęte pokrywaniem blatu kolejnymi sztukami pierogów.

- Zoriana! - wykrzyknęłam. - Kto to wszystko zje?

-Jak to kto? Maksik! - stwierdziła Zoriana.

A Maksik obdarzył ją tak szerokim uśmiechem, jak mnie dziesięć lat temu na Dzień Matki.

57

O piątej rano, oczywiście, było jeszcze ciemno.

Bardzo ciemno. Niby spodziewałam się tego, ale i tak

273

doznałam szoku. Zoriana już siedziała, ubrana i wyma-

lowana, grubiej nawet niż zwykle. Nie chciała kawy, niczego nie chciała, tylko patrzyła na mnie, nie śmiejąc jednak popędzać, żebym się szybko wybrała. Nie zawiadłam jej.

Zawiódł nas natomiast samochód. Albo pogoda. Albo stan dróg Świątkowic-kolonii... Zależy, jak na to patrzeć.

Kiedy w kurtkach, bo nadal lało, dobiegłyśmy do auta i wsiadłyśmy, okazało się, że wczoraj zaparkowałam tak sprytnie, że nie da się wyjechać. Woda podmyła błocko pod przednimi kołami, więc skoda się zapadła, buksując, zamiast jechać.

- Może to znak, żeby pani jednak została?

Zoriana spojrzała na mnie przerażona.

-Ja popcham!

Ale nic nie wskórała. Dołączyłam do niej, i też nic.

Pobiegła po deski, które podłożyła pod koła i pchałyśmy z całej siły.

Jezu, czułam się taka słaba i bezradna! Z domu wypadł Maks, ubrany, ale z zaspanymi oczami. Nie wziął czapki, więc po chwili miał mokre włosy.

- Zoriana wyjeżdża? - zapytał z rozpaczą.

- Przecież wczoraj o tym rozmawiałyśmy. Nie zrozumiałaś?

Mój syn tylko sapnął i wziął się za pchanie auta. Samochód wyraźnie drgnął i przesunął się o kilkanaście centymetrów. Miało krzepę to moje dziecko. Spojrzał, czy Zoriana go podziwiała. Nie podziwiała, bo sama starała się pchać jak najmocniej.

- Pracuj, pracuj, ona ma zaraz busik na Ukrainę. Następny dopiero jutro.

274

- Nie - sapnęła Zoriana. - Następny za trzy dni.

Maks nagle przestał pchać i samochód odtoczył się z powrotem w dół. Akurat o te kilkanaście centymetrów, które udało nam się zarobić przed chwilą.

- Maks! - krzyknęłam. Ale mój chłopina zupełnie przestał się wysilać.

- Dokąd idziesz? - wrzasnął, kiedy zostawiłam ich przy samochodzie. - Przecież sąsiedzi jeszcze śpią! Ale byli już na nogach. Chrząkanie i mlaskanie dobiegające z chlewika nieomylnie doprowadziło mnie do Matka, rześkiego i całkiem zadowolonego, mimo morderczej pory. Wieprzki widać lubiły dostawać śniadanie przed szóstą rano.

Sąsiad na wsi to potęga, teraz już to wiedziałam.

Oparcie i podstawa egzystencji, które zaważyć może na życiu bardziej niż demokracja, inflacja czy teokracja. Sąsiad bez zbędnych dyskusji wyjechał traktorem przez swoją bramę i zaczął mocować linę do samochodu. Nie

dał mi się do tego dotknąć, gdzie tam baby będą się pchać do takich męskich spraw. Materkowa w gumiakach stała obok pod parasolem i patrzyła na mnie niezyczliwie.

- Bardzo przepraszam, pani Materkowa, że tak wcześniej państwa niepokoję. Dziewczyna ma jednak zaraz autobus, spóźnimy się.

Spojrzała na mnie wilkiem, zacisnęła usta i odwróciła wzrok. O co jej chodziło? Długo jednak nie wytrzymała obrażona. W końcu rozszczęlniła usta i ułało się z niej jak z dziurawej beczki.

- Ja nie o tym, kochana pani, nie dlatego mam marną minę. Ja normalnie wstaję o piątej, od maleńkości jestem przyzwyczajona. Nawet jak jestem chora, to o piątej otwieram oczy. Jestem krzywa o co innego. Bo pani niby

275
z miasta, a plotkuje jak moja teściowa, niech jej ziemia lekką będzie. Bo jak to tak, że ja już do sklepu nie mogę iść, żeby mnie jakiś chłopak nie zahaczył o moją łąkę? Przyczepił się, za przeproszeniem, siusiumajtek, z jego matką na zabawy chodziłam, że swoją działkę sprzedaję. Ale co mu do tego, małemu Benkowi? Ja pamiętam, jak Benio Rutkowski z pieluchą chodził, a on mnie tu poucza, że nieobywatelsko jest ziemię sprzedawać. A ja się pytam, kto Benkowi powiedział, że ja coś sprzedaję? Kto? No to on mówi, że pani, sąsiadko. Ja w zaufaniu opowiadam, a pani od razu idzie koledze powiedzieć. Tak nie za bardzo, prawda? Oj, nie za bardzo.

- Pani Materkowa, ja bardzo przepraszam. Po prostu nie chcemy, żeby pani sprzedawała tę łąkę garbarni.

- Garbarni? A gdzie tam! Jakiś pan z miasta przyjechał. Pytam, na co mu rolne łąki, to nie umiał powiedzieć. Ale jak umie zapłacić, to ja już więcej nie pytam. To nawet nie ojcowizna, ciocia kiedyś na nas przepisała - nadawała lekko udobruchana Materkowa. - Jakiej garbarni, no naprawdę.

- Fertig - wrzasnął Materek, zeskakując z traktora.

Skoda stała na równej drodze. Wskoczyłam za kierownicę i ruszyliśmy z Zorianą w stronę cywilizacji. Maks stał na błotnistej drodze i udawał, że nie patrzy za nami tęsknym wzrokiem, a zdenerwowana Zoriana u mojego boku udawała, że nie patrzy na zegarek.

- Zdamy, spokojnie - łagodziałam jej i swoje nerwy.

- Zdamy.

Ciężko było jechać szybko po tym błocie, ale już opuściliśmy las i wreszcie znalazłyśmy się na asfalcie. Przyspieszyłam. Zoriana nieco się zrelaksowała, wreszcie po-

276
zwoliła sobie rozluźnić kręgosłup, rozparła się na fotelu i wyjrzała przez okno. Po czym zeszywniała ponownie.

- Muszę wracać na Ukrainę. Naprawdę muszę - ode-

zwała się po angielsku. -I powiem ci dlaczego. Nie wiedziałam, czy powinnam ci mówić, ale właśnie zrozumiałam, że komuś trzeba zaufać. Ja chcę zaufać tobie. Nareszcie. Powie mi, o co chodziło z tym filmem. I powiedziała.

MIŚKA

58

Po szkole, w ramach wdzięczności za kielbasę i zamiast kolacji, której mama jednak postanowiła nie wyprawiać, zanosiliśmy z mamą panu Rumciowi trochę pierogów i trochę ciasta, które zrobiła Zoriana. I dobrze, bo jakoś nie mogłam jeść tego jej jedzenia. Niby była w porządku, ale przy niej robiło się dziwnie. Maks zachowywał się jak idiota, dowcip za dowcipem i bez przerwy się czesał, aż nie mogłam patrzeć, jak bardzo się jej podlizuje. Była prawie dwa razy od niego starsza, a on myślał, że jak podkobie samochód, to mu się uda zatrzymać ją na dłużej i zdobyć jej serce. Nic mu z tego nie wyszło i bardzo dobrze. Dla niego też dobrze, że wyjechała, czego on jeszcze zupełnie nie rozumiał, ale ja tak. Czy to znaczy, że jestem dojrzalsza? Od trzynastolatka?

Pan Rumcio trochę się ucieszył, że mama przyszła, a trochę był jednak speszony, że pojawiła się bez uprzedzenia. Tłumaczył, że nieposprzątane, ale od razu dodawał, że tak bywa w domu samotnego mężczyzny, dziękował, mówił, że co za kłopot, parzył niedobrą herbatę i ręce mu się trzęsły.

278

A już najbardziej się zdenerwował, jak poszłam do toalety. Było tam zimno, śmierdziało siuškami, więc nie siadałam na desce, ale jak już się załatwiłam, to zostałam jeszcze chwilę, bo na pralce leżały pisma z gołymi babami. Obejrzałam kilka, ale szczerze mówiąc, nie podobało mi się, co te kobiety miały w kroku. Wyglądało to jak przytulone do siebie różowe glizdy i, szczerze mówiąc, trochę się przestraszyłam, że sama miałabym za parę lat mieć coś takiego. Na szczęście wiem, że zdjęcia w gazetach są retuszowane i żadna prawdziwa kobieta nie wygląda jak te lale na zdjęciach. Nawet te same lale w naturze, co mama zawsze mi tłumaczyła.

Kiedy wróciłam z toalety i pan Rumcio zorientował się, że tam byłam, bardzo się zdenerwował i od razu tam pobiegł, pewnie schować te gołe baby. Ale ja myślę, że nie ma się czego wstydzić. W końcu sam kilkanaście razy powiedział, że brak mu kobiecej ręki. No, ręce kobiety na zdjęciach również miały. Cóż z tego, że retuszowane.

Wypiłyśmy herbatę, a mama rozmawiała z Rumciem, jakby grała w ping-ponga. Co Rumcio o kobiecej ręce,

to mama odbija piłeczkę, że sama by chętnie takiej dla siebie poszukała. Co on pochwalił ciasto, ona od razu musiała powiedzieć, że to Zoriana upiekła. Pierogi - to samo. Ping-pong. I jeszcze dodała, że dlatego z Zorianą było jej tak dobrze. Bo nie musiała myśleć o prowadzeniu domu.

Nie wiem, czy było jej tak dobrze, sama przecież miała trochę dosyć, zwłaszcza rano. My obie raczej nie lubimy obcych w domu. Ale rozumiem, że mama chciała, żeby Rumcio pojał, że ona tą kobiecą ręką nie będzie, o nie. Potem jeszcze posmutniał, gdy zrozumiał, że kolacji dla

279
niego u nas jednak nie będzie. A na koniec naszej wizyty pocałował mamę w jej kobiecą rękę i poszliśmy. Kiedy zeszyliśmy mu z oczu, mama wytarła rękę chusteczką.

- Dlaczego nie możesz mu normalnie powiedzieć, że nie będziesz tą kobiecą ręką?

- Bo on mnie wprost o to nie pyta. To i ja mu wprost nie odpowiadam.

- Nie wiem, czy to tak musi być.

Dopiero niedawno zaczęłam rozumieć, że nie wszystkie pomysły i poglądy mojej mamy są w stu procentach słuszne.

Przechodziłyśmy obok domu pana Rutkowskiego, co mi powiedziała mama, bo ja nie wiedziałam, że facet od wufu mieszka właśnie tutaj. Zmartwiło mnie, że ona wie. Dom był niezbyt duży, ale miły, miał ładny ogród, bo choć kwiaty już dawno przekwitły, to jednak stało w nim dużo chojaków. „Chojaki” były słowem, którego nauczyłam się od Sabriny i które bardzo się przydawało. Z przodu domu była oszklona weranda. Siedziało w niej trzech starszych panów i grało w karty. Starsza pani podawała im napoje. Kiedy nas zobaczyła, wychyliła się z drzwi i pomachała.

- Dzień dobry - powiedziała mama i trąciła mnie, że-bym ja też powiedziała, więc powiedziałam, mimo że nie znałam kobiety.

- Dzień dobry, Haniu - powiedziała pani. - Ale masz piękną córeczkę!

Miła była, choć ja akurat nie zaliczyłabym piękna do moich największych zalet.

- Jak ty masz na imię? - ciągnęła pani, podchodząc do płotu.

- Miśka - powiedziałam.

280

- Miśka?

- Michalina - dopowiedziała mama.

- Takie piękne, stare imię. - Pani się uśmiechnęła, obrywając zeschnięte listki z tego, co porastało płot. - Tu u nas, na wsi, już niemodne są takie imiona. Ale mnie się podo-

bają. Tylko u nas się kiedyś mówiło Michasia, nie Miśka. Popatrz, Haniu, jak temu mojemu mężowi dzisiaj dobrze. - Wskazała dłonią na werandę. - Koledzy przyszli i nawet grają z nim w karty.

- Grają? - zdziwiła się mama.

- No, tak jakby z dziadkiem - uśmiechnęła się pani.

- Znaczą rozdają karty, dają mężowi do trzymania, jakoś tam dają radę. Miło, w każdym razie. Nie ma to jak dobrzy sąsiedzi. Na wsi sąsiad to potęga, wiesz, Haniu? Syn tego pana z lewej przyjaźni się z moim synem. Od urodzenia prawie. Haniu, jak dobrze, że tu u nas zdecydowałaś się wychowywać dzieci. Kocham żyć na wsi! Ja tam nie kochałam, ale pani była bardzo miła, naprawdę. Fajnie byłoby mieć taką babcie.

Pani pobiegła jeszcze na werandę i przyniosła mi kawałek ciasta. Wzięłam grzecznie i podziękowałam. Nie mogła przecież wiedzieć, że Zoriana upiekła nam dwie blachy, z czego tylko połową cieszył się teraz Rumcio. Ale Maks i tak wszystko zje.

Maks jednak leżał w łóżku, ze słuchawkami na uszach, i ponuro gapił się w ścianę. Nawet nie podziękował, że mu przyniosłam na talerzyku ciasto od milej pani. Nawet nie chciało mu się słuchać mojej opowieści. Nawet nie chciało mu się trzymać otwartych oczu.

No to wyszłam.

HANKA

59

Jesień w Polsce jest ohydna, nieważne gdzie się człowiek wtedy znajduje. Ale na wsi bywa nawet ohydniejsza niż w mieście, bo do krótkich dni, łysych drzew, szarego nieba i ogólnej beznadziei dochodzi jeszcze błoto. Chodziłam teraz prawie wyłącznie w kaloszach. Miśka też co dzień łomotała gumiakami, natomiast Maks się nie podporządkował - w jego sztywnym kodeksie gimnazjalisty kalosze nie były cool. Kupiłam mu więc na bazarze w Garwolicach bardzo tanie buty sportowe; takich przynajmniej nie szkoda. Nawet nie było sensu czyścić ich z błota.

Ruta widać stosował się do tego samego kodeksu co Maks, bo szedł obok mnie, ciamkając w błocie podszwami sportowych butów. Pod warstwą pokrywającego je błota ciężko było zauważyć, czy zaopatrywał się u tego samego sprzedawcy.

Nie pytał, dlaczego w taką pogodę wyciągam go na spacer, przeciwnie, wydawał się zadowolony. Opowiadał mi o tym, jakie rodzaje gleby są w Świątkowicach i dlaczego rosną tu głównie sosny i graby. Wychoząc od rozmowy o pięknie pejzażu, sprytnie przesłam

282

do pomysłu sprowadzania tu ukraińskich dzieci. Potem

zręcznie nawiązałam do programu kolonii, czyli gdzie ukraińskie dzieci spały oraz kto i gdzie prowadził z nimi zajęcia.

Zręcznie? Wydawało mi się, bo Ruta nie dał się nabrać. Szybko zrobił się podejrzliwy.

- Wypytyuję, bo mam w planach napisanie tekstu o tych obozach - wyjaśniłam.

- Przecież wszystko ci opowie Karolina. Mnie już dawno nie ma w fundacji.

- Ale to ty zaczęłaś tę akcję, prawda?

- Tak, ale teraz się tym nie chwale. Ci z garbarni wykorzystali mój pomysł, żeby robić sobie dobrą prasę, podczas gdy cały czas po cichu trują okolice.

Na temat trucia lepiej było z nim nie dyskutować.

- No dobra, ale skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł? Z dziećmi i fundacją?

- Tak po prostu - migał się Ruta. Ale w końcu wyjaśnił: - Fabryka zatrudniała te Ukrainki, a ich dzieci z babciami albo z tatusiami siedziały w domach i świata bożego nie widziały. Więc wymyśliłem, że przywozimy tutaj, na czyste Podlasie, dzieci z szeroko pojętych okolic Czarnobyli. Ale dzieciaki miały mieszkać po ludziach, a mieszkwały w szkole. Miały bawić się z tutejszymi dziećmi, a trzymały raczej w swoim gronie - ciągnął Ruta. - Więc idea międzykulturowej integracji trochę nam upadła. A szkoda. - Oczy mu błyszczały i wydawał się naprawdę zainteresowany tematem. - Kiedy zaczynaliśmy, zrobiłem jeden mecz. I to nie nasi kontra Ukraina, tylko drużyny mieszane. Wiesz, jak się zintegrowali?

- Dziewczynki też grały?

283

- No nie. Dziewczynki kibicowały. Razem z naszymi dziewczynkami. Wiesz, jakie były emocje?

Pejzaż był nawet interesujący, ładny depresyjną jesienią urodą. Bolało mnie tylko, że jego piękno co i raz było gwałcone, a to przez plastikową torebkę zaplątaną w gałęzie, a to przez butlę po napoju poniewierającą się wśród igliwia.

- Patrz! Ale nie pod nogi, patrz do góry! - polecił Ruta i machnął ręką nad łąką, jakby pokazywał mi sklepienie katedry. A tu - faktycznie - kopuła szarego nieba okazała się po stokroć większa niż w mieście; ograniczał ją tylko horyzont. Łagodne chmury, płynące w tempie niemal niedostrzegalnym, pozwalały myśleć o rzeczach tak spokojnych jak bicie serca. Było w tym tyle harmonii, że nagle pomyślałam, iż znalazłam się wreszcie na swoim miejscu. A raczej - że moje miejsce jest wszędzie pod tą kopułą, niezależnie od tego, ile błędów zdarzyło mi się popełnić.

Kalosze wessały mi się w błocko, więc utknęłam na chwilę. Ruta zawrócił po mnie, zapadając się niemal po kostki. Ciepła sucha dłoń, ratunek. Wyszłam na kępę trawy. Nie chciał puścić mojej ręki. Staliśmy obok siebie, stykając się również ramionami. Zdawało mi się, że przez nasze obie kurtki czuję ciepło jego ciała.

- Czujesz to? - spytał cicho. Spłoszyłam się trochę.

- Co, Ruta?

- Hanka, odwróć się w tę stronę. Czujesz?

Odwrócił mnie i ustawił we właściwym kierunku.

Stał za mną, trzymał mi ręce na barkach. Dwie ciepłe, miłe dłonie.

- Czujesz? - zapytał znowu.

284

Fakt, coś czułam. Śmierdziało butwiejącymi liśćmi, padliną, nawet bardzo, i szambem. Chyba szambem.

- Dziś nie wieje, to tak nie czuć. Myślałam, że będzie wiało. To tamten ugór. Zagrodzili go, masz pojęcie?

Machnął ręką w kierunku betonowego płotu, który otaczał wcale niemały teren.

-Kto?

- No jak to kto? Garbarnia przecież.

- To ich?

- Oj, Haniu, Haniu, a czyje?

Wywinęłam się spod jego ramion, podeszłam do betonowego ogrodzenia, wciągnęłam powietrze. Słusznie, to nie była czysta podlaska aura. Ani czysta podlaska woda, przynajmniej nieopodał betonika, w małym stawie, który ledwie było widać spod kozucha rzęsy. Fragmenty wody błyszczały tęczowo. W samym środku coś pływało. Nie, źle, nic nie pływało. Coś unosiło się na wodzie. Coś bardzo, ale to bardzo martwego.

- To szczur piżmowy. Strasznie się rozmnożyły - wyjaśnił Ruta. - Na szczęście czasem również zdychają

- powiedział z satysfakcją. - A ten na przykład zdechł od ścieków z garbarni.

-I śmierdzi.

- Haniu, tutaj nie tylko szczur śmierdzi. Rozczarowujesz mnie. Zamykasz oczy na fakty.

- Ruta, bo ty ciągle swoje. Myślałam, że się po prostu przejdziemy, a ty mnie prowadzasz na śmierdzące łąki.

- A ty mnie przesłuchujesz. Odkąd wyszliśmy ze wsi.

- Tak to odbierasz?

- Tak to brzmi. Jakbym coś złego zrobił. O co ci chodzi?

285

- Już powiedziałam. O informację. Do tekstu.

- Nie chcę być cytowany w tekście o tym, jakie fajne

akcje robi garbarnia. Nie chce mi się w ogóle o tym gadać.

I nie musisz do mnie mówić oskarżycielskim tonem.

- Ale kiedy dzieci przyjechały po raz pierwszy, trzy lata temu, to ty się nimi zajmowałaś?

Wziął jakiś patyk, pogrzebał w błocie tuż przy betonowym ogrodzeniu, powąchał. Pokręcił głową, posmutniał.

- Chodź, Haniu, bo zaczyna padać.

I ruszył pierwszy w tych swoich zabłoconych buciorach.

60

Łukasz siedział na krześle w gabinecie Eli Uchańskiej. Zapach dymu papierosowego był ledwo uchwytny, najwyraźniej wywietrzyła, zanim postanowiła sprowadzić tu ucznia. Siedział i milczał, gapił się w ścianę. Nie wyglądał na załamane biedaka, raczej na hardego bojownika o wolność metodą biernego oporu. Ghandi ze Świątkowic, cholera. Tylko jedna z nas dwóch domyślała się, co go mogło wyłączyć ze zwykłego życia: szok, że jego ojciec krzywdzi dzieci albo bierze pośredni udział w tym procederze, bo na filmie chyba go nie było.

Ciekawe, czy Łukasz grał w tym meczu z Ukraincami, o którym opowiadał Ruta? Czy kibicowały mu te same dziewczynki, które pojawiły się na filmie? Ciekawe też, czym je oszołomili, żeby się nie wygadały, na czym polegały zajęcia pozasportowe? Bo przecież żadna z nich się nie wygadała. Maja też nie powiedziała ani słowa. Tak, Maja! Bo na jednym z tych filmów Zoriana, ku swej

286
zgrozie, wypatrzyła chudziutką siostrzenicę otumanioną jakimś świństwem i gwałconą przez dorosłego faceta. I wtedy zrozumiała. Pamiętała, że Maja wróciła z kolonii na gościnnym Podlasiu bladawa i niezbyt wypoczęta, ale wiadomo - dzieciaki na koloniach mają lepsze rozrywki niż spanie. A że bolała cipka? Każdego czasem boli, jak myślała początkowo Olena, mama Mai, kiedy spędzała z nią w domu swoje krótkie wakacje. Wstydziła się iść z taką małą dziewczynką do ginekologa. Ale Majkę swędziało i swędziało, nie spała w nocy, płakała, drapała się, aż wydrapała sobie tam ranę.

To Zoriana doradziła, żeby wziąć ją jednak do lekarza, bo jeszcze przyplącze się coś gorszego. Do ginekologa pojechały we trzy. A ten stwierdził, że dziecko prawdopodobnie współżyło seksualnie. I zaczął wypytywać Olenę o ojca i wujków, którzy mogli się małą interesować w ten sposób. Olena była przerażona, ale wiedziała jedno: mężczyzn w tej rodzinie od dawna nie było. Pojawiali się na chwilę i znikali, zostawiwszy ślady w postaci dzieci. Rodzinę tworzyły same kobiety: babcia oraz Olena i jej córka, Maja, Anna i jej córki, Zoriana, jeszcze

bezdzielne. Same kobiety, same dzieci i kolonie w Polsce. Olena, kiedy wróciła do Polski po urlopie, postanowiła sprawdzić, kto mógł skrzywdzić jej dziecko.

Ile z tego wszystkiego wiedział i widział Łukasz?

Co spowodowało, że zamilkł? Czy dlatego zniknął jego ojciec? Co z tym wspólnego miała jego matka? Co mogłoby spowodować, żeby chłopak wreszcie otworzył usta?

Na pewno nie gromka przemowa dyrektorki szkoły- Łukasz właśnie siedział i poprawiał serwetę na stole Elki Lichańskiej. Frędzelek po frędzelku, raz, dwa, 287

trzy, cztery, pięć razy. I kolejny frędzelek. I kolejny. Nie mogłam na to patrzeć, chciałam go chwycić za ramiona, potrząsnąć nim i wrzasnąć, żeby się obudził i wywalił z siebie cały ten gnój, jakim nasiąknął. Ale siedziałam, trzymając się poręczy krzesła, żeby nie ulec impulsowi.

Ela natomiast wspinała się na wyżyny pedagogiki:

- Chłopie, przecież nie jesteś głupi. Tyle lat się znamy.

Łukasz, powiedz coś wreszcie. Przecież słyszysz, co mówię. Słyszysz, prawda?

Ale Łukasz zajmował się kolejnym frędzelkiem.

- Jak sobie chcesz - powiedziała Ela, tym razem nie tonem perswazyjnym, tylko zdecydowanie złowrogim.

- Jak sobie chcesz, Maliwa. Jak chcesz, to zostaniesz na drugi rok. Ja za ciebie nie zaliczę tych przedmiotów.

Ale twoja matka będzie się martwić.

I znowu serweta.

- Pamiętam z zeszłego roku, że umiesz mówić. - Znowu perswazja, ostatni przyływ łagodności przed sztormem, na który już poważnie się zanosilo.

Frędzelek. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

- Idź już wreszcie - powiedziała.

Wstał, wziął plecak i wyszedł.

- A „do widzenia”? - krzyknęła i jednym ruchem zerwała serwetę ze stołu.

61

Nie mogłam tego tak zostawić, musiałam chronić dom swój i dzieci. Miasto skłoniło mojego męża do lotu z okna w dół, zabrało moim dzieciom ojca, a w zamian mnie podarowało depresję. Wieś natomiast miała być pełna pogodnych myśli i nadziei dzieciństwa, mojego, 288

Maksa i Miśki. Tu miał być azyl, gdzie otacza nas przyroda i dobrzy ludzie, a omija wszelkie zło. Tu miał być raj. Tymczasem trafiliśmy do przedsionka piekła, gdzie co krok znajdowano martwe Ukrainki, gdzie gwałcono ukraińskie dzieci, gdzie znikali rodzice moich uczniów, a oni sami wpadali w stupor. Nie mogłam tego tak zostawić. Jeśli tutaj nie ma raju, to ja go przywrócę. Nie dam

się wszechogarniającej czerni, która próbowała zagarnąć Świątkowice. Nie oddam ani swojej rodziny, ani tego miejsca, tym ohydny wampirzym pazurom.

Weszłam na posterunek, zapukałam do drzwi starszego posterunkowego Karaczka i zanim się zorientowałam, Karak już mnie cmokał w dłoń mokrymi wargami. Nie byłam pewna, czy moja ręka nie pachnie kiełbasą od Rumcia, którą dzisiaj jadłam w szkole na drugie śniadanie. Ale sam chciał.

- Towarzystwo czy służbowo? - pierwsze pytanie po cmoknięciu. Wiedziałam, że w zależności od odpowiedzi wybierze spośród dwóch min, dwóch sposobów rozmawiania, dwóch sposobów siedzenia na krześle i zajmowania przestrzeni na obskurnym posterunku policji w Garwolicach. Przeciagałam chwilę, kiedy się zdeklaruję, bo trochę mnie bawiła schizofrenia Karaka, który to prostował się na swoim brązowym skórzanym siedzisku, zaciskając służbowo usta, to rozluźniał się i garbił, zakładając stopę na udo i pozwalając czerwonemu językowi eksplorować wydatne wargi.

- Jeszcze nie wiem. Zależy - zawahałam się, bo wbrew mojej woli zabrzmiało to jak flirt. Ale było już za późno, bo Karak poczuł się jak w domu. Wiedział, że może wysunąć czerwony język, oblizać wargi i stwierdzić, że on właściwie skończył pracę na dziś.

289

-To znaczy, że mam przyjść jutro? - zdenerwowałam się.

- Nie, Hanka, od szesnastej do osiemnastej pan posterunkowy przyjmuje na wysuniętej placówce. - Chyba jednak wołałam, kiedy flirtował, niż kiedy starał się być dowcipny. - Stawiam wtedy pięknym nauczycielkom koktajle w pubie. Jak się nazywał ten koktajl, który tak na ciebie dobrze podziałał?

- Herbata - odpowiedziałam. - Herbata, Karak.

- Dlaczego nigdy nie mówisz do mnie „Sławku”?

- Rozpiął dwa guziki munduru. Potem jeszcze jeden.

Nie wierzyłam własnym oczom, ale tak! Z gęstej czarnej sierści na jego piersi wychynął cieniutki złoty krzyżyk.

Karak wziął go do ręki, okręcił łańcuszek na palcu, wypuścił, znowu okręcił i spojrzał mi w oczy. Wyglądał jak nastolatka bawiąca się zalotnie kosmykiem włosów.

Nie, chyba jednak wołałam, kiedy był dowcipny.

- Przebiorę się i chodźmy do pubu - zdecydował.

- Tam postanowisz, czy chcesz mnie służbowo, czy prywatnie.

Drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie zmieniał mundur na bluzę, zostawił uchylone.

- Karak, interesowałaś się kiedyś działalnością fundacji przy garbarni? - zagałam.

- Co mówisz? - spytał i wyrzał z pokoiku. Był nagi do pasa. Jego muskulatura imponowała, nawet jeśli u dołu wieńczył ją nieco zbyt okrągły brzuch. Czarna sierść kończyła się tuż pod sutkami, potem miał tylko wąski paseczek włosów, niknący gdzieś pod klamrą paska od spodni. Jeśli nawet kiedyś podejrzewałam, że to on może być mężczyzną z pedofilskiego filmu, to jego niezbyt imponujące owłosienie stanowiło dowód, że się myliłam.

290

Wcale nie patrzyłam długo na klamrę jego paska, ale zdążył mnie na tym przyłapać. Bałam się, że ponownie się obliże, ale tylko przesunął po mnie wzrokiem, najdłużej zatrzymując go na piersiach, i zagryzł wargi.

- Podoba mi się, że się nie malujesz, wiesz, Haniu?

- Poglądził się po krzyżyku i wrócił po bluzę.

Nie chciałam iść z nim pod rękę główną ulicą Świątkowic, więc wędrowaliśmy obok siebie. Sięgałam mu do połowy ramienia, bo Karak to naprawdę potężne chłopisko. Potężne i powszechnie znane, bo co chwila mówił lub odpowiadał „dzień dobry”, a każdy z mijających mierzył mnie spojrzeniem.

Do furtki w domu Ruty dzwoniło właśnie dwóch siwawych mężczyzn, którzy tak wzruszająco zajmowali się sparaliżowanym starszym panem Rutkowskim.

Siwi panowie spojrzeli w naszym kierunku i skłonili głowy. Otworzyli furtkę i weszli.

- Codziennie tak do niego chodzą, wiesz? - wyjaśnił Karak. - Mówią o nich „trzej muszkietierowie”. Wiesz, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Głos mu zadrżał, wyraźnie się wzruszył. Chwilami rozumiałam, co Ruta w nim widzi.

Przed pubem stał Rumcio z jakimiś kumplami. Wyglądali jak polanka prawdziwków, każdy w półokrągłej czapeczce z daszkiem. Wszyscy doili piwo z puszki. Któryś stuknął Rumcia w bok, wskazał na mnie i Karaka. Rumcio spojrzął na nas, po czym zbladł, a następnie poczerwieniał. Pomachałam do niego. Nie odpowiedział, odwrócił się z urażoną miną.

Karak od razu wybrał stolik na samym środku.

Zamierzał zatem raczej chwalić się tym spotkaniem przed kumplami, niż mnie molestować. Pierwszy sukces odniósł

291

od razu, bo Rumcio, który wszedł zaraz za nami, spojrzął na mnie poważnie, skinął głową i cisnął z hukiem puszką po piwie do śmietnika. Nie trafił, puszka rąbnęła w ścianę i odbiła się rykoszetem. Machnął ręką, nie byłam pewna - na mnie czy na puszkę - i wyszedł, nie patrząc na nas więcej.

- Złamałaś mu serce, Haniu, wiesz o tym? - uśmiechnął się Karak. - A on już się z kumplami zastanawiał,

w którym pokoju w jego domu będą spać twoje dzieci. Po ślubie, rozumiesz? Daleko od sypialni, mówił, żeby miały swobodę.

Zrobiło mi się strasznie przykro. Biedny, biedny Rumcio.

- Dziki seks z Rumciem - odezwał się Karak. - Aż strach pomyśleć, co?

- Karak, ja naprawdę mam ważną sprawę.

- To nie lepiej było się spotkać u ciebie w domu? Albo w plenerze? Słyszałem, że z Rutą ostatnio na spacerki chodziłaś?

- Karak, wyobraźmy sobie oboje, że grę wstępną mamy za sobą i przejdźmy do poważnej rozmowy.

- Grę wstępną...

Spojrzałam na niego ponuro.

Przepędził frywolny uśmiech z błyszczących ust, podparł brodę. Wsłuchał się. To też było rodzajem gry, wiedziałam. Ale wołałam ten wariant.

- Na posterunku pytałaś, czy się interesowałem fundacją.

-Jednak usłyszałaś?

Uśmiechnął się.

- Dlaczego miałem się interesować? Wypatrzyłaś tam coś szczególnego? Czy przejęłaś się rewelacjami Ruty?

292

- Nie wierzysz w to zatrucie środowiska?

- Możesz się tym przestać zajmować. Garbarnia ma zbyt wiele do stracenia, żeby robić takie rzeczy. Wpatrywał się w moją twarz ciemnymi, poważnymi oczami.

- Karak, opowiedz mi o pracy Ruty w fundacji.

- Spotykasz się ze mną, żeby gadać o Rucie?

- Karak, prosiłam cię.

- No dobrze, zaliczę ci to jako próbę flirtu. A jak wyglądasz umalowana?

Miałam go dosyć. Wyczuł to.

- Okej, okej. Ruta wrócił ze studiów w Warszawie i nie za bardzo wiedział, co ma robić. Tu nie ma roboty, sama wiesz. Poszedł do Pawła Maliwy z pomysłem na fundację, ale Maliwa go wyśmiał i spuścił na drzewo. Potem jednak się namyślił i poprosił Rutę, żeby zajął się tą akcją z ukraińskimi koloniami. Ruta bardzo się zaangażował, za bardzo nawet, bo w ogóle przestał mieć czas. Siedział z tymi Ukrainkami, ustalał, które dzieci i dlaczego mają przyjechać. Bo to miały być i dzieci Ukrainek, i dzieci z domów dziecka na Ukrainie. No i chciał, żeby wszyscy dla fundacji pracowali za darmo. Ja lubię Rutę, ale bez przesady, fabryka powinna dać na to pieniądze. Na biednych nie trafiło.

- A kto dla nich pracował? Na tych koloniach?

-No, kogo udało się złowić... Naprawdę. Nikt nie chciał za darmo.

- To kogo udało się złowić?

- Większość rzeczy Ruta robił sam. Później ściągnął sWoją dziewczynę.

Zaskoczył mnie.

- Karolina jest jego dziewczyną?

293

- Była. Bo Karolina spodobała się też panu dyrektorowi.

- Ruta nic mi o tym nie mówił.

- A który facet by się chwalił, że laska go puściła w trąbę ze starym dziadem? No to postanowił znaleźć na starego haka i zaczęło mu się wydawać, że odkrył przekręt z tą oczyszczalnią... I wtedy go stary wyrzucił z roboty.

- Za to, że odkrył przekręt?

- Za to, że zaczął rozpowszechniać plotki. A tak naprawdę to pewnie chciał mieć Karolinę tylko dla siebie. Żeby się nie widywała z Rutą codziennie w fundacji. Dla Ruty też było to lepsze rozwiązanie. Później to zrozumiał, ale dyrektorowi darować nie chciał.

- Kiedy to było?

- A ze dwa lata temu. Po pierwszych koloniach.

- Już od dwóch lat Ruta tak gnębi garbarnię?

- Stara się. Ale mu nie wychodzi. Prasa najpierw się przejęła, „Głos Garwolic” coś napisał, ale odszczekali. Nie chcieli procesu.

- A Rucie nikt go nie wytoczył?

- Może Karolina łagodzi sprawę? Kobiety umieją uspokajać swoich mężczyzn.

- Tylko że Maliwy już tam nie ma.

- Ano nie ma. Moim zdaniem, Ruta powinien się pilnować, bo ten zastępca jest na niego cięty. Tak mówi Karolina. Ale Rucie nie wytłumaczysz. On ma manię. Szajba Ruty mnie nie interesowała.

- Karak, a wracając do kolonii... Gdzie spały te dzieciaki z Ukrainy?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Hanka, a do czego ma prowadzić ta rozmowa?

294

- Czy to jakieś szczególnie trudne pytanie?

- Haniu, co ja mam z tym wspólnego? - Pochylił się nad stołem i spytał cicho: - No, powiedz wreszcie, o co ci chodzi. Namierzyłaś tam jakiś przekręt?

Milczałam.

- Rutę też podejrzewasz? Kogoś jeszcze? - dodał Karak, nie podnosząc głosu. - Chyba nie potrzebujesz tego do gazety?

Patrzyłam w stolik. Herbata zostawiła brunatną ob-

wódkę na filiżance. Jak to wypiję, moje zęby również będą brunatne. Wzdrygnęłam się.

- Haniu, ja ci radzę, tak po koleżeńsku: nie pisz do żadnej gazety o nikim stąd. - Zbliżył twarz do mojej twarzy, wskutek czego poczułam, że przed piwem pił kawę rozpuszczalną. - Nie pisz, jeśli chcesz tu zostać. Oni ci nigdy nie darują. Zostaw fundację, zostaw rycie w przekrętach. To nie ma sensu.

Grozi mi? Nie byłam pewna. Może tylko dobrze radzi?

-A jeśli chodzi o Rutę... - ciągnął, równie cicho

jak przed chwilą - ...jeśli chodzi o Rutę: ja go znam.

Od urodzenia. I wiem jedno: nie powinnaś go podejrzewać, naprawdę. Może upierdliwy i maniak, ale jest w porządku. On ma świra na punkcie uczciwości.

Karak pokręcił głową i spojrzał na mnie z troską.

- Haniu, ale nie myśl, że ja tego nie rozumiem. Masz tyle siły i energii... Tylko trochę źle ją ukierunkowałeś.

- Co masz na myśli? - zeszywniałam.

- Że bez sensu zajmujesz się głupotami. Taka fajna z ciebie dziewczyna. Ładna i w ogóle, wszystko na swoim miejscu. Tyle że sama.

- Nie jestem sama. W domu czekają na mnie dwie osoby.

295

- Dzieci się nie liczą. Ja ci mówię: to niezdrowe, żeby kobieta była sama. Haniu, naprawdę, powinnaś się zająć swoim życiem osobistym. Zrób coś z tym, to nie będziesz szukała dziury w całym. I nie chodzi mi o to, żebyś od razu brała ślub z Rumciem.

Wyprostował się, jakby padło na niego światło reflektorów.

- Karak, wyjaśnijmy sobie raz na zawsze. Seks mnie w ogóle nie interesuje, nie sprawia mi przyjemności i nie jest mi do niczego potrzebny. - Zwłaszcza odkąd obejrzałam film od Maliwów, ale tego już nie powiedziałam.

- Jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślę. Jest ostatni w mojej hierarchii potrzeb. Jest tak daleko ode mnie, że go nawet nie zauważam.

- Akurat - powiedział Karak.

- Słucham?

- Akurat. Pamiętam cię tutaj, na tej ławce - wskazał palcem. - I wiem, że alkohol pomaga ci się rozluźnić.

- Tracił mnie pod stołem w udo. Chyba kolaniem, choć nie byłam pewna. Cofnęłam nogę. - Hanka, daj sobie trochę luzu. Zamówię ci piwo.

Naprawdę nie mieliśmy już o czym gadać.

62

Karolina była naprawdę atrakcyjną dziewczyną.

Atrakcyjną i zaskoczoną moim widokiem.

- W dalszym ciągu zbiera pani materiał do artykułu?

-No, tak jakoś...

- W takim razie zanosi się na długi tekst. - Uśmiechnęła się, ale nieszczerze. - Czekam na pytania.

No dobrze.

296

- Czy na prowadzonych przez panią obozach dziewczynki do pedofilskich filmów były wybierane, czy trafiały na plan przypadkowo? A jeśli wybierane, to według jakich kryteriów? Czy pigułki gwałtu podawano wybranym na kolację? A może wmawiano im, że to witaminy? Gdzie filmowaliście te sceny? Czy dziewczynki następnego dnia po zdjęciach były zwalniane z zajęć? Co robiliście z nimi, gdy któraś źle się poczuła? Pomagał wam jakiś lekarz? Czy jeszcze któraś, poza Mają, cierpiała na dolegliwości ginekologiczne? Ile kasy braliście za stałe dostawy świeżego ukraińskiego mięsa z szeroko pojętych okolic Czarnobyli? Co robiliście z tymi pieniędzmi? A fabryka? I czy dyrektor Paweł Maliwa miał o tym jakieś pojęcie? A może zniknął, kiedy już je uzyskał? Ile braliście za te filmy? I kto zabił matkę i ciotkę jednej z dziewczynek? Dlaczego? Zbyt dużo wiedziały o procederze?

Takie właśnie pytania powinnam była zadać Karolinie Kozłowskiej, która prezesowała fundacji „Darować dzieciństwo na Podlasiu”.

Powinnam była, bałam się jednak, że zadawanie niektórych pytań może mnie doprowadzić do nagłej śmierci. Albo do nieoczekiwanego zniknięcia, jak w przypadku Pawła Maliwy. Kluczyłam więc i kluczyłam, wymachując wizytówką „Przyjaciółki” jak płachtą maskującą, ale po raz kolejny przekonałam się, że maskowanie nie wychodzi mi nic a nic. Karolina odpowiadała jakieś bzdury, plątała się, aż w końcu zrozumiałam, o co chodzi. Ona się mnie po prostu bała. To nie miało sensu. Postanowiłam zatem przypuścić atak wprost.

- Pani Karolino, a kiedy będzie można się spotkać z panem dyrektorem Pawłem Maliwą? Nadal jest na urlopie? Czy coś pani wiadomo o tym, gdzie on jest?

297

Dwa błękitne rentgeny, wpatrzone we mnie badawczo, pokryła mgła. Za chwilę opadły na nie powieki. Karolina zaczęła mrugać, ale niewiele wskórała, bo oto nagle wypłynęły jej z oczu dwa równoległe strumienie łez. Odwróciła się do okna i udawała, że nie płacze, ale rozszłochała się na dobre, więc złapała się za usta i wybiegła z gabinetu.

W tym jednym Karak najwyraźniej miał rację. Chyba go jednak kochała, tego swojego dyrektora, Pawła Maliwę.

Pani detektyw z amerykańskiego kryminału dopadłaby teraz komputera na biurku Karoliny i szybko by zgra-

ła na pendrive'a zawartość całego twardego dysku, wraz ze wszystkimi tajemnicami firmy.

Ja, oglądając się tchórzliwie na drzwi, zaszłam komputer od przodu i zobaczyłam tylko wygaszany ekran.

Na monitorze pojawiała się i niknęła twarz wampira z czerwonymi oczami. Płynęły z nich krwawe łzy. Delikatnie dotknęłam spacji. Wampir wycofał się momentalnie. Zastąpił go napis: „Podaj hasło”.

To nie mogło być nic tak prostego jak „Paweł”. Tego byłam pewna.

Ale było.

Gorączkowe przeglądanie dokumentów na pulpicie i w teczce „Moje dokumenty” poskutkowało tym, że dostałam się do rozliczeń za obozy. No i nareszcie dowiedziałam się, kto pracował z dziećmiakami.

B. Rutkowski, zajęcia sportowe. Jeszcze rok temu.

S. Karaczek, zajęcia sportowe, podchody. A jednak!

Karak, nie wywiniesz się.

K. Kozłowska. Oczywiście, a jakże, ogólna organizacja, zaopatrzenie.

298

K. Kotelska, zajęcia muzyczne. Kto to, na Boga?

J. Barneck, kierowca. Wyjazdy do miasta. Wynajem autokaru. Opłaty za nocleg w szkole. Ubezpieczenie. Niewiele tego było.

Podniosłam wzrok. W progu stała Karolina Kozłowska. Z oczami jak rentgeny nad jeszcze z lekka czerwonym noskiem wyglądała uroczo. I oskarżycielsko.

Szybko wstałam. Było mi strasznie głupio.

- Ależ nie - odezwała się - niech pani przejrzy wszystko. Ja nie mam nic do ukrycia. Jesteśmy fundacją, dokumenty są do wglądu.

Ależ się wstydziłam!

- Przepraszam, że panią zostawiłam samą, miałam nagły atak alergii.

Weszła i zamknęła drzwi. Na rzęsach szklity się jeszcze resztki łez.

- Pani coś podejrzewa, prawda? -I strzeliła we mnie rentgenem swoich oczu. - Mnie też pani podejrzewa? Spojrzałam na nią uważnie. I „tak”, i „nie” były złymi odpowiedziami.

- Nagrywa mnie pani?

Pokręciłam głową.

- Mam pani wierzyć? Ja już nikomu nie wierzę. A pani jest obca.

Trudno było zaprzeczyć.

- Obszukanie pani i tak nie przyniesie efektu, bo i tak nie wiem, jak powinno wyglądać to coś, czego miałabym szukać - zamilkła na chwilę. - Ale ja nie jestem groźna, zapewniam panią.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę. Te oczy, byłam przekonana, widziały wszystko, każdą moją najmniejszą plombę. Każdy najmniejszy grzech.

299

- Paweł Maliwa też mnie podejrzewał na początku.

- Otarła oczy. - Ale potem... On wiedział, że nie mam z tym nic wspólnego.

- Z czym? - dociekałam, choć przecież wiedziałam, o co chodzi.

- On nie zniknął przede mną - ciągnęła, jakby mnie nie słyszała. - On zniknął przez nich.

- Przez kogo? - odważyłam się spytać.

Oni, oni. Słowo święące triumfy w Świątkowicach.

To „oni” byli źli.

- Już się prawie dowiedział, o kogo chodzi. Ale w pewnym momencie przestał mi mówić cokolwiek.

Ufał mi, ale chciał mnie chronić. I właśnie dlatego jeździł z tą Ukrainką. Wszyscy mówili, że z nią spał. Słyszała pani o tym?

- Z Oleną?

- Więc słyszała pani. A ja wiem, że to nieprawda. On z nią jeździł, bo była matką jednej z tych dziewczynek. Ale przecież nie powiem tego nikomu, więc wszyscy myślą, że mnie po prostu zdradzał. Patrzą na mnie z takim współczuciem.

Dziewczyno, Paweł Maliwa najpierw zdradził osobę, której ślubował. To na nią patrzono ze współczuciem, to o niej szeptano po kątach, że nie umiała utrzymać męża przy sobie. To ona zbliżała się do czterdziestki, przekonana, że postawiła w życiu na niewłaściwego konia.

- Udawał, że mnie rzucił, żeby mnie uratować. I proszę - faktycznie nic mi się nie stało.

I znowu zaczęła płakać, tym razem już nie udając alergii. Rozpaczliwie przez to, że tak bezgłośnie, bez jednego szłochu, po prostu wielkie błękitne oczy wypełniały

300
się co chwila łzami, które wypływały zgodnie z prawem ciężenia.

- Żadne dziecko nie skarżyło się na naszą opiekę

- zapewniała mnie przez łzy. - Jak tylko Paweł powiedział mi o tych filmach, zaraz - na tym ostatnim obozie - wzmogliśmy środki ostrożności. Ale przy tej akcji zawsze współpracowały tylko zaufane osoby, naprawdę. Ja po prostu nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. Sami swoi. Wszyscy stąd.

Wytarła donośnie nos, otarła oczy.

- W każdym razie dzieci zostały objęte naszą szczególną troską i wyjechały stąd zadowolone - wygłosiła tonem oświadczenia do prasy. Fakt, gdybym nagrywała,

nie mogłabym jej nic a nic zarzucić.

Nie słyszałyśmy pukania, może go nawet nie było.

Ktoś głośno nacisnął na klamkę i do pokoju zajrzał pan wicedyrektor, miłośnik ciasteczek z marmoladą. Obrzucił spojrzeniem nasze twarze, cofnął się, następnie dał krok do przodu i powiedział:

- Dzień dobry, pani redaktor. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

- Pani chciała zadać jeszcze parę pytań - szybko wytłumaczyła Karolina.

- Co się pani stało, pani Karolino? - zatroskał się wicedyrektor.

- To nic, drobiazg - plątała się. - Alergia.

- Na prasę? - popisał się dowcipem pan wice. Jak on ma na nazwisko? - Lepiej nie, bo jeszcze nas pani redaktor obsmaruje. Dużo jeszcze ma pani tych pytań?

Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

- Już prawie miałam wychodzić.

- To zupełnie jak ja. Podrzucić panią do Świątkowic?

301

Czy ja mu mówiłam, gdzie mieszkam?

- Nie, dziękuję, przyjechałam samochodem.

- A kiedy dostanę artykuł do autoryzacji?

- Jak go napiszę, a redakcja zaakceptuje. Wie pan, jak to jest w gazetach. Jestem tylko szeregową pracownicą. Właściwie współpracownicą. - Uśmiechnęłam się zalotnie.

- Mam nadzieję, że dobrze pani o nas napisze?

Niby grzecznościowe pytanie, ale nagle wydało mi się, że zabrzmiała w nim groźba.

Uśmiechnęłam się po raz kolejny, wstałam, podeszłam i podałam mu rękę.

- Nie przewiduję innej opcji - skłamałam bezczelnie.

Jeszcze raz obrzucił podejrzliwym spojrzeniem Karolinę, która zasłaniała oczy chustką, po czym wycofał się na korytarz.

- Cholera, cholera, cholera, i tak mnie nigdy poważnie nie traktował! - Karolina wycierała nos i pudrowała twarz. - A teraz to już w ogóle.

Wycofałam samochód z parkingu i ruszyłam w drogę powrotną do Świątkowic. Po chwili ruszył za mną czarny peugeot. Siedział mi na ogonie przez dobrą chwilę; szyby miał przyciemniane. Powiało grozą. Okienko po stronie kierowcy opuściło się, wychylił się z niego wicedyrektor od ciasteczek, pomachał mi z uśmiechem godnym wampira z komputera Karoliny, po czym odłączył się i skręcił w kierunku zjazdu na Garwolicę.

63

Rada pedagogiczna pokazała, że jesteśmy w impasie.

Co prawda nieoczekiwanie okazało się, że poza mną i katechetką papierosów nie palą jeszcze dwie osoby, ale

równie szybko wyszło na jaw, że nikt nie ma pomysłu, co zrobić z Łukaszem.

Skoro nie może, czy nie chce mówić, niech pisze, ustaliłyśmy w końcu. Jeśli da radę. Jest w trudnej sytuacji rodzinnej, to okoliczność łagodząca. Czy zawiadamiać opiekę społeczną o jego trudnej sytuacji?

- Brat, jak się uprze, załatwi sobie opiekę prawną nad młodym - powiedziała Ela Lichańska. - Jest pełnoletni. Zresztą co, nie jesteśmy w stanie zająć się dzieciakiem? Wszyscy znamy Ewę Maliwę. Damy radę bez angażowania instytucji.

- Ale ja tak myślałam, że może by jednak jakiś psycholog? - odezwała się katechetka i zaczerwieniła się, kiedy wszystkie baby na nią spojrzały.

Matematyka i biolożka szepnęły coś sobie na ucho i zachichotały. Katechetka splonęła się jeszcze bardziej.

- No bo może by go zbadał jakiś lekarz i powiedział, czy się tym martwić, czy też dzieciak z tego wyrośnie - tłumaczyła się mało składnie zakonnica.

- Ja to siostrze szczerze powiem, że niezbyt wierzę w psychologów - wypowiedziała się Ela Lichańska.

- To akurat nie jest kwestia wiary - powiedziała zakonnica, która chyba jeszcze długo miała zamiar pozostać czerwona. - Ja jestem przekonana, że to dziecko ma jakiś problem, a my nie umiemy do niego dotrzeć.

Pochyliła się nad stołem, wypuszczając z ręki zawieszony u pasa krzyż, który ścisnęła do tej pory niemal kurczowo. Różaniec zagrzechotał o brzeg krzesła.

- Łukasz Maliwa już zdecydowanie nie jest dzieckiem - zaproponowała matematyka. - I nie ma co się z nim pieścić.

Biolożka znowu zachichotała. Matematyka zgromiła ją spojrzeniem, ale po chwili zrozumiała i zachichotała również.

- To z całą pewnością nie jest kwestia wiary - poparłam katechetkę. - Faktycznie, sytuacja chyba już dojrzała do interwencji psychologa.

- Nie jestem pewna, czy fundusze nam na to pozwolą - zasnurowała usta Ela Lichańska. - Ja raczej miałam pomysł, żeby go wysłać do poradni wychowawczo-zawodowej. W województwie.

- Może by mi się udało kogoś znaleźć... Tak nieoficjalnie - zadeklarowałam. Znałam parę psychologek, które wypowiadały się w moich tekstach do „Przyjaciółki”. - Jeśli pani psycholog uzna za stosowne wysłanie Łukasza do poradni, zrobimy to. To mądra kobieta. Parę razy bardzo mi pomogła. - W pisaniu artykułu, ale tego

już nie dodawałam.

Dwie panie znowu sobie coś szepnęły na uszko i zachichotały. Katechetka spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Naprawdę pomogła? - zdziwiła się Ela. - A kiedy?

I wtedy dowiedziałam się czegoś, co powinnam wiedzieć już dawno. Dlaczego żadna z obecnych wcześniej mi tego nie powiedziała? No i dlaczego nie powiedział mi o tym mój syn?

64

Mój syn siedział i tępo gapił się w ścianę. Żeby dotrzeć do jego biurka, musiałam przeskoczyć przez papiery, gazety, urządzenia elektroniczne i, przede wszystkim, przez brudne koszulki i skarpety. Wkurzyło mnie

304

to jeszcze bardziej niż jego głupia mina, ale na razie nie odzywałam się na ten temat. Miałam inny problem.

Maks jednak nie reagował, gdy wymachiwałam mu przed twarzą papierem z jego stopniami (ciekawe, co na temat tej metody wychowawczej powiedziałyby znajome panie psycholożki?).

- Pała, pała, pała, dwója, pała, pała. Maks, co ci się stało?

Milczał.

- Przecież miałeś lepsze stopnie. W Świątkowicach też. Czy ty się w ogóle nie uczysz? Co się dzieje?

Nic, zero reakcji.

-Jesteś w takim szoku po tej historii na cmentarzu?

Nic. Mam w domu drugiego Łukasza Maliwę. Wirus jakiś?

- Maks, odezwij się.

- Tak, mamusiu. - Głos grzecznego chłopięcia, anielskie spojrzenie.

- To stąd te pałki? I dwóje?

- Ale ja się uczę. - Trzepot rzęs.

- To dlaczego masz pały?

Milczenie.

- Maks, źle zaczynasz naukę w nowej szkole.

Milczenie.

Mogło mieć to związek z wyjazdem Zoriany, ale nie umiałam wypytywać mojego syna o takie intymności. Siedział ze spuszczoną głową i milczał, tyle że nie układał frędzli. Miałam dość milczących wyrostków, dość widoku ich pryszczy, które wychodziły spod kołnierza, gdy tak uparcie spuszczaali głowę, miałam dość zaciętych min pod przetłuszczonymi grzywkami. Miałam dość te-

305

go, że zupełnie nie wiedziałam, jak z nimi postępować.

Zupełnie jakbym zgubiła instrukcję obsługi.

- Maks, mam cię kontrolować? Myślałam, że jesteś odpowiedzialnym młodym człowiekiem. A ty?! Dłacz-

go ja się o tych jedynekach nie dowiedziałam od razu?

- I tak byś krzyczała, i tak krzyczysz. To teraz możesz okrzyczeć wszystkie pały naraz. - Jego ton był wyjątkowo krnąbrny.

- Poprawisz stopnie? Zacziesz się starać? - Pokazywałam mu drogę wyjścia z sytuacji.

- A jaki to ma sens? - Wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie, bardziej jednak agresywny niż smutny. Miałam ochotę wyjść i nie wracać. Już rozumiałam, dlaczego rodzice biją swoje dzieci. Z bezradności. Z chęcią, żeby coś dotarło. Co jednak miało szansę dotrzeć do dzieciaka, któremu zadaje się ból? I tak wystarczająco w życiu przecierpiał. Może to ten ból tak go otorbił? Może przez to jest tak cholernie kolczasty i nieznośny? Jaka jest szansa, żeby dostać się pod tę odstręczającą powłokę?

Szansa się pojawiła. W nocy Maks przerwał i swoją torbiel, i moją zbawienną nicość. Za duży, by ładować mi się do łóżka, jak to robił jeszcze rok temu, stał przy moim łóżku i nawoływał:

- Mamo, mamó, mamó!

Z trudem wracałam z krainy niebytu do sypialni.

- Co się dzieje?

- Śniło mi się... Coś złego mi się śniło.

Na zegarze była 1.47, a jakże.

- Co ci się śniło? Co?

Ale nie chciał mówić, drżał tylko. Znowu mi się wydał maleńkim dzieckiem.

306

Gdybym go zmusiła, wyznałby mi wszystko, pożalował i obiecał poprawę. Ale zamiast to zrobić, otoczyłam go po prostu ramionami. Siedzieliśmy tak na łóżku, a wokół nas kłębiła się ciemność.

- Boję się - jęczał Maks. - Boję!

Ja też się bałam. Boże, tak strasznie chciałam zrzucić na kogoś część tego potwornego ciężaru.

Ale nie było nikogo, kto by mi pomógł go dźwigać.

Mój cholerny mężu. Mój cholerny tchórz.

65

Maksa zagarniało właśnie coś dziwnego. Całego, z sercem i z głową. Mimo nocnej chwili bliskości za dnia nie chciał gadać ze mną o niczym. Bezskutecznie zadawałam rozpaczliwe pytania.

- Pokaż mi lekcje.

- Oj, mamó. Jestem zmęczony.

- Zrobiłeś?

- Jeszcze nie.

- Co masz zadane? Za pół godziny pokażesz mi matkę.

- Będziesz umiała sprawdzić? Zawsze robił to tata.

Tata. To słowo padło z jego ust po raz pierwszy od pa-

miętnego dnia.

- Tata już ci nic nie sprawdzi. Ale ja się tym zajmę.

Będę umiała.

Spojrzał na mnie. I bez słowa poszedł do siebie.

Odczekałam całkiem długi czas, ale nie zgłosił się z odrobionymi lekcjami. Musiałam sama wtargnąć do tej stajni Augiasza. Oczywiście, zeszyt od matematyki był zamknięty, natomiast Maks siedział przed komputerem i rozmawiał z kimś na czacie.

307

- Co robisz?

Zaczerwienił się.

- Nic. - I koniec rozmowy.

Zoriana?

- Za pół godziny chcę cię widzieć z odrobionymi lekcjami.

Nie byłam pewna, czy spojrzenie, jakie mi posłał w odpowiedzi, było bardziej lekceważące czy bardziej zrezygnowane.

"W związku z radą pedagogiczną w sprawie Łukasza Maliwy spotkało mnie jeszcze jedno dziwne zdarzenie. Na któreś z moich samotnie spędzanych przerw podeszła do mnie zakonnica. Przestraszyłam się, że będzie znowu rozmawiać o Maksie i szatanie, ale tym razem mnie zaskoczyła.

- Dziękuję za wsparcie - powiedziała.

Czy ja jej udzieliłam jakiegokolwiek wsparcia?

- Wczoraj. Podczas narady w sprawie Łukasza.

- A, nie ma za co - powiedziałam.

- Cieszę się, że pani tu przyjechała - uśmiechnęła się do mnie. - Do Świątkowic. W naszej szkole czuje się teraz nowego ducha.

Nie rozumiałam tego przyływu uczuć.

- Pani tu podobno przyjeżdżała jako mała dziewczynka?

- Przez wiele lat - odpowiedziałam. - Tata był wędkarzem, a ja byłam samotnicą.

- A ja słyszałam, że bawiła się pani z dziećmi.

- To też. Jedno nie wyklucza drugiego.

Spojrzała na mnie z nagłym błyskiem zrozumienia, po czym błysnęła i oczami, i bułeczkami policzków. Zawsze się błyszczała, co mi się akurat podobało, bo oznaczało, że nie używa pudru. Zastanowiłam się, czy nie

308

wypada jej zaprosić, by usiadła, gdy odezwała się ponownie:

-Ja... - zawahała się. - Nic zresztą. Do widzenia.

- Spuściła głowę i ruszyła tym swoim drobnym, szybkim kroczkiem. Cholerna dziwaczka.

W nocy śniło mi się, że jestem nią i że mnie dusi to idiotyczne białe coś, co noszę wokół twarzy. Że biała

obręcz dławi mnie, wyciskając moje policzki, podbródek, czoło, a w końcu mózg, jak pastę do zębów. Obudziłam się obolała i zdyszana. Idąc do ubikacji, włączyłam światło i przejrzałam się w tym dziwnym lustrze przyniesionym z drugiej połowy domu. Wydawało mi się, że rzeczywiście mam czerwone pręgi wokół twarzy, ale rano już ich nie było.

66

Kolejnego dnia po lekcjach usiedliśmy z Rutą w pracowni angielskiego. Włączyłam laptopa.

- Ruta, nic na razie nie mów. Chcę, żebyś coś zobaczył.

Po dwóch czy trzech minutach tej makabry - na filmie było widać kolejną dziewczynkę i tego samego włochoatego faceta - Ruta odwrócił się w moim kierunku zielony na twarzy.

- Po co mi to pokazujesz? Hanka, po co?!

Walnął w spację, żeby zatrzymać film i wybiegł z klasy.

Wyjrzałam za nim. Pobiegł do toalety. Wrażliwy harcerzyk wymiotował. Mnie też to brzydziło, ale żeby aż tak?!

Wrócił, ocierając usta.

- To jest ten film, który oglądał Tomek Maliwa?

- spytał.

309

Pokiwałam głową.

- Dostałam go od Łukasza.

- Mogłaś mnie ostrzec.

- Sorry. Poznajesz tego faceta?

Wzdrygnął się, jakby pająk przeszedł mu po plecach.

- Nie, na szczęście. To mógł być każdy. Nigdzie nie widać twarzy?

- Obejrzałam tylko trzy fragmenty filmów, Ruta. Próbowалам obejrzeć więcej, ale nie mam na to siły.

- A te dziewczynki? Znasz którąś?

- To są te małe Ukrainki z wyjazdów fundacyjnych.

- Spojrzałam na niego poważnie. Speszył się. - Zoriana rozpoznała jedną z nich.

- Zoriana?

- Jedna z nich to jej siostrzenica. Była tu na koloniach rok temu.

- Niemożliwe, niemożliwe. - Kręcił głową. - Niemożliwe! To dlatego tak mnie wypytywałaś o te kolonie?

- Wyraźnie było mu przykro.

- Chciałam się upewnić. Ale już wiem.

-Co?

- Że nie możesz mieć z tym nic wspólnego.

Zacisnął usta. Moje podejrzenie zdecydowanie go dotknęło.

- I co, zastanawiasz się teraz, co z tym fantem zrobić?

Myślałaś o policji?

- Pewnie, że myślałam. Ruta, ja ciągle o tym myślę. Śni mi się to po nocach. Ale co im powiem? Mogę pokazać tylko film, ale takich pewnie mnóstwo w Internecie. A osoba, która rozpoznała jedno z tych dzieci, siedzi właśnie na Ukrainie, więc nie mam nawet świadka.

310

- W razie czego można ją sprowadzić - powiedział Ruta.

- Ruta. - Mnie też było niedobrze z napięcia. - Ruta, wiesz, ja... Ja... zaczynam się brzydzić facetów, rozumiesz? A obejrzałam tylko trzy minuty tego gówna.

- Pewnie trzeba by obejrzeć całość. - Starał się zachować zimną krew. - Wyodrębnić z tego zdjęcia dzieci. Może da się też poznać, kim jest ten gościu, gdyby znaleźć w miarę wiarygodny kadr.

- To Polak.

- No właśnie. Może przynajmniej jego uda się wsadzić. Wiesz co, zajmę się tym. Ja... Ja czuję się w jakiś sposób odpowiedzialny za te dziewczynki, które tu przyjechały na wakacje. Zajmę się tym. Daj mi tego pendrive'a.

- Dasz radę?

- Ktoś musi. Czy ufasz komuś na tyle, żeby go w to wciągnąć?

- Myślałam o Karolinie Kozłowskiej. A ty? Twarz mu stężała. Zrobiło mi się przykro. Kiedyś sądziłam, że jestem taktowna.

- Wiesz, to może na razie nikomu nie mówmy - powiedział tylko.

Wypytałam go jeszcze o dziwnego wicedyrektora od ciasteczek.

- Nie wiem. Nie znam go za dobrze. On jest z Garwolic - powiedział Ruta, jakby te Garwolicie wiele wyjaśniały. - Ale on zawsze był przeciwko fundacji. Minimalizował koszty i nic więcej go nie obchodziło. Myślisz, że to mogła być zasłona dymna?

- Ja już nie wiem, co myśleć, Ruta.

Zadumaliśmy się oboje.

311

- Chyba mam pomysł. Wiem, co może nas odstresować - uśmiechnął się nagle Ruta. Wyglądał jak Maks, kiedy chce coś zbroić.

67

Może i było trochę za zimno na motor, ale przytuliłam się do pleców Ruty i ruszyliśmy. Pobocze drogi zamieniło się zaraz w rozmazane pasy brązu i zieleni (głównie jednak brązu), a w uszach poświstywał wiatr. Była w tym jakaś magia. Coś jak wyprawa średniowiecznych rycerzy, tylko szybsza.

Zmarzliśmy jednak na kość, więc kiedy tylko Ruta załatwił swoje sprawy w powiecie, dołączył do mnie w pizzerii. Pizza dla Maksa już się szykowała, tak jak i chlebki czosnkowe dla Miśki. Piłam drugą herbatę z prądem i było mi bardzo, bardzo ciepło, a z każdym łykiem czułam się coraz bardziej rozluźniona. Ruta zajmie się wszystkim. I w ogóle jeszcze będzie dobrze w Świątkowicach.

Ruta zamówił zwykłą herbatę. Był taki porządny i akuratywny. Z tymi rumieńcami nie wydawał się wiele starszy od Maksa, a na pewno dużo odleglejszy od brudu tego świata niż mój syn. Piliśmy sobie cichutko, patrzyliśmy na siebie, uśmiechaliśmy się do siebie krzepiąco, a świat wydawał mi się dużo mniej wrogi niż przed chwilą.

Kiedy patrzyłam na układnego Rutę, z tą jego grzeczną twarzą nad białym rąbkiem koszulki wystającej spod swetra, jak najdalsza byłam od myśli o seksie. Zresztą, odkąd obejrzałam film z dziewczynkami z Ukrainy, seks kojarzył mi się wyłącznie z włochatymi facetami nadużywającymi przemocy. Ruta jednak... Ruta jednak był inny. Niewinny.

312

- Coś jeszcze podać? - Pojawiła się czujna kelnerka.

- Tylko rachunek. - Spojrzałam na Rutę. - Przepraszam, chyba że jesteś głodny...

- Nie, mama czeka na mnie z obiadem.

O rany, co zrobić, żeby tak dobrze wychować syna?

Może powinnam częściej rozmawiać z panią Rutkowską?

Uśmiechnęłam się do niego ciepło. Ucieszył się. Przyszła kelnerka z rachunkiem. Oboje naraz wyciągnęliśmy portfele.

- Każdy za siebie - zaproponowałam.

- Hanka, to tylko parę złotych.

- Tym bardziej się nie upieraj.

Kelnerka wzniosła oczy ku sufitowi, po czym się ulotniła, by nie słuchać kretyńskich sprzeczek, z jakimi pewnie miała do czynienia kilka razy dziennie. W tej samej chwili potrafiłam rękę Ruty z portfelem, szybko uświadamiając sobie, że duży udział w tym gościu miał alkohol z herbaty. Portfel wypadł, a cała zawartość rozsypała się po podłodze. Rzuciliśmy się oboje na kolana, żeby pozbierać te wszystkie papierki. Parę monet potoczyło się na boki. Kelnerka przy barze pokręciła głową z dezaprobatą.

Pozbierałam banknoty, jakieś bilety, jakiś kwitek. Wyciągnęłam rękę z tym wszystkim w kierunku Ruty, kiedy nagle coś na karteluszkę rzuciło mi się w oczy. Spojrzałam. Potwierdzenie przekazu pocztowego. Nadawca: Jan Kowalski, ulica Główna, Warszawa. Adresat - na Ukrainie. Wszystko wypisane drukowanym pismem, takim sa-

mym, jakim wypełniono wszystkie przekazy, które jakiś czas temu pokazywała mi Zoriana.

- Skąd to masz?

313

- Co? - Szybko wziął ode mnie karteczkę i zmieszany schował ją do portfela. Ale ja widziałam, co widziałam.

- A takie tam... - tłumaczył skrępowany. - Coś tam komuś płaciłem.

- Ale tam nie było napisane Benedykt Rutkowski, tylko Jan Kowalski.

- Nie chciałem tej osoby zawstydząć, że dostaje ode mnie pieniądze.

- Ruta, to był przelew na Ukrainę.

- Mogę już przyjąć za te herbaty? - Przy stoliku pojawiła się kelnerka.

Zapłacił. Poszliśmy do motocykla.

- Ruta, po co wysyłałeś pieniądze na Ukrainę?

- Krępuje mnie to. - Wydawał się naprawdę speszony.

- Powiedz, proszę.

- Niektóre dzieciaki na tych koloniach były strasznie biedne. Mówię ci, miały na przykład po dwie pary majtek. Na dwa tygodnie. Sama byś chciała pomóc, jakbyś to widziała. Nie wygadaj się tylko, że to ja, ci Ukraińcy są strasznie honorowi. Nie przyjęliby pieniędzy ot tak, po prostu. A jak dostawali od Jana Kowalskiego, nie wiedzieli, komu zwracać.

- To ilu dzieciom przesłałeś pieniądze?

- Oj, Haniu - powiedział Ruta, wsiadając na motocykl. - Ilu dałem radę.

Nie siadłam za nim. Stałam obok, przyciskając do brzucha gorące pudełka z pizzą i chlebkami czosnkowymi.

- Córnka Oleny też miała tylko dwie pary majtek?

- spytałam.

- Kto? - zdziwił się.

314

- Córnka Oleny, tej Ukrainki, której ciało moja Miśka znalazła w stawie. Ta dziewczynka ma na imię Maja. Dostała pieniądze od Jana Kowalskiego z Warszawy.

- No to widać i jej zapłaciłem. Mylą mi się te dzieci. Wsiadaj, Haniu, bo zamarzniemy. - Spojrzał mi prosto w oczy, wytrzymał mój wzrok, po czym się do mnie uśmiechnął.

Umościłam się w końcu na tylnym siedzeniu. Nasze ciała oddzielały pudełka z pizzą i chlebkami czosnkowymi, które wspaniale grzały plecy Ruty i mój brzuch. Maks wybaczy, jeśli pizza trochę się zdefasonuje.

Ruta odtransportował mnie pod szkołę, gdzie czekał mój samochód.

- Lepiej ci trochę? - Zajrzał mi głęboko w oczy.

Pokiwałam głową.

- Nie martw się niczym. Razem damy radę. - Uśmiechnął się do mnie smutno, lecz krzepiąco. Ruta tak umiał.

68

Młody połknął pizzę paroma kęsami, Miśka dużo dłużej żuła swoje chlebki czosnkowe. Wieczorem zatem, wbrew nadziejom, które mogłam żywić, mknąc przez Podlasie na stalowym rumaku, i tak musiałam wyprodukować kolację, bo oboje zdążyli zgłodnieć. Kielbasa od Rumcia już się skończyła, a pasztet z królików od Materkowej miał się pojawić dopiero w grudniu. Mieliśmy natomiast miód z pasieki, która u Materków stała za sadem. Cztery ule, ale pszczoły pracowite, starczyło więc i dla nas. Kiedy zaproponowałam pieniądze, prawie się obrazili. Nie mogłam jednak tylko przyjmować i przyjmować, musiałam przecież jakoś się odwdziżyć.

315

Dopiero dzięki Rucie wpadłam na to, jaką walutą dysponuję. Sabrinka całkiem szybko łąpała angielski, a kiedy zaczęła przychodzić na korki po lekcjach, zaczęło jej świetnie iść. Była chyba najsprytniejsza z całej paczki Materków. Jej rodzeństwo radziło sobie gorzej, ale i tak lepiej niż w szkole, gdzie w modzie było raczej prezentowanie braku zainteresowania przedmiotem.

Maks od jakiegoś czasu żywił się codziennie wspomnieniem Zoriany, czyli ogórkami (szklarniowymi) z miodem (od Materków). Do ogórków dodawałam jeszcze dwa plastry sera i niech się chłopak cieszy. Miśka wolała płatki kukurydziane z mlekiem, potrawę, którą wybierała zawsze, gdy chciała być samodzielna i sama sobie przyrządziła kolację. Kazałam jej jeszcze dokroić banana. Posiłki z trzema rodzajami pierogów do wyboru odeszły w zdecydowaną przeszłość razem z Zorianą. Ostatnia ich porcja, z mięsem, czekała w zamrażarce na czarną godzinę. Ale, na szczęście, ta godzina jeszcze nie wybiła.

Siedziałam pół nocy w Internecie. Szukałam wiadomości o obozach fundacji na stronach ukraińskich, ale nic nie znalazłam, żadnych reklam ani formularzy. Widać zgłoszenia dzieci szły z klucza, po znajomych. O obozach, które się odbyły, wspomniał „Głos Garwolic” (trzy razy, po każdym obozie) i „Tygodnik Siedlecki”, który strzelił reportaż o pierwszych koloniach. Prasa ogólnopolska jakoś nie zainteresowała się tą inicjatywą, najwyraźniej Karolina zawiodła tu z PR-em. Zawiodła albo i nie, zastanowiłam się po chwili. Może było to celowe działanie - garbarni nie zależało, by zbyt wiele refleksów skierowano właśnie na nią.

Na stronie garbarni znajdował się jednak dyskretny link do podstrony fundacyjnej. Zamieszczono tam

niewiele tekstu, ale za to dużo zdjęć, a na nich roześmiane buzie dzieci. Karolina naprawdę była niezła w doborze fotografii. Musiała też, oczywiście, wspomnieć o sponsorach: mleczarnia, przetwory sojowe i jakiś zakład chemiczny, który podarował im mydła i szampony. Fabryka kredek szarpnęła się na materiały plastyczne. A parafia udostępniła dzieciom sale do spania. Maja była na obozie rok temu, w lipcu. Czy tylko w tamtym roku kręcono te filmy?

Ruta, jako persona non grata, widniał tylko na jednym zdjęciu, i to od tyłu. Karaka nie było na żadnym, choć przecież pojawił się na Karolinowej liście płac. Starszego pana w maskującym uniformie myśliwego nie mogłam nijak skojarzyć z tą listą, ale od razu skojarzyłam go skądinąd. Życie na wsi tak rzeźbiło tutejszych starców, że nie dało się go z nikim pomylić. Znałam go. Przynajmniej z widzenia.

69

W domu Ruty pachniało ciastem. Podłogi były tak czyste, że można było z nich jeść. Niepokalanie białe blaty lśniły jak uśmiech pani Rutkowskiej. Mama Ruty, ciepła i okrągła, ucałowała mnie w oba policzki.

- Hania do nas przyszła! - cieszyła się. - Taki gość! Powinnam posadzić cię w salonie, ale ja o tej porze roku naprawdę wolę w kuchni. Tu jest tak... bardziej domowo. Siadaj, zaraz wyciągam ciasto z piekarnika. Mówią, że ciepłe jest niezdrowe, ale ja takie lubię najbardziej. Moi panowie też.

- Pani Brygido - spieszyłam się. - Ja właściwie przyszłam zamienić słówko z Rutą. Znaczy z Bernardem.

317

- Syna nie ma. Poszli na spacer z ojcem. Mówię „poszli” tak z przyzwyczajenia, wiesz, Haniu?

- Rozumiem. - Rozluźniłam się trochę.

Drożdżowe było pyszne, herbata wprawdzie z torebki, ale wszystko opromieniała osobowość pani Rutkowskiej. Ach, mieć taką mamę!

Teściową też mogłaby być fajną.

- Benio codziennie spaceruje z ojcem, a jak jest zła pogoda, to z nim siedzi w domu, rozmawia, czyta. Może mi się uda, mamusiu, sprawić, żeby tatuś coś powiedział, powtarza. Wspaniały jest ten mój chłopiec, wiem, że nie wypada tak mówić, ale Benio mi się naprawdę udał. Późne dziecko to szczęście. Wiesz, że miałam czterdzieści siedem lat, kiedy mi się urodził? Nie wierzyłam, że jestem w ciąży. Myślałam, że stało się to drugie. Przekwitanie. A tu Pan Bóg taką nam zrobił niespodziankę! Trochę się wstydziłam, co ludzie będą gadać w Świątkowicach, że na starość nam się miłości zachciało. Ale potem po-

myślałam: czy miłość jest czymś, czego się trzeba wsty-
dzić? Prawda, Haniu?

Pokiwałam głową. Nie byłam pewna, czy wypada
dolożyć sobie ciasta. Pani Rutkowska złowiła moje spoj-
rzenie.

- Jedz, jedz, na zdrowie. Benio bardzo lubi to moje
drożdżowe. On jeszcze sobie masłem smaruje. Może i ty,
Haniu, chcesz do tego masła?

Nie chciałam.

- Dam ci przepis, jak chcesz. Może i twoim dzieciom
zasmakuje. Mojemu mężowi świeże powietrze dobrze
robi, a ja czasem nie mam siły pchać tego wózka. Ale
z takim synem nie muszę się o to martwić. Ja zawsze mó-
wię: kobieta, którą on wybierze, wygra los na loterii.

318

Poczułam się niepewnie.

- Modłę się, żeby dobrze wybrał. Silną, mądrą kobie-
tę, która będzie umiała o niego zadbać. Taką, która da
mu dzieci. Dla niego dzieci są bardzo ważne. On wspa-
niale umie zajmować się maluchami. Chciałabym, żeby
to była jakaś mądra młoda dziewczyna, najlepiej zaraz
po studiach.

Och. Drożdżowe stanęło mi w gardle.

- Kawy zrobię - uśmiechnęła się do mnie pani Rut-
kowska. - Taki senny dzień dzisiaj. Benio kupił nam taki
wspaniały ekspres, o, zobacz.

Trudno było nie zauważyć - ekspres przelewowy
pysznił się w rogu kuchni.

- Bardzo się cieszę, Haniu, że wybrałaś nasze Świąt-
kowice - ciągnęła pani Rutkowska ze swoim ciepłym
uśmiechem. - To wspaniałe miejsce do wychowywania
dzieci. Może ci się poszczęści i znajdziesz swoją miłość?
Druga miłość wcale nie musi być gorsza od pierwszej,
prawda?

Na szczęście drzwi się otworzyły, a do środka wpadło
zimno, równocześnie z głosem Ruty.

-No, tatuś, hopla do domu. Powiesz mi coś teraz?

Powiesz wreszcie?

- Beniu, Hania do ciebie przyszła! - krzyknęła pani
Rutkowska. - Przepraszam, zajmę się mężem. - I znik-
nęła w przedpokoju.

Ruta wszedł do kuchni. Dopiero teraz zauważyłam,
ile ciepła w uśmiechu zawdzięcza swojej mamie.

- O, ciasto! - Od razu nałożył sobie na talerz. - Cześć,
Haniu.

- Mam krótką sprawę, naprawdę - zaczęłam się tłu-
maczyć.

319

Wydostałam z torby laptopa, włączyłam, znalazłam
zdjęcie starszego pana w maskującym mundurze i pod-

sunęłam Rucie. Spojrzał na mnie pytająco.

- On pracował przy obozach tych dzieci z Ukrainy.

Znasz go?

- Od lat - uśmiechnął się. - Karak też. To jego tata.

Stefan Karaczek.

S. Karaczek na liście płac. Jednak chodziło o seniora, nie o juniora.

- Co on robił na obozach?

- Karak senior kocha, jak ktoś słucha jego bajek o polowaniach.

- Bajek?

- Opowieści. Prowadzał więc dzieci do lasu, opowiadał o zwierzętach, po polsku, ale prawie wszystko rozumiały, potem razem szukali tropów. Takie bezkrwawe łowy.

- Karak nic mi nie mówił, że jego tata pracował na koloniach.

- A pytałaś go o ojca? Haniu, chyba nie podejrzewasz ojca Karaka? Absurd. To są przecież wszystko sami swoi. I weź pod uwagę, że stary Karaczek jest człowiekiem, który niemal codziennie odwiedza sparaliżowanego przyjaciela. Kompletnie bezinteresownie.

Rucie w polemicznym zapale rozkwitły na twarzy rumieńce. Nie tracił jednak z oczu ciasta, smarując właśnie masłem kolejny kawałek.

- Z masłem lepsze?

Wyciągnął kromkę w moim kierunku.

- Sama zobacz.

Ugryzłam. Może i faktycznie zyskiwało nowy walor.

Ruta oglądał ślady moich zębów na kromce.

320

- Taka poważna kobieta, a ślad jak po małym króliczku. - Spojrzał na mnie i poprawił mi spadającą na oczy grzywkę.

- Twój tata musiał być niezwykłym człowiekiem, skoro nawet teraz wzbudza tak opiekuńcze uczucia - zmieniłam temat.

- O tak! Mój tatuś był naprawdę niezwykły. Jest niezwykły - poprawił się błyskawicznie. - Jak mamusi wysiadło biodro i wyznaczyli jej operację dopiero za dwa lata, poruszył niebo i ziemię, żeby to przyspieszyć. Dużo kosztowało, nie muszę ci mówić. Ale operowali ją już po miesiącu. A jak jej nie było, dostosował cały dom, żeby łatwiej mogła się poruszać po operacji. Remont kosztował naprawdę dużo pieniędzy. Ale on jej nigdy niczego nie żałował. Zresztą ona jemu też.

- Kochają się bardzo.

- Tak - rozpromienił się Ruta. - Bardzo. I widzisz, mamusia wyzdrowiała, a te wszystkie urządzenia przydają się teraz tatusiowi.

Spochmurniał.

- Beniu, tatusia będziemy kąpać - dobiegło wezwanie z sąsiedniego pokoju. - Chodź tutaj, kochany!

Spojrzał na mnie niespokojnie.

- Leć. Ojciec najważniejszy.

Ten „tatuś” jakoś nie chciał mi przejść przez gardło.

70

- Dała pani przepis na drożdżowe?

Materkowa machała łopatą dużo bardziej fachowo niż ja. Dzięki temu pierwszy październikowy śnieg z jej Podjazdu zniknął błyskawicznie.

321

-Kto?

- Rutkowska.

Cóż, wieści o moich zajęciach pozalekcyjnych rozchodziły się z prędkością światła.

- Mówiła, że da.

- Stary numer - skomentowała Materkowa. Skończyła ze swoim podjazdem i przeszła na mój. - Pani ją przycisnie. Pani obca, to więcej wypada. A kogo tam diabli niosą po tym śniegu?!

Drogą zbliżała się ciemna sylwetka.

- Do mnie czy do pani? - zastanowiłam się.

- Na dziewięćdziesiąt procent do pani - stwierdziła Materkowa tonem osoby znającej życie. - Bo to chyba jakiś facet.

Facetem okazał się Tomek Maliwa. Przywitał się grzecznie, choć unikał patrzenia mi w oczy.

- Do mnie czy do pani Materkowej? - spytałam oficjalnie. Ciągle jeszcze miałam do niego żal.

- Do pani - bąknął pod nosem. Materkowa pokiwała głową.

Tomek siadł za kuchennym stołem. Nie chciał herbaty, tylko wpatrywał się w blat, zbierając siły. Ze swego pokoju wychyła Miśka, ale posłałam ją tam z powrotem.

- Ja postanowiłem, że wszystko pani powiem. Kogoś się muszę poradzić, a nie wiem kogo.

Milczałam zachęcająco.

-Ja... Jak szukałem, co się z tatusiem stało, to właśnie wtedy znalazłem ten film. W jego rzeczach.

- Nie mogłeś mi tego od razu powiedzieć? Wyprosiłeś mnie z domu jak wroga.

- Przepraszam. Ale pani na mnie tak patrzyła...

Jak na zboka jakiegoś. Ta Ukrainka też. A przecież nie

322

ogłądałem tego żeby... No, oglądałem, bo nie wiedziałem, co jest na tym pendrivie. I sprawdzałem. A teraz nie ma tego pendrive'a w domu. Ktoś go nam ukradł.

- Spojrzał na mnie, poblądły.

- To Łukasz. Łukasz mi go dał - uspokoiliam go szybko.

- O Boże. - Złapał się za usta. - A ja tak nie chciałem, żeby się w to mieszał! Pani myśli, że on to oglądał? Patrzył chwilę w ścianę, przerażony.

- Boję się.

- Czego?

- A co pani myśli? Ja nie nakręciłem tego filmu. Ani nie Łukasz przecież. Ani nie mój tatuś, naprawdę. Nie on. Nigdy.

- Może go ściągnął z Internetu? Tatuś. Albo Łukasz.

- Chyba nie. Bo... Bo mi się wydaje, że poznałem dwie dziewczynki z tego ohydneho filmu. One były u nas w domu na podwieczorku. Mama zawsze robiła dla tych kolonii podwieczorek, ja wtedy uciekałem z domu, bo mi kazała bawić te dzieciaki, jakieś gry wymyślać, ale w tamtym roku jeszcze nie zdążyłem wyjść, i wtedy przyszły. Pamiętam takie dwie, chude. I one były na tym filmie. Ja tylko po to oglądałem... żeby sprawdzić. No i teraz mam pewność. Jedna coś powiedziała po ukraińsku.

- Wiem.

- To były dziewczynki z tych kolonii, ale to nie mój tatuś nakręcił ten film. On nie przyłożył do tego ręki, nie musi pani tak na mnie patrzeć. Bo to nieprawda.

Wzruszająca była ta jego wiara w ojca. Dzieci zawsze wierzą w swoich rodziców. Do wieku dziesięciu lat, mniej więcej, wiedziałam coś o tym.

- Mówił ci?

323

- No co pani! Ja nie rozmawiałem z ojcem o takich rzeczach.

-To skąd wiesz?

- Bo to mój tatuś i tyle. On by nigdy dziecka nie skrzywdził. Ani nie pozwolił skrzywdzić. On nas nigdy nawet nie uderzył, i mamie nie pozwalał, ale od niej czasem oberwałem ścierką. A od niego nie.

Wierzyłam mu?

- Ja tak myślę - powiedział Tomek - że tatuś się dowiedział, że ktoś kręci te filmy, i chciał coś z tym zrobić.

-A skąd wiesz?

- Tylko przypuszczam. No i możliwe - zaskliły mu się oczy - że się czegoś za dużo dowiedział i dlatego zniknął. Myślę, wie pani, że on... może jednak nie żyć.

- Mogło się też zdarzyć sto innych rzeczy.

- Mogło - powiedział bez przekonania. - Ale nie wiem. Nie śpię w nocy, tylko składam to w całość. On jeździł z tą Oleną, ale między nimi nie było żadnej miłości, ja bym zauważył. Naprawdę. Nie, że go wybielam, on miał różne panie. Ale z tą Oleną... Ja myślę, że oni we dwójkę śledzili, kto robi te filmy. Nie chcieli mamie

mówić, żeby jej nie narażać. Ale i tak się jakoś dowiedziała. Wtedy też znikła. Ja to wiem. I wiem też, że jesteśmy z Łukaszem sierotami. Że muszę się nim zająć i jakoś musimy razem to wszystko przetrzymać, tak by chciała mamusia. I ja się boję. O nich, o mamusię i tatusia. Choć jestem prawie pewny, że już są w niebie. Niech mi pani to odda. Proszę.

I cały zamienił się w oczekiwanie. Przerwane wielkim rozczarowaniem, gdy wyznałam, że muszę najpierw wy dostać gadżecik od Ruty.

324

Gdy tylko roztrzęsiony Tomek Maliwa zniknął w mroku wieczoru, pojawiły się wątpliwości. Taka nagła i dziwna wizyta? Taka nieoczekiwana otwartość i szczerłość? A może wysłali go „oni”, kimkolwiek są? Może miał mnie tylko uspokoić i wysondować, komu się wygadałam? Czy Ruta i ja też skończymy z twarzami w stawie?

71

Nagle zaczęłam się bać. Nie chciałam wychodzić z domu po zmroku, nawet do letniej kuchni, dzieciom też nie pozwalałam. Zamknęłam szczelnie furtkę i drzwi wejściowe. I musiałam ostrzec Rutę. Nie przez telefon, nie mejlem. Osobiście, tylko osobiście. Nie czekając do poniedziałku. Już zaraz, następnego ranka, w niedzielę.

- Ruta, nie wychodź po zmroku. A już na pewno nie wychodź sam. Wracaj prosto do domu. - Tak mu chciałam powiedzieć. - I oddaj, koniecznie mi oddaj tego pendrive'a z filmami. Nikomu o nim nie mów. Dajmy sobie z tym spokój, stawka jest zbyt wysoka.

Dom Rutkowskich był jednak tego niedzielnego ranka zamknięty naглуcho, zapomniałam bowiem, że całe Świątkowice siedzą teraz na mszy. Mogłam się przecho wać do jej końca w kościelnej ławce lub gdzie indziej. Ławka oznaczałaby jednak ostrzał spojrzeń, wybrałam więc „gdzie indziej”.

Przechodziłam przez tę bramę po raz pierwszy.

To Maks był stałym bywalcem tego miejsca, plątał się tutaj popołudniami po szkole, raz sam, raz z kolegami, wbrew obietnicom poczynionym w swoim czasie na posterunku. Byłam ciekawa, co go tu tak przyciąga.

325

Słońce świeciło rażno, wypalając czarne plamy we wczorajszym śniegu. Cementarz leżał na płaskim terenie, spory kawałek za kościołem. Prowadziła do niego błotnista droga, wydeptana setkami żałobnych stóp, wyjeżdżona w koleiny przez dziesiątki karawanów, jakie transportowały ciała mieszkańców Świątkowie i okolicy. Dowoziły je w miejsce pełne płyt z chińskiego granitu, złotych liter, plastikowych kwiatów, wielobarwnych zni-

czy, miłosiernie osłonięte lipami i kilkoma tujami.

Najpierw udałam się do grobu, przy którym grasował Maks tamtej nocy, gdy odnalazł niechlujnie ukryte ciało nieszczęsnej Ukrainki, siostry Zoriany. Teraz nikt by już tu nie zdołał ukryć nieproszonych zwłok, bowiem miejsce wiecznego spoczynku Stanisława Kacperka doczekało się płyty z granitu o kolorystyce marskiej wątroby (całkiem a propos, sądząc z krążących po wsi plotek na temat zamilowania Kacperka do alkoholu). Stałam przy nagrobku, usiłując sobie wyobrazić mojego syna po kostki w dole, wymachującego łopata. Co wtedy czuł? Podniecenie? Obrzydzenie? Zaciekawienie? Czy myślał o ojcu, który zamiast grobu miał schludną szufladę w kolumbarium, i zamiast miesiącami zamieniać się w gnijącą materię, jak trupy świątkowiczów, zamienił się w ciągu paru godzin w aseptyczny popiół?

Nagle opuściły mnie siły i siadłam, gdzie stałam, na krawędzi wątrobianego granitu. Zimno, które wnikało z chińskiego kamienia w moje pośladki, dodatkowo pozbawiało mnie wigoru. Nigdy nie chciałam być samotną matką. O ile pamiętałam, to kiedyś w ogóle nie chciałam być matką, a ten, który mnie do tego namówił, wybrał po kilkunastu latach wyjście kuchennymi drzwiami. Nie było więc nikogo, kto by ze mnie zdjął

326

ciężar odpowiedzialności za tych dwoje pokręćców, moich dzieci. Za ich przebywanie na tym cholernie niebezpiecznym świecie, gdzie trudno było komukolwiek zaufać.

Stary Kacperek zaraz wessie mnie do środka, skończę tam, jak nieszczęsna Anna, z obsypaną ziemią twarzą. Wstałam i zmusiłam się, by stąd ruszyć. Nogi miałam miękkie, jakby wyciekła ze mnie cała siła. Nagle zapachniały tuje, wilgocią i żywicą. Otaczały szpalerem miejsce spoczynku kolejnych proboszczów miejscowego kościoła. Sześć nazwisk, dwanaście liczb, które zawiadamiwały uroczyście, że bycie proboszczem w Świątkowicach to niemal gwarancja długowieczności. Obok stała ławeczka. Drewno było wilgotne, ale nie tak lodowate jak granit. Siadłam i wdychałam zapach żywicy. Słońce gdzieś znikło, niebo zrobiło się szare.

Przy grobie mojego męża nie pojawiłam się od jego śmierci, ale jakie to miało znaczenie? Zamieniony w parę kilogramów proszku, wsypany do czegoś w rodzaju brzydkiego wazonu z pokrywką i schowany w marmurowej szufladzie w ścianie, na której wyryto tylko imię, nazwisko, datę urodzenia i śmierci. Bo co miałam jeszcze napisać? Najlepszy skoczek z okna?

Zbliżały się do mnie męskie głosy. Kto jeszcze w szary poranek przyszedł w to ponure miejsce? Kiedyś zaraz bym

wstała, przywitała się, zagadała, przecież to były Świątkowice, tu się znało każdego. Teraz jednak zamarłam i przytuliłam się do ławki. Już żałowałam, że tu przyszłam. Głosy, niemłode i drżące, niosły się donośnie po cmentarzu.

- Idą jak tuczniaki za Gierka. - Ten głos kogoś mi przypominał.

327

- Co z Gierka? - nie dosłyszał drugi z panów.

- Sprzedają się! Jak tuczniaki za Gierka! - Przedmówca ryknął jeszcze głośniej. - Masz resztę?

- Resztę?

-Masz je?

-Co?

- Stasiu, ale ci się na słuch rzuciło!

Tak, to był Karaczek senior.

- Co rzuciło?

- Nie wiem, Boże drogi. Masz te nagrania?

- A, czy mam? Mam! Tutaj!

Miało być chyba dyskretnie, ale drżący głos niósł się pośród grobów.

Zsunęłam się z ławki i przypadłam bliżej tuj. Na ławce nad grobem Kacperka siedziały dwa ciemne kształty. Jeden coś chował do torby.

- Oj, narobiło się. - Znowu Karaczek senior. - Ale chyba wyszliśmy na prostą. Zainkasujemy i na razie zostawiamy.

- Stawiamy?

Słyszałam, jak Karaczek już się nadyma, by wrzasnąć powtórnie, ale pierwszy głos w końcu załapał, co zostało powiedziane.

- Zostawiamy? Ale mnie pieniądze potrzebne, córka się buduje.

- Co ona, w pałacu musi mieszkać? - Melodia wesołkowatego głosu, tak podobnego do głosu syna, potwierdzała, że Stefan Karaczek nie powinien wątpić w swoje ojcostwo.

- Chcemy jej postawić porządny dom. - Pan przygłuchy zrozumiał poprzednią wypowiedź, ale tylko częściowo. - Byle jak nie ma co budować. To musi być na lata.

328

Przygłuchy mógł w takim razie być ojcem Karoliny.

- A komu pieniądze niepotrzebne? Ja też mam dzieci - tłumaczył Karaczek senior, wrzeszcząc tamtemu wprost do ucha. - Ale, Stasiu, sam rozumiesz, że się bałaganu narobiło. Idą jak tuczniaki za Gierka - widać uznał, że ten dowcip mu się udał - ale musimy poczekać, zostawić to na trochę. No, Stasiu, poczekamy, aż się wyciszy, i wszyscy zapomną o tych dwóch.

- Zapomną?

- Zapomną o tych dwóch!

- Słyszałem, co tak krzyczysz? Ale nie wiem, czy zapomną.

- A jakże inaczej? One nie były nasze, takimi rzeczami mało kto się przejmuje.

Kompletną nadinterpretacją byłoby, gdybym sądziła, że właściciele dwóch nie najmłodszych już głosów mogą mieć coś wspólnego z filmami dla pedofilów czy z morderstwami Ukrainek. Kompletnym idiotyzmem byłoby doszukiwanie się w każdej rozmowie tropów prowadzących do podejrzanych w tej aferze. Obsesja godna Ruty. Starsi panowie ze wsi Świątkowice, głusi, z drżącymi głosami, przyjaciele kaleki, zapamiętali gracze w karty, jako macherzy tego całego brudnego międzynarodowego biznesu?

Obgadali, co mieli do obgadania, w szarzejących okolicznościach przyrody, bo chmurzyło się coraz bardziej, i udali się w kierunku wyjścia. Rozprostowałam za tujami zdrewniałe nogi. Mózg jednak nie chciał mi się rozprostować, pewne rzeczy wtłoczyły się tam i rozpychały. Ruszyłam błotnistą drogą ze śladami kolein w zupełnie innym stanie umysłu, niż tu dzisiaj. Przyszłam.

329

Msza się właśnie skończyła, ale wśród wychodzących nie było Ruty. Boże, jak się przeraziłam! Spanikowaną dojrzała mnie pani Rutkowska i ona skierowała na właściwą drogę, nie najlepiej ukrywając zdziwienie, że muszę oglądać jej syna codziennie, mimo że nie jestem obiecującą i płodną młodą absolwentką jakiejś uczelni.

Ruta właśnie schodził z chóru, razem z innymi młodymi mężczyznami. Zerkali na mnie, coś gadali między sobą, ale odciągnęłam go na stronę, żeby wysłuchał moich gorączkowych prośb i ostrzeżeń. Nie wiem, czy do końca zrozumiał wagę problemu, bo szybko pojawiła się jego mama. Mieli naszykować śniadanie, żeby było gotowe, kiedy tatuś wróci ze spaceru. Przy niedzieli miał go zabrać na przejażdżkę Stefan Karaczek, przyjaciel idealny.

- Stefan chodzi na sumę - wytłumaczyła mi pani Rutkowska. - A nasz tatuś na razie w radiu mszy słucha, bo w kościele się krępuje, że się ślini trochę.

Zaiste, Stefan Karaczek miał tego szarego poranka napięty program towarzyskich spotkań. Ojciec Karoliny, ojciec Ruty, Bóg Ojciec.

Bezbożna Hania opuściła więc religijnych Rutkowskich i ruszyła w stronę domu. Szłam szybko, żałując coraz bardziej, że nie wzięłam samochodu, bo uznałam, że szybciej dojdę, niż oskrobię szyby z lodu.

Widziałam przed sobą zielone sosny i nagie graby oraz białą drogę, na której czerniły się plamy wytopione

w pierwszym śniegu. Nagle coś usłyszałam. Obróciłam się. Za zakrętem, w pustce drogi do Świątkowic-kolonii pojawiły się za mną dwie ciemne sylwetki. Dwóch starszych panów, z czego jeden na wózku.

Karaczek senior często przystawał, nachylał się nad wózkiem, jakby gawędzili. Ciekawe o czym, skoro
330

starszy pan Rutkowski ani be, ani me. To było naprawdę wzruszające. Pozwoliłam im się dogonić.

- Dzień dobry pani - odezwał się pan Karaczek i uśmiechnął się ciepło, pokazując olśniewającą biel sztucznych zapewne zębów. Jak ja go mogłam o coś podejrzewać?

- Na spacer? - zadałam pytanie, jedno z najczęściej padających w Świątkowicach.

- Na ryby - zachichotał stary Karak, aż zadrżała mu grzybkowata czapka na głowie. - Na ryby - powtórzył, żeby dowcip na pewno do mnie dotarł. Doceniłam to i nawet się uśmiechnęłam. Niech ma i nie powtarza po raz trzeci.

Władzio Rutkowski też chyba był tego zdania, gdy dla towarzystwa postanowił wydać z siebie coś w rodzaju rechotu. Choć może był to jęk. Karak senior poklepał go po plecach, co mnie nieoczekiwanie wzruszyło. Świątkowice były jednak nie najgorszym miejscem na ziemi, jeśli można było tu znaleźć takich przyjaciół.

MIŚKA

72

Nie było dobrze. Pan Materek zartobliwie klepał Maksa po plecach, mówiąc, żeby nie był baba. Mnie natomiast co chwila tarł za policzek.

- Dzielna dziewczynka - dodawał, nie wiem, na jakiej podstawie. Pani Materkowa za to bez przerwy nas przytulała, a nawet głaskała po głowach, co było chyba jeszcze gorsze. Stary pan Materek pokrzykiwał, że został sierotą, kiedy miał osiem lat, a jednak wyszedł na ludzi. Pani Materkowa zaraz syknęła, że „po co teściu kochany takie rzeczy mówi?”.

-Jesteśmy sierotami? - usiłowałam się dowiedzieć, ale nikt nam nie odpowiadał, tylko pani Materkowa podsunęła mi kawałek ciasta, a pan Materek młodszy pokręcił głową. Już od dłuższego czasu nikt nam nie chciał powiedzieć, gdzie się podziła nasza mama. Starałam się nie płakać, a Maks siedział oszołomiony i pociągał nosem.

Tak minęła reszta wieczoru i pół nocy, a mama ciągle nie wracała. Pani Materkowa pościeliła nam wreszcie u siebie. Kiedy szliśmy spać, Maks mnie nawet przytulił, co spowodowało, że już całkiem nie mogłam usnąć. Sam

wylądował w pokoju z Arkadiuszkiem i Damiankiem, a ja miałam spać w łóżku z Sabriną, która mnie tuliła i chciała, żebym płakała. Ale ja nie płakałam, bo płacz byłby potwierdzeniem, że stało się coś strasznego. Potem postanowiła gadać o duchach, ale na szczęście w trakcie usnęła, przeniosłam się więc na podłogę, owinęłam kołdrą i trzęsłam się trochę z zimna, ale bardziej ze smutku. Kiedy obudziłam się rano, mamy nadal nie było. Pan Matek jeszcze więcej tarmał mnie za policzki, pani Materkowa głaskała po głowie i podsuwała naleśniki, ale nie mogłam jeść. Do szkoły wyszliśmy z Sabriną i Nikołą, tamci dwaj byli jeszcze za mali, ale szybko z Maksymem odłączyliśmy się od dziewczyn i usiłowaliśmy coś ustalić, choć ze mnie nie chciały wychodzić ani słowa, ani pomysły, a Maks umiał tylko powtarzać z zaciśniętymi zębami „to absolutnie niemożliwe” oraz „obiecuję ci, że znajdę mamę”.

Pan Ruta obiecał nam to samo, ale nic a nic mu nie wierzyłam, choć wyglądało, że się przejmuje. Zniknięciem naszej mamy zmartwiła się jeszcze jedna osoba, która mnie zahaczyła, gdy noga za nogą wlokłam się za Sabriną do domu. Za samą Sabriną, bo Nikola miała dzisiaj więcej lekcji.

To był pan Rumcio, który z wielką torbą na ramieniu i zatroskaną twarzą stał sobie w krzakach przy drodze do domu, jakby na mnie czekał.

- Dzień dobry - powiedziałam i przyśpieszyłam kroku, doganiając Sabrinę.

- Dzień dobry. Ciemno u was było wczoraj - powiedział pan Rumcio. - Dlaczego? Nie spaliście w domu? Nie miałam ochoty nic mu opowiadać, ale Sabrina zaraz musiała się odezwać.

- Bo ich mama gdzieś zaginęła i oni teraz u nas mieszkają.

- Zaginęła? - zainteresował się Rumcio. - A gdzie?

- Jakbyśmy wiedzieli gdzie, toby nie było zaginięcie, lecz wyjazd, proszę pana - odpowiedziała Sabrina i pociągnęła mnie za sobą. Wytarłam oczy, żeby nie zauważyła, że trochę łez mi poleciało. Pan Rumcio chyba jednak zauważył.

Szedł teraz za nami, co mi się już naprawdę nie podobało, więc przyśpieszyliśmy z Sabriną kroku, a potem wręcz pobiegliśmy. Widziałyśmy go cały czas, w tej jego głupiej czapeczce i z tą jego wielką torbą, ale coraz mniejszego, bo chyba nie lubił biegać. Poczulałam się bezpieczniej, dopiero kiedy zobaczyłam płot i panią Materkową w oknie kuchni.

- Ale dziwny ten Rumcio - sapnęła Sabrina. - Mnie

się czasem wydaje, że on zbok może być.

Nie miałam siły na rozmowę, siadłam tylko przed telewizorem. Pani Materkowa pozwoliła mi nawet zjeść tam obiad, chociaż reszta rodziny i Maks jedli przy stole w kuchni. Maks zajrzał do mnie, przytulił, a potem poszedł na górę ze swoim laptopem.

Oglądałam serial za serialem i nie rozumiałam z nich ani słowa, ani słóweczka, bo ciągle myślałam, czy mama nas mogła zostawić, skoro taty już nie mamy? I szybko zrozumiałam, że sama raczej by nas nie zostawiła. Ktoś jej musiał w tym pomóc.

A potem usłyszałam wołanie. Męski głos spod domu.

-Misiu! Misiu!

Od razu pomyślałam, że to pan Rutkowski i że znalazł mamę. Naprawdę tak pomyślałam i natychmiast, w kapiach, wybiegłam przed dom. Pani Materkowa ciągle coś

334
robiła w kuchni i raczej nie zauważyła, że wychodzę. Mogłam jej powiedzieć, że wychodzę na chwilę, ale wolałam się do niej nie zbliżać, żeby mnie znowu nie głaskała i nie żalowała, bo mi się wydawało, że od tego jej współczucia dostaję krost.

Przed domem wcale jednak nie było pana Rutkowskiego, nie było nikogo. Szłam dalej, w stronę furtki, aż w końcu zobaczyłam pana Rumcia, nadal z tą wielką torbą. W ciemnościach wydawało mi się, że jego torba się rusza. Jak tylko zobaczyłam, że to on, od razu dałam krok do tyłu. I jeszcze jeden. I jeszcze.

- Misiu, no co ty, nie bój się - powiedział dziwnym głosem.

Zdjął torbę z ramienia i zaczął ją rozpinać.

- Ja mam coś dla was, dla twojej mamy. Żeby zawsze była bezpieczna. Gdzie ona jest? Wiesz może?

- Pewnie, że wiem. Ale mówiła, żeby nie mówić - powiedziałam. Małe, wścibskie oczka pana Rumcia rozebrały mnie na czynniki pierwsze, a chytry uśmiešek oznajmił, że facet nic a nic mi nie wierzy.

- Jest z nim? - pytał. - Z nim?

- Z kim? - Widać wiedział więcej niż ja.

- Sam to sprawdzę - powiedział. Wyjął coś z torby i położył na ziemi. Coś, co się strasznie rozjęczało. A może rozpiszczalo?

73

Siedziałam ze szczeniakiem w ramionach w naszej letniej kuchni, która była zimna i pusta. Razem jęczeliśmy i trzęśliśmy się, a szczeniak dodatkowo sikał. W końcu znalazła mnie tam Sabrina, która zapowiedziała,

335

że jej tata ma mnie zlać, bo wyszłam bez słowa z domu, a tak się u nich nie robi. To znaczy nie wychodzi się

bez słowa, natomiast się leje. Pocieszała, że to nic nie boli i że dziewczynkę tata na gołą dupę nie bije, tylko na majtki, a nawet na spodnie. Nie odzywałam się, przytulałam pieska.

- Nie gadaj głupot, Sabrina - powiedziała pani Matkowska. - Gdzie tam tatuś będzie lał obce dzieci? Misiu, pokaż mi to maleństwo, mleka mu damy. Skąd go wzięłaś?

Nie tłumaczyłam skąd. Piesek zresztą wcale nie chciał mleka, leżał mi tylko na kolanach pod swetrem i piszczał. Miałam tam kompletnie mokro od jego siuszków. Zaraz też przyszedł Maks i pogłaskał pieska przez mój sweter.

- Mama nigdy nie chciała mieć psa - powiedział.

- Wiem - odparłam.

Kiedyś czytałam, że suka wylizuje szczenięta po brzuchu, żeby dawały radę trawić. Pośliniłam więc palec, wsadziłam pod sweter i dotknęłam psiego wydętego brzuszka. Drgnął. Zaczęłam go głaskać, od szyi do fiutka, głaskałam i głaskałam, aż w końcu się uciszył i zaczął posapywać. Chyba zasnął, ale bałam się zaglądać pod sweter, żeby go nie obudzić. I dobrze, że ucichł, bo nie miałam siły na cudze jęki, a własne starałam się sobie wpychać w głąb gardła.

Więc zrobiło się cicho.

HANKA

74

Ból mnie uśpił, ból mnie ocucił. Przeszłam z błogosławionej ciemności w mojej głowie do błogosławionej ciemności, która mnie otaczała, pewnie głównie dzięki temu, że moja czaszka pulsowała, tępo i dotkliwie. Wokół było czarno, ale nie byłam pewna: mam zamknięte oczy czy otwarte? Nie byłam pewna, czy leżę, czy siedzę. Nie byłam pewna, gdzie jestem. Dotknęłam palcami powiek. Przynajmniej chciałam dotknąć. Ale nie mogłam unieść dłoni, choć rozkaz do niej płynął jak zwykle.

Poruszyłam palcami u stopy. Chyba poruszyłam, bo nic nie było widać. Choć podobno przy paraliżu człowiekowi wydaje się, że się rusza, a tymczasem nic z tego. W plecy coś mnie uwierało, więc chyba jednak leżałam. Pod powiekami miałam piasek, a same powieki były potwornie ciężkie, trzeba by bicepsów Karaka, żeby je podnieść.

Gdzie jestem? Co się stało?

Wszystko, co pamiętałam, to kolory. Biało-czar-na droga, aż mnie oczy zaboląły na wspomnienie tej bieli, kojące szare niebo, które znikły niemal zupełnie,

337
gdy zaczął sypać szarobiały deszcz ze śniegiem. Walił

mi w twarz, ledwie widziałam przed sobą drogę. Mrużyłam oczy. Trzeba było jednak oskrobać te cholerne szyby i pojechać samochodem - klęłam, wyciągając buty z kałuż. - Trzeba było - utyskiwałam, gdy błoto brukało nogawki moich spodni, jakby chciało mi koniecznie wcisnąć pamiątkę z drogi gruntowej prowadzącej do Świątkowic-kolonii. Tak, teraz już pamiętałam przenikający do kości chłód i strach, że oto idę sama leśną drogą w zacinającym deszczu ze śniegiem, a jeśli tu i teraz zniknę, nikt tego nie zauważy. Pamiętałam coś jeszcze. Potworny prąd, który przeszył mi czaszkę i tępe uderzenie, które usłyszałam zaraz potem. Gdy pograżałam się w ciemności, zdążyłam w panice pomyśleć, że takiego bólu głowy nie czułam jeszcze nigdy w życiu. Ale po chwili przestałam czuć cokolwiek.

Teraz jednak znowu czułam. Ból głowy. Nadgarstków. Kostek. Uwieranie czegoś pod plecami. Zimno. Wilgoć. Wilgoć w kroku. Boże, chyba się nie zsiusiałam? Nagle coś usłyszałam i dopiero ten odgłos uświadomił mi, że przed chwilą otaczała mnie kompletna cisza. Kolejne stuknięcie nad moją głową. Jeszcze jedno. Usłyszałam nad sobą kroki. Skrzywienie desek na piętrze. Ukłucie strachu. I wtedy rozpaczliwie zapragnęłam żyć dalej.

Po raz kolejny podniosłam powieki, ale oślepiło mnie światło, które znieacka wpłynęło do pomieszczenia, więc nie byłam w stanie rozpoznać złażącego po drabinie cienia. Bo była tu i drabina, co zobaczyłam przez szparę pod rzęsami. Ktoś schodził po jej szczeblach. Omiotło mnie światło latarki, więc zmrużyłam oczy, choć bardzo chciałam patrzeć.

338

- Haniu, tyle czasu cię szukałem! - Ciepły jak koc głos Ruty i natychmiastowa ulga w moim napiętym ciele.

- Boże, jak ty wyglądasz!

Zacząłam płakać, z ulgi i przestachu, a on podbiegł, trochę mnie uniósł, bo więcej się z jakiegoś powodu nie dało, w każdym razie taką trochę uniesioną wziął mnie w ramiona, przytulił mocno, aż jęknęłam, bo jeszcze bardziej zabolęła mnie głowa. Chciałam dotknąć swojego czoła, ale miałam unieruchomione ręce. Ruta pachniał płynem do płukania tkanin, a gdzieś od spodu również męskim potem, i te dwa zapachy wydały mi się wonią ocalenia.

- Boże, Haniu, co oni z tobą zrobili?

- Oni? Kto?

- Nie wiem.

- Ruta!

-Tak?

- Nie mogę się ruszać!

- Boże, mam nadzieję, że nic sobie nie odmroziłaś
- przeraził się.

Zerwał ze mnie grubą różową kołdrę, która ześlizg-
nęła się na podłogę jak rozdeptany wąż, zdjął ze mnie
szary koc. Czy to ja wydzielałam ten smród? Położył
mi na piersi latarkę i zaczął się mocować z czymś przy
moich nadgarstkach. Ledwo widziałam swoje ręce. Były
przymocowane do łóżka skórzanymi pasami.

Pamiętałam to łóżko, przypominające stół masażysty.
Na nim kładli, do niego przypinali małe dziewczynki
na filmie, zanim je zgwałcił człowiek w masce. Czy z te-
go wynikało, że uwięzili mnie tutaj ci, którzy kręcili te
pornosy?

- Ruta, szybko, błagam.

339

Chwilę zamarudził przy dłoniach, tym bardziej
że latarka wciąż się zsuwała. Potem z trudem usiadłam
i wzięłam latarkę do ręki, a on zajął się moimi nogami,
również unieruchomionymi przez skórzane pasy. Zoba-
czyłam, że nie zdjęto mi butów.

- Gdzie ja jestem?

- Kojarzysz starą chatę Tobiasza za Świątkowicami-
-kolonią?

Nie kojarzyłam.

- Jak się o ciebie martwiłem! Maks zadzwonił, że nie
wróciłaś do domu i od tamtej pory cię szukam.

- Ile czasu tu leżę? - zaniepokoiłam się.

- Maks zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem - po-
wiedział poważnie Ruta. - W niedzielę - dodał, bo nie
był pewny, czy wiem, jaki dziś dzień. Całkiem słusznie.
Jego niezgrabne dłonie nareszcie mnie uwolniły. Po-
stanowiłam się podnieść, ale bezwładnie osunęłam się
z łóżka na kołdrę na podłodze. Rzuciłam się w kolejnym
ataku paniki. Czułam się strasznie dziwnie, jakby nogi
nie były moje. Głowa też nie do końca.

Wziął mnie za obie ręce, pomógł wstać.

- Ruszaj powoli paluszkami, krew musi tam spokoj-
nie powrócić - uśmiechnął się. - No, raz-dwa, urucha-
miamy stopy.

Nie było czasu na powoli. Ruszałam i ruszałam. Bo-
lało. Szybciej, szybciej, powtarzałam sobie, ale duch
nie chciał zapanować nad zdrętwiałą i obolałą materią.
Zresztą duch też był zdrętwiały.

- Gdzie są moje dzieci?! - spanikowałam.

- Materkowa je wzięła. Spokojnie, widziałem je dziś
w szkole.

- Kto mi to zrobił? Kto mnie tu zamknął? I po co?

340

- Haniu, zastanawiałem się nad tym. Za dużo gadałaś
przy ludziach - tłumaczył. - Po prostu. Za dużo mówi-

łaś. Musieli się wkurzyć, kiedy do nich to dotarło.

- Do nich?

- Do nich, do niego. Skąd mam wiedzieć?

Oparłam się o niego i udało mi się stanąć, za cenę czerni przed oczami i szumu w uszach.

- Chodźmy szybciej, bo nas oboje ukatrupią.

- Jakby cię chcieli zabić, już byś nie żyła - powiedział zdecydowanym głosem. - I by cię nie przykryli kołdrą, tylko zostawili, żebyś zamarzła. No, Haniu, raz-dwa.

Przed nami drabina. Komu mówiłaś o tych pedofilskich filmach? O podejrzaniach?

- Wiedziałeś tylko ty. I Tomek Maliwa.

-AKarak?

- Podejrzewasz Karaka? Ja też. Dlatego nic mu nie mówiłam.

-Nic?

Pokręciłam głową i znowu przeszył mnie kolec bólu.

Zapomniałam, że kręcenie głową w tych ciemnościach nie ma sensu.

- Wolisz mnie pchać czy ciągnąć? - Stałam przed drabiną.

Nigdy, nigdy nie zapomnę, jak pchał od dołu mój brudny tyłek i podtrzymywał, bym szczebel po szczeblu wynurzyła się spod podłogi. Od razu wyłączył latarkę, więc ledwo zarejestrowałam wnętrze opuszczonej chałupy. Na dworze było ciemno.

- Haniu, dasz radę. Do samochodu tylko parę kroków.

- Wyjdź pierwszy, zobacz, czy nikogo nie ma - zarządziłam, choć nie byłam pewna, co mielibyśmy zrobić, gdyby jednak ktoś był.

341

- To komu jeszcze mówiłaś? - drażzył Ruta, gdy znaleźliśmy się w samochodzie. Kazałam mu położyć na moje siedzenie plastikową torbę.

- Karolinie Kozłowskiej.

Speszył się.

- Nie zapalisz świateł?

- Zaraz - stwierdził. Jazdę nieoświetlonym samochodem widział chyba w jakimś gangsterskim filmie.

- Nikomu więcej ?

Szukałam gorączkowo w głowie, co wiele mnie kosztowało. Powinnam chyba pójść na jakąś tomografię, bo miałam wrażenie, jakby wymieniono mi stary procesor na dużo, dużo wolniejszy.

- No i jeszcze Zoranie. Ale przecież jej tu nie ma.

- Zoriana? - zainteresował się.

- Ona jest na Ukrainie. No i była bezpośrednio zainteresowana wykryciem sprawców. Przecież zginęły jej siostry.

- A jaką masz pewność, że ona jest faktycznie czyją-

kolwiek siostrą?

Zoriana? Twórczyni pierogów, ciepły duch domowego ogniska, sympatia mojego syna, roztrzęsiona uciśniona kobieta. Prawie koleżanka. Mieszkała u mnie w domu. Dwie noce spała w kuchni, tuż za drzwiami pokojów moich dzieci.

- Nie, to głupi pomysł - powiedział Ruta. - Zoriana? Zoriana zarumieniona od gotowania. Wściekła na krzywdzicieli swojej siostrzenicy. Załamana z powodu śmierci sióstr. Naprawdę sióstr? Czy ja widziałam jakieś jej dokumenty? I przecież wyjechała bez ciał. Dowiedziała się ode mnie, czego chciała, po czym prysnęła. Jeszcze ją odwozłam na busik. A przecież żadnego busika nie

342
widziałam! Ot, zniknęła gdzieś w Garwolicach ze swoimi ukraińskimi torbami.

Wypytywała Tomka Maliwę. Przeprowadzała śledztwo w fabryce. Szukała tego, kto wpłacał pieniądze dla Mai, a zatem tego, kto Mai współczuł. Drażyla, co takiego powiedziała mi Anna.

- Nie, to nie może być Zoriana - powtarzał Ruta, ale głos miał niepewny.

75

Rzeczy, które miałam na sobie podczas porwania, wepchnęłam do worka na śmieci, zawiązałam go szczelnie i wstawiłam do letniej kuchni. Wywiozę je na śmietnik. Nie chciałam już mieć do czynienia z ubraniami, których dotykały wstrętne pedofilskie łapska. Czułam się, jakby mnie poćwiartowano, a potem niechlujnie zszyto. Byłam już po kąpieli, po wyszorowaniu całej skóry szczotką, by zmyć naskórek, którego dotykali ci zbrodniarze, po długim oglądaniu ran pod prysznicem. Starte kostki u nóg i nadgarstki, straszliwy siniak na głowie... Szukałam też śladów po zastrzyku, bo może mi podali coś oszałamiającego i dlatego jestem taka rozbita? Ale ciężko było mi znaleźć cokolwiek wśród otarć i zadrapań. Oglądałam sobie krocze w lusterku, macałam tam, sprawdzałam, ale nic mnie tam nie bolało. Jeśli zaś chodzi o dłonie i stopy - nie odmroziłam sobie ani jednego palca, chociaż w nocy na dworze znowu był przymrozek. Ruta mi wytłumaczył, że wiejskie piwnice słyną z tego, że utrzymują stałą temperaturę, niezależnie od pogody jest w nich zawsze 15-16 stopni. Wkurzało mnie, że zajmuje się

343

takimi bzdurami, podczas gdy mnie nurtuje zupełnie co innego.

Ledwo łąziłam, obolała, ale łąziłam. Ruta podczas powrotu z chaty proponował, byśmy pojechali do szpitala w Garwolicach, gdzie mieli mnie obejrzeć lekarze, ale

powtarzałam tylko „jutro, jutro” i kazałam mu się śpieszyć do Miśki i Maksa. Zresztą nie chciałam pokazywać się w szpitalu taka śmierdząca. A potem dzieci siedziały wtulone we mnie, nawet mój syn, i nie chciały się ruszyć spod moich kwoczych skrzydeł. Przez moje rumakowanie omal nie uczyniłam ich podwójnymi sierotami.

-Jakie rumakowanie? - chciał wiedzieć Ruta.

- Nie oglądałaś Shreka? - zdziwiłam się.

- Ja nie mam dzieci.

- Rumakowanie? Kiedy osioł udaje konia - wyjaśniłam. - Kiedy nauczycielka angielskiego udaje panią detektyw.

Moje, pożałuj Boże, śledztwa! Moja chęć dojścia prawdy, chronienia ukraińskich dzieci oraz ukarania sprawców ich nieszczęścia. Moja chęć przywrócenia rajów z dzieciństwa. Za co ja się wzięłam?

Powiedziałam dzieciom tyle, że potrafił mnie samochód i trafiłam do szpitala. Tak mnie grzmotnęło w głowę, że nawet nie miałam ich jak zawiadomić, bo straciłam przytomność. Głupia była ta opowieść, wiem, więc mi nie ufali, tylko przyglądali się podejrzliwie Rucie, zwłaszcza Miśka, jakbym cały ten czas spędziła z nim w łóżku. Chciałabym.

Nie, chyba raczej bym nie chciała.

Szczeniak, którego przyniosła Miśka, piszczał i sikał, wsadziłam go zatem do wyłożonego gazetami koszyka

344
i postawiłam w łazience. Jeszcze był czas, żeby się z nim rozstać. Decyzję odłożyłam do jutra.

Wstydziałam się poprosić, żeby Ruta został z nami na noc, ale sam zrozumiał. Zadzwoił do mamy, coś tłumaczył, nie padło wprawdzie moje imię, ale pozwolenie chyba padło, jeśli prosił o nie, a nie po prostu zawiadamiał. Uprał w umywalce swoją bieliznę, żeby na jutro była świeża, nie chciał nawet jechać po rzeczy na zmianę. Mościł się na kanapie w kuchni, tej samej, na której jeszcze niedawno nocowała Zoriana. Ja zasnąłam z Miśką w jednym łóżku, a Maks zaglądał do nas, upewniając się co chwila, czy jestem. Spałam, nawet pierwsza czterdziści siedem minęła niepostrzeżenie, ale nie wyspałam się wcale. Być może rzeczywiście podano mi jakieś dziwne leki, bo następnego dnia nadal wydawało mi się, że realia ukrywają się za wielkim parawanem z mgły i dziwności.

Rano, w kuchni, dzieci patrzyły na Rutę wilkiem, chociaż przecież to on mnie uratował, a ja nie mogłam im powiedzieć, jak bardzo są niesprawiedliwe. Ruta w końcu poszedł do pracy, a myśmy zostali we trójkę. We trójkę plus sikające szczenię. Ja byłam zbyt obolała fizycznie i duchowo, żeby iść gdziekolwiek, a dzieci nie

chciały mnie zostawić samej. Ani, tak naprawdę, ja ich. Zadzwoiłam więc do Eli Lichańskiej. Nie wchodziłam w szczegóły, więc może przypuszczała, że mam kaca, nie zależało mi jednak na tym, co sobie pomyśli. Zależało mi wyłącznie na moich dzieciach. I trochę na sobie.

MIŚKA

76

Pani Materkowa wypytywała mnie, gdzie mama właściwie była, gdy jej nie było, i czy pan Rutkowski już u nas mieszka. Powiedziałam, że nie, że tylko raz nocował, kiedy mama wróciła z tego szpitala i bała się być sama. Wtedy pani Materkowa spojrzała na mnie w dziwny sposób. Zaczęłam się płatać, że pan od wufu tylko chciał wtedy u nas spać, ale w końcu nie spał. Wyjaśniałam i wyjaśniałam, żeby nie patrzyła na mnie tak podejrzliwie i mało przyjemnie, nic jednak nie wskórałam.

Lubię to słowo: „wskórałam”. Takie absurdalne trochę, bo ma coś wspólnego ze skórą, ale nie wiadomo co.

W każdym razie po tej rozmowie już nie poszłam do Sabriny. Zresztą byłam bardzo zajęta Psem. Nadal baliśmy się z Maksem nadać mu imię, na wypadek gdyby trzeba było go oddać. Mama nie pozwalała wychodzić z nim z domu, Pies więc siusiał na podłogę, przez co nasz dom nabrał nowego zapachu, ale ja się w tym smrodku czułam bezpiecznie. Spał ze mną, mama kazała w nogach, ale w nocy przełaził i przytulał mi się do szyi, pod brodą, ciepły i trochę mokry, zwłaszcza przy nosie.

346

I czujny był, piszczął, kiedy ktoś wchodził do domu. Jak nikt nie wchodził, też piszczął. Czasem piszczeliśmy sobie razem, co wkurzało mamę, ale po swoim zniknięciu i powrocie nie potrafiła się na nas długo gniewać, od razu podchodziła, przytulała i łzy jej napływały do oczu, co było okropne, naprawdę.

Bałam się ją przytulać, bałam się ją kochać, bo przecież mogła znowu zniknąć.

LIST DO REDAKCJI

Droga redakcjo!

Moje dzieci chcą mieć psa. W życiu bym się na to nie zgodziła, ale pod moją nieobecność sąsiad podrzucił nam szczeniaka. Sęk w tym, że psisko ma być ponoć ogromne jak jego matka. Sęk też w tym, że do niczego niepotrzebna mi dodatkowa odpowiedzialność.

Córka jednak płacze i błaga, że chce mieć znowu czteroosobową rodzinę; syn oznajmił, że jak nie zatrzymam kundla, to on się zabije. Redakcjo, musisz zrozumieć, że pół roku temu zabił się mój mąż. Dzieciom najwyraźniej go brakuje i dlatego mnie tak strasznie szantażują.

Nie mam siły z nimi walczyć. Nie mam siły zajmować

się tym psem. Co robić?

Odpowiedź redakcji:

Nie wiemy.

HANKA

77

Jeśli się pojechało piaszczysto-błotnistą drogą, która z centrum Świątkowic prowadziła do Świątkowic-kolonii, czyli tak naprawdę do domów: naszego i Materków, jeśli więc nadal podążało się tą mało komfortową drogą, wjeżdżało się w las, potem w pola, potem znowu w kawałek lasu i już po czterech kilometrach z hakiem widać było kolorowy domek Tobiasza, który zmarł na starość parę lat temu. Chatce brakowało tylko płotu z pierniczków; zamiast niego kiwały się poczerniałe szczerbate deski. A dalej - błękitne ściany, futryny okien pomalowane na żółto, na dachu eternit litościwie porośnięty mchem. To tam, w środku, źli mężczyźni dręczyli małe dziewczynki? Tam kręcili te potworności? Tam spędziłam całą dobę, przypięta pasami do łóżka? Nie chciało mi się w to wierzyć, tym bardziej że po wielu dniach szarości pojawiło się na chwilę nieśmiałe słońce i dodawało uroku wszystkiemu, na co padało.

- Fajna wyprawa, nawet pogodę zamówiłaś - odezwał się Karak, zadowolony, że gdzieś razem przyjechaliliśmy. I to bez Ruty.

348

- Karak, bądź poważny.

-Jest tyle przyjemniejszych miejsc na spotkania.

Chcesz, żeby Ruta był zazdrosny?

Stałam przy samochodzie jak wmurowana i bałam się zrobić krok w stronę chaty. Nie byłam zresztą pewna, czy to rozsądne, nawet w towarzystwie policjanta. Rozbawionego i pozbawionego broni. Ale musiałam coś z tym zrobić. Od porwania minęły już dwa dni i bałam się, że ślady mogły ulec zatarciu, czy jak to się tam mówi w kryminałach.

Wzięłam w końcu Karaka pod rękę i popchnęłam go w kierunku Tobiaszowego przybytku. Wyraźnie ucieszył się z kontaktu fizycznego. Furtka była zamknięta na kłódkę, ale płot obok pochylał się niemal do ziemi. Pomalowane wiele lat temu na biało drzwi chaty były zamknięte na skobel przytrzymywany zardzewiałą kłódką, ale metalowe bolce wychodziły łatwo ze spróchniałej deski. Wyjęłam je i pchnęłam drzwi. Ze środka buchnął zapach zbutwiałego drewna, wilgoci i dawno nieużywanego domostwa. Poza tym chata była pusta, co szybko się dało sprawdzić, bo miała tylko dwie izby: przechodnią kuchnię i pokój. Okna uszczelniono grubymi pasami waty, na której dla dekoracji ktoś pousta-

wiał szydełkowe muchomorki. Brakowało tylko krasnoludków. Puściłam ramię pana policjanta i rozpoczęłam obchód. Pośrodku kuchni widać było prostokąt klapy prowadzącej do piwnicy. Poprosiłam Karaka, by ją podniósł. Ucieszył się, że może zaprezentować sprawność swoich bicepsów, więc odwalił klapę z takim impetem, że aż zatrzęsła się chałupa.

- Masz krzepę - powiedziałam, bo najwyraźniej tego oczekiwał.

349

Podeszłam powoli do prostokątnego otworu i spojrzałam w dół. W niewielkich kołach światła z naszych latarek ledwo co było widać, ale jednak zauważyłam, że piwnica jest zupełnie pusta. Nie było łóżka ze skórzanymi pasami, ani nawet drabiny, po której Ruta zszedł, a potem pchał mnie do góry. Ani śladu, że ktokolwiek tam leżał nieprzytomny przez całą dobę, a kto inny go stamtąd ratował. Widziałam tylko pobielone ściany, szarą podłogę, i tyle.

- Poczekaj - powiedziałam do Karaka i wyszłam z domu. Obeszłam go dokoła. Drabina, po której wyszliśmy z piwnicy na wolność, zniknęła na amen. Wróciłam do kuchni, w której dzielny posterunkowy stał oparty pośladkami o parapet okna i gapił się w czarną dziurę w podłodze. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Oj, Haniu, Haniu. Takie dziwne miewasz preteksty... Wpatrywał się we mnie, ale nie odwzajemniłam uśmiechu. W końcu on też spoważniał.

- Ja bym się nawet mógł zaangażować - powiedział.

- Ja bym nawet mógł z tobą być i cię chronić.

Nie odpowiadałam. Po chwili kątem oka zobaczyłam, jak obleśny uśmieszek wraca na wydatne usta.

- No to teraz powiedz, po co naprawdę mnie tu przywiozłaś...

Rozumiałam już dużo. Nikt mnie nie chciał skrzywdzić. Chciano mnie po prostu nastraszyć i ewentualnie zrobić ze mnie idiotkę, gdybym postanowiła kontynuować śledztwo. Nastraszyć, nie zabić. Do zabójstwa, przez tę dobę, którą spędziłam przypięta do potwornego łoża, było aż nadto okazji, poza tym uwięziły mnie osoby, które nie wahały się przed popełnieniem morderstwa. Co mnie zatem ochroniło? Narodowość? Bzdura.

350

Gapiałam się w podłogę, dochodząc do wniosku, że może po prostu wiedziałam mniej niż Ukrainki. Może dopiero stałam na progu pewnej wiedzy i dopiero pójście o krok dalej groziło uzyskaniem śmiertelnej informacji? Czy takie było przesłanie mojego porwania? Zatrzymaj się, bo coś ci się stanie? I wyraźny podpis. Było nim łóżko, to samo co na filmie. Westchnęłam ciężko, raz i drugi.

Nagle w moim polu widzenia pojawiły się zabłocone buty, a na ustach poczułam ciepłe, gładkie i pachnące wodą kolońską wargi. Natychmiast zaczęłam się dusić; odepchnęłam agresora, przed twarzą pojawiło trochę przestrzeni, otworzyłam usta, by zaczerpnąć powietrza, ale wtedy wargi błyskawicznie powróciły, a co więcej - do wnętrza ust wdarł się mokry jęzor. Ugryzłam go od razu, wysunął się, zacisnęłam usta i tym razem silniej odepchnęłam roznamiętzonego Karaka.

- Podoba mi się, że nie jesteś łatwa - powiedział.

- Zwariowałeś? - wrzasnęłam.

- Wyglądasz tak ślicznie, kiedy się gniewasz - sapnął i znowu pochylił się ku mojej twarzy. Pchnęłam go po raz trzeci. Zaskoczony zamrugał, wyprostował się i spojrzał na mnie poważnie.

- O co ci chodzi? Tak naprawdę?

I co ja mu miałam powiedzieć?

- Lubisz podniecać facetów, a potem ich odpychać, tak?

-Ja cię podniecam? - Naprawdę mnie zaskoczył.

- A nie? Ja z nią zwariuję! - Czerwony na twarzy wymachiwał mi ręką przed oczami. - Stoisz naprzeciwko, uśmiechasz się, oddychasz, jakby cię właśnie ktoś przeleciał. Ech! - Jeszcze raz machnął ręką i się odwrócił.

- Przyjechałam tu z tobą jako z przedstawicielem władzy.

351

- Ale twoja gadka się kupy nie trzyma. Porywacze w Świątkowicach? Z kwaterą w chacie starego Tobiasza? I nawet cię nie zgwałcili? To po co to wszystko?

Nie wtajemniczałam go w pedofilskie niuanse. Bałam się o tym mówić komukolwiek. Chciałam jedynie, by stwierdził, co z tym porwaniem.

- Ruta może potwierdzić moją wersję. Był tu i widział. Karak, zrozum, oni usunęli wszystkie ślady. Nawet drabinę stąd wywieźli.

-A może sobie jaja ze mnie robicie? Ruta był kiedyś moim najlepszym kumplem, ale odkąd przyjechałaś, trzyma głównie z tobą.

Pociągnął nosem, po czym odwrócił się i wyszedł z chaty. Poszłam za nim. Wcisnęłam skobel na miejsce, przeskończyłam przez płot i siadłam za kierownicą. Karak siedział na miejscu pasażera i gapił się w okno. Widać było, że jest kompletnie obrażony. Włączyłam silnik, ruszyliśmy.

- I patrz na drogę. Nie lubię, jak baba prowadzi.

Chwilę jechaliśmy w milczeniu. Pociągał nosem, co mnie strasznie wkurzało, a jego woda kolońska zdominowała całkiem wnętrze mojego auta. Miałam nadzieję, że teraz nie spróbuje złapać mnie za kolano.

- Karak, jakie interesy robi twój tata?

Drgnął i spojrzał na mnie.

- Mój tatuś? Chyba karciane. Jakie ma robić interesy?
- Zarabia na czymś?
- O co ci chodzi? Tatuś jest na emeryturze.
- Ale na koloniach dla ukraińskich dzieci zarabiał, prawda?
- Tam? Grosze. On to robił dla przyjemności. Lubi prowadzić ludzi po lasach. Mój tatuś żadnych interesów nie robi.

352

- Chodzi mi o te biznesy z ojcem Karoliny.
Karak był zdeorientowany. Albo udawał, że jest.
Wzruszył ramionami.

- Dziwna jesteś i cię nie rozumiem. - To była cała jego odpowiedź.

Nie chciał, żebym podjeżdżała pod jego dom, wysadziłam go więc przed pubem, gdzie zadbał o to, by wszyscy zobaczyli, z kim przyjechał. Spojrzał jeszcze na mnie przez okno, na „do widzenia” oblizal się soczyście i z błyszczącymi ustami odszedł w ciemność.

78

Jestem raczej bezpieczna, uznałam, parkując przy płocie swojego szarego domu. Jesteśmy bezpieczni. Teraz wystarczy, że przestanę ryc wokół filmów i będzie spokój. Nie szukać, nie zastanawiać się. Zresztą przestała mnie popędzać motywacja, jaką były wielkie, wypełnione łzami oczy Zoriany. Powoli zyskiwałam pewność, że nie była ze mną szczerą.

- Hania, gdzie się podziewałaś? - Z cienia przy płocie wychynał Rumcio. Spod czapki z daszkiem nie było widać oczu.

- Tu i ówdzie - wykpiłam się, ale nie dał się nabrać.

- Wiem, gdzie byłaś przed chwilą. Pod chatą Tobiasza, z Karakiem. Nic ci nie zrobił, pilnowałem. Chociaż chciał.

Pilnował mnie. Przeraziłam się.

- Ale ja chcę wiedzieć, gdzie byłaś wtedy, jak was nie było w nocy w domu. Całą noc was nie było, ani ciebie, ani dzieci. Dzieci spały u Materków. A ty? Gdzie spałaś? Co?

353

Uspokoiliam i oddech, i głos.

- Rumciu, nie podobają mi się twoje pytania. Ani to, że mnie śledzisz.

Sapnął zniecierpliwiony.

- Twoje dzieci. Nie wpuściły mnie. A ja im dałem takiego dobrego pieska.

- To od ciebie ten piesek?

- Jak urośnie, będzie duży i dzielny. On was obroni.

Widziałaś moją sukę. Ona mi krzywdy zrobić nie da. Tobie też nic się nie stanie, jak on będzie z wami mieszkał.

Zaraz urośnie i cię obroni.

- Rumciu, ale kto miałby mnie skrzywdzić?

- Ty wiesz, kto.

Nie wiedziałam.

- Uważaj na Rutę. Proszę.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Myślałam, że Rumcio dysponuje jakąś tajemną wiedzą, ale chłopina był po prostu zazdrosny.

- On jest zły. To zły człowiek. Ja to wiem.

- Co wiesz, Rumciu?

- On nie ma dobrych zamiarów. On... Uważaj na niego. Proszę. On... On jest robaczywy.

Stał przy płocie, gdy otwierałam furtkę i gdy ją zamykałam. Coś jeszcze powiedział, cicho i niewyraźnie.

Nie dosłyszałam.

- Słucham?

- Haniu, pocałuj mnie - powtórzył. - Proszę.

Przechylił się przez płot, ale odwróciłam się i poszłam w kierunku domu.

MIŚKA

79

Już drugi dzień chodziłam z Psem po lesie. Miał smycz i ledwie człapał z powodu ciężaru obroży, taki był malutki. A ja go uczyłam siusiać po psiemu, choć wcale nie podnosił nogi, tylko kuczał do tego sikania. Miałam nadzieję, że nie jest to żadna choroba. Ale kogo miałam o to spytać?

Mama co prawda kazała mi wyprowadzać Psa tylko na podwórko, a potem zbierać po nim kupy, żeby syfu nie było, ale ja, w tajemnicy, zaczęłam chodzić z nim za płot, żeby poznawał nowe zapachy i się ładnie rozwijał. Z Psem się nie bałam tam chodzić, naprawdę.

Zresztą z daleka widać było nasze oświetlone okna, a dalej przecież nie odchodziłam. Zasłonki prawie wcale ich nie zakrywały. Widać było mamę krzątającą się po kuchni i Maksa w jego pokoju, pochylonego nad komputerem. Albo mamę klarującą coś Maksowi i Maksu zasłaniającego wtedy monitor komputera. Mama wcale nie była zadowolona, kiedy się dowiedziała, że Maks bez przerwy pisze do Zoriany na Facebooku. Zauważyłam to raz, kiedy poszedł do kibla i zjrzałam mu w ten głupi ekran. Wiem, powinno się mówić: do ubikacji, 355

ale tak jest dłużej i mniej wygodnie, więc wolę używać po prostu kibla, co dość znacznie wkurza mamę. Miłość Maksa do Zoriany nie miała przyszłości, naprawdę nie wiedziałam, dlaczego on tego nie rozumie. Dojrzewanie nie mogło aż tak bardzo rzucać się na mózg.

Pies kręcił mi się przy nogach w tych ciemnościach, a ja, jak zaszłam od drugiej strony, widziałam lekko

oświetlone okno mojego pokoju, bo zostawiałam zapaloną lampkę na biurku. Czułam się z tym różnie, bo widziałam swój dom.

Ale nie ja jedna na niego patrzyłam.

Bo pewnego wieczoru nagle zobaczyłam, że przy drzewie po drugiej stronie drogi stoi jakiś cień. Cień poruszał się rytmicznie i posapywał w dziwny sposób. Zamarłam i modliłam się, żeby Pies się nie odezwał. Powoli i cichutko przesuwałam się w kierunku naszej furtki. Ale Pies się zaparł łapami i wcale nie chciał wracać. Szarpnęłam smyczą, i zaczął wtedy piszczeć. Przestraszyłam się, że zrobiłam mu krzywdę, pochyliłam się nad nim, szepnęłam: „Cicho!”, ale on nie słuchał, zamiast tego szarpnął się w kierunku cienia. Cień stęknął i przestał tak strasznie sapać, a Pies już ostatecznie wysunął się z obrożi i piszcząc, pobiegł w jego kierunku.

Zamarłam. Ale po chwili postanowiłam: uratuję Psa.

Cień oderwał się od drzewa, schylił się i złapał Psa, który stał się podejrzenie cichy. Podbiegłam do cienia. To był mężczyzna, raczej niski. W rękach trzymał nie tylko Psa, ale i coś białego.

Nie taki wysoki i w czapeczce, więc już wiedziałam, kto to jest. To oczywiście pan Rumcio, który podał mi Psa („zapomniał, że jest twój”, powiedział), żeby porządnie

356
wyrzucić sobie mokre dłonie tą białą chusteczką. Przytuliłam głupie zwierzę, które znowu mi się wrywało, i pobiegłam do furtki. Wbiegłam za ogrodzenie, przekreśliłam klucz w kłódce i pognałam do domu.

Zdradzieckiego Psa włożyłam do koszyka. Na karniszu przy swoim oknie od razu powiesiłam koc. W kuchni wzięłam kapę z kanapy, wdrapałam się na krzesło i zarzuciłam kapę na karnisz. Udało mi się, ale po bokach ziały szpary. Pociągnęłam kapę, żeby szczelniej zasłonić okno i... karnisz się urwał, z wielkim hukiem runął na podłogę. Pies zapiszczał i śmignął pod stół.

Mama wypadła z pokoju Maksa, gdzie usiłowała go wychowywać, i spojrzała przerażona na zniszczenia, jakich dokonałam.

- Po co ta kapa?

- Chciałam zasłonić okno.

- Przecież są zaslonki... - przyjrzała mi się lepiej.

- Byłaś z Psem na dworze?

Pokiwałam głową.

- Ktoś tam stoi i się gapi w nasze okna?

Pokiwałam powtórnie.

- Rumcio - domyśliła się od razu.

Karnisz wyrwał w ścianie niemałe dziury, więc mama, zagryzając wargi, stanęła na krześle i przybiła kapę bez-

pośrednio do ściany kilkoma wielkimi gwoździami.

HANKA

80

Otaczały nas siły ciemności, czułam to coraz wyraźniej. O zabójstwach Ukrainek oraz o zniknięciu Ewy i Pawła Maliwów wołałam nie myśleć w ogóle, ale niezależnie od tego, co próbowałam wyrzucić z głowy, w mojej podświadomości nieustannie wiła się Zoriana, wysuwająca macki z Facebooka. Z drugiej strony jak cień pełzał Rumcio.

- Haniu, to nie jest karalne - stwierdził Karak.

- Facet stoi na drodze publicznej i ma prawo patrzeć wszędzie, w twoje okna również. A prezenty? Zawsze możesz nie przyjmować. Ale to raczej dziedzina kontaktów towarzyskich niż zakresu działań policji.

- Czuję się zagrożona.

- A to raczej sprawa dla psychologa.

- Czy ciebie to bawi?

Pokiwał głową.

- Tak ładnie się denerwujesz. I fajnie się boisz. Rumciowi pewnie też się to podoba. Jak się boisz, to zawsze możesz kogoś poprosić, żeby u ciebie spał. To nie musi być Ruta, wiesz o tym?

358

Brakowało jeszcze, żeby się oblizał. I faktycznie, wysunął jęzor.

- Karak, dlaczego się jeszcze nie ożeniłeś?

Nie spodziewał się tego pytania. Ja też nie, prawdę mówiąc.

Schował język i milczał przez chwilę.

- Przyszłaś do mnie służbowo, tak?

Pokiwałam głową.

- To nie będę odpowiadał na takie pytania. Kiedy się spotkamy prywatnie... - Spojrzał na mnie badawczo.

- A po co chcesz wiedzieć?

- Masz potrzeby. Co chwila udowadniasz, że je masz.

To może byś zainwestował w jakiś stały związek, a nie tryskał frustracją na prawo i lewo?

- To samo mogę powiedzieć o tobie. - Karak był zły.

- Odkąd tu przyjechałaś, faceci latają za tobą jak za suką w rui. Wszyscy mają nadzieję, czy wszystkim dajesz? Całe Świątkowice o tym gadają, wiesz?

Kontakty z Karakiem zawsze zostawiały we mnie duży niesmak, natomiast kontakty z Rutą - wiele ukojenia. Miałam nadzieję na to ukojenie, gdy po wizycie na posterunku szłam przez śmierdzącą potem szkolną salę gimnastyczną. Ruta, sapiąc, właśnie targał kozioł do kantorka na sprzęt sportowy.

- Zaczekaj, pomogę ci.

- Daję radę - wystękał i opuścił kozioł, po czym

oparł się o niego i spojrzał na mnie z troską. - Mizernie wyglądasz.

Łzy od razu napłynęły mi do oczu.

- Mam dosyć - szepnęłam.

- Co mówisz? - Podeszedł do mnie, przeskakując Przez odskocznię.

359

- Mam tak strasznie dosyć!

- Czego?

- Tego, że całe życie jest cholerną walką. I że nie mam kiedy odpocząć.

- Ja się tobą zajmę. - Pogłaskał mnie po ramieniu.

- Pomogę ci. Już zniszczyłem tego pendrive'a z filmami. Wykasowałem wszystko i spuściłem go w sedesie. Tak na wszelki wypadek. Resztą też się zajmę.

Łzy płynęły jedna po drugiej. Byłam zagubiona. Użalanie się nad sobą było tak strasznie dziecinne! Podobnie jak to, że zrobiło mi się lepiej, gdy Ruta przytulił mnie do swetra pachnącego płynem do płukania tkanin. Ale całkiem niedziecinne było to, że całkiem dobrze zrobiło mi się, gdy mnie pocałował. Szorstki język, smak wypalonych przez niego papierosów i wielkie poczucie ulgi. Bezpieczeństwo. Niech ktoś się wreszcie mną opiekuje.

Karak nie miał racji. Wcale nie potrzebowałam do tego alkoholu.

Kiedy weszliśmy razem do domu, Pies wybiegł spod stołu i zaczął warczeć. Nie wiedziałam, że taki z niego kamikadze. Dzieci też prawie warczały, zwłaszcza Miśka patrzyła na Rutę wilkiem.

- Mama, ale pan Rutkowski chyba nie będzie u nas spał? Znowu? - spytała, zaciągnawszy mnie do swojego pokoju, gdy Ruta zaczął się zastanawiać, jak umocować oberwany przez nią karnisz.

- Co ci przyszło do głowy?

- Wszyscy pytają, czy on u nas mieszka. Już nie wiem, co mówić.

- Prawdę. Albo nic. Bo co kogo obchodzi, z kim mieszkamy?

360

- Mnie obchodzi - zaznaczyła Miśka.

- Haniu, tu jest wyrwany spory kawał tynku. Musisz kupić gips i załatać - odezwał się Ruta z kuchni. - Wyżej na razie przykręcić nie da rady, bo się będzie dalej ten tynk kruszyć.

Tyle to sama wiedziałam, ale miałam nadzieję, że męska ręka uczyni jakiś cud.

Ale to było tyle na temat cudu męskich rąk. Na temat całowania również, bo przecież nie będziemy tego robić u mnie w domu, pod ciężkim wzrokiem mojej córki. No

i nie w plenerze, gdzie dał wiatr, a zimno przenikało do kości.

Ale pamiętałam dobrze nasze pocałunki w sali gimnastycznej i w duszy było mi całkiem ciepło.

81

Wkrótce ja też miałam konto na Facebooku. Szybko odszukałam Zorianę i zaczęłam z nią korespondować. Nie dowiedziałam się wiele więcej. Maks wpisał parę zaczepki na profilu Zoriany, na które ona reagowała z klasą, w stylu „dziękuję i pozdrawiam Maksika”. Gdzie była? Sondowałam ją na temat pogody, jej zajęć, ale niczego nie byłam w stanie wydedukować. O Maksie nie wspominała, tylko zbiorowo kazała pozdrowić dzieci i generalnie nie była zbyt wylewna, co tylko utwierdzało mnie w podejrzeniach.

- Kiedy wracasz do Polski? - zahaczyłam ją.

- Jak będę mogła zabrać moje siostry - pisała po angielsku. - Tu dzieci płaczą, Maja Oleny i córki Anny. Dowiedziałaś się czegoś o tych filmach? Kto to robił? Gdzie?

361

Dobra, dobra, pomyślałam, sonduj mnie dalej.

- Przestałam się tym interesować - odpisałam. - To nie są moje sprawy, ja chcę po prostu spokojnie żyć.

Po tej odpowiedzi Zoriana już się nie odezwała.

Maks z ogórków z miodem przerzucił się na chleb z miodem. Co jak co, ale chleb był w Świątkowicach znakomity, bo nie dotarły tu jeszcze dobrodziejstwa polepszaczy i innych piekarskich wynalazków. Mój syn częściej teraz przesiadywał w kuchni, napychając się po wręby, niż przed komputerem. Jeść przed komputerem mu nie pozwalałam, ze względu na dobro klawiatury, co nie przeszkadzało, by z dnia na dzień stawał się coraz większy. Jednak szybciej rósł wszcz niż wzdłuż. Brzuch ledwo mu się mieścił pod koszulkami, które kupowaliśmy jeszcze w Warszawie. Miśka zaczęła mu dokuczać, a ja nie wiedziałam, co robić. Wolałam go w kuchni niż przed komputerem, korespondującego z Zorianą, ale nie chciałam, by sobie wyhodował bandzioch godny amerykańskiego nastolatka. Kiedy już zjadł obiad, zaczynał sobie pichcić makarony, zalewać wrzątkiem chińskie zupki i bez przerwy młócił drożdżówki. Kiedy się najadł, łagodniał i mniej warczał, ale generalnie prawie się nie odzywał. Komputer miał zawsze włączony na Facebooka.

Nie byłam pewna, kto mu przemówił do rozsądku, bo nie byłam to ja, ale w szkole chyba rzeczywiście załatwił sprawę. Wiedziałałam, że poszedł po prośbie do nauczycielek, żeby dały mu szansę poprawić stopnie. Ela pogratulowała mi dojrzałości syna.

- Umie się ukorzyć - pochwaliła.

Mnie Maks nie powiedział nic na ten temat, jakby to nie była moja sprawa. Może faktycznie nie była.

362

82

Wychodziłam właśnie ze szkoły z Elą Lichańską, kiedy zobaczyłam za płotem tego małego grzyba z popsu-
tymi zębami.

- Oj, chłopcy naprawdę wariują za tobą. - Uśmiechnę-
ła się do mnie moja koleżanka.

Wzięłam ją pod ramię i przeszliśmy przez furtkę.

- Dzień dobry. - Rumcio uchylił grzybiej czapeczki.

Odwrociłam się do Elki i powiedziałam bezgłośnie:

- Ratuuj.

- No, to cię, Haniu, porywam do siebie. - Wzięła
mnie pod ramię i poszliśmy. - Do widzenia, Rumciu.

U Elki posiedziałyśmy chwilę. Pokazała mi zadbane
dom, niewielki, choć przytulny. Jej mąż miał lakiernię sa-
mochodową, więc dzięki temu z dumą mogła zaprezen-
tować mi lodówkę w kolorze czerwony metalik. Zresztą
cała kuchnia była urządzona na czerwono. Miała dziew-
czyna fantazję.

- Stoi tam jeszcze? - spytałam. - Rumcio? Stoi jeszcze?

- On jest nieszkodliwy.

- Ale upierdliwy.

- Zawsze brał na celownik młodsze, możesz się czuć
zaszczycona.

- Elu, proszę cię.

Podeszła do okna i odchyliła firankę.

- Droga wolna. Wpadnij jeszcze, koniecznie. Nie tyl-
ko kiedy Rumcio cię ściga.

Odprowadziła mnie do drzwi. Deszcz mżył, ale
miałam kurtkę. Dałam dwa kroki do przodu po zadba-
nym ogródku Lichańskich i w świetle ulicznej latarni

363

zobaczyłam, że Rumcio stoi sto metrów dalej, za kaplicz-
ką, przestępując z nogi na nogę. Od razu dałam krok
do tyłu, za żywopłot. Mogłam się jeszcze u Eli przecho-
wać, ale dziwne przeczucie mówiło mi, że tych kilkadzie-
siąt minut więcej faceta nie zniechęci.

Stałam tak, przytulona do mokrego krzaka, i zasta-
nawiałam się, co robić. Obeszłam dom Eli i przeszłam
na tyły podwórza. Pies szarpał się w klatce niewiele
większej od budy. Ela nie miała stodoły, nie utrzymy-
wali się w końcu z rolnictwa. Z tyłu była tylko siatka.
Jako dziecko bez problemu przez takie ogrodzenie
przechodziłam górą. Ale tu nie musiałam, bo drucia-
na siatka w jednym miejscu trochę odstawała od słup-
ka. Akurat tyle, by się zmieściła jedna wychudzona
wdowa.

Przecisnęłam się z trudem, więc kawałek kurtki zostawiłam na druciu. Błotnistą brudą przeszłam na wysokość następnego obejścia. I następnego. I jeszcze jednego. Kiedy się w końcu wydostałam na główną drogę, pomyślałam, będę na tyle daleko od kapliczki, że Rumcio mnie przegapi w ciemnościach.

Spodnie miałam po kolana w błocie, mżawka nieprzyjemnie chłodziła i tak chłodną twarz. W kolejnym obejściu szalał pies, który się bardzo ucieszył, że ma kogo obszczekać. Odprowadził mnie aż do płotu sąsiedniego gospodarstwa i ucichł. Jeszcze czasem myliła mi się kolejność zabudowy, ale teraz byłam prawie pewna: stałam za domem Ruty.

Tu na szczęście nie było psa. Ruta opowiadał mi jakiś czas temu, że myśliwi zastrzelili jego Kinga, że szuka nowego, że jak się zdecyduje, żeby oddać, to weźmie tego naszego szczeniaka. Tak, postanowiłam, tędy wyjdę

364
na główną drogę. Oby tylko nie spotkać pani Rutkowskiej! Wybiegnę, dopadnę swego samochodu, stojącego przy szkole, i pozbędę się Rumcia na dzisiaj.

A jutro polka zacznie się od nowa. Ale tym pomartwię się później.

Na podwórku Ruty zauważyłam jakiś ruch. Może idealna pani domu, Brygida Rutkowska, przycinała żywopłot lub zajmowała się ostatecznym wylizywaniem swego idealnego obejścia? Ale czy robiłaby to po ciemku? I podczas mżawki?

Okna domu płonęły całkiem jasnym blaskiem, choć żarówki mieli energooszczędne. Pani Rutkowska, o ulgo, znajdowała się w swojej ciepłej, błyszczącej kuchni. Zagniatła ciasto, z nieco większą wprawą, ale mniejszą pasją niż Zoriana. Popatrywała jednocześnie co chwila w jeden punkt, który był chyba telewizorem.

Szelest na podwórzu nie pochodził szczęśliwie od żadnego cichego amstafa, lecz od starca na wózku, opatulonego tak, że ledwo było widać twarz. To podnosił głowę, to opuszczał, coś syczał, szeleścił. Wózek stał w altance otoczonej krzakami chyba porzeczek. Chyba, bo były już łyse.

Z domu wyszedł Ruta. Boże, jaki on piękny! Wąski w biodrach, szeroki w ramionach, a chodził tak jakoś... miękko. Wargi też miał miękkie. Nic cieplejszego na siebie nie narzucił, choć kropiło, ale zaraz skierował się w stronę altanki.

- Mamusia kazała mi tatusia zabrać z tego werandowania. Bo to kolacja zaraz będzie, pierogi mamusia lepi.

Pogładził ojca po ręce.

- No, tatuś, lepiej się dzisiaj czujemy?

Zupełnie, jakbym go podglądała przy sikaniu, tak intymna była ta scena. Zawstydziałam się, ale teraz tym bardziej nie wypadało mi się objawiać.

Ruta kucnął przed wózkiem i spojrzał w górę, na twarz ojca.

- Wie tatuś, przecież nie możemy tego tak zostawić.

Niech tatuś da mały znak. Proszę. Ja będę mówił różne miejsca, a tatuś mrugnie, jeśli będę blisko. Tatuś? - Zajął od dołu w oczy kaleki, szukając kontaktu. - Proszę, niech tatuś jeszcze troszkę się potrudzi.

Wzruszająca scena. Ruta był naprawdę niezwykłą osobą. Miękkie ciepło zalało mi serce. Co z tego, że młodszy, skoro taki dojrzały?

-No, tatuś. Dajemy radę? To ja teraz będę mówił miejsca, a tatuś tylko palcem ruszy. O tu, żebyś poczuł na ręku. Przecież tatuś umie ruszać palcem.

Cisza. I chyba ruszenia palcem nie było.

-Woli tatuś mrugać? Niech tatuś da znak, że mnie słyszy!

Teraz powinnam wyjść zza płota, krzycząc: „Surprise! Dobry wieczór! I miło was widzieć”. Ciekawe, co by Ruta zrobił?

Bo jego tatuś raczej nic, najwyżej ruszyłby palcem.

Ale nie wyszłam, bo nagle skrzyknęła furtka i z ciemności wyłonił się jeszcze ktoś. Sprężysta sylwetka, raźny krok. Dopiero gdy się odezwał, poznałam charakterystyczny zaśpiew. Karaczek senior.

- Dobry wieczór. I co? - spytał.

- Nie taki dobry, bo nic - mruknął ponuro Ruta.

Karaczek poklepał Rutę po ramieniu, wyciągnął papierosa i zapalili. Stary muszkieter wsadził nawet pa-

366

pierosa do ust panu Rutkowskiemu, poczekał chwilę, machnął ręką i zabrał papierosa z powrotem.

- Martwię się, że nie zdążymy - powiedział Ruta.

- Jak ktoś znajdzie ciało Maliwy, to znowu się narobi problemów.

Na pewno się przesłyszałam.

- Co mówisz, synu? - huknął głuchawy Karaczek.

- O Maliwie mówię - powtórzył Ruta nieco głośniej.

A jednak się nie przesłyszałam. - I o tamtych dwóch. Z nimi nie poszło za dobrze. Tak nie może być.

- Schować go trzeba będzie lepiej niż tamte dwie, wiesz o tym? - poradził Rucie Karaczek.

- Ano trzeba będzie. - Ruta rozejrzał się dokoła, podali sobie z Karaczkiem dłonie, po czym popchnął wózek z ojcem w kierunku oświetlonego ganku.

dół tam prawie nie było, aż do obejścia Eli Lichańskiej. Prze-
cisnęłam się ponownie przez szparę w siatce, drąc do reszty
kurtkę, i trzaskając furtką, wypadłam biegiem przed dom,
gdzie od razu znalazł się przy mnie Rumcio. Było mi już
wszystko jedno. W kompletnym popłochu biegłam do swo-
jego samochodu, który zostawiłam przy szkole.

- Haniu, bo ja ci coś chciałem pokazać - wyjąkał
Rumcio. - Coś ważnego.

Nie miałam głowy do tych jego bzdur. Chciałam
do domu.

- Pokażę ci, jaki ten Rutkowski jest robaczywy - wy-
jaśnił.

367

Ciekawy przyczynek do tego, co słyszałam przed
chwilą.

- Pojedziemy samochodem - powiedziałam.

I pojechaliśmy.

W szczerym polu, daleko od wszystkiego, stały obłe
budowle, lśniące metalicznie, przypominające mi, nie
wiedzieć czemu, elektrownię atomową.

- Silosy po pegeerze - wyjaśnił Rumcio.

- Silosy?

- Tam się paszę trzymało. Ale pegeer upadł. Nikt tego
nie używa. Kiedyś próbowali dzierzawić, ale im prze-
szło.

Na górę silosu prowadziła drabina.

Rumcio wysiadł z samochodu i otworzył przede mną
drzwi.

- Tam musimy wejść - machnął ręką w górę.

- A po co?

- Chcę ci pokazać, jaki Rutkowski jest robaczywy.

- On tam jest? - przecież przed chwilą widziałam obu
panów R. w altanie.

- Chodź - powiedział Rumcio i złapał moją dłoń
swoją miękką mokną rączką. - Ale masz miłe ręce. Wiesz,
że się pieprzyłem z kobietą, ale nigdy się z żadną nie ca-
łowałem? A na filmach tak się ładnie całują...

Prawie go nie słuchałam, bo w mojej głowie ciągle bu-
zowała myśl: Ruta załatwił Maliwę. Porwał i zabił, skoro
mówił o zwłokach. Zabił, a potem pocieszał osieroconych
chłopców, że jeszcze wszystko będzie dobrze. I takiego
człowieka sobie wybrałam, żeby się z nim całować.

- Haniu, jak to zobaczysz, to zrozumiesz, że nie po-
winnaś się z nim spotykać - mówił Rumcio, ciągnąc
mnie w kierunku metalowych cylindrów.

368

Z nim zawsze czułam się strasznie nieswojo, natomiast
z Rutą - zawsze wspaniale. Z tego wynikało, że moja in-
tuicja była jeszcze głupsza niż ja. Nie mogłam jej ufać,
więc uparcie lazałam po szczeblach drabiny w górę silosu,

tuż za Rumciem. Wszedł na górę, spojrzął w dół.

- Chodź tu, Haniu - przygarnął mnie mocnym ramieniem, bym zmieściła się obok niego na szczebelku. Zrzuci mnie tam?, przemknęło mi przez myśl, kiedy zachwiał się nieco. Ale on tylko drugą ręką wyciągnął latarkę, by oświetlić to, co przez wąski otwór było widać na dole.

84

Tak właśnie wyglądał teraz mój świątkowicki raj: popegeerowski silos, ogrodzony policyjnymi taśmami, my już po złożeniu wyjaśnień, a zwłoki wyciągnięte. Było to ciało Pawła Maliwy, jak stwierdził Rumcio, który widział je, kiedy jeszcze było jasno, a może i jeszcze wcześniej. Policja nie miała pewności, bo zwłoki leżały tam od paru tygodni. Nie chciałam oglądać ciała, nie znałam przecież Pawła Maliwy.

- Wierzysz mi już? Wierzysz? - dopytywał się uparcie Rumcio, trzymając mnie za ramię, żebym mu się nie wymknęła. - Rutkowski jest zły. Wierzysz mi teraz?

- Rumciu, ale co Rutkowski ma wspólnego z tym silosem?

- To on go tu karmił - stwierdził.

- Widziałeś?

- Raz. W nocy. Wszedł na drabinę. Zajrzał. Po co do silosu chodzić w nocy? Po co w ogóle chodzić? Co to, jego?

369

- Nie słyszałeś nic z tego silosu? Pukania? Wołania? Spojrzął na mnie jak na głupią.

- Przecież jakbym słyszał, tobym Maliwę stąd wyciągnął, prawda? Chciałem tam zajrzeć, ale ja raczej nie lubię tak wysoko wchodzić. A stary Rutkowski wchodził. Wszedł, zajrzał, zszedł. Po drabinie śmigał, mówię ci. Coś mi się nie zgadzało.

- Jesteś pewien? Stary Rutkowski? Nie młody?

Rumcio się zdenerwował. Chrząknął. Zasapał.

- Zawsze rozmawiasz ze mną, jakbym był od ciebie głupszy, Haniu - powiedział ze smutkiem.

Speszyłam się, bo miał rację.

- Przepraszam.

Pokiwał głową.

- A jak starego Rutkowskiego szlag trafił, to już tu nie przyszedł. Ani on, ani nikt. Wtedy pomyślałem, że miał może jakąś tajemnicę. Zajrzałem do silosu. I pożałowałem, że tak późno. Bo Maliwa już nie żył. Wtedy sobie myślę: a co ja trupowi pomogę? Tylko się chłopaki od Maliwów zmartwią, że ich tatuś nie żyje. No i nic nikomu nie mówiłem. Ja dużo rzeczy wiem, tylko nie zawsze wszystko mówię - dodał złowieszczo.

- Więc dlaczego tak nagle postanowiłeś mi o tym po-

wiedzieć?

Znowu ten chytry uśmieszek.

- Bo ja widzę, jak patrzysz na Rutę. Nie chciałem, żebyś była ze złym człowiekiem. A on jest zły, jak jego ojciec. Zostaw go. On nie jest dla ciebie.

-Tak?

- No pewnie. Słuchaj: ja mam ładny duży dom, mamusia z tatusiem budowali taki, żebyśmy się kiedyś z rodziną zmieścili. Mnie nie zależy, że już masz dzieci z kim

370
innym, pomieszczą się. A przecież możesz jeszcze rodzić, prawda? Będiesz mogła pracować albo i nie, jak chcesz, możesz tylko przy domu chodzić. Ja mam dobry zawód, sama jadłaś moją kielbasę. Nigdy by ci nie brakowało wędliny, mielibyśmy swoje świnki. Ja bym cię nie zdradzał. Ty też będziesz musiała być wierna. - Patrzył na mnie wyczekująco.

- Rumciu, czuję się zaszczyczona. Niejedna kobieta byłaby bardzo szczęśliwa, gdybyś jej ofiarował to wszystko.

- Właśnie do formułowania takich odpowiedzi przydawała się lektura Jane Austen. - Ja jednak jestem wdową. Niedawno zmarł mój mąż i wcale nie myślę o kolejnym ślubie. Ani o kolejnym związku. Naprawdę.

-Ja rozumiem, Haniu. - Zajrzał mi w duszę i posmutniał. - Rozumiem. Ja na ciebie poczekam. Tylko już się nie puszczaj, bo wstyd będzie.

86

Znalezienie ciała Maliwy wywołało w Świątkowicach burzę. Niektórzy podejrzewali Rumcia, Rumcio przerzucał podejrzania na Rutkowskich, ale w odróżnieniu od nich nie był człowiekiem powszechnego zaufania. Pani Rutkowska lekceważyła wszelkie podejrzania i nosiła głowę jeszcze wyżej, wyprowadzając na spacer męża na wózku. Ruta tylko wzdychał, że można mu przypisywać coś tak absurdalnego, a wszystkie panie w pokoju nauczycielskim raczej się z nim zgadzały. Zresztą to przecież Rumcio znalazł zwłoki, więc policja przesłuchiwała go kilka razy. Do wyjaśnień wzięli nawet Rutę, bo jego ojca nie mogli, ale chłopak tylko się roześmiał na tak idiotyczne podejrzania. Dominowała jednak, jak

371

zwykle, wersja o ukraińskiej mafii, która pozbyła się kolejnych zwłok na terenie gminy Świątkowice. Taka wersja wszystkim podobała się najbardziej. Jeśli zło, to tylko importowane z zewnątrz. Nasza polska wieś spokojna. Pokój nauczycielski aż huczał od plotek na temat potwornego wyglądu zwłok, byłam nawet oblegana na tę okoliczność, ale nie potrafiłam zaspokoić niczyjej ciekawości. Ela też patrzyła na mnie dziwnie, jakby chciała, żebyśmy się wytłumaczyła z nocnej wyprawy

z Rumciem. Bywało, że gdy weszłam do sklepu czy pokoju nauczycielskiego, rozmowa cichła, ale próbowałam nie popadać w paranoję.

- No to mamy w rodzinie po jednym znalezionym trupie na głowę - zagadał Maks. Miśka zrobiła niewyraźną minę.

U Maliwów panowała żałoba. Tomek ocierał oczy.

Wiedziałam, że to on identyfikował ciało. Może litościwie pozwolili patrzeć mu w bok, jak mnie w swoim czasie, albo wystarczyło, że obejrzał ubranie?

- Bardzo ci współczuję. - Uścisnęłam mu dłoń. Spojrzał na mnie; po policzku toczyła się łza. Jednocześnie w jego czerwonych oczach zauważyłam jakiś nowy blask. O co chodziło? Gdyby nie okoliczności, pomyślałabym, że się cieszy. Rzucało mi się na mózg, naprawdę. - Straszne to wszystko. Wielka strata.

Łukasz, słysząc mój głos, przyszedł do kuchni i stanął w progu, gapiąc się w podłogę.

Tomek wytarł nos.

- Coś pani pokażę. - Wstał, podniósł z kredensu swój telefon, postukał w niego i podał mi go bez słowa.

„Droży synkowie! Czuję się dobrze, choć jeszcze trochę muszę tutaj zostać. Jedzcie zapasy i kaźcie
372

pomagać ukrainkom (małą literą, daję słowo!). Łukasz, ucz się i odrabiaj lekcje. Tomek, uważaj na dziewczyny. Jeśli już zjedłicie wszystko z zamrażarki, to kupujcie pierogi, ale tylko w tym za stacją. Ja wrócę, nie martwcie się. Mama”.

Spojrzałam na Tomka.

- To fałszywka?

- Nie. - Uśmiechnął się do mnie, co dziwacznie wyglądało przy jego czerwonych oczach. - To mamusia napisała.

- Skąd wiesz?

- No bo naprawdę zostawiła nam mnóstwo jedzenia w zamrażarce, dopiero po tym SMS-ie zauważyliśmy. A kto inny miałby to wiedzieć? Sami nie wiedzieliśmy, że coś tam jest. Więc to mamusia.

Łukasz zakolysał się w progu.

- Strasznie bałem się, że i ona nie żyje - ciągnął Tomek.

- Dzwoniłeś do niej ?

- Wiele razy. Nie odbiera. Ale wysłałem jej SMS-a w sprawie tatusia. - I student Tomek pociągnął nosem, po czym zaczął płakać. Po chwili dołączyło do niego drugie łkanie. Łukasz kołysał się i szlochał, pochylony coraz niżej, w końcu oparł czoło o framugę i rozszlochał się na dobre. Chciałam przytulić ich obu, ale podeszłam tylko do Łukasza i pogłaskałam go po plecach. Załkał

głośniej. Głaskałam i głaskałam. Płakał coraz ciszej, wtulony w futrynę, z moją ręką na ramieniu. Tomek objął go z drugiej strony.

373

87

Nie nastąpiły aresztowania ani dalsze przesłuchania, choć nadal nie wiadomo było, kto i dlaczego wrzucił Maliwę do silosu.

- Pijany był, to sam wlaź i nie umiał wyjść - tłumaczył Karak, a wszyscy z przyjemnością słuchali takiego wyjaśnienia. Nabierałam pewności, że po odleżeniu stosownego czasu tajemnica śmierci Maliwy trafi do teczki z napisem „Umorzone”, jak i sprawa obu Ukrainek. Wiele na to wskazywało. Jak łatwo było popełnić bezkarną zbrodnię.

Do Ruty przestałam się odzywać. W szkole mijałam go z ponurym „cześć”, ale zawsze się starałam wyglądać na zajętą, żeby nawet nie pomyślał o rozmowie. Parę razy próbował zagadać, ale odpowiadałam, że to zły moment. Czułam dyskretną obecność Rumcia; kręcił się, czasem zachaczając o zasięg mojego wzroku, ale zaprzestał wręczania prezentów i jeśli zachodził pod nasz dom, to tak, że o tym nie wiedziałam. Zresztą okna zasłaniałiśmy teraz bardzo szczelnie. Budziłam się tylko nadal co noc o 1.47, przerażona, że Ruta jest we wszystko zamieszany po uszy.

Któregoś dnia wracałyśmy ze szkoły samochodem, Miśka i Sabrina urzędowały na tylnym siedzeniu. Kiedy byłyśmy już niemal pod domem, przed maskę wyskoczył Ruta. Zamachał rękami. Mimo że było już prawie ciemno, poznałam go od razu i tym bardziej się przestraszyłam. Raptownie skręciłam kierownicą i wyminęłam desperata. Stał chwilę, zaskoczony, po czym pobiegł za samochodem. Przyśpieszyłam.

- Mamo, przecież to pan Rutkowski - odezwała się Miśka. Sabrina znacząco milczała.

374

Bez słowa zaparkowałam pod płotem, żalując, że nie mamy bramy na pilota.

- Leć, Sabrinko, do siebie - powiedziałam. - Miśka, do domu.

Poszły. A ja zmusiłam się, by zostać przed furtką. Dotarł do mnie nieco zadyszany.

- Haniu, ja cię nie napastuję. Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje. Mam do tego prawo. Dlaczego mnie unikasz?

Zagryzł wargi. Wyglądał naprawdę bardzo kusząco.

- To zaszło za daleko - wyjaśniłam. - Powinniśmy dać sobie spokój. Jestem o dwanaście lat starsza.

- Wiem, już dawno policzyłem. Jakoś mnie to nie szokuje.

Cóż, mnie też wcale nie szokowało. Całowanie się z młodszą mężczyzną było naprawdę bardzo przyjemne. Dopóki tamtego wieczoru nie podsłuchałam tej cholerniej rozmowy.

Nie chciałam patrzeć na Rutę, więc patrzyłam przed siebie, w ciemność.

- Ciebie nie szokuje? Ale szokuje twoją mamę. - Ha, trafiłam. Twarz mu się zmieniła. - Nic ci na ten temat nie mówiła?

- A tobie mówiła?

Pokiwałam głową, ale ponieważ po ciemku nie mogłam tego zobaczyć, wzbogaciłam gest o krótkie „tak”.

- Nie powinna... Nie powinna się w to angażować.

Ja ci to wyjaśnię, Haniu. Nie przejmuj się. Niczym się nie przejmuj. Jeśli tylko o to chodzi... -I zawiesił głos.

Zdrętwiałam.

Dużo mnie to kosztowało, ale zanim się odwróciłam, by pójść do domu, wspięłam się jeszcze na palce

375
i pocałowałam go w policzek. Właściwie powinnam w usta, ale do tego nie umiałam się zmusić. Gdy szłam w stronę domu, Ruda stał przed furtką, odprowadzając mnie wzrokiem.

88

Twarz starego Matka była szarżółta, policzki zapadnięte, szczeka podwiązana dyskretnym bandażykiem. Leżał na rozłożonej kanapie w salonie, tej samej, na której siedziałam parę razy, pijąc kawę z Matką, przykrytej teraz jakąś bogatą kapą i wyprasowanym czyściutkim prześcieradłem. Obok w wazonie stały kwiaty z kwaciarni i paliły się grube świece przyozdobione świętymi obrazkami. Niewielką podobiznę Matki Boskiej w złoczonej ramce wetknięto Matkowi pod złożone dłonie tak, że odziany w błękitny tors Maryi stał się prawie niewidoczny.

Nie sprawiał mi przyjemności widok żółtawego trupa z zapadniętą szczeką, ale wiedziałam, że w Świątkowicach wypada przyjść do najbliższej sąsiadki na tak zwane czuwanie. Więc siedziałam gdzieś z boku i nie patrzyłam w kierunku, w którym skłaniali głowy wszyscy wchodzący, wykonując potem znak krzyża, o czym ja oczywiście zapomniałam. Drzwi otwierali kolejni sąsiedzi w garniturach i niedzielnych garsonkach, bardziej skupieni i uroczyści niż zasmuceni.

- Był już na niego czas - powiedziała do mnie Matka, gdy składałam jej kondolencje. - On sam wiedział, że nadszedł. Nie wstał rano, leżał taki sobie. - Wytarła nos. - Nawet serdelka na śniadanie nie chciał, tylko leżał i stękał. Co się dzieje, proszę tatusia, spytałam, ale nic nie mówił, machał tylko, o tak, rękami, na dzieci.

376

No to podeszły. Pogłaskał je i mnie pogłaskał po ręce, tylko Leszka nie zdążył, bo się tak wyprężył, tatuś się wyprężył, no i wstyd mówić, ale się posiusiał, zadrgał, odetchnął i tyle było tatusia na tym świecie.

Matek syn siedział sztywno za stołem, ze splecionymi dłońmi, i patrzył w ścianę, dzieci biegały jak na rodzinnym przyjęciu, tylko Sabrina łkała rozpaczliwie, skulona w fotelu, co dodawało statycznej scenie tragicznego kolorytu, a Miśka bezskutecznie głaskała ją po plecach, starając się nie patrzeć na zwłoki, choć przedtem bardzo chciała tu przyjść, żeby je obejrzeć.

Uznałam, że dobrze jej to robi, nie widziała bowiem ciała swojego ojca, a tu, w ten bezbolesny sposób (bo kim w sumie był dla nas stary Matek?), oswoi się ze śmiercią. Maks natomiast odmówił udziału w ludowych przesądach. „Chwilowo mam dość widoku trupów”, dodał. Nie nalegałam.

Wszyscy wchodzący mówili mi „dzień dobry”, chyba że pierwsza zdążyłam się odezwać. Nie wszystkich znałam, ale chyba wszyscy wiedzieli, kim jestem. Siadali na podsuwanych krzesłach albo po prostu stali. Materkowa podawała z tacy szklanki z herbatą. „Wieczne odpoczywanie” odmawiała mocno starsza pani, klęcząca z różańcem przy zwłokach; co jakiś czas ktoś do niej dołączał. I tak miało trwać aż do jutra, do dwunastej, na którą zaplanowano pogrzeb, o czym zawiadomiła mnie Nikola, poważna, ze ściągniętą twarzą.

Do salonu wkroczył kolejny mężczyzna, już niemłody, ale odziany wyraźnie po miejsku; w każdym razie on jeden ze swego pokolenia nie odwiesił grzybkowatej czapki na wieszak w przedpokoju, bo po prostu jej nie miał. Pamiętałam go jak przez mgłę. Gdy wynajmował

377
nam dom swoich rodziców, byłam w tak fatalnym stanie, że ledwo skupiałam się na jego twarzy. Jerzy Karcz.

- Dzień dobry. - Podeszedł do mnie z wyciągniętą ręką. - Jak się pani mieszka?

Odpowiedziałam, że nie najgorzej. Miałam tylko nadzieję, że w następnej kolejności nie padnie propozycja podwyżki czynszu. Postanowiłam więc zapytać o coś, co mnie nurtowało.

- Pana rodzina mieszkała w tym domu od zawsze?

- Tak. - Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Zbudowano go w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku? Tak jak wydrapano w tynku na ścianie obory?

- No, jakoś tak. Przed wojną w każdym razie. Dziadzius go postawił, jak miał się zenić.

- Wygląda na to, że miał pan bohaterskich dziadków. Znaleźliśmy coś.

Moja opowieść o Żydach ukrytych w piwnicy w ogóle do niego nie przemówiła.

- W tej połowie domu, w której pani mieszka?

- Nie, w tej drugiej... - Zrobiło mi się trochę głupio.

- Sam pan wie, dzieci zawsze wchodzi tam, gdzie się ich nie prosi.

- Moje nie - powiedział twardo.

Zapadło ciężkie milczenie.

- W każdym razie - przerwałam ciszę - chciałam panu pogratulować dziadków.

-Ale ja nie wiem, o czym pani mówi. Ani po co.

To jest bez sensu, oni nigdy by czegoś takiego nie zrobili

- oburzył się pan Karcz.

- Nie ratowaliby Żydów?

- Ciszej pani mówi, dobrze? - Rozejrzał się.

378

- Przepraszam.

- My tacy raczej spokojni, polityki nikt nigdy nie lubił. Babcia i dziadzius zajmowali się dziećmi, głód był i bieda, partyzanci po lasach. To gdzie oni by się w politykę angażowali? Miło mi było poznać.

Odszedł, jakby obrażony.

W progu, z kolejną falą przychodzących, pod rękę z panią w czarnym palcie, pojawił się przystojny młody mężczyzna w granatowym garniturze. Z kucykiem. Ładnie było Rucie w tych oficjalnych ciuchach.

Wstałam i przywitałam się z panią Rutkowską. Wydawała się równie ciepła i życzliwa jak zawsze. Gdy Ruta rozsiadł się u mego boku, pani Rutkowska nachyliła się do nas i całkiem donośnym szeptem zaznaczyła:

- Haniu, tylko go przypilnuj, żeby dzisiaj nie zaczepiał Materkowej o te łąki, co je sprzedają garbarni.

- Oj, mamusiu - powiedział Ruta tonem żywcem zapożyczonym od Maksa. Nie widziałam wprawdzie jego twarzy, ale mogłam się założyć, że jak Maks przewrócił oczami.

Pani Rutkowska uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, posłała kolejne surowe spojrzenie Rucie, po czym odzeglowała ku grupie pań.

- Nawet serdelka nie chciał... - dochodziła stamtąd opowieść Materkowej.

Ruta wpatrzył się w ścianę.

- Gdyby zamiast gadać z nim o serdelkach, zawiozła go do szpitala na czas, pewnie by tu nie leżał - powiedziałam to, co cisnęło mi się na usta od jakiegoś czasu.

- Zamiast podsuwać główki dzieci do błogosławieństwa, mogła zadzwonić po pogotowie.

379

- Haniu, to nie tak.

- Nie jak? Jak można patrzeć spokojnie, gdy ktoś umiera?

- A co wolisz? Żeby patrzyli niespokojnie? Może faktycznie pożyłby w szpitalu o parę dni dłużej. Nawet o miesiąc. Uważasz, że warto?

Ruta się zarumienił. W białej koszuli wyglądał niewiele doroślej od Maksa.

- Na wsi śmierć wygląda inaczej, Hanka. I, jeśli miałbym wybierać, wolałbym taką. Wiesz, jak się bałam, że tatuś umrze w szpitalu? Z tymi wszystkimi rurkami, z nosa, z żył, z tym plastikiem pod prześcieradłem, z obcymi ludźmi w łózkach dookoła, z salowymi, co myją człowieka jak ciężki przedmiot. Widziałem, że tatuś się stara. Nie żeby żyć. Ale żeby nie umrzeć w tamtym miejscu, żeby dożyć, aż go wypiszą i umrzeć w domu. „Ożeż kurwa, akurat na moim dyżurze”. Tak powiedział lekarz, kiedy umarł jeden pan obok tatuś. Rozstawił parawan i zawołał salowe. „Zabierzcie to stąd”, powiedział.

Ruta miał łzy w oczach. Wydawał się takim dobrym chłopcem! Ale ja doskonale pamiętałam, co mówił do Karaczka, gdy po zastodolu uciekałam przed Rumciem. „Jak ktoś znajdzie ciało Maliwy, to znowu się narobi problemów”. Patrzyłam na niego badawczo, chcąc na jego twarzy wypatrzeć zło, o którym wiedziałam, że w nim tkwi, ale nie udawało mi się - widziałam wyłącznie samo dobro. I pewnie patrzyłam zbyt długo i zbyt intensywnie, bo nagle u boku syna wyrosła pani Rutkowska.

- Chodź, Beniu, wypadaloby jeszcze z innymi paniami porozmawiać - odezwała się, skinawszy do mnie głową.
380

W tym jednym punkcie zgadzałyśmy się co do joty. Nie powinnam już siedzieć obok Ruty, choć wrywało mi się do niego serce. A może właśnie dlatego?

Ja również wstałam. Przeszłam do kuchni, starając się nie patrzeć na nieruchomą leżącą postać ani na panie, które zbyt często zerkały w moją stronę. Weszła kolejna sąsiadka, kładąc na blacie ciasto. Zrobiło mi się głupio, że ja nie przyniosłam niczego. Nie pasowałam tu nic a nic i w ogóle nie potrafiłam się zachować. A poza tym wolałabym, żeby Materek umarł w szpitalu i leżał teraz w szufladzie lodówki, a nie o dwieście metrów od pokoju, w którym miałam spać tej nocy. Miałam dość trupów.

Ktoś w pokoju zaczął drżącym głosem zawodzić jakąś religijną pieśń. Dołączyły inne głosy.

W drzwiach pojawił się Jerzy Karcz. Spojrzał na mnie, zawahał się.

- Mogę jeszcze z panią na chwilę? - spytał przyciszo-

nym głosem.

Skinęłam głową. Odchrząknął, jakby chciał, żeby było bardziej uroczyście. Bałam się, sama nie wiedziałam czego.

- O której połowie domu pani mówiła?

- O tej drugiej, niezamieszkannej. Tej, do której mieliśmy nie wchodzić.

- W takim razie pragnę panią zawiadomić, że w wojnę w drugiej połowie naszego domu mieszkali Materkowie. Ten tu, świętej pamięci Stanisław Materek, też

- machnął głową w kierunku wyjścia z kuchni. - Dom im się wtedy spalił, więc dziadek udzielił im gościny. Czułam się zagubiona i zdezorientowana.

- Ale nie mieszkali w piwnicy?

381

Wpatrywał się we mnie przez chwilę.

- Nie. Z całą pewnością nie mieszkali w piwnicy.

Miło mi było poznać. Niech się pani dobrze mieszka. Zajrzałem tam, do domu, wszystko w dobrym stanie.

Do widzenia.

I wyszedł z kuchni. Stałam, gapiąc się na lodówkę. Ktoś dotknął moich pleców. Poczułam dreszcz. Odwróciłam się.

Przy moim łokciu stała Miśka ze zmartwiałą twarzą.

- Pocieszyłam Sabrinę, mamusiu.

- Dobrze zrobiłaś, maluszk.

- Tak, chyba teraz wolę być mała - powiedziała i wtuliła twarz w moje piersi.

89

Groby wokół miejsca ostatniego spoczynku Materków należały do członków jego rodziny, którzy polegli w zmaganiach z życiem, głównie w podeszłym wieku. Nad nimi stała kolejka z kondolencjami do najstarszych żyjących Materków. Długa kolejka, bo w Świątkowicach naprawdę tłumnie chodzono na pogrzeby.

Ucisnęłam dłoń Materkowej.

- Moje najszczęśliwsze kondolencje - wydukałam.

Właściwie mogłam na tym poprzestać. Przecież nie znałam tego starca, prawie nie miałam z nim kontaktu, poza porannym „dzień dobry”, gdy dyżurował przy płocie na swoich saneczkach, oraz awanturą o nasze wchodzenie do drugiej połowy domu. No właśnie, druga połowa domu. Mogłam powiedzieć coś jeszcze, zwłaszcza że patrzyłam na zalaną łzami twarz Materkowej.

- Pani teść był prawdziwym bohaterem.

382

Spojrzała na mnie zdezorientowana.

-Kim?

- No, bohaterem. Mam na myśli przechowywanie Żydów w czasie wojny. Kiedy pani teść mieszkał w dru-

giej połowie domu Karczów.

Materkowa otarła łzy i powiedziała dobitnie:

- W czasie wojny mój teść był dzieckiem.

No cóż, głupia i naiwna Haniu? Ile lat mógł mieć w czasie wojny ojciec czterdziestoletniego męża Materkowej, nawet jeśli dość późno go spłodził? Dopiero teraz spjrzałam na datę urodzin na tabliczce, która czekała, aż grabarze zakopią grób. Cóż, życie musiało nieźle Materka przetrzepać, skoro wyglądał, jak wyglądał.

- W takim razie pochodził ze wspaniałej rodziny

- tłumaczyłam się z idiotycznej gafy. - Ja... dowiedziałam się, że to oni mieszkali w drugiej połowie domu podczas wojny i...

Materkowa patrzyła na mnie coraz dziwniejszym wzrokiem, więc zamilkłam, totalnie speszona. Naprawdę nie umiałam się tu zachować. Może zresztą nigdzie już nie umiałam się zachować? Odeszłam, potykając się w moich oficjalnych ciemnych butach, odprowadzana spojrzzeniami żałobników. Ludzie szczęśliwie tłoczyli się jeszcze wokół Materków, więc mogłam samotnie ślizgać się na lekko zamrożonym bloku.

Nagle plecy oświetliły mi dwa samochodowe reflektory. Stało przy mnie czarne audi, uchyliło się okno.

Wyrzało z niego oblicze będące starszą wersją Karakowej twarzy. Zdrętwiałam.

- Pani siądzie z nami, podwieziemy - zagadał starszy pan z tym samym obleśnym uśmiechem, który razem z genami przekazał Karakowi.

383

- Bardzo chętnie - odpowiedziałam, cofając się na wszelki wypadek. - Bardzo chętnie innym razem, bo teraz właśnie idę do swojego samochodu.

- Nierozsądnie chodzić samej, kiedy tu kobietom głowy ukrecają - huknął starczy głos z głębi auta.

- Dzień dobry, panie Kozłowski - powiedziałam i dałam kolejny krok do tyłu. Dokoła było pusto. Gdzie się wszyscy podziali?

- Materkowie nie lubią gadać o tym, za co dom po wojnie odbudowali - odezwał się karcącym tonem ojciec Karaka.

- Pani lubi sobie pogadać, tajemnice podkrywać, a to nie wszystkim się podoba - dogadywał ojciec Karoliny z głębi wozu.

- Niech pani da spokój Materkom z tymi Żydami, tylko się denerwują. A myśleli, że już wszyscy zapomnieli - napominał głos Karaczka seniora.

- Pani w ogóle da lepiej spokój tym swoim śledztwom. - Kozłowski dorzucił swoje trzy grosze. - Jeszcze pani ktoś coś zrobi i będzie przykro. Chodziła pani jakiś czas temu z siniakami...

- Przestań, Stefan - warknął Karaczek i zamknął okno. Ale nadal jechali obok mnie. Powolutku, na pierwszym biegu, dobrych kilkaset metrów, aż z ulgą skręciłam w kierunku swego auta. Czarny samochód z dwoma złowrogimi starcami postął jeszcze chwilę na szosie, aż w końcu ruszył w stronę Świątkowic.

90

Pogrzeb Materka odbył się ostatniego dnia października. Przez całe Święto Zmarłych, które przesiedzieliśmy 384

we trójkę w domu, paląc za duszę mojego męża świeczkę na stole, usiłowałam przekonać samą siebie, że dość już tych moich śledztw i dociekań. Zmarłym jest już wszystko jedno, natomiast żywi powinni się zająć czymś innym niż zastanawianiem się, dlaczego ta lub tamta osoba straciła życie. I miałam tu na myśli zarówno mojego męża, jak i Maliwę, zarówno Olenę, jak i Annę. Nieważne, kto, gdzie i w jaki sposób mnie straszy, a raczej - jak ostatnio myślałam - wydaje mi się, że mnie straszy, to jednak zdrowy rozsądek nakazuje, bym wreszcie zajęła się swoim kulejącym życiem. Bym dobrze wychowywała dzieci i prowadziła ciekawe lekcje.

Im zresztą więcej czasu mijało od tragicznych wydarzeń, jakie stały się naszym udziałem, tym łatwiej było mi o nich nie myśleć. Wracały tylko w nocy, ale rozprawiłam się z nimi w pół godziny i spałam dalej. Tym łatwiej mi szło, że wszystkie trzy śledztwa dotyczące trupów znalezionych w okolicy miały prawdopodobnie zostać umorzone. Cóż, skoro policja nie widzi w tym nic podejrzanego, to i ja nie będę się niczego dopatrywać na siłę.

- Pani nie rozpowiada o tym tatusia bohaterstwie, dobrze? - Krótco po pogrzebie teścia zajrzała do nas Materkowa.

- Pani Materkowa, ale ja nie chciałam nic złego...

- Nikt nie chce nic złego, pani rozumie. Nikt. Ale różnie to czasem wychodzi. To co, da już pani odpocząć tatusiowi i jego rodzicom w spokoju?

Pokiwałam głową, skruszona. A pewnie, co mi do tego, kto czym zajmował się w czasie wojny i za czyje pieniądze odbudował spalony dom.

385

- A tu mam dla pani grzybki w occie. - Wyciągnęła słoik w moim kierunku, gestem, który dziwnie przypominał wręczanie łapówki. - No i tak chciałam jeszcze powiedzieć... Zależało pani, żeby nie sprzedawać tych łąk nad rzeką? Jak tatuś zmarł, postanowiliśmy ich jednak nie sprzedawać. Jeść nie wołają i dopłaty są... A zresztą zależy nam, żeby mieć z sąsiadką dobre kontakty.

- To rozsądna decyzja, wie pani? Dziękuję. - Uścisnęłam jej dłoń i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Materkowa miała rację. Po co to wszystko roztrząsać? Zmarli już śpią, a my musimy jakoś ciągnąć dalej.

91

O pogrzebie Materka gadano w Świątkowicach niezbyt długo, bo zaraz został przyćmiony przez kolejne nieoczekiwane wydarzenie: po niemal trzech miesiącach nieobecności wróciła do domu Ewa Maliwa. Cała wieś huczała od plotek, ale Ewa konsekwentnie podtrzymywała wersję o sanatorium, choć nie wyglądała ani na specjalnie zdrową, ani na wypoczętą. Spuchnięta jakaś była, blada, z podkrążonymi oczami, jakby wcale w tym Busku Zdroju nie sypiała. Zresztą, jakie sanatorium trzymałoby ją przez tyle turnusów? Grunt, że pogrzeb mężowi wyprawiła jak trzeba i zaraz zamówiła imponujący pomnik. Co dzień chodziła na cmentarz, odziana w czerń, jak wypada świeżej wdowie.

Po Łukaszu szybko dało się zauważyć, że mama wróciła. Na lekcjach patrzył bardziej na mnie niż w ścianę, nie najgorzej napisał test z czasów przeszłych, więc mogłam mu postawić w pełni zasłużoną trójkę z plusem. Raz nawet, kiedy zauważył mnie na szkolnym korytarzu,

386
skinał mi głową. Liczyłam, że wkrótce doczekam jakiegoś małego „dzień dobry”. Jeden kamień z serca.

Śnieg znowu pokrył okolicę cienką warstewką niewinnej bieli. Gdy się wycierała i wydeptywała, popadywał znowu, akurat tak często, żeby biel utrzymywała się stale na co ważniejszych elementach krajobrazu, ze szczególnym uwzględnieniem śniegowych koronek na nagich gałęziach drzew tuż przed oknem mojej sypialni. Stawałam oparta o parapet zaraz po przebudzeniu, kontemplując krajobraz z kubkiem kawy w ręku. Widok zastąpił mi poranną lekturę kryminału.

Miśka rzadziej się spotykała z Sabriną; teraz cały jej świat wypełniał Pies. Tresowała go, wyprowadzała na podwórko, pilnowała wizyt u weterynarza, z własnych pieniędzy kupiła mu obrozę na pchły i kleszcze. Spali razem, a gdy jadła, siedział pod jej krzesłem. Wydawała się zadowolona z życia. Ze szkoły woziłam ją do domu samochodem; jeszcze mnie popędzała, bo śpieszyła się do Psa. Czasem dołączał Maks, na ogół jednak wracał samotnie. Zmusiłam go do używania dezodorantu i codziennego mycia włosów, ale nie mogłam zmusić do wspólnych powrotów. Przestałam się jednak bać. W końcu nic się nie działo. Zwłoki? Żadnych nowych, a o tamtych starych wszyscy już zapomnieli. Moje porwanie? Czyjs kretyński, bezmyślny i okrutny dowcip, a resztę sobie wymyśliłam, oszołomiona sytuacją. Złowrodzy starcy? Ostatnio wszyst-

kie rozmowy obsesyjnie wiązałam z filmami i trupami; najwyższy czas z tym skończyć i zacząć normalne życie. Zoriana? Czekala na Ukrainie na wizę, by zacząć organizować pogrzeb sióstr. Jak ja mogłam ją podejrzewać? Rumcio kręcił się gdzieś w tle, ale daleko, prawie go nie widywałam. Ruta już do mnie nie zagadywał, raz

387
tylko podrzucił mi kwiatki na biurko, niby anonimowo, ale młodzież zaraz zwęszyła, o co chodzi i trochę podowcipkowała. Ucichli jednak od razu, kiedy kazałam im to samo powtórzyć po angielsku. Podziękowałam Rucie za kwiaty, poprosiłam go jednak, by darował sobie takie akcje i dla wzmocnienia efektu zasłoniłam się wygodną wymówką w postaci dezaprobaty Brygidy Rutkowskiej dla naszego ewentualnego związku.

Wszystko więc toczyło się powoli i spokojnie, aż do dziesiątego listopada, kiedy z bezpiecznej rutyny wyträciły mnie dwie rzeczy: mama zadzwoniła, że przyjeżdża z wizytą na długi listopadowy weekend, a przy wyjściu z toalety dla nauczycielek zaczęła mnie siostra katechetka. Postukała mnie w plecy, a jabłuszka jej policzków rozgorzały rumieńcem.

- Przepraszam, że zaczepiam, ale czy mogłybyśmy porozmawiać? - No i masz, musiała z tym wystrzelić akurat dzisiaj!

-Tutaj?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Zależy mi na spokojnej rozmowie - podkreśliła.

I w ten sposób trafiłam w miejsce, którego nigdy przedtem nie widziałam. Kościelna zakrystia. Rozglądałam się po schludnym wnętrzu, sownicie ozdobionym krzyżami, świętymi obrazami i plastikowymi kwiatami. Były też szafa, kredens, stół, krzesło, fotel, jakieś notesy i książki oraz ornat na stojącym wieszaku. Jedne drzwi wiodły na dwór i nimi przed chwilą weszłam, drugie - do kościoła, zamkniętego o tej porze. Miałam nadzieję, że katechetka szybko powie, o co jej chodzi i będę mogła lecieć odgruzowywać dom. Ale ona wcale się nie śpieszyła. Włączyła

388
niewielką lampkę i usiadła, po czym zerwała się z krzesła, poprawiła kwiatki. Wierciłam się w fotelu.

Po kolejnym westchnieniu nareszcie się odezwała.

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale przyglądałam się pani od jakiegoś czasu i... i doszłam do wniosku, że mogę pani zaufać. A muszę się poradzić w pewnej sprawie. Cóż, jednak dział poradniczy w „Przyjaciółce” zostawia na człowieku niezatarte piętno. Uśmiechnęłam się zachęcająco.

- Słucham, proszę siostry.

- Ja czasem chodzę na spacer. Pomodlić się. Pomy-

śleć. Szłam sobie któregoś ranka... Ja się wcześniej budzę, czasem nawet bardzo wcześniej, i wymykam się wtedy, żeby innym nie przeszkadzać. Czasem nawet o trzeciej, czwartej rano, wie pani, mama kiedyś tak wstawiała na pociąg do pracy i ja zawsze się wtedy budziłam, żeby ją pożegnać przed wyjściem. Tak mi zostało...

Dobrze by było, myślałam, słuchając jednym uchem, gdyby ktoś wymyślił nożyczki do wycinania dygresji. Katechotka spojrzała na ścianę, gdzie wisiał ogromny krzyż, i wreszcie nabrała odwagi.

- I pewnego dnia, na tym moim spacerze, tak trochę przed świtem, usłyszałam jakiś plusk. No, taki straszny plusk, tam, w stawie. Daleko od drogi.

- W którym stawie? - zapytałam, ale niepotrzebnie.

Bo właściwie już wiedziałam.

- W tamtym, w którym pani Miśka znalazła...

- przełknęła ślinę - ...znalazła zwłoki. Usłyszałam plusk, przepychanki. Jakieś ciche głosy. Męskie. Kobięcy.

Katechotka wsunęła obie dłonie pod uda.

389

- Było ich dwóch. Trzymali ją za ramiona. Jeden zanurzał jej głowę i pytał: „Przestaniesz węszyć?”. A drugi mówił: „Nie przestanie, Stefan, nie przestanie”.

Zamilkła.

- Stefan? - powtórzyłam. - Poznała siostra któregoś?

Pokiwała głową.

Nie byłam pewna, czy chcę to słyszeć.

- Byli to Stefan Karaczek i Mirosław Kozłowski - wyrzuciła z siebie jak najszybciej i głęboko odetchnęła. Ja też. Bo jednak nie chodziło o Rutę.

- Tylko ten trzeci stał w cieniu - dodała po chwili.

- Trzeci? - szepnęłam.

- Tak. Trzeci stał z boku. - Zaczęła szukać chusteczki po kieszeniach wielkiego czarnego swetra. Wyjęłam paczkę z torebki i podsunęłam jej. Obu nam latały dłonie, jak w kawale o kiepskich chirurgach.

- Nic nie mówił, po prostu w pewnym momencie podszedł do tamtych, wyciągnął ręce i położył na głowie tej kobiety. I wcisnął ją pod wodę. Rzuciła się, ale on trzymał. W końcu przestała się ruszać. Tamci ją już dawno puścili, a ten trzymał i trzymał.

- Kto to był?

- Nie widziałam twarzy.

- Nie domyśla się siostra?

- Myślę o tym bez przerwy. Co niedziela patrzę w kościele na twarze, sylwetki i próbuję zgadywać.

- I? - Bałam się tej odpowiedzi.

Pokręciła głową.

- Nie wiem.

Spojrzała na krzyż.

- Pewnie spyta pani, co wtedy zrobiłam? Nic - westchnęła. - Strasznie się bałam, że mnie zauważą. A potem

390
uciekłam. Ubranie poszarpałam, różaniec, krzyżyk wtedy zgubiłam, bo nie patrzyłam, gdzie biegnę, krzaki nie krzaki. Już się nie starałam być cicho i oni chyba mnie usłyszeli. Chryste, jak ja się bałam!

- Gonił ktoś siostrę?

- Może? Nie, nie wiem.

Milczałyśmy. Tykał jakiś zegar.

- Nic mnie nie usprawiedliwia. Nic. Chociaż się z tego wyspowiadałam...

- To ksiądz wie o wszystkim?

- Powiedziałam tyle, że beczynn timer patrzyłam na dokonujące się zło. Ksiądz proboszcz się nie dopytywał. Wytarła oczy grzbietem dłoni.

- Przecież nie pójdę z tym na policję, tam urzęduje syn jednego z nich.

Siedziałyśmy, oddzielone stołem, w mdłym świetle maleńkiej lampki. Zegar tykał bez sensu, odmierzając czas do przyjazdu mojej mamy, co w tej chwili zupełnie mnie nie interesowało.

- Może należy dać znać gdzieś wyżej? Do komendy wojewódzkiej? - powiedziałam słabym głosem. Pokiwała głową.

- Pomoże mi pani? - spytała bez przekonania.

- Nie można tego tak zostawić - odpowiedziałam.

Spojrzałam na nią. Jabłuszka policzków bezradnie bodły przestrzeń. Odwzajemniła moje spojrzenie. Spuściła wzrok i pokręciła głową. Obie wiedziałyśmy, że nie pojedziemy z tym do wojewódzkiej.

391

92

Już z daleka widziałam auto mamy zaparkowane pod naszym płotem. Dojechałam i jeszcze przez chwilę siedziałam w samochodzie, przywołując na twarz powitalny uśmiech, ale nie miałam na to zbyt dużo czasu, bo czujna matka już zauważyła, że jestem, już wyskoczyła, już mi się rzuciła w objęcia, już mnie od siebie odsunęła i bacznie mi się przyjrzała. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła, więc tylko pokręciła głową.

- Trochę odgruzowałam kuchnię. I zrobiłam kolację

- powiedziała i udało jej się w tym zdaniu zawrzeć nutę przygany.

Podawała mi jedzenie. Dzieci były już po. Włączyła odkurzacza, żeby uporać się z kotami z kurzu, które wyglądały z kątów, ale kiedy podskoczyłam na nagły dźwięk, a Pies schował się pod kanapę, mama wyłączyła maszynę i usiadła naprzeciwko mnie, by patrzeć na mnie z troską.

Westchnęła sobie nawet.

- Strasznie długo pracujesz, Haniu.

Prawie jej nie słyszałam, bo ciągle miałam przed oczami scenę nad stawem.

- Zimno tu - powiedziała mama.

Podniosłam się, żeby napalić w piecu. Układałam piramidkę, jak mnie uczyła Zoriana. Wybrałam szczapy, zgmiotłam gazety na podpałkę, parę szyszek na środek.

- Sprawnie ci idzie - pochwaliła mama i przez chwilę poczułam się, jakbym pokazała jej piątkę w dzienniczku. Ten moment wybrał Pies, by się zsiakać na środku kuchni. Miśka przyskoczyła i zabrała się, niezbyt umiejętnie, za wycieranie kałuży. Mama odsunęła moje dziecko, wzdychając, wytarła siuski, po czym zdezynfekowała

392
podłogę bakteriobójczym płynem, który błyskawicznie zlokalizowała w szafce.

Zupa obiektywnie była bardzo dobra, subiektywnie jednak w ogóle nie wchodziła mi do ściśniętego gardła.

- Nie jestem głodna, przepraszam - powiedziałam i oznajmiłam, że muszę do łóżka, bo padam na nos. Leżałam, nareszcie sama, gapiąc się w sufit i zastanawiając, co z tym wszystkim zrobić. Bo przecież nie można tego tak zostawić. Winni muszą zostać ukarani. Muszą.

O 1.47 obudziła mnie dotkliwa pewność, że zło jednak wymknie się karze. Kiedy wracałam z ubikacji, z pokoju Maksa dobiegł wściekły wrzask. Jeden, za chwilę drugi.

- Nie! Nie-nie-nie! - darło się moje dziecko.

W drzwiach zderzyłam się z mamą w nocnej koszuli, przerażoną i rozczochraną. Wpadłyśmy tam obie. Maks rzucał się po łóżku, jakby z kimś walczył.

-Nie! Zostaw mnie! Zostaw. - Łapał się za szyję, charczał, czerwieniał i bladł. Złapałam go za rękę, ale mnie odepchnął. - Tata ci przecież zapłacił, masz nas tu trzymać! Zostaw mnie, nie wolno ci! - Głos znowu przeszedł w charczenie, a Maks usiłował oderwać coś niewidzialnego od szyi. Dopiero wtedy udało nam się go unieruchomić, nadal jednak podrygiwał w naszych objęciach jak ryba i wcale nie chciał się obudzić. Pies gapił się na to wszystko wielkimi ślepiami, jakby chcąc ocenić, kto komu robi krzywdę i kogo trzeba bronić. A może pocieszać? W końcu podjął decyzję i liznął Maksa we włochatą łydkę. Mój syn otworzył oczy i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem, pojękując jeszcze przez chwilę.

393

- Śniło ci się coś straszego - wyjaśniła moja mama.

- Biedactwo. - I pogłaskała dzieciaka po głowie.

- Nic takiego, mam to co noc - wyznał mój syn.
- Co masz co noc? - spytała naiwnie moja mama, jakby nie wiedziała, że nastolatki się nie komunikują.
- No, różne sny - odparł Maks wymijająco. Od razu wiedziałam, że nie ma sensu go o nic wypytywać. Ale on nieoczekiwanie pociągnął wątek. - Duszone dziewczynki są najgorsze, już wolę kobietę bez twarzy. Ale od paru nocy śnią mi się wyłącznie dziewczynki.
Mama patrzyła przerażona to na mnie, to na niego.

- Jakie dziewczynki?

- Trzy dziewczynki na dwóch łóżkach w ciemnym pokoju bez okna - wytłumaczył Maks. - W piwnicy? Jedna się boi i jęczy, tamte ją uciszają, a potem otwiera się nad nimi kłapa, ktoś schodzi. Syczy: „Będziecie wreszcie cicho?” i dusi jedną, a tamte dwie patrzą. Zawsze mi się śni, że ja też na to patrzę, strasznie się boję, bo tej duszonej wychodzą czarne oczka na wierzch, coraz większe i większe, a ja nie wiem, co zrobić, taki mam paraliż. I boję się ruszyć, bo jak się ruszę, to ten facet przypomni sobie, że mnie też można udusić.

Zamilkł wreszcie. Moja mama odgarnęła mu potargane włosy z przszczonego czoła. Maks potarł szyję.

- A dziś mi się śniło, że jestem tą dziewczynką, tą duszoną, i że próbuję się bronić przed tym facetem. Ale nic, oczywiście, jestem za słaba, nie obronię się, już po mnie.

Aż się zasapał.

Mama tylko kręciła głową.

- Chodź, synuś, zrobię ci kakao. - I zanim zaprotestowałam, że Maks na pewno nie będzie chciał nic

394
podobnie dziecinnego, ze zdumieniem zobaczyłam, że idzie za babcią do kuchni.

Posadziła go za stołem i ruszyła do szafek na poszukiwania.

- Nie ma - wyjaśniłam. - Zrób mu mleko z miodem.

Maks siedział półprzytomny, z podkrążonymi oczami, i tępo gapił się w ścianę.

- Nienawidzę tego domu - powiedział.

93

Kiedy rano wstałam, niewyspana po szalonej nocy, mama już była na nogach. Miśka też. Pakowały torbę podróżną.

- Na te trzy dni pojedziecie do mnie. Odpoczniecie, zadbam o was. Moja biedna Hania! - Przytuliła mnie do piersi. - Nie ma co tu siedzieć, przecież ty nawet nic nie masz w lodówce. Moja córeczka! Boże, jakie ty masz czerwone oczy! Jak ja mogłam zostawić was tutaj samych? Przepraszam, przepraszam, że tak długo nie przy-

jeżdżałam!

Kiedy kiwałałam się nad kawą i stygnącą jajecznicą, mama zdążyła spakować torbę do końca oraz zajrzeć do Materkowej z prośbą, by rzuciła okiem na dom podczas naszej nieobecności. Zamiast jednak wdzięczności, że wzięła sprawy w swoje ręce, poczułam przymus. Jak w więzieniu. Nie chciałam decydować, którą bluzkę zabieram, potrzebowałam przestrzeni, by pomyśleć o sobie, Rucie, opowieści katechetki, by rozważyć wszystko i zrozumieć, kto jest dobry, a kto zły i dlaczego.

395

Już siedzieliśmy wszyscy w samochodzie mamy, Miśka z Psem na kolanach, kiedy nagle otworzyłam drzwi i wysiadłam.

- Co ty znowu wyprawiasz? - zdenerwowała się moja rodzicielka.

- Muszę jeszcze coś załatwić, przepraszam - odparłam. - Jedźcie sami.

Mama znowu pokręciła głową, potem stwierdziła, że w takim razie i ona zostaje, bo jej się nie widzi, żebym się nadawała do samotnego pobytu gdziekolwiek, ale kiedy spojrzałam na nią i powiedziałam: - Błagam, chcę być sama - zrozumiała.

- Ale nie zrobisz żadnego głupstwa? - dopytywała i dopiero po dłuższej chwili pojęłam, że chodzi jej prawdopodobnie o samobójstwo.

- Nie, czegoś takiego moim dzieciom na pewno nie zrobię - powiedziałam z mocą. Mama, wzdychając (oj, przez tych parę godzin porządnie się nawzdychała!), wsiadła do samochodu, żeby przy dzieciach nie przedłużyć dziwnej sceny, zapuściła silnik i odjechali.

A ja wróciłam do szarego domu. Śnieg szybko przysypał wszystkie ślady.

94

Gapiałam się w ścianę, na której spod bieli zaczęła prześwitywać błękitna farba i ślady ugrowych paprotek. Co jakiś czas podchodziłam do okna i zza zasłony spoglądałam na czarne niebo i śnieg, pokrywający wszystko miłosierną kołderką. Nie deptałam go, bo nie wychodziłam z domu. Samochód ukrywał się w stodole, żebym nie miała problemu z czyszczeniem szyb; mama

396

to wymyśliła. Może nawet usnęłam na trochę, ale szybko się ocknęłam. Czekałam nie wiadomo na co. Na karę dla tych, którzy zgrzeszyli? Co jakiś czas wstawałam i zamiatałam podłogę, zadziwiona, skąd znowu wzięło się tyle brudu.

Po południu usłyszałam skrzypienie drzwi wejściowych. Kroki w sieni. Miałam ochotę schować się

pod łóżkiem albo w szafie, głęboko pod ciuchami, ale to nie były duchy, o których opowiadała Miśce Sabrina. To, niestety, byli ludzie, więc ustawiłam się za drzwiami, trzymając oburącz najostrzejszy z moich noży i klnąc w duchu, że nie postarałam się o lepsze zabezpieczenie. Przecież mnie nie ma, nie ma!

Po co oni tu przyszli?

Kroki jednak przeniosły się do tamtej połowy domu. Skrzypienie podłogi. Trzeszczenie. Szuranie. Huk. Kłapa do piwnicy? Miałam dosyć napięcia. Chciałam tam wejść, przerwać te dziwaczne przygotowania, ale wtedy usłyszałam coś, co mnie zatrzymało w pół kroku.

- Zerwałeś wszystkie gazety ze ścian? - rozległ się głos Materkowej.

Uff, sąsiadka.

- A po co? - spytał jej mąż.

- Jak to po co? A myślisz, że skąd ona domyśliła się o tych Żydach? To żydowskie gazety, widzisz?

Aż tu słyszałam odgłos darcia zabytkowego papieru.

- Oj ty stary, stary. Niby żeś wtedy w nocy wszystko zabrał, a najpotrzebniejszych rzeczy nie zrobiłeś.

- Zabawki wziąłem. I ten ich świecznik. Zostały same śmieci.

- I wystarczyło, żeby się domyśliła. To mądra jest kobieta.

397

- I zagłada, gdzie nie potrzeba.

Ostatnio często słyszałam to zdanie.

Wreszcie wyszli, dźwigając sienniki i co tam jeszcze zostało po tych Żydach, o których miałam już nigdy z nimi nie rozmawiać. Żydach albo Żydóweczkach, o których co noc śnił Maks. Osunęłam się po ścianie na podłogę i nie miałam siły wstać. Za oknem cicho padał śnieg.

Jakiś czas później zadzwonił mój telefon. Drgnąłam.

Dzwonek ponaglił raz i drugi, zanim wygrzebałam aparat z kieszeni swetra. Nacisnęłam przycisk i powiedziałam cichutko:

- Halo.

- Gdzie jesteś? - odezwał się Ruta.

- W Warszawie.

- Kiedy będziesz?

- Wracam po długim weekendzie.

- Co tak cicho mówisz? - drażył.

- Siedzę w kościele - wystrzeliłam. - Święto przecież.

Jedenasty listopada.

I wyłączyłam komórkę, co powinnam była zrobić znacznie wcześniej.

Wieczorem włożyłam ciepłą piżamę i poszłam do łóżka. Było mi zimno, więc napełniłam wrzątkiem termo-

for, a potem jeszcze przyniosłam sobie kołdrę z łóżka Miśki. Od Maksa nic nie wzięłam; nie chciałam, żeby przeszły na mnie jego złe sny. Nadal jednak miałam lodowate stopy, więc nie liczyłam, że szybko usnę. Tymczasem, gdy następnym razem otworzyłam oczy, był już środek nocy. Prawdopodobnie 1.47, godzina duchów w tym cholernym nawiedzonym domu. Tym razem jed-
398

nak obudziłam się z dziwnym przeświadczeniem, że ktoś na mnie patrzy.

Nie otwierałam więc oczu, nie sprawdzałam czasu, tylko badałam otaczającą mnie ciszę. Chyba mieścił się w niej jeszcze jeden oddech. Nie mój, cudzy.

- Nie śpisz już, prawda? - odezwał się Ruta.

- Co ty tu robisz? - Zerwałam się przerażona.

Siedział w fotelu w mojej sypialni. Na kurtce topniały mu resztki śniegu.

-Jak tu wszedłeś?

- Szkoda, że cię nie słyszę. Jesteś przecież w Warszawie - zakpił. - Kiedy dzwoniłem do ciebie, stałem tutaj, pod domem. I wiesz co? Przykro mi się zrobiło.

Kiedy śnieg pokryje ślady, nikt się nie dowie, że był u mnie.

- Przepraszam - powiedziałam. - Po prostu chciałam być sama.

- A ja myślałem, że w długi weekend znajdziesz dla mnie parę minut.

- Pewnie, że znajdę. Zobaczmy się rano.

- Nie, Haniu, nie pozwolę się wyrzucić. Jestem tutaj i chcę pogadać. Jesteś mi to winna.

Rozczarowany kochanek... Chyba nie chodzi o nic więcej? Nie, nie powinien być groźny, bo skąd niby miałby się domyślić, że wiem cokolwiek o jego udziale w sprawie Maliwy?

- Dla wszystkich masz czas - mówił z wyrzutem.

- Wczoraj przesiedziałaś w zakrystii z siostrą Bożeną dwie godziny i dziesięć minut, a dla mnie nie masz ani chwili.

- Śledzisz mnie? - Wpadłam w panikę. Słyszał o czym rozmawialiśmy ?

399

- Doprowadziłaś do tego, że łączę za tobą jak ten cholerny Rumcio! - warknął.

Oparta o ścianę, otuliłam się kołdrą, jedyną rzeczą, poza dwoma metrami powietrza, jaka oddzielała mnie od Ruty. Gdzie ja położyłam ten wielki kuchenny nóż?

- Przepraszam. Nie chciałem na ciebie krzyżeć.

Po prostu za tobą tęsknię. Brakuje mi ciebie. - Wpatrywał się we mnie rozbijając szczerymi oczami.

Zadrżałam.

- Haniu, nie musisz się mnie bać, naprawdę.

- Przychodzisz tu w nocy, włamujesz się do mnie, patrzysz na mnie, jak śpię. Ruta, co ja mam o tym myśleć?

- Ślicznie wyglądasz, jak śpisz.

- Ruta, mam pomysł. Wyjdiesz teraz do kuchni, ja się szybko ubiorę, i przejdziemy się trochę. Na dworze na pewno też jest ślicznie. - I zajrzałam mu głęboko w oczy, którymi razem ze mną patrzył na kopułę nieba. Zgódź się, zgódź!, błagałam w duchu. Może jakoś dam radę dobiec do samochodu...

- Haniu, jest środek nocy, zimno, wieje. Gdzie my będziemy chodzić?

Wstał z fotela. Skuliłam się w samym rogu łóżka, byle dalej od niego.

- No i widzisz, boisz się mnie. Zrobię herbaty. - Wyszedł do kuchni.

Szybko narzuciłam na siebie sweter, jakieś spodnie, ciepłe bambosze (na dworze przecież był mróz) i zaczęłam mocować się z oknem.

Ruta wsadził głowę przez drzwi i spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Opuściłam rękę.

- Z cukrem? - spytał w końcu.

- Bez - odpowiedziałam.

400

Podszedł do mnie, wziął mnie za ramię i zaprowadził do kuchni.

Zapaliłam światło, może jednak ktoś zauważy, że tu jestem. Oparłam się o ścianę przy stole. Nóż leżał przy zlewozmywaku, na blacie, natomiast na suszarce schła ciężka żeliwna patelnia. Jeśli uda mi się doskoczyć...

Ruta czekał przy czajniku, aż zagotuje się woda.

- Myślałem, że będziesz ze mną. Myślałem, że jesteś po mojej stronie. Dojrzała, mądra... Tak myślałem. Kobieta, na której można polegać. Która wiele wybaczy.

- Ale co ja miałabym ci wybaczyć? - spytałam.

Do patelni miałam trzy kroki. Potem jeszcze będę musiała dobrze się zamachnąć. Przecież był ode mnie sporo wyższy.

- Boję się, że się czegoś dowiesz - powiedział. -I boję się, że potem już na mnie nie spojrzysz.

- Że czego się dowiem?

- Chodzi o tatusia.

O tatusia?

- Powiedziałem mu, że wiem wszystko - mówił Ruta, zakrywając twarz dłońmi. - Miałem nadzieję, że zaprzeczy, wyśmieje mnie, powie, że to głupie żarty. Ale on powiedział, że musiał to zrobić.

- Że musiał co?

Ruta spojrzał na mnie uważnie, po czym odwrócił wzrok w kierunku czajnika. Zalał herbatę.

- A mnie się, Haniu, wydaje, że ty wiesz co. Że jakiś

czas temu wszystkiego się domyśliłaś, prawda? I dlatego nie chciałaś ze mną gadać.

Dałam krok w kierunku patelni. Ruta złapał za kubki i odwrócił się w moją stronę. Musiałam się wycofać.

- Usiądź, proszę - powiedział. - Wiedziałaś?

401

-Co?

- Co zrobili muszkietierowie. I mój tatuś.

Podszedł do stołu, postawił kubki, usiadł.

-Ja...

- Masz taką twarz, że wszystko na niej od razu widać, Haniu. Wszystko.

Mogłam mu chlusnąć wrzątkiem w twarz i wybiec z domu. Zdażyłabym dopaść drzwi Materków? Ale oni chyba zamykali furtkę na noc. Dom na pewno.

- Haniu, nie patrz tak na mnie - powiedział Ruta.

- Ja ci wszystko wytłumaczę. Tatuś to robił, żeby mieć pieniądze na operację matki. Powiedział, że oni go namówili. Stefan i Mirek. I że nikomu się krzywda nie stała. Bo on dbał, żeby te dzieci były nieprzytomne. Są przecież takie leki. Nic potem nie pamiętały. Tak mi powiedział. Ruta otarł oczy wierzchem dłoni.

- Powiedziałem, że chciałbym go uderzyć, ale się brzydzę go dotknąć. Że zawsze będę się go brzydził, że nie jest już moim ojcem. I że powinien zgnić w więzieniu.

Zamilkł.

- Myślałem, że wrzaśnie na mnie, że się będzie tłumaczył. Ale on padł na ziemię, sztywny jak metalowy pręt. Padł i został taki, wykrzywiony. Prosiłem go, żeby przestał, waliłem po twarzy. Miał wylew, jak się okazało. Pokiwał głową.

- I to przeze mnie - stwierdził. - Zabiłem swego ojca. No, prawie.

Spojrzał mi w oczy.

- I co byś zrobiła w takiej sytuacji? Doniosła do prokuratury? - spytał. - On był, jest, już teraz prawie jak martwy. Sam się ukarał. Jednak miał sumienie, choć tego

402

nie pokazywał. Albo Bóg go pokarał. Za moim pośrednictwem.

Wypuścił łzę kącikiem oka.

- Przecież tyle z nim gadałem o tych dzieciakach z Ukrainy. Że chcę im dać chociaż trochę radości. Zwłaszcza tym z tych strasznych domów dziecka. Zwierzałem mu się. Radziłem się go. Wszyscy muszkietierowie na początku mi pomagali. Potem mnie wyrzucono z fundacji, ale oni nadal angażowali się przy tym projekcie. Za darmo. Cieszyłem się, że tatuś ma cel w życiu. Że rozumie, o co mi chodzi. Ale raz usłyszałem ich rozmowę... Oni

zawsze tak głośno rozmawiają... No i się dowiedziałem, że pomagając, kręcą interes na boku. Wszyscy trzej. Nienawidziłam tej wsi. Nienawidziłam tego, że wszyscy tu o wszystkich wszystko wiedzą, wszyscy o wszystkim plotkują. Ale kiedy wydarza się największe zło, nikt zdaje się go nie zauważać.

- Paweł Maliwa dowiedział się za dużo, tak? - spytałam cicho.

Odchrząknął, jakby chciał wypluć coś obrzydliwego.

- Tatuś chciał go tylko postraszyć. Żeby przestał węszyć. Nie pokazywał mu twarzy, więc mógł go potem bez strachu wypuścić. Ale dostał wylewu i nie zdążył go uwolnić. Tyle czasu szukaliśmy potem tego Maliwy, bo tylko tatuś wiedział, gdzie jest. No i znalazł go wreszcie ten głupi Rumcio. - Ruta wsparł głowę na dłoniach.

- A Ukrainki? - musiałam wiedzieć wszystko, do końca. Niewykluczone, że do własnego również.

Spanikowali, opowiadał Ruta. Muszkietierowie spanikowali. Dostali list, że wszystko już wiadomo o ich działalności. Anonim, ale łatwo się było domyślić, że wysłali go Maliwa z tą Ukrainką. Ostry. Że doniosą na nich

komu trzeba. I że powiedzą wszystkim w okolicy. Tatuś zajął się Maliwą, a tamci dwaj mieli zmusić Olenę do milczenia. Ale przesadzili, sytuacja wymknęła się spod kontroli, a kobieta straciła życie.

Tamci dwaj. A ten trzeci? Kim był ten trzeci nad stawem, Ruta? Zacisnęłam usta. Herbata w kubku już wystygła.

- Zrozum, gdyby to zależało od mojego ojca, na pewno by do tego nie doszło - tłumaczył żarliwie. - On by nikogo nie skrzywdził. On nie chciał nikogo zabić. Haniu, uwierz mi. Nie mój ojciec. Maliwa miał zaraz wyjść z tego silosu. Olenę mieli tylko nastraszyć.

Ruta opowiadał szybko; w kącikach ust gromadziła mu się ślina, której nie miał czasu przełykać, bo musiał formułować kolejne zdania i słowa.

- A potem tatuś dostał wylewu. Gdyby nie to, Annie nic by się nie stało. To tamci dwaj nie umieli sobie poradzić, że Ukrainka tu węszy.

Jeszcze tylko brakowało, żeby dodał: „Mój tatuś jest naprawdę niewinny”. Ale spojrzał na mnie i się pohamował. Pochylił się tylko nad stołem i dotknął mojej dłoni. Zamarłam, jakby użył paralizatora.

- Haniu, to chodzi o mojego tatusia. Przecież nie mogłam na niego donieść, prawda?

Wpatrywał się we mnie, jakby czekał na rozgrzeszenie.

- Postanowiłem, że będę wypłacał pieniądze tym skrzywdzonym dziewczynom. Brałem pieniądze z jego

konta. Myślę, że to te brudne pieniądze. Część poszła na operację mamy. Tak mi wytłumaczył. Ale operacja mamy, jej przyśpieszenie, wszystko kosztowało trzydzieści tysięcy. A on miał na koncie... - Spojrzał na mnie i się 404

zawahał. - On miał na koncie dużo więcej. Ale wszystkie te pieniądze pójdą na Ukrainę, obiecuję.

Mnie jednak męczyło coś jeszcze.

- Czy to ty mnie zamknąłeś w piwnicy?

- Obiecałem im, że cię nastraszę tak, żebyś przestała pytać. Obiecali, że nic ci nie zrobią. Chroniłem cię, rozumiesz? Chroniłem cię, bo cię kocham.

Poczułam się, jakby mnie uderzył. Tylko nie od tyłu, jak wtedy, lecz patrząc mi prosto w twarz. Piękny młody chłopak, który ofiarowuje mi swoje serce. W zamian za co?

- Hania, kocham cię. Wreszcie to powiedziałem. Musisz mnie zrozumieć. Zawsze mnie rozumiałaś, więc spróbuj zrozumieć i to. Proszę. - Patrzył na mnie, zatroskany. Zaatakowałam wprost.

- Co ze mną zrobisz, skoro tyle wiem?

Wstał od stołu, okrążył go i podszedł do mnie. Zamarłam. Podniósł mnie i spojrzał mi w oczy. Patrzył długo. Potem poszukał moich ust i pocałował mnie mokrymi, słonymi wargami, jakby chciał, żebym już nic nie mówiła. Objął mnie, unieruchamiając, i powiedział z twarzą przy mojej twarzy:

- Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nigdy. Uwierz mi.

To że cię kocham, to prawda.

Oddałam mu pocałunek.

Cudze zło zaraża. Byłam zarażona.

95

Spał mocno, zarumieniony, zmęczony i płaczem, i seksem, i znów płaczem, i kolejnymi tłumaczeniami, które mnożył, aż wreszcie zrozumiał, że mu przebaczyłam.

405

Że go nie potępiam. I że mu wierzę. Przypatrywałam mu się uważnie, cały czas usiłując poznać po jego zachowaniu, czy mówi szczerze i czy to nie on był tym trzecim nad stawem. W końcu speszyło go moje spojrzenie, wyciągnął dłoń i zamknął mi oczy wprawnym gestem, co zamiast z pieszczotą skojarzyło mi się z obsługą trupa.

Trzymał mnie mocno, gdy się ze mną kochał, później też co chwila upewniał się, że jestem, że leżę obok niego.

- Kochasz mnie, prawda? Kochasz?

Potwierdzałam, raz za razem, aż zasnął, wtulony.

Dopiero po dłuższym czasie odważyłam się wysunąć zdrętwiałą rękę spod jego głowy. Drgnął i złapał mnie

ponownie, trzymał moją dłoń w swoich silnych palcach jak w imadle. Trwałam więc przy nim, przytulona do jego ciepłych pleców. Pochrapywał i poświstywał, a ja ciągle nie miałam odwagi drgnąć. Ale bardzo nie chciałam, żeby ta noc okazała się ostatnią nocą mojego życia, więc nie zasypiałam, czekałam. I powoli, jak minutowa wskazówka zegarka, wysuwałam ręce spod głowy i palce z imadła mojego kochanka. Pochrapywał. Z każdym jego wydechem, kiedy jego mięśnie się trochę rozluźniały, zarabiałam kolejne milimetry. Aż w końcu - byłam wolna.

Człowiek i jego rzeczy. Co mi było niezbędne? Laptop. Komórka. Pakowałam to wszystko w pośpiechu. Potem otworzyłam telefon Ruty i kopnęłam baterię w szparę w podłodze, żeby nie mógł się nigdzie dodzwonić, przynajmniej przez jakiś czas. Zamknęłam klapkę, włożyłam aparat z powrotem do kieszeni jego dżinsów. Włożyłam kurtkę i buty. Chrapnął. Chyba nie udawał.

406

Wymknęłam się z domu, otworzyłam drzwi od stodoły, potem bramę, wsiałam do samochodu i odjechałam z tego życia.

Byłam zła, bo tęskniłam za dotykiem tego pięknego młodego człowieka. Byłam zła, bo porzucałam swoich uczniów, żeby uratować siebie i swoją rodzinę. Byłam zła, bo jeszcze miałam w uszach jego nocne tłumaczenia:

- A jakby to był twój ojciec? Co byś zrobiła? Poszłaś na policję?

Patrzył na mnie, kręcił głową.

- No co byś zrobiła? Pierwsza sprawiedliwa? Doniosłaś na własnego ojca?

Na ustach ciągle miałam słony smak.

96

I taki był koniec rajy w Świątkowicach.

- Żaden anglista nie wytrzyma tutaj długo - powiedziała mi Ela Lichańska, kiedy przez telefon poprosiłam o rozwiązanie umowy ze skutkiem natychmiastowym z powodów rodzinnych. - Ale miałam nadzieję, że ty, akurat ty, podejdziesz do tego bardziej odpowiedzialnie. Przecież mamy tu innych panów, nie musiałaś się zrażać niepowodzeniem z Rutą. Ja cię poznam z kimś przyzwoitym, w twoim wieku. Co, Haniu?

Odpowiedziałam wymijająco.

- I gdzie ja teraz znajdę anglistę w środku semestru?

- jęknęła. - Haniu, daj nam szansę, dociągnij chociaż do półrocza.

Coś bąkałam, tłumacząc się kłamliwie. Ela nabrała powietrza, co było słyhać nawet po tej stronie telefonu.

407

Szykowałam się na wybuch, ale w końcu nic nie powiedziała, tylko grzmotnęła słuchawką. Cóż, dobrze ją rozumiałam.

Ruta dzwonił do mnie wielokrotnie. Ani razu nie odebrałam. Czasem miałam pokusę, gdy patrząc na wyświetlone na ekranie słowo RUTA, słuchając dzwonka i trzymając palec nad guzikiem ODBIERZ, zastanawiałam się, co mógłby powiedzieć. Było mi z tobą dobrze? Brak mi ciebie? Zrobmy to jeszcze raz? Pisał SMS-y. Jego: „GDZIE JESTEŚ? KIEDY WRÓCISZ?” mogło znaczyć zarówno „tęsknię za tobą”, jak i „chcę się z tobą spotkać, bo za dużo wiesz”.

Po kolejnym SMS-ie („WRÓCISZ?!”) zmieniłam numer komórki. Zostały mu tylko mejle. Chciałabym powiedzieć, że kasowałam je bez czytania, ale nie była to prawda. Czytałam miłosne zaklęcia i prośby o spotkanie, ale nie odpowiadałam. Milczenie było moją taktyką. Bałam się, że gdy tylko wdam się w dyskusję, zatęsknię. Albo mu zdradzę zbyt wiele.

Nikt ze Świątkowic nie znał adresu mojej mamy, u której wszyscy się zatrzymaliśmy. Koczowaliśmy we trójkę w jednym pokoju, mama w drugim, ale była zadowolona, że podjęłam decyzję o powrocie. Zawsze nienawidziłam tej wsi, wyznała mi to w końcu. Zawsze. Klucz do szarego domu wysłałam Materkowej, razem z prośbą, żeby spakowała nasze rzeczy i przechowała jakiś czas u siebie. Przez telefon zarzekała się, że nie sprawi jej to kłopotu.

Maks się ucieszył z powrotu do miasta. Miśce natomiast było wszystko jedno, gdzie mieszka, byleby mogła być z Psem. Chyba i ona zaczynała dojrzywać, bo coraz rzadziej ze mną rozmawiała. Brakowało mi tego.

408

Gdzieś na początku grudnia Ruta napisał mi w mejlu, że jego ojciec nie żyje. Zmarł we własnym łóżku, tak jak chciał. Nie odezwał się ani słowem aż do śmierci.

A tuż przed Bożym Narodzeniem dostałam od Ruty prezent. Tak przynajmniej zatytułował tego mejla. „Prezent dla Hani”. Załączył skany z tygodnika „Głos Garwolic”, a w nich - całkiem długą notkę o wypadku samochodowym. Poślizg, uderzenie w drzewo, niesprawne hamulce. Zginęło dwóch sześćdziesięcioletników: Stefan Karaczek i Mirosław Kozłowski. „Niesprawne hamulce” Ruta podkreślił trzy razy. Boję się myśleć, co chciał mi w ten sposób dać do zrozumienia.

„Sama więc widzisz, Haniu, że nie musisz się już nikogo bać. Chcę cię zobaczyć, kocham cię” dopisał. „Wrócisz? Albo ja przyjadę. Gdzie jesteś?”. Zamiast odpowiedzi wykasowałam mój adres mejlowy, a po namyśle jeszcze konto na Facebooku. Żeby mnie nie kusilo.

Bo wciąż pamiętałam pocałunki Ruty. To wspomnienie miało w sobie dużo ciepła. Ale równie często wracało wspomnienie naszej ostatniej nocy - kleszcze jego palców i wyznania uczuć wręczane jak łapówki, za milczenie. I wciąż nie byłam pewna, kto był tym trzecim nad stawem - on czy jego ojciec? Wiedziałałam jedno: na wszelki wypadek lepiej, żeby Ruta nie wiedział, gdzie mieszkam ja, moje dzieci i gdzie stoi mój samochód. Bo nie chciałabym sprawdzać przed każdym uruchomieniem silnika, czy mam sprawne hamulce.

MIŚKA

97

Martwię się, że rośnie mi tylko jedna pierś, ale podobno to się zmieni. Czasem budzę się w nocy, myślę o tej pierś, i słyszę, że mama też nie śpi. Zastanawiam się, czy nie wejść do niej pod kołdrę, ale zamiast tego sięgam po Psa, który śpi na podłodze obok. Z nim mniej się boję.

Mama jest trochę weselsza niż w Świątkowicach, może dlatego, że znowu małuje mieszkanie. Będziemy mieć trzy pokoje w spokojnej dzielnicy, przy metrze, niedaleko babci. Na parterze. A poza tym mama ma prowadzić kursy angielskiego. W tej samej firmie załatwiła pracę Zorianie. Bo zapomniałam napisać, że Zoriana ma wyjść za mąż za Polaka. Poznała go, kiedy załatwiła spalenie ciał swoich sióstr. Najbliższe urządzenie do spalania zwłok było właśnie w Warszawie i tu pracował ten facet, przy spalaniu właśnie. To się nazywa krematorium. Więc poznali się i pokochali, jak to czasem bywa.

Maks jednak wcale się nie przejął, że Zoriana jest już zajęta. Ma teraz dziewczynę w swoim wieku i nawet czasem przesiadują na podwórku. Patrzą na nich przez okno, ale nie słyszę, o czym mówią, chociaż babcia nie

410

mieszka wysoko, ledwie na pierwszym piętrze. Jakbym stamtąd wyskoczyła, tobym co najwyżej nogi połamala. Bo myślę czasem o skakaniu przez okno. Ja tam byłam wtedy, w tym pokoju. Widziałam tatę, jak stał na parapecie. Kiedy usłyszał, że wchodzę, odwrócił się, spojrzał na mnie, a potem po prostu dał krok do przodu. Taki jeden zdecydowany krok. Pewnie się bał, że będę próbowała go zatrzymać. Stałam i patrzyłam potem w to puste okno i wcale mi się nie chciało podchodzić i patrzeć w dół, więc po prostu wyszłam z pokoju, wsiadłam do windy i zjechałam na podwórko. Nie z tej strony, gdzie upadł i leżał. Z drugiej. Nie chciałam o tym myśleć ani się tym zajmować. Ten list, który zostawił na stole, trzymałam w ręku, zwinięty w kuleczkę. Bałam się do niego zajrzeć.

Ale przecież w końcu zajrzałam. Przeczytałam pierw-

sze trzy słowa: „Kochani, przepraszam, ale...” i złożyłam kartkę. Wiedziałam, że mama nie powinna czytać takich kłamstw. Nie „kochani”, bo tata nas nie kochał, skoro nas zostawił, i nie „przepraszam”, bo w jego ostatnim spojrzeniu nie było żalu, tylko zdecydowanie. Zwinęłam więc kartkę w kulkę, nie czytając do końca i wrzuciłam między kratki kanału. I nie zaprzeczałam, kiedy mama później kłamała, że tatuś umarł nagle na zawał. Wiem, po co to robiła. Żeby nas chronić. Nie wiedziała, że tak naprawdę to ja ją chronię.

Mam podobno iść na terapię, bo mało mówię. Ciekawe, że Maks nie musi, a ja tak. Cóż, pewnie będę musiała z tym psychologiem rozmawiać o wsi, o trupach, duchach i piwnicach... Może to i dobrze, bo te sprawy wymagają obgadania. Ale o pewnych rzeczach nie powiem mu nigdy. Bo jeszcze by coś wygadał mamie.

411

Nie powiem mu więc, że jakiś czas temu napisała do mamy nasza katechetka ze Świątkowic. Mama akurat miała na komputerze otwartą pocztę, więc rzuciłam okiem, a tu list od siostry Bożeny. Musiałam go przeczytać, bo bałam się, że tam będzie coś o mnie. Ale było coś gorszego. Że tym trzecim, który utopił Ukrainkę w stawie, był jednak starszy pan Rutkowski. Przepraszała, że nie powiedziała od razu, ale bała się mamę zranić, bo wszyscy wiedzieli, że mama kocha się w panu Rucie. Ale teraz, kiedy wyjechała, siostra ma nadzieję, że to już przeszłość i nie chce mieć kłamstwa na sumieniu, więc pisze, kto to był. No nie, pomyślałam. No nie. Mama ledwie trochę poweselała, a tu ma czytać, że zapraszała do domu syna mordercy? Napisałam do katechetki: „Dziękuję za informację, Hanna Cudny” i wykasowałam tego głupiego mejla. Ewa Maliwa nakryła do stołu. Co z tego, że na jedną osobę? Samej też można zjeść estetycznie. Woda z cytryną, sałatka z kurczakiem... Minęły czasy trzydaniowych posiłków i kotletów wielkości talerza, podstawianych pod nos panu mężowi.

Najpierw myślała, że to Paweł kręci te filmy. Nie miała złudzeń, wiedziała, że stać go na wiele obrzydliwych rzeczy, zwłaszcza związanych z seksem. Ale przeglądając jego rzeczy, gdy siedział w pracy, zrozumiała, że jeśli o to chodzi - jest niewinny. To nie on robił te filmy, on tylko odkrył, że ktoś je kręci. Szkoda, bo miała pomysł, żeby donieść na męża na policję. Ale po zastanowieniu uznała, że pomysł jest bezsensowny: cień skandalu padłby przecież na całą rodzinę.

Długo trwało, zanim dowiedziała się z jakiejś jego notatki, kto te filmy produkuje. No i komu może zależeć, żeby

412
uciszyć Pawła na zawsze. Przez długie godziny, spędzane

na klepaniu mięsa czy chodzeniu z odkurzaczem po domu, zastanawiała się, jak to rozegrać. Anonim? Będą szukać autora. Telefon? A jeśli ktoś rozpozna jej głos? W końcu wymyśliła - napisze list, niby to w imieniu swego męża. „Wiem wszystko i proszę o pieniądze, bo jak nie, dam znać komu trzeba” (tak tajemniczo, gdyż nie miała pojęcia, komu miałby dać znać, bo przecież nie policji). Coś tam jeszcze dopisała, żeby brzmiało wiarygodnie, w końcu przesiadując w bibliotece, przeczytała niejednego kryminała.

No dobrze, może nie musiała zniknąć z domu na cały ten czas. Pewnie wystarczyłoby poczekać spokojnie w Świątkowicach, aż znajdzie się ciało jej męża. Ale nie mogła znieść spojrzeń chłopców. Po prostu nie wyrabiała nerwowo. Kiedy Paweł zniknął, siedziała jak na szpilkach, w każdej chwili oczekując wiadomości, że znaleziono zwłoki. Ale czas mijał i nic. Męczą go? Torturują? Kiedy zaczęła popłakiwać co chwila i nie spać po nocach, po prostu wzięła swoje rzeczy i wyszła z domu. Pojechała do Buska Zdroju; była tam kiedyś kilka razy w sanatorium, teraz też wykupiła turnus. Potem drugi. W końcu wynajęła kwaterę prywatną, na szczęście niedrogo, bo bez łazienki (przez lata udało jej się odłożyć coś niecoś z czynszu od Ukrainek). Czekala, czekała, aż go znajdą, żywego lub umarłego, przy czym tu, daleko od domu, zrozumiała, że jednak woli, by odnaleziono nieboszczyka.

Martwiła się o chłopców, jak sobie poradzą, miała jednak nadzieję, że to nie potrwa długo. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na słabość. Wróci, jak sytuacja się wyjaśni. Przecież była w porządku: zostawiła Łukaszowi i Tomkowi pełną zamrażarkę i przy pomocy swej współlokatorki wysłała im SMS-a, dokąd pojechała.

413

Po powrocie do domu najpierw musiała posprzątać cały dom, od strychu po piwnicę, półka po półce, szuflada po szufladzie. Wszystko, co związane z Pawłem, odkładała do wielkich pudeł. Wylądowały w najciemniejszym kącie strychu, razem z jej wspomnieniami o mężu. Teraz miała zacząć nowe życie. Denerwowała się tylko, że Kozłowska z fundacji obrzuca ją w kościele łzawym spojrzeniem. W kościele, bo nigdzie indziej na szczęście się nie widywały. Ewa zaczęła więc chodzić na sumę o dwunastej, żeby uniknąć widoku tych wylupiastych oczu.

Bóg na szczęście pokarał starego Karaczka i starego Kozłowskiego, choć Ewa Maliwa chwilami miewała wątpliwości, czy aby na pewno Bóg. Grunt że rozbili się pewnego grudniowego dnia, jadąc po oblodzonej drodze samochodem z niesprawnymi hamulcami. Walnęli w drzewo i było po nich. Ewie bardzo ulżyło, gdy zginęli. Raz - że zrobili wiele naprawdę złych rzeczy i kara im się należała. Dwa - teraz już nikt nie będzie się zasta-

nawiał, czy ona wie coś od męża o działalności muszkieterów. Trzy - bo to oznaczało, że nie nakręcą już więcej żadnego filmu. Stary Rutkowski też wreszcie umarł. Pogrzeb był wystawny, a stypa jeszcze bardziej. Rutkowska podała to swoje cholerne drożdżowe i z dziesięć innych ciast. Znowu obiecała, że da przepisy. Akurat.

Ale Ewa się nie dopominała. W ogóle starała się nikomu nie rzucać w oczy. W końcu w swoim czasie utrzymywała, że mąż przebywa w Irlandii, gdy tymczasem okazało się, że wcale tam nie był, bo konał w silosie. Cóż, każdemu zdarza się minąć z prawdą, gdy trzeba kryć męża, który pije. Może ktoś zarzuci jej, że nikt nigdy nie widział go pijanego, ale wtedy Ewa odpowie: to dlatego, że tak dobrze utrzymywałam jego nałóg w tajemnicy.

414

Benek Rutkowski nadal regularnie pojawiał się w bibliotece. Wyglądał marnie: blady, oczy podkrążone. Strasznie przeżył śmierć ojca, ale Ewa podejrzewała, że chodziło nie tylko o to. Ona by raczej szukała przyczyny jego fatalnego wyglądu w nagłym wyjeździe ze Świątkowic Hanki Kapery, obecnie Cudny. Ela LiCHAŃSKA twierdziła, że Hanka już nie wróci i że taki już los szkoły w Świątkowicach - żaden anglista nie wytrzyma tu dłużej niż jeden semestr. Ewa zatem postanowiła, że pošle Łukasza na angielski do Garwolic. Niech się dzieciak nauczy języka niezależnie od kaprysów nieodpowiedzialnych osób.

Martwiła się tylko, że Łukasz trochę zdziwaczał.

Co prawda jakoś wygrzebał się z tych pałek, ale nadal mało mówił, a co gorsza często przyłapywała go na tym, że przypatruje jej się, jakby wiedział więcej, niż chciała mu powiedzieć.

- Co tak dziwnie na mnie patrzysz? - pytała.

- Ee. - Przymykał oczy.

Ale ilekroć pochwyciła to spojrzenie, jej sumienie zaczynało drzeć i wydzielać trujące kwasy, a przed oczami stawał jej mąż, jakiego widziała po raz ostatni, w kostnicy, i myślała sobie, że żaden drań nie zasługuje na taki koniec. Wtedy brała się za pieczenie szarlotki, żeby zająć czymś ręce. I głowę. I usta. Nawet trochę przytyła na tych wyrzutach sumienia. I co z tego? Przy pełniejszej figurze nie widać zmarszczek. A poza tym - czas leczy rany.

Tak przynajmniej kiedyś czytała w „Przyjaciółce”.

Podziękowania

Po pierwsze: mojemu mężowi. Za tak zwane wszystko, i nieważne, że brzmi to nieco patetycznie. Moim dzieciom, Stasiowi i Adeli - za to, że dają mi czas na pisanie. Rodzicom - za to, że niegdyś zjeździliśmy tyle wsi w całej Polsce, że teraz mogłam stworzyć w tekście własne Świątkowice. Marii Otto-Giełżyńskiej za uwagi, które wpisywała ołówkiem między

wersami. Teresie Zuń, za dopytywanie się o ciąg dalszy. Psychoterapeutce Alinie Hryniewicz-Hasior, która w trakcie pisania przeprowadziła mnie przez ciemny las, prawie taki gęsty jak w Świątkowicach. Annie Zgierun-Łacinie, której poczucie logiki zawracało mnie z literackich manowców. Agnieszce Gil, Annie Klejzerowicz, Antoninie Kozłowskiej, Lucynie Olejniczak, Karolinie Sykulskiej, Agnieszce Szygendzie, Magdalenie Witkiewicz, Marioli Zaczyńskiej oraz wszystkim innym literatkom z mojego macierzystego forum, których wsparcie pomogło stworzyć już niejedną powieść, nie tylko mnie. To grupa piszących dziewczyn z całej Polski, które darzą się bezinteresowną przyjaźnią i pomocą. Agacie Łomako i Joannie Lorynowicz - dziewczyny, wiecie za co! Załogom kilku warszawskich kawiarni, które znosiły moje wysiadywanie godzinami z laptopem nad podwójnym espresso. I - last but not least - agentom literackim, Manuli Kalickiej i Zbigniewowi Zawadzkiemu, twórcom Agencji Autorskiej Zetzet, którym się chciało czytać, pokrzepiać, wskazywać błędy, domyślać się, kto zabił, aż w końcu znaleźć mi wydawcę.

Anna Fryczkowska - italianistka, scenarzystka i dziennikarka. Mieszka w Warszawie, pisuje w kawiarniach, wychowuje dzieci oraz studiuje gendery na Uniwersytecie Warszawskim. Wydała dwie powieści obyczajowe Straszne historie o otyłości i pożądaniu (2007) oraz Trafioną-zatopioną (2010). Kobieta bez twarzy jest jej pierwszym kryminałem. Razem z całą rodziną prowadzi stronę internetową www.wszycypiszemy.pl